

**„Złoto” to poszukiwanie tego kruszcu na półwyspie Osa, w Kostaryce, pośród węży, podejrzanych „stróżów prawa” i malwersantów, „Sahara” – transport i sprzedaż zdezelowanych samochodów w Afryce, „gwiezdna jazda” oszustów, skorumpowanych celników i szczególnie „turystów”.**

**„Parodia” zamyka tę awanturyczną trylogię, a autor prowadzi czytelnika do bogatego kanadyjskiego miasta Toronto. Tu bohater przystosowuje się do każdej sytuacji jak kameleon i osiąga korzyści oraz przyjemności wszelkimi dostępnymi środkami. Umiejętnie posługując się ludźmi, kontroluje przez parę miesięcy nocne życie metropolii: gry hazardowe, handel alkoholem i narkotykami. Pomagają mu w tym piękne dziewczyny szukające silnych wrażeń. „Parodia” to autentyczne świadectwo życia współczesnego awanturnika, którego jedynym celem jest wielka, często okrutna, przygoda.**

**W przygotowaniu „Gorączka” tegoż autora.**

**ISBN 83-11-07898-X**

# CIZIA ZYKĚ

## PARODIA



PRZEŁOŻYL STANISŁAW WOJNICKI

CIZIA ZYKĚ  
**PARODIA**  
WYDAWNICTWO  
BELLONA

Tytuł oryginału francuskiego: *Parodie*  
© Copyright by International Book Promotion, Paris 1987

Okladkę i strony tytułowe projektował  
*Michał Maryniak*

Układ typograficzny okładki i stron tytułowych  
*Michał Bernaciak*

Redaktor  
*Barbara Wasilewska-Kasprzak*

Redaktor techniczny  
*Grażyna Woźniak*

Korektor  
*Zofia Banasiak*

**Z chomika andrzej171717**

© Copyright for the Polish edition by  
Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1991

ISBN 83-11-07898-X

## PROLOG

Vancouver, Kanada. Przeprowa przez Pacyfik była trudna.

Zmiana kontynentu to zawsze duża przyjemność. Toteż postanowiłem to uczcić, być może nieco przesadziłem. Przez ostatnie trzy dni spędzone w Tokio w ogóle nie spałem, a w czasie piętnastogodzinnego lotu nadużyłem szampana. Korytarze lotniska wydają się nie mieć końca, wreszcie dochodzę do kolejki przed okienkiem urzędnika imigracyjnego. Jestem na luzie, żadnych trosk. Wszyscy tutaj wyglądają sympatycznie.

Podaję urzędnikowi paszport. To mocno zbudowany facet, ma jasne oczy, twarz przecinają mu wąsy nadające poczciwy wygląd.

Nie spieszy mu się. Czyta pierwszą stronę, ogląda zdjęcie i podnosi na mnie wzrok, żeby porównać. Sprawdza datę wystawienia paszportu, po czym przechodzi na następną. Spokojnie przygląda się mojej wizie wjazdowej, później patrzy na inne. Dziwi go stan, w jakim znajduje się dokument, a zwłaszcza liczba pieczętek, która się w nim mieści. Zapomniałem już, jak drobiazgowi są północnoamerykańscy urzędnicy.

Imigracja to tutaj sprawa poważna. Muszę się skoncentrować, żeby dobrze wypaść.

— Dużo pan podróżuje, mister Zykë. Czy to pana pierwszy przyjazd do Kanady?

To pytanie jest łatwe.

— Yes, sir.

— Jak długo zamierza pan tu pozostać?

— Nie wiem.

— Gdzie ma pan zamiar się zatrzymać? Czy ma pan w Kanadzie rodzinę? Przyjaciół?

— Nie, ale zamierzam ich sobie znaleźć.  
Nie wzbudza to u niego nawet uśmiechu. Dlaczego zawsze muszę trafić na kogoś, kto będzie się mnie czepiał? Pytania padają jak krople deszczu. Coraz trudniej przychodzi mi rozumienie, co do mnie mówi. Oparłem się o blat, jestem zmęczony, widzę wszystko przez mgłę. Jego głos dobiega do mnie z oddali i z trudem toruje sobie drogę do moich uszu.

— Czy zamierza pan podjąć pracę w Kanadzie?

— Pracę?

Słowo to powoli dochodzi do mojej świadomości. Nigdy nie pracowałem, ale wiem, że to modne na całym świecie. Chwytam się tej okazji, by zrobić wspaniałemu przyjemność. Prostuję się z uśmiechem, i udaje mi się wypowiedzieć głosem bełkotliwym, lecz zdecydowanym, że moim najdroższym pragnieniem jest pracować. Zmyślałam nawet więcej dodając coś o założeniu rodziny, o posiadaniu dzieci, które wszystkie będą doskonałymi pracownikami, jako że ja sam pochodzę z rodziny o długich „pracowitych” tradycjach. Mój ojciec, mój dziadek...

Wbrew moim oczekiwaniom nie oddaje mi paszportu. Przeciwnie, wstaje i prosi, żebym poszedł za nim.

— Nie ma pan bagażu?

— No, sir.

I zaczęły się kłopoty.

Przez trzy dni trzymano mnie w lotniczym hotelu, po czym postawiono przed obliczem trybunału imigracyjnego.

Jego siedziba to zimny budynek bez wyrazu. Idę za moim przewodnikiem, wysokim gliniarzem, przez labirynt korytarzy i wind. Potem przez pół godziny czekamy w jakimś hallu.

Czuję się nieswojo. Mój garnitur jest pognieciony i ma powypychane na kolanach nogawki. Jest z jasnego lnu, był robiony na miarę w Hongkongu i miał wtedy prawdziwy szyk. Ale godziny spędzone w samolocie i te trzy dni w hotelu zamieniły go w szmatę. U boku tego wielkiego, milczącego gliniarza odnoszę wrażenie, że jestem jakimś małym włoskim imigrantem na nowojorskim nabrzeżu.

W sali czeka na mnie sześć osób, pięciu wysokich funkcjonariuszy w mundurach i kobieta, która przedstawia się jako mój tłumacz.

Natychmiast też zaczyna tłumaczyć na francuski, z silnym akcentem Quebecu, artykuły kodeksu odczytywane przez jednego z facetów.

— Oświadczył pan, że zamierza podjąć pracę na terytorium Kanady. Jest to surowo zabronione osobom nie posiadającym wizy imigracyjnej.

A więc to o to chodzi! To nawet sympatyczne, taki kraj, gdzie pracować nie wolno.

— W związku z tym nie może pan pozostać w Kanadzie. Zostanie pan deportowany. Może pan wybrać pomiędzy krajem ojczystym a tym, z którego pan przyjechał.

I już.

Ci mili ludzie spokojnie oznajmniają mi, że chcą mnie stąd wywalić. Nie jest to nawet proces. Przyprowadzono mnie tutaj, żeby poinformować mnie o skazaniu. Wydają pieniądze, żeby ich odwiedzić, a oni mnie wyrzucają. A wszystko dlatego, że po raz pierwszy w życiu wykazałem się chęcią do pracy.

Nie mam absolutnie ochoty wracać. Jeszcze za wcześnie na powrót do Francji. Zostanę tutaj. Patrę na moich sędziów. Siedzą sztywno na swoich krzesłach i ani drgną. Wszyscy zbudowani są imponująco, każdy pozapinany na wszystkie guziki swojej nie-nagannie wyprasowanej mundurowej koszuli. Są niewzruszeni, żaden nie przyjdzie mi z pomocą.

Jedyne wyjście, to ta kobieta.

Na pierwszy rzut oka wydaje się równie niezdojła, jak samce. Po czterdziestce, lekko roztyta, w okularach o grubej kwadratowej oprawce, ma na sobie niebieski kostium skrojony jak mundur. Na piersi nosi plakietkę wskazującą, że nazywa się pani Simpson. To mężatka. Zapewne ma dzieci. Zagramy na strunie macierzyństwa.

— Proszę pani! Niech mi pani pozwoli wytłumaczyć...

I przedstawiam jej moją bezsilność i rozpacz wobec takiego sądowego potraktowania, i to po trzech niekończących się dniach uwięzienia; mówię, jak przykre jest znaleźć się pod policyjnym nadzorem; opowiadam, jak psychiczny szok spowodowany niezasłużonym aresztowaniem, w połączeniu z pomyłką sądową, która właśnie ma miejsce, stanowi poważny wstrząs dla mojej uczuciowej i umysłowej równowagi.

Patrzy teraz na mnie z uwagą, zaskoczona. Walę dalej.

— Musi mnie pani wysłuchać... Jestem studentem psychologii.

W ubiegłym roku obroniłem trudną pracę dotyczącą zachowań ludzkich w warunkach szoku. Kosztem wysiłku i pracy zdałem ciężkie końcowe egzaminy. Mój ojciec był ze mnie dumny i chciał wynagrodzić mi ten wielki intelektualny wysiłek, toteż zafundował mi podróż studyjną dookoła świata. Chodzi o to, żebym się rozwinął, żebym mógł poszerzyć swoje horyzonty poprzez wzbogacające kontakty międzyludzkie. Żebym więcej dowiedział się na temat zasad życiowych i żebym nauczył się je szanować. Proszę pani... Powiedziałem, że przyjechałem tu pracować? Ależ to pomyłka, qui pro quo, pożałowania godne nieporozumienie, które złożyć należy na karb zwykłego przejęzyczenia, łatwo zrozumiałego po całodziennej podróży lotniczej, połączonej ze zmianą czasu i załamaniem, jakie przeżyłem, kiedy skradziono mi wszystkie moje walizki, otrzymane w prezencie od rodziny, i w których trzymałem swoje książki, dyplomy, zdjęcia rodzinne i pamiątki z podróży. Wszystko zniknęło z hotelu w Tokio.

Walą się na mnie nieszczęścia i wykorzystuje się to, by potraktować mnie jak wyrzutka, bandytę, kryminalistę, awanturnika, który zamierza siać zamęt. A ja tak cieszyłem się, po poznaniu różnych cywilizacji świata, zwyczajów ich mężczyzn i ich kobiet, że zakończę tę podróż dookoła świata w Kanadzie.

Zza korekcyjnych szkieł niebieskie oczy pani Simpson patrzą na mnie z zainteresowaniem, które nie ogranicza się do motywacji zawodowych. Jej niebieski kostium niedokładnie ukrywa krągłe kształty, które zachowały jeszcze atrakcyjność. Do ataku.

— Kanada, proszę pani! Tak marzyłem o tym kraju. Kiedy organizowałem swoją podróż, od razu postanowiłem zakończyć ją właśnie tu. Od dzieciństwa całe godziny spędzałem na czytaniu wszystkiego, co tylko mogłem znaleźć na temat Dalekiej Północy i traperów. Moja matka, która zwiedziła Kanadę w młodości, opowiadała mi o niej wieczorami. Byłem już szczęśliwy na samą myśl o podziwianiu wielkich przestrzeni, o zobaczeniu raz w życiu wodospadu Niagara... W tej fryzurze bardzo pani do twarzy... I chciałem zobaczyć Indian, jeździć na śnieżnym skuterze, spotkać profesorów uniwersytetu Vancouver...

Jestem wspaniały. Wyprostowany, ze wzrokiem wbitym prosto w niebieskie oczy mojej tłumaczki, zadaję ostatnie pchnięcie wzruszającym:

— Niech mi pani pomoże!

Zarumieniła się, kiedy wspomniałem o jej uczesaniu. Potrzebuje trochę czasu, żeby zebrać myśli, zanim zabierze się do przetłumaczenia pięciu funkcjonariuszom głównych tez mojego przemówienia. Doskonale znam angielski i bez trudności śledzę jej słowa. Początkowo bezosobowy i urzędowy głos mojej tłumaczki nabiera życia. To prawdziwa mowa obrończa. Już nie tłumaczy, lecz stara się przekonać tamtych o mojej dobrej wierze.

Student psychologii! Powiniennem powiedzieć: mistrz w tej dziedzinie, bo całkowicie zamotałem ci w głowie, grubasku!

Wiem, że wygrałem sprawę, kiedy urzędnicy zaczynają naradzać się półgłosem. Jeszcze kilka przemówień i pozwalają mi odejść. Zostaje jednak postanowione, że zatrzymają mój paszport do czasu wyjazdu z kraju. Będę musiał zgłaszać się z jakimś papierkiem do najbliższego urzędu imigracyjnego raz w miesiącu.

Ostatnia formalność: każą mi przysiąc na Biblię, że będę przestrzegał prawa i tak dalej. Jestem zdeklarowanym ateistą i zupełnie mi to nie przeszkadza, ale trzeba stwierdzić, że pierwszy raz się zdarza, żeby kazano mi przysięgać na moją bibułę do skrętów. Tak czy inaczej, gotów jestem przysięgać co tylko zechcą i na dowolną książkę, bo zdecydowany jestem tu pozostać.

Troska, z jaką chronią ten swój kraj, pozwala przypuszczać, że jest tu parę ciekawych rzeczy do wzięcia. Ich upór w zawracaniu mnie z drogi rozbudził mój apetyt. Zawsze uważałem kontynent amerykański za rodzaj sejfu. W ostatnich latach bywałem tu często i zawsze było to opłacalne. A tym razem coś mi mówi, że będzie jeszcze lepiej.

I pomyśleć, że gdyby tak nie nalegali, być może przeszedłbym nieświadomie koło jakiegoś skarbu!

## CZĘŚĆ PIERWSZA

Toronto. Przygotowanie fajki opium to delikatna operacja. Polega na wykonaniu szeregu dokładnych ruchów, co wymaga udziału pomocnika. Li-Han, właściciel domu, jest w tym doskonały.

Cierpliwie ugniata kulkę na końcu igły i powolnymi ruchami palca wskazującego i kciuka przekształca ją w mały stożek. Główka fajki to zwykły mały otwór przebity w porcelanowej kuli. Li-Han wciska weń koniec stożka opium, przy czym reszta kulki pozostaje na zewnątrz.

Jest to opium oczyszczone, pozbawione substancji roślinnych, w przeciwieństwie do rough opium, koloru brązowego, lepkiego i nieprzyjemnego w smaku. Jest dużo mocniejsze i dużo droższe.

Mój gospodarz wyciąga do mnie cybuch fajki. Oczywiście leżę, żeby opium nie ściekało, zapalam kulkę od naftowej lampy stojącej koło mnie. Krótki niebieski płomień, opium skwierczy, i trzecia fajka rozluźnia mnie do reszty.

Rozciągnięty na brudnej macie odprężam się. Jest po południu, w pokoju ciemno. W rogu mała lampka oświetla posązek Buddy, który wydaje się wpatrywać w stojący po przeciwnej stronie odbiornik telewizyjny, niemy, lecz stale włączony.

Daleko stąd do wspaniałości Wschodu. Toronto to paskudne miasto, szare i zimne. Od dwóch tygodni nie wydarzyło się dokładnie nic. W tym przemysłowym mieście nie ma niczego, co skłaniałoby mnie do podjęcia jakichś działań i nawiązania ponownego kontaktu z zachodnią cywilizacją.

Wielokilometrowej długości aleje szybkiego ruchu przecinają się pod kątem prostym, tworząc nie kończące się ciągi jednakowych

kwartałów. To amerykańskie miasto. Pada tu bez przerwy i chodniki są puste.

Li-Han odbiera fajkę. Za pomocą swojej igły przebija otwór w główce i ubija opium na brzegach, żeby podtrzymać spalanie. Podaje mi przedmiot z uśmiechem.

Cwaniak z niego. Jak wielu jego ziomków, ma ogromne zdolności handlowe. Jest młody, ma długie włosy i ubiera się po amerykańsku, w dzinsy i bawełnianą koszulkę, a na przegubie nosi wielki złoty szwajcarski zegarek, oznakę dających sobie radę w życiu Azjatów.

Mówił mi, że pochodzi z chińskiej prowincji Jünnan. On też wiele podróżował. Już drugiego dnia po moim wprowadzeniu się do chińskiej dzielnicy przyszedł ze mną porozmawiać. Jego propozycja — wprowadzenie mnie w miejscowe przyjemności, opium i niesamowite masaże jego młodej kuzynki — od razu sprawiła, że poczułem do niego sympatię. Od tego czasu traktuje mnie po królewsku i wyciąga mi całą forszę.

W tym mieście praca liczy się przede wszystkim. Jedynymi, którzy się nią nie zajmują, są emeryci. Ale o tej porze roku rozpoczęli oni już swoją wielką migrację na Florydę, największy amerykański cmentarz, gdzie spędzają zimę wygrzewając się na słońcu.

Moją pierwszą poranną przyjemnością jest kawa espresso, wypijana we włoskiej kafejce, którą odkryłem na Yonge Street. Kawa amerykańska, koloru herbaty, dziesięć razy podgrzewana, nie nadaje się do picia, zwłaszcza po przebudzeniu. Kafejka, podobnie jak okolica, jest zwykle pusta. Tutaj kawiarnie zapełniają się dopiero w porze lunchu. Nikt nie przesiaduje w barach, jak to ma miejsce w krajach śródziemnomorskich.

Po południu przechadzam się po centrach handlowych, które tworzą serce miasta. Kręcę się, szukam, zaglądam wszędzie, ale w mieście tak spokojnym nie ma wielkich nadziei. Jedyne jak dotąd kontakty udało mi się nawiązać z drobnymi mętami; nie ma w tym żadnej przyszłości.

Li-Han ponownie przebija skorupę opium, przygotowując kilka ostatnich pociągnięć. W pokoju jest szaro od gryzącego dymu narkotyku. Jestem teraz całkowicie rozluźniony i pogrążony w rozmyślaniach.

Kobiety... Często stają się moimi nieświadomymi opiekunami, ale tutejsze mnie nie pociągają. Miałem już do czynienia z amerykańskimi samicami i bardzo dokuczał mi ich brak kobiecości. Albo papiloty, albo superfryzura, guma do żucia bez kalorii w zębach, a z ust nie schodzi im gadanie o dolarze.

Więc zrobienie wysiłku, żeby uwieść tego rodzaju zwierzyne, nie interesuje mnie. Wiem aż za dużo, co oznacza ta obrzydliwa mentalność! Kiedy na pierwszym miejscu jest dolar, nie może być mowy o uczuciach.

Szybko zaliczyłem wszystkie luksusy cywilizacji. Hamburger jest smaczny, ale tylko raz do roku. Druga amerykańska specjalność, smażona kura z przyprawami, przyprawia mnie o mdłości. Nie mogę jej tknąć odkąd wiem, że te zdegenerowane zwierzęta, z grzebieniem opadającym na dziób jak stara ścierka, odżywiane są za pomocą ich własnego zregenerowanego gówna. Bary szybkiej obsługi, przesłodzone napoje i zbyt doskonale albo rzekomo dietetyczne potrawy, wszystko to aż nadto, żeby zrujnować sobie zdrowie. Wystarczy zresztą popatrzeć na tubylców, żeby stwierdzić, że główną miejscową chorobą jest otyłość.

Pieniądze, które udaje mi się uratować z fachowych rąk Li-Hana i jego małej kuzynki masażystki, wydaję na kontynentalne restauracje i butelki francuskiego wina.

Mój chiński gospodarz odłączył porcelanową główkę fajki od cybucha. Przygotowuje mi nową fajkę z resztek po poprzednich. Z wnętrza kuli, za pomocą szpatułki, wylawia czarne okruchy, które miesza z białym proszkiem. Jest to rozkruszona aspiryna, której zadaniem jest zapobieżenie późniejszemu bólowi głowy.

Cóż robić poza paleniem? Tak czy inaczej nie zostało już wiele czasu. W Kanadzie nie znajdę zajęcia. Trzeba wydać pozostałe dolary na przyjemności, a potem pojadę na słońce. Przenosiny w inne miejsca nigdy nie stanowiły dla mnie problemu.

W wieku siedemnastu lat wyjechałem z Francji, która zrobiła się dla mnie za ciasna, i zacząłem podróżować. Od tej pory nie przestałem się bawić, i zamierzam to kontynuować. To taka przyjemność wyciągnąć co najlepsze z jakiegoś kraju, przeżyć w nim przygodę, zadowolić

jego mieszkanki, po czym przenieść się gdzie indziej. Szykuję sobie wspomnienia na starość. Moja miła powierzchowność i pewność siebie, kryjące zdolną do wszystkiego hipokryzję, stanowią gwarancję skuteczności.

Mączę ludziom we łbach w sposób sympatyczny. Po paru godzinach rozmowy zastanawiają się, w jaki sposób mogli tak długo beze mnie żyć.

Wśród kobiet, moich najbardziej uroczych sponsorów, dodatkowym atutem jest moja narodowość. W dzisiejszych czasach Francuz to przede wszystkim ambasador miłości i wyrafinowanych przyjemności. Te dwie cechy pozwalają mi na jeżdżenie po świecie z rękami w kieszeniach, bez troski o jutro i bez przywiązywania się, swobodnie.

Kolejno: jako Francuz, Włoch, Korsykanin, Argentyńczyk, Libańczyk lub Marokańczyk, jako student psychologii, architekt wnętrz, syn bankiera na wyjeździe lub przemysłowiec, w zależności od potrzeb i od zainteresowanych osób, jestem prawdziwym kameleonem doskonale przystosowanym do przeżycia w każdej sytuacji. Kiedy robi się gorąco, zmieniam kraj.

Uznaję tylko własne reguły, a są one proste: żyć intensywnie i nie brać niczego poważnie. Mam świadomość, że na tym świecie jestem tylko przejazdem, więc chcę wykorzystać to maksymalnie. Mając wybór między hipotetycznym miejscem w rajku i natychmiastowymi a zupełnie pewnymi przyjemnościami, wybrałem bez wahania, i to bardzo wcześnie. Już w wieku trzynastu lat zdałem sobie sprawę, że jestem zatwardziałym sybarytą. Nie urodziłem się po to, by cierpieć, lecz by brać z życia co najlepsze. Nie rozumiem sensu pracy, oszczędzania i obrywania po głowie przez całe życie w przewidywaniu emerytury, z której można korzystać dopiero, kiedy jest już za późno. Przygotowywanie niepewnej przyszłości mnie nie interesuje. Żyję na całość w terażniejszości. Dla mnie przeżyty rok to rok wygrany.

Poszukuję wszelkich przyjemności, wszystkimi środkami. Szybko zdałem sobie sprawę, że zakazany owoc jest zawsze najlepszy. Fakt, że takie podejście czasami sporo kosztuje, ale zawsze znajduję miłosierne dusze gotowe mi pomóc, często wbrew własnej woli. Ofiarowuję im przyjemności per procura, i to się sprawdza. W końcu robię tylko to, o czym każdy marzy, ale nie starcza mu odwagi.

Nie wystarczy być bogatym. Trzeba jeszcze umieć wydawać. Jeżeli

niektórzy spośród moich sponsorów zachowali o mnie złe wspomnienie, stało się to niechcący. To nie moja wina, że nie starcza miejsca dla wszystkich.

Ale tutaj to nie działa!

Barwy odległego i niemego obrazu telewizyjnego są niewyraźne. Li-Han starannie zawinął swój sprzęt w szmatkę, po czym zniknął. Mój stan odprężenia jest doskonały, jestem całkowicie oderwany od świata. Odjeżdżam.

Budzi mnie chyba głód, jestem doskonale wypoczęty i pełen energii. Jest jeszcze dzień, ale wskazówki zegara obleciały już tarczę dookoła. Opium wyrwało mnie z obiegu przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny.

Na dole restaurację wypełniają już zapachy zupy i chińskich dań, co zwiłokrotnia mój apetyt. Salka jest maleńka, stoi tu zaledwie kilka krytych tworzywem stolików i parę przykręconych do podłogi barowych stołków. Li-Han znad swojej gazety posyła mi krótkie pozdrowienie. Nad kontuarem wiszą na hakach śmieszne, czerwone kaczki bez głów. W tylnej sali dymią wielkie garnki, rozchodzą się smakowite zapachy. Kucharz, mały, skośnooki w nieokreślonym wieku, nie spuszcza wzroku z telewizora.

— Przygotuj mi... proszę... wieprzowinę z czosnkiem, zupę jarzynową, drugą z pierożkami... chop suey, kaczkę po kantońsku, krewetki na ostro i cztery miseczki ryżu.

Jestem bardzo głodny. Kucharz, zawsze zdziwiony moimi możliwościami, szybko zabiera się do pracy, z oczami nadal utkwionymi w telewizyjnym show.

Wkrótce potem jestem najedzony, w świetnej formie i zastanawiam się, co też mógłbym zrobić z dzisiejszym wieczorem, kiedy podchodzi do mnie Li-Han, cały uśmiechnięty.

— Hello, Cizia! Wychodzisz? Potrzebujesz mojego samochodu?

Tak naprawdę nie mam ochoty wychodzić, ale co tu robić innego?

To moja ostatnia lub przedostatnia noc w Toronto. Zwój pieniędzy w mojej kieszeni zmniejszył się do rozmiarów paru pogniecionych banknotów, które na pewno jakoś wydam.



— Nie zabawisz się dzisiaj. Jest Dzień Dziękczynienia, wszystko pozamykane.

Mój dobry humor i moja energia zmniejszają się o jedno oczko. Dlaczego na tym kontynencie musi być tyle świątecznych dni? To miasto chyba nie umie się bawić.

Li-Han podjeżdża swoim samochodem, starym białym cadillakiem z lat sześćdziesiątych. Wsuwam mu w rękę banknot, który natychmiast znika, i ruszam. Li-Han macha mi wesoło na pożegnanie.

Co za handlowiec! Wracam z Azji i miałem okazję zaobserwować, że nie on jeden potrafi zgarniać pieniądze. Wszyscy oni mają kapitalistyczne zdolności, są twardzi w interesach i przebiegli, to przyszli panowie świata.

Wystarczy zresztą wsiąść do tej landary, żeby zdać sobie z tego sprawę. To relikwiarz epoki wielkiej amerykańskiej prosperity, lekko pokiereszowany, cadillac splukanego imigranta. Wycieraczki z trudnością poruszają się po szybie. W górnej części drzwi kierowcy przeciekają, wpuszczając nieprzyjemny i zimny deszcz. Nie przeszkadza to Li-Hanowi wynajmować mi samochodu po cenie dwukrotnie wyższej, niż wynosi jego wartość sprzedaży.

Neony i względne ożywienie chińskiej dzielnicy zobaczyć można tylko na kilku ulicach. Mój chiński kanciarz ma rację, to nie jest idealny dzień na poszukiwanie wrażeń.

Yonge Street wygląda idealnie ponuro. Na wystawach sklepów z ubraniami pospuszczone są metalowe żaluzje, sex-shopy pozamykane. Błyszczą tylko światła w barach szybkiej obsługi, w których zresztą nie ma żywej duszy. Ogrzewanie wozu odmawia posłuszeństwa. Zimno mi w moim tropikalnym garniturze i coraz częściej zastanawiam się, jeżdżąc po wymarłych ulicach, co ja tu właściwie robię.

Raz jeszcze zaglądam do zakazanej dzielnicy. Queen's Street wydawała mi się zabawna, kiedy byłem tu po raz pierwszy, z tymi swoimi barami country i wulgarnymi kurwami. Na rogu tłusta platynowłosa przemarznięta piękność przez okno proponuje mi swe usługi, obciążenie druta. Nie mam ochoty.

W końcu, podobnie jak w inne wieczory, znudzony bezczynnością,

postanawiam zajrzeć do barów wielkich hoteli. Nie znalazłem w Toronto prawdziwych nocnych klubów. W tej dziurze nieliczne bogate nocne marki spotykają się w Holiday Inn lub w Hyatt Regency.

Bar hotelu Regency, ze swoją obszerną elegancką salą o niebieskiej wykładzinie, wyposażoną w głębokie fotele obite czarną skórą i lampy ukryte w wielkich donicach, oświetlające miedziane balustrady, robi dziś wrażenie jeszcze bardziej ponure niż zwykle. Przy kontuarze, nie licząc barmana, tylko dwóch podchmielonych facetów, którzy najwyraźniej nudzą się tak samo jak ja.

W głębi, na podwyższeniu, robi co może południowoamerykańska piosenkarka, której pierwsze występy musiały mieć miejsce za czasów prohibicji. Omdlewająca, z przymkniętymi oczami, posyła gorące słowa miłości w kierunku pustych stolików i okalających ścian, które wiele już widziały i nie przejmują się takimi drobiazgami.

Kontrabasista, wielki długonogi chudzielec kryjący oczy za grubymi szklami krótkowidza, zadowala się zagranieniem pojedynczej nuty od czasu do czasu, kiedy jego nieobecność staje się zbyt wyraźna.

Spośród trójki gości ani obaj dystyngowani alkoholicy, którzy zdecydowanie odwrócili się do niego plecami, ani ja nie mamy ochoty klaskać. Koniec każdego utworu witany jest całkowitą ciszą.

A przecież piosenkarka stara się jak może. Kłania się bardzo nisko, powtarzając wzruszonym głosem podziękowania i machając ręką, by powstrzymać huragan braw, który słyszy jako jedyna na tej sali. Zauważam, że chwilami jakby sztywnieje i ewidentnie ma ochotę poklepać po ramieniu oba te typy, które ją ignorują, ale zbyt krótki przewód mikrofonu nie pozwala jej na to.

Żeby uniknąć jej rozpaczliwego spojrzenia, chwytającego się mojego jak tonący koła ratunkowego, kieruję swoją uwagę na obu pijących. Rozmawiają z barmanem, który przybrał odpowiednią minę i uczestniczy w dyskusji za pomocą potakiwania głową, wykazując zawodowe zainteresowanie.

Mniejszy z tych dwu facetów trzyma głowę w dłoniach i wygląda na przygnębionego. Mówią mieszaniną angielskiego i włoskiego. Moja niewielka znajomość tego ostatniego języka stanowi wystarczający pretekst, by się do nich przysiąść. Podchodzę i kładę im ręce na ramionach z szerokim uśmiechem.

— Mogę postawić wam jednego?  
To wystarczy, by narodziła się nowa przyjaźń, i po kwadransie  
wiem już wszystko.

Rocco ma kłopoty. Zaczynał jako kelner w kawiarni i dzięki bratu,  
który zrobił szybką fortunę w handlu nieruchomościami, został szefem  
restauracji. Dzisiaj biznes idzie źle. Z braku doświadczenia popełnił  
szereg błędów z gatunku takich, które posyłają interes na dno. W dniu  
dzisiejszego rodzinnego święta odczuwa wyrzuty sumienia. Postanowił  
zostać sam. Upił się na smutno i opowiada mi o swoich kłopotach  
załamującym się głosem. Drugi facet, szczęśliwy z mojego pojawienia  
się, wykorzystuje okazję i dyskretnie się ulatnia.

Nie lubię pijanych, ale Rocco to sympatyczny gość. Jest niski,  
z czarnymi włosami, ma około czterdziestki i twarz dziecka, nie  
naznaczoną jeszcze śladami zmartwień. Wyczuwa się, że to miły  
chłopak, z sercem na dłoni, ale że zabrał się do spraw, które go  
przerastają.

Jako dobry samarytanin podtrzymuję go na duchu. Dawno już  
przyjechał do Stanów i mówi po angielsku bez obcego akcentu, a jego  
stan nie pozwala mu zdawać sobie sprawy ze słabości mojego  
włoskiego.

— No, Rocco, nie można się tak załamywać, wystarczy, że szczęście  
powróci.

Zwyczajne banały nie wystarczają, by go pokrzepić.

— Nie, jest za późno. Z moją knajpą jest naprawdę źle. Widzisz,  
Cizia...

Urywa i kładzie mi rękę na ramieniu w geście pijackiego braterstwa.

— Jesteś Włochem, Cizia?

— Jestem Albańczykiem.

Niczym nie ryzykuję, we Włoszech jest tylu Albańczyków...  
I dodaję, że często tam jeżdżę, że mieszka tam cała moja rodzina, i że  
moja matka często opowiada mi o Włoszech.

Na wspomnienie o rodzinnym kraju jego oczy zachodzą mgłą.  
Przez chwilę milczy, zamyślony, po czym wraca do swoich kłopotów.

— Wstydziłoby się za mnie tam, w kraju, gdyby wiedzieli, jak  
prowadzę swoje interesy.

— Chyba zbyt szybko dajesz za wygraną, przyjacielu. W restauracji  
nigdy nic nie jest ostateczne...

— Nie, to już koniec, pójdę z torbami.

— Ależ nie, Rocco, nie obawiaj się. Wystarczy pozmienić parę  
szczegółów: dobre menu, trochę odpowiedniej reklamy, i całe miasto  
będzie zwałać się do ciebie!

— Znasz się na hotelarstwie?

— Czy się znam? Ależ ja się w tym środowisku wychowałem,  
Rocco! Moi rodzice mają jedną z najbardziej znanych restauracji  
w Mediolanie. Moi bracia, moje siostry, moi dziadkowie, wszyscy  
pracują w branży. Ja sam kończyłem szkołę hotelarską i proponuję mi  
objęcie restauracji w Genewie.

I dodaję, że to w naszej rodzinie tradycja sięgająca co najmniej  
czasów wypraw krzyżowych; że ma przed sobą wynik dziesięciu  
wieków hotelarskich doświadczeń. Krótko mówiąc, że nie mógł  
dzisiejszego wieczoru marzyć o szczęśliwszym spotkaniu.

Z szerokim uśmiechem na ustach i wytrzeszczając oczy Rocco  
połyka wszystko, co mu opowiadam. Starając się go przekonać,  
że moje wkroczenie w jego życie ma większe znaczenie niż nadejście  
samego Mesjasza, zastanawiam się, co też mógłbym zrobić z trattorią,  
poza jej sprzedaniem. Ale może to stać się jakimś punktem  
wyjścia, a poza tym w każdej restauracji jest kasa z szufladą,  
która będzie mogła zabawić się z moimi kieszeniami w naczynia  
połączone.

Pod koniec wieczoru ulegam naleganiom Rocca i zgadzam się  
odwiedzić nazajutrz jego zakład, żeby zobaczyć, czy ewentualnie  
mógłbym dać mu parę dobrych rad. Jest oczywiste, że ponieważ  
jestem na urlopie, chodzi tu wyłącznie o koleżeńską przysługę, bez  
żadnych zobowiązań.

— Rocco, widzimy się jutro. Teraz muszę już iść. Miło było cię  
poznać. Nic się nie bój, jutro przyjdę ci pomóc.

Wracam do chińskiej dzielnicy zadowolony. Mamy preludeum  
dobrej zabawy! Nigdy jeszcze nie miałem restauracji.

W hotelu Li-Han gra w madżonga ze swoimi stałymi wieczornymi  
klientami.

— Cizia! Chcesz zapalić?

— Nie, dziękuję.

— Może mały masaż?

Prawie co wieczór korzystam z usług małej kuzyneczki Li-Hana.  
Yac-Minh jest urocza, drobniutka, ma na sobie tylko zwykły biały  
fartuszek. Jak wszystkie ładne Azjatki może mieć równie dobrze

dwadzieścia, jak czterdzieści lat. Ma skórę delikatną jak porcelana, to laleczka mówiąca dobry wieczór, dziękuję i dobranoc.

Biorę prysznic, wkładam luźne spodnie od kimona i kładę się. Masaż odbywa się przy świetle małej nocnej lampki, pod dobrotliwym spojrzeniem Buddy. Przez dwie godziny mała kuzyneczka wyciąga mi ręce, nogi, wygina stawy moich łokci, kolan, palców rąk i nóg, wykręca mi szyję, długo uciska każdy mięsień i łamie mnie na tysiąc kawalków. Rezultat jest fantastyczny. Ten masaż to owoc tysiącletniej sztuki, przewidującej odpowiedni ruch na każdą część ciała, nawet najmniejszą, na każdy staw, doskonale rozluźniającej.

Podczas gdy poddaję się tej rozkoszy, zadziwia mnie krzepa tkwiąca w tym małym kawalku kobiety. Zwłaszcza jej palce obdarzone są niewiarygodną siłą. Jej wytrzymałość ma jednak swoje granice. Jest maleńka w porównaniu ze mną i ma niezłą zadyszkę, kiedy kończy tę pierwszą część zabiegu.

Nie oddaje mi swego ciała, żeby rozluźnić ostatni mięsień, jaki pozostał naprężony. Tu również jej zabiegi są owocem starożytnej nauki i długotrwałej praktyki. Pieszczota futerału jej ust jest wprost bajecznie łagodna i sprawna. Dziewczyna potrafi w nieskończoność przedłużać te rajskie doznania.

Kiedy dużo później sięgam do kieszeni, z prawdziwą przyjemnością daję jej połowę tego, co mi zostało. Od pierwszego wieczoru przyzwyczailem ją, że płacę dużo. Zapewnia mi królewskie traktowanie, i nie zamierzam ścibolić.

Chowa swoje sto dolarów z uroczym uśmiechem.

— Dziękuję. Dobranoc.

Znika pozdrowiwszy mnie małym ukłonem z dłońmi złączonymi przed twarzą.

Następnego dnia wypuszczam swój ostatni banknot studolarowy i kupuję czarną marynarkę, czarne spodnie, białą koszulę i muszkę, wszystko w doskonałym gatunku.

Zostaje mi dziesięć dolarów, za które kupuję butelkę szampana, żeby godnie uczcić chwilowy stan kompletnego spłukania.

Przyjeżdżam do restauracji Rocca, La Strady, na krótko przed obiadem. Lokal znajduje się w pasażu handlowym o dwa kroki od

hotelu Hyatt Regency, na Avenue Road, równoległe do Yorkville; pasaż stanowi rodzaj wielkiego korytarza załamanego pod kątem prostym w połowie, a obie jego strony zajmują modne sklepy: luksusowe obuwie, ubrania znanych firm, produkty sprowadzane z Europy. Unosi się tu miły zapach pieniędzy.

La Strada ma doskonale położenie. To jedyna restauracja w pasażu. Z jednej strony wychodzi na ulicę, z drugiej — na wnętrze ciągu handlowego.

Kiedy wchodzę, Rocco, który otrząsnął się już z kaca, wita mnie z radością; na jego dziecinnej twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Pamięta mnie, to już coś.

Jest najwyraźniej w kłopotach, wskazuje palcem w stronę kuchni.

— Przepraszam cię, Cizia, coś załatwię i zajmę się tobą. Momento. Siadaj i zamów coś do picia, volvo pronto.

I drepcze do kuchni.

Korzystam z tego, by dokonać szybkiej inspekcji. Restauracja jest obszerna, podzielona na dwie sale. Bar znajduje się w mniejszej, tu też są drzwi do kuchni oraz główne wejście. Po paru stopniach wchodzi się do drugiej sali, przyjemniejszej, podzielonej na małe boksy. Całość nie wygląda olśniewająco. W pogoni za luksusem architekt przedobrzył. Wszystko jest zbyt uroczyste, zbyt ciężkie jak na zwykłą trattorię w handlowym pasażu. Ozdobne żyrandole pod sufitem, grube czerwone kotary, ciężkie i niewygodne pseudoantyki zamiast normalnych stołów i krzeseł, wszystko jest w złym guście i musiało kosztować fortunę niewspółmierną do rezultatu: architekt chciał zapewne powetować sobie nędzę z dzieciństwa. Nic nie jest tu naprawdę funkcjonalne.

Pośród całego tego zbytku snują się zbyt liczni kelnerzy, ubrani w czerwone koszule i zielone apaszki, rozmamlani, najwyraźniej nie mając żadnego zajęcia.

Personel zachowuje się tak, jakby wiedział, że nie potrwa to już długo, i nie troszczy się zbyt o paru siedzących na sali klientów. Jestem tu od dziesięciu minut, a nikt się jeszcze mną nie zajął i mój kieliszek na wino nie jest zbyt czysty.

Bardzo szybko podsumowuję najbardziej negatywne punkty: ospała obsługa, na którą skarżą się głośno nieliczni przecięt klienci, zerowa wydajność, dużo zadęcia bez efektów.

Ta restauracja nie ma duszy.

Wkrótce wraca Rocco, zaczerwieniony, lekko drżący, zdenerwowany.

— I co, Rocco, jakieś kłopoty?

Wzdycha, komicznie potrząsając głową.

— Ten skurwiel kucharz doprowadza mnie do szału. Jeszcze nie spotkałem kogoś tak upartego jak ten.

— To Włoch?

— Nie, Kanadyjczyk, kawał kutasa, ale zna się na kuchni, więc...

Biorę swoją szklankę i wstaję.

— Oprowadzisz mnie?

Kuchnia jest doskonale wyposażona w nowoczesne i lśniące urządzenia. Kucharz, czerwony na twarzy grubas o twarzy jołopa, ledwie odpowiada na moje „dzień dobry” i ponownie pogrąża się w lekturze jakiejś książki.

Ze zdziwieniem odkrywam kupę przyrządów, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Rocco zauważył moje zainteresowanie i z dumą robi mi parę pokazów. Nie wie, że moje nieklamane zainteresowanie wynika nie ze względów zawodowych, lecz ze zwykłej ciekawości. Po raz pierwszy w życiu postawiłem nogę w restauracyjnej kuchni. Każę sobie otworzyć chłodzię, zaglądam do składziku, pochlebnie oceniam różne aparaty, których przeznaczenia staram się domyślić. Rozpoznałem kilka przedmiotów, na przykład kran i młynek do kawy, ale to wszystko. Moja pewna siebie mina dobrze kryje moją ignorancję, a Rocco jest wystarczająco gadatliwy, by pozwolić mi uniknąć kłopotliwych pytań.

Wracamy na salę, żeby zjeść obiad.

Menu jest podłe. Same obfite, ciężkie i kłopotliwe w przygotowaniu potrawy. Nie ma tanich dań, co jest błędem, zwłaszcza w porze lunchu. Amerykańscy biznesmeni, w ustawicznym pościgu za efektywnością, chcą zjeść lunch szybko i niedrogo.

Zamawiam rzecz najklasyczeńszą, spaghetti bolognese. Rocco zamówił hamburgera, wyrzekając się swojej własnej kuchni. Kiedy nadchodzi moje danie, obawy okazują się uzasadnione. Gruby kucharz nigdy nie słyszał o włoskiej kuchni, i jego makaron jest obrzydliwy, nie dosolony, bez smaku i zbyt długo gotowany. Mięso jest mdłe, sos śmierdzi konserwą na milę. Rocco czeka na werdykt i zauważa mój grymas obrzydzenia.

— Gdzie znalazłeś tego cornuto? — pytam, odsuwając ledwo napoczętą potrawę. — To nie kucharz, to świnia!

— Porca Madonna! Zrobiłem błąd! Ale twierdził, że jest kucharzem, więc...

— Wywał go!

Stropiony wzrusza ramionami.

— To nie takie proste...

Biedny Rocco nie potrafi narzucić swojej woli nawet we własnym zakładzie! Wszystko jest nie tak, co wspaniale odpowiada moim zamiarom.

W tej właśnie chwili kucharz postanawia pojawić się na sali. Jego fartuch jest brudny. Otworzył sobie puszkę piwa i bez żenady przychodzi ją dokończyć przy naszym stoliku. Jest odrażający. Dość długie włosy, niezbyt liczne i tłuste, twarz obrzękła od alkoholu, źle ogolona i ze śladami po ospie.

Rocco rzuca mi bezsilne spojrzenie. Obrzydliwy opróżnia puszkę, łapie butelkę stojącą na stole i nalewa sobie pełny kieliszek wina, przy czym stara się, żeby parę kropel spadło na obrus. Zauważa mój pełny talerz.

— Nie jest pan głodny?

— Owszem. Ale tego nie mogę jeść.

— Nie smakuje panu?

— Nie można powiedzieć, czy smakuje, czy nie. To świństwo, a ja nie jadam świństw!

Zaskoczony patrzy na Rocca, który zrobił się malutki na swoim krześle. Potem posyła mi ciężkie spojrzenie i, obrażony, uznaje, że pora odejść do swoich garów.

Tego faceta trzeba się szybko pozbyć.

Kładę rękę na ramieniu Rocca.

— Sporo tu do zrobienia...

Przez całe popołudnie opowiadam mu o hotelarstwie. Przedstawiam mu podstawowe zasady zdrowego interesu. Obniżka kosztów, planowanie produkcji, koszty ogólne, wydajność... Każde z tych słów pogrąża go jeszcze bardziej.

— Pomyślę nad jakimś planem pracy. Ale do tego będę potrzebował jak najwięcej informacji. Potrzebuję faktur, listy wypłat

personelu, wyliczenia kosztów ogólnych, wykazu dostawców itd. Przygotuj mi to wszystko na jutro, żebym mógł poważnie zabrać się do roboty.

Nie mam zielonego pojęcia, jak działa restauracja, ile może zarabiać kelner, czego potrzeba w kuchni, nie wiem rzeczy najbardziej elementarnych. Muszę wyrobić sobie na te tematy choćby ogólny pogląd, żeby przejść do konkretów zamiast dotychczasowego motania we łbie.

Rocco jest tak zrozpaczony, że nawet nie zauważa moich pomyłek lub pytań, na które odpowiedzi powinny być oczywiste dla hotelarza mojej klasy. Będę musiał znaleźć dyskretny sposób, żeby kazać sobie wytłumaczyć, do czego służą te wszystkie maszyny w kuchni.

Kiedy wychodzę, Rocco promienieje.

— Wyjeżdżasz?

— Tak! Kupiłem właśnie restaurację.

Li-Han wie, że moja forsa się kończy, i zdradza zaskoczenie. Korzystam z tego, by zaatakować.

— Chyba rozumiesz, partner, że ta poważna inwestycja zmobilizowała cały mój kapitał. Ale popatrz, co mam dla ciebie.

Patetycznym gestem pokazuję mu swój tropikalny garnitur, lekko odprasowany. Li-Han jest zaszokowany moją ceną, w wysokości trzystu dolarów, i zaczyna się pojedynek. Ten skośnooki sknera usuwa mi grunt spod nóg już na początku negocjacji pogardliwym:

— Five bucks! (Pięć dolców!)

— Ależ to len! Szyte na miarę! W Hongkongu!

Po zaciętym targowaniu się udaje mi się podwoić cenę. Moim pięknym garniturem płacę za ostatnią noc w hotelu i parę paczek papierosów.

Ciao, Chinatown!

Już drugiego dnia pozbyłem się kucharza.

Okazja nadarzyła się, kiedy przyszedłem do La Strady zbyt wcześnie rano. Musiałem czekać na przyście sprzątaczkę, żeby wejść do własnego lokalu.

Sprzątaczką to stara włoska Mamma. Przeglądając rachunki

obserwowałem, jak metodycznie poluje na brudy, mamrocząc coś pod nosem i rzucając w moim kierunku ukradkowe spojrzenia.

Podszedłem do niej.

— Hej, Mamma, umiesz gotować?

Zaskoczona instynktownie cofa się przede mną.

— Umie pani robić makaron, signora?

— No pewnie! Ecco! Jestem Włoszką!

— Świeży makaron? Spaghetti?

— No oczywiście!

— A lasagne? Umie pani robić lasagne?

Ta poczciwa stara potrafi wszystko. Czuć od niej trochę pot, ale jest bardzo zadbana i jej fartuch jest czyściutki. Wystarczy na nią popatrzeć, by zrozumieć, że gotowała makaron przez całe życie i to po parę razy dziennie. Właśnie kogoś takiego mi trzeba.

Zawlokłem ją do kuchni, pełnej brudów pozostawionych poprzedniego dnia przez grubego Kanadyjczyka, i wyjaśniłem jej, że to jej nowe królestwo. Była już zajęta doprowadzaniem wszystkiego do porządku, kiedy przyszedł tamten, dopiero co rozbudzony po nocnym pijaństwie. Otworzył właśnie usta, żeby opieprzyć starą, ale zobaczył mnie i zamilkł. Oświadczyłem mu, że stracił pracę. Ponownie otworzył usta, żeby zaprotestować, ale uciałem to zdecydowanie.

Ciosem łokcia z dołu w górę, po azjatycku, zamknąłem mu szczęki, kończąc tym samym cały incydent. Gruby uciekł trzymając się za podbródek.

Wybiegając zderzył się w drzwiach z Rocco, który właśnie wchodził i który, oczywiście, przeraził się.

— Cizia! Coś ty zrobił?

— Wylałem kucharza.

Moje metody wydały mu się zbyt radykalne. Pociągnąłem go więc w kierunku szaf, z plikiem papierów w ręku, i wytłumaczyłem mu.

— Jedynym sposobem, żeby uratować tonący biznes, jest obniżka kosztów. Kucharzowi płaciłeś dwa tysiące dolarów miesięcznie? Dzięki jego spontanicznej dymisji, za którą nie płacisz nic, zastępuję go Mammą i pomocnikiem kuchennym. Oboje razem nie wezmą więcej niż tysiąc dolarów, i zrobią lepszą robotę. Kelnerów jest za dużo. Nawet przy pełnej sali połowa spośród nich, przy odpowiednim wykszoleniu, całkowicie wystarczy. Teraz zakupy: nie tylko robione były bez sensu, ale w dodatku bez żadnego związku między fakturami

a zapasami. Nikogo nie oskarżam, ale jest niemożliwe, biorąc pod uwagę, jak mało było w tym miesiącu klientów, żeby niewiarygodna ilość sosu pomidorowego zniknęła tak szybko. Cena mięsa jest zbyt wysoka, można by przypuszczać, że kucharz kupował tylko najlepsze gatunki. Trochę porządku i wydatki na zakupy zmniejszą się o połowę. Trzeba bardziej różnicować jadłospis i zapewnić sobie stałą klientelę, co sprawi wrażenie, że restauracja nigdy nie jest pusta.

Rocco musiał w końcu przyznać, że miałem rację.

— Ale wiesz, Cizia, trzeba uważać, tu nie są Włochy, nie można tak po prostu wyrzucać ludzi. Są przepisy... Nie wolno zwalniać...

Ojcowskim gestem położyłem mu rękę na ramieniu i uroczyście go pocieszyłem.

— Tranquillo, partner. Non preoccupate.\*

W ciągu dwóch następnych dni wylałem kelnerów.

Byli zdecydowanie zbyt liczni i zbyt leniwi. Oprócz jednego, który poczuł do mnie sympatię, żywili do mnie od czasu wyrzucenia kucharza tajoną wrogość, co przyprawiało mnie o smutek.

W Kanadzie waiters, czyli kelnerzy, znajdują się w sytuacji godnej pozazdroszczenia dla ludzi bez większych ambicji. Korzystają z ochrony potężnego związku zawodowego, który broni ich praw, niekiedy nawet przesadzając, a tak czy inaczej mają pewność znalezienia pracy bez trudności, gdziekolwiek, i to z narzuconą przepisami niewiarygodnie wysoką pensją. Większość to cudzoziemcy, mali gówienni kombinatory, spokojni o pracę, nawet kiedy czasy są ciężkie.

W tym stanie rzeczy mogą sobie pozwolić na stawianie warunków, a takiej postawy u moich pracowników nie znoszę.

Są zadekowani. Wszystkie nieprzyjemne roboty wykonują bus-boys, pomocnicy: sprzątanie ze stołów, usuwanie gówna, wynoszenie i opróżnianie popielniczek itd.

W La Stradzie jest pięciu takich pomocników, pogardzanych przez kelnerów, którzy są lepiej od nich opłacani, i którzy w dodatku zgarniają dla siebie wszystkie napiwki.

Jawna niesprawiedliwość zawsze wyprowadza mnie z równowagi. Oczyszczenie lokalu ze zbędnego personelu było połączeniem psycho-

\* Spokojnie, partner. Nie przejmuj się.

logii, nacisków, gróźb, wyrafinowania i porządnego walnięcia w pysk. Czterdzieści osiem godzin takich zabiegów i wszyscy kelnerzy uznali, że najlepiej odejść bez zwracania głowy.

Poważnie zmniejszyło to wydatki na płace i jednocześnie oczyściło teren z zawodowców, jedynych w okolicy, którzy wiedzieli więcej ode mnie na temat restauracji. Zrobiłem zebranie pomocników, poczęstowałem ich szampanem i oznajmiłem, że wszyscy zostali mianowani kelnerami. Awans społeczny i perspektywa napiwków rozjaśniła wszystkie twarze. Dyskretne oklaski potwierdziły ich entuzjazm.

Ten ostatni będzie im zresztą potrzebny, bo teraz załatwiają sami całą robotę, od powitania klienta do zmywania naczyń, i to za tę samą pensję co poprzednio.

Tylko jeden z kelnerów uniknął czystki. Paolo jest neapolitańczykiem, mały, owłosiony, o dłoniach dusiciela. Nosi potężne wąsy, modne wśród Włochów, pielęgnowane baczki i wysoki obcas, żeby skompensować niski wzrost. To typowy mały bandyta, który się nie rozwinął, usiłujący naśladować pozy swoich starszych braci z mafii.

Ludzie tego typu, nostalgiczni i mający w sobie coś z piratów, zawsze garną się do mnie, szukając zrozumienia i opieki.

Faza trzecia, klienci.

Przeszedłem się po pasażu, żeby się przedstawić. To niesłychane, ani jeden z właścicieli okolicznych sklepów nie jadał w La Stradzie. Stanowią oni nasz pierwszy, oczywisty cel.

Najpierw poinformowałem ich o zmianie jadłospisu. Chodząc od sklepu do sklepu zachwalałem zalety świeżego makaronu i włoskiej domowej kuchni, nareszcie przygotowywanej przez autentyczną Mamę. Obiecałem też pięćdziesięcioprocentowy rabat dla pracujących w pasażu oraz możliwość, dla pracowników, przyjscia na kawę lub spędzenia przerwy popołudniowej w trattorii.

Trzeba było przyciągnąć ludzi. Klient chętniej wchodzi do lokalu, w którym panuje ożywienie.

Wykorzystując swój urok osobisty, uśmiechy do pań i siłę perswazji spowodowałem, że sąsiedzi zgodzili się dać La Stradzie jeszcze jedną szansę.

Rocco spędził cały ten okres na dreptaniu za moimi plecami,

chodząc za mną wszędzie, niekiedy dobrej myśli, lecz zawsze przerażony.

Nie zamierzam go wykiwać, to porządny facet, bardzo sympatyczny. Jego wadą jest słabość i wielka podatność na wpływy. Jak dotąd, wszystkie jego przedsięwzięcia okazywały się nieszczęśliwe. Nie ma siły przeciwstawić się moim innowacjom, które są przecież konieczne, i czuje, że zostaje w tyle.

Mój ostatni pomysł stanowił dla niego wstrząs. Kupiłem w supermarkecie, po cztery dolary za dziesięciolitrową butlę, obrzydliwe czerwone wino produkcji międzynarodowej. Przelane do naszych małych dzbanuszków po trzy dolary sztuka ma piękny cynobrowy kolor. O ile Amerykanie znają się czasami na piwie lub na bourbonie, ich podniebienie jest całkowicie niezdolne do odróżnienia jednego wina od drugiego. Wystarczy im kolor.

Ochrzciliśmy je „Wino z Kalabrii, prosto z beczki”, i kiedy tylko pojawiło się w karcie, amatorów znalazło się bez liku. Przeszkoliłem personel, by zamawiającemu odpowiadać, że nie wiadomo, czy jeszcze zostało. Taka mała niepewność powoduje, że potem to świństwo smakuje jeszcze bardziej.

Oczywiście, jak to zauważył Rocco, w razie kontroli leżymy. Ale jeżeli mamy pozostać w zgodzie z prawem, równie dobrze możemy sprzedawać orzeszki na ulicy, i mój partner z czasem pogodził się z tym, jak i ze wszystkim innym.

Ma w końcu powody do zadowolenia. Zdjąłem mu z ramion ciężar odpowiedzialności. Moja skuteczność i szybkość działania zadziwiły go i nie pozostaje mu nic innego jak godzić się z moimi decyzjami. Słusznie czy nie, ludzie — zwłaszcza słabi — łatwo obdarzają mnie zaufaniem.

Rocco chyba uczynił to słusznie, bo jestem tu na razie dwadzieścia dni i interes idzie! Mimo wrodzonej skromności muszę przyznać, że w parę dni zrobiłem z La Strady przyzwoity lokal. Można to nawet nazwać sukcesem. Wszystkie stoliki są zajęte, a personel, dyskretny i sprawny, działa wszędzie jednocześnie.

Nieomylnym znakiem, że czasy się zmieniły, są codzienne teraz wizyty Angela Gucciego, młodszego brata mojego wspólnika Rocca i prawdziwego właściciela mojej trattorii. W towarzystwie trzeciego brata Gucci, boksera Luigiego, jadamy razem kolacje przy środkowym okrągłym stoliku, na widoku. Stało się to już tradycją.

Angelo Gucci jest najmłodszy w tej męskiej rodzinie. Ten tysięcący blondyn o jasnoniebieskich oczach jest także najsprytniejszy. Zrobił majątek na handlu nieruchomościami, i ta restauracja to raczej kaprys niż interes.

Ubrany jest nadzwyczaj starannie, w nieskazitelnie białym, klasycznym trzyczęściowym garniturze, szyty na miarę. Włoskie półbuty, złoto na palcach i na przegubach. Najnowszy model białego cadillaka czeka na niego przed wejściem. W środku siedzi potężny kierowca w grubym płaszczu i czapce.

Luigi to zakąta rodziny, chuligan. Był bokser, trochę bandyta, ma gębę, która nie zachęca do konwersacji. Nos rozwalony od ciosów, odstające uszy, niskie czoło i potężne łuki brwiowe zdradzają jego profesję. Nosi skórzaną kurtkę, której nie zdjął siadając do stołu, a jego różowa koszula upstrzona jest plamami tłuszczu. To prawdziwe przedstawienie, kiedy pożera swoją miskę lasagne, tak jak to potrafią jedynie Włosi, z hałasem, ale w skupieniu i z brodą ociekającą sosem.

Rocco, gadatliwy i nerwowy, wymachuje rękami i mówi bez przerwy, oczekując aprobaty ze strony mojej lub swego młodszego brata Angela.

Ten ostatni, ze swoim starannie pielęgnowanym wyglądem mafijnego biznesmena, po nuworyszowsku przesadny i ociężały, Rocco oraz pokiereszowany Luigi, pleczysty i milczący, kiedy tak siedzą razem, wyglądają na typowych Włochów z południa, którym w Ameryce się powiodło. To Little Italy, imigranci...

Obrazek jest zabawny. Od pewnego czasu zapuszczam wąsy śródziemnomorskiego podrywacza, w stylu włoskim. Są już pokaźne i wzmacniają mój latynoski wygląd, z czym bardzo mi do twarzy.

Wyglądam wspaniale. Szerokie, potężne ramiona, rozpięta na piersi koszula, opalony, elegancko ubrany, w lekkiej, zawsze jasnej marynarce, jestem u szczytu formy. Mam dwadzieścia trzy lata, długie czarne i lekko kręjące się włosy oraz niezachwianą pewność siebie. Wiszące na ścianie lustro, o parę metrów ode mnie, pozwala mi rzucić na siebie okiem od czasu do czasu i dojść do wniosku, że się sobie podobam.

Zresztą nie tylko sobie. Podczas mojej kampanii reklamowej rozmawiałem z większością pań prowadzących sklepy w pasażu. Oczarowane moją wizytą zaczęły przychodzić do restauracji. Po paru takich odwiedzinach mogłem kontynuować moją reklamę w ich pościeli.

Właścicielki sklepów są już moje i w czasie grzecznościowych wizyt, jakie im składam, zaczynam teraz popatrywać w stronę sprzedawczyń. Wszystkie te panie to stałe klientki. Przychodzą same lub w towarzystwie i są zachwycone, kiedy przyjmuję je osobiście lub kiedy w trakcie posiłku podchodzę, by szepnąć im do ucha jakies świństwo.

Sądząc po rezultatach, moje metody reklamowe są skuteczne. Wieść o restauracji rozniosła się, przyciągając spokojną i majątną klientelę. Sześćdziesiąt do siedemdziesięciu posiłków dziennie to jeszcze nie tłok, ale personel pracuje ostro.

Z pracownikami nie było żadnych problemów. Kelnerzy skupieni, bez chwili wytchnienia, by myśleć o czym innym, złapali szlif. Obsługa odbywa się w ten dyskretny, lecz sprawny sposób, charakterystyczny dla dobrych lokali.

Paolo, neapolitański kelner, zajmuje się nami i najbliższymi stolikami. Jest wszechobecny, uważny i usiłuje przyjąć postawę dystyngowanego maître d'hôtel ze ścierką przewieszoną przez rękę.

Siedząc z właścicielami w pełni korzystam z powodzenia mojej restauracji, i wieczory są przyjemne. Angelo okazuje się być ciekawym facetem. Przytłumiony hałas rozmów i kobiecych śmiechów tworzy miłą mojemu uchu muzykę. W kuchni Mamma specjalnie przykłada się do menu środkowego stolika i muszę przyznać, że jej świeży makaron jest cudowny. Stara od tak dawna ma do czynienia z sosem pomidorowym, że ten ostatni nie ma już przed nią tajemnic. Zamiast powszechnie serwowanego cynobrowego świństwa nasz stolik ma swoje własne zastrzeżone wino. Pijemy bordeaux rocznik 1968. Tutaj niezwykle rzadki, który odkryłem osobiście.

Wchodzi troje nowych klientów, jakaś para wychodzi z uśmiechem, do kasy wpływają pieniądze. Kasą zajmuję się osobiście, ale nie przesadzam. Pobieram tylko tyle, ile trzeba na pokrycie moich kosztów, mojego komfortu i mojego luksusowego pokoju w hotelu Hyatt Regency, o dwa kroki stąd. Rocco nie ma nic przeciw temu, co jest normalne po tym, co dla niego zrobiłem.

Zajmuję się wszystkim. Obliczyłem, że jeżeli nadal będziemy się rozwijać w tym tempie, kuchnia nie będzie w stanie nadążyć. Postanowiłem więc znaleźć asystenta dla mojej królowej makaronu.

Zamieściłem w gazecie ogłoszenie i przez cały dzień przyjmowałem kandydatów.

Wszyscy chętni byli Kanadyjczykami i zawodowcami, to znaczy ludźmi nieodpowiednimi. W końcu, późnym popołudniem, pojawił się osobnik bardziej sympatyczny. Jest to mały Włoch z Argentyny, na imię ma Alfredo, i przyszedł nieśmiało gniotąc w dłoniach stary, sfatygowany kapelus. Alfredo przymierał głodem i był całkowicie zagubiony.

Wyjaśnił mi, że wysadzono go karnie na ląd z jakiegoś frachtowca, że nadchodzi zima i że był kucharzem przez całe życie.

— Gotowałem na statkach towarowych, a potem na transatlantykach, w czasie luksusowych rejsów. Przyrządzałem posiłki na co najmniej tysiąc osób.

To jeszcze większy kłamca niż ja, ale jest zabawny. Dla rozrywki proszę go o jego referencje.

— Moje co?

— Papiery z poprzedniej pracy.

Rozpoczyna długie opowieści o trudnej drodze, jaką przeszły jego zaświadczenia, odkąd zapomniał bagażu na jednym z ostatnich statków, na których pracował.

— Ale mają mi je przysłać. Będę je miał za miesiąc albo dwa...

— Nie wysilaj się. Co umiesz gotować?

— Wszystko!

Wypowiada to tak pewnym tonem, że prawie mam ochotę mu uwierzyć. Jego wiara w siebie nagle znika, kiedy proszę, żeby mi coś przygotował.

Stara się wymigać, ale nalegam, by przyrządził mi swoją specjalność: idzie do kuchni powłócząc nogami.

Nie mam złudzeń co do jego zdolności, ale w razie czego zawsze może pozmywać. Po półgodzinie wraca, cały zachlapany, a w rękę trzyma talerz zawierający coś w sosie.

— Co to ma być?

— No, jak to, to gulasz! A bo co?

— To twoja specjalność?

Jeżeli ktokolwiek powierzył Alfredowi odpowiedzialność za tysiąc posiłków, to w najlepszym razie znaczy, że poziom rejsów bardzo się obniżył. Śmieję się tak, że biedakowi nie udaje się wcisnąć słowa. Jest całkowicie zaskoczony, kiedy oświadczam mu, że biorę



go na pomocnika kucharza. Facet przechodzi zły okres, nie ma niczego, zasługuje, żeby dać mu szansę. Będzie pracował od ósmej rano do północy, dostanie pensję w wysokości trzystu dolarów miesięcznie i będzie pomagał przy sprzątanii i zmywaniu.

Zachwycony, że znalazł dach nad głową przed zimą, godzi się na wszystko. Mama już wzięła go w obroty. Jego zadaniem jest obieranie kartofli, dostał stołek i siedzi w ciepłe.

Właśnie podsumowuję miniony okres jednym uchem słuchając rozmowy Guccich, kiedy zdaję sobie sprawę, że dzieje się coś nienormalnego.

Przy jednym ze stolików jakaś para opieprza mojego kelnera. To Mikos, młody Grek, który dobrze pracuje. Podchodzę i pozdrawiam klientów.

— Proszę państwa, mam nadzieję, że wszystko w porządku...

— Absolutnie nie! To skandal. Jeżeli to pan tu zarządza, nie gratuluję panu. Proszę spojrzeć na to mięso, jest za bardzo wysmażone!

Mikos przed chwilą przyniósł je z kuchni, dokąd, o ile dobrze zrozumiałem, odesłali je wcześniej uważając, że jest niedosmażone.

To typowi paskudni skurwiele, korzystający z tego, że mają forszę, by zawracać innym głowę. Mąż to staruch, wysuszony, z wąskimi zaciśniętymi wargami. Jego kurwa pochodzi z ubiegłego wieku, opięta w równie starą sukienkę w kolorze butelkowej zieleni. Są skąpi, zrzędlivi, w typie ludzi, którzy będą oszczędzać przez miesiąc, żeby pójść do restauracji.

Następnie gruba bierze mnie na świadka, by poskarżyć się na swoją zieloną sałatę, najtańszą surówkę w jadłospisie. Według niej nie jest wystarczająco przyprawiona.

Mikos patrzy na nich z nienawiścią, z zaciśniętymi szczękami. Posyłam piękny radosny uśmiech w stronę staruchy i szczebioczę do niej, że zaraz przyniesiemy z powrotem jej małą sałatkę, wspaniale przyprawioną. Zabieram miseczkę do kuchni. Po drodze, ruchem głowy, wzywam cały personel do siebie.

Krótko ucinam potok przekleństw, jaki natychmiast zaczynają miotać pod adresem obojga piniaczy.

— Panowie, zapamiętajcie ważną rzecz. Tutaj klient jest panem.

Spuszczają głowy, oczekując awantury.

— Kiedy jesteście na sali, w żadnej sytuacji uśmiech nie może zejść wam z twarzy. „Tak, proszę pana”, „Oczywiście, proszę pani”, tylko to chcę słyszeć. Jeśli macie jakieś porachunki do załatwienia, należy to robić tutaj, kiedy nikt nie widzi. O tak...

Odchrząkuje i umieszczam w niedostatecznie przyprawionej sałacie ogromną plwocinę.

Kelnerzy są zaskoczeni. Wpatrzony w moje dzieło Paolo wytrzeszcza oczy. Ich zdziwienie wzmaga się, kiedy podaję miskę Mikosowi zachęcając go, by poszedł w moje ślady. Patrzy na mnie, pluje, po czym wybucha śmiechem i posyła do miski prawdziwy deszcz śliny. Szybko musi przestać, bo tak się śmieje, że nie jest w stanie zebrać odpowiedniej ilości wydzielin. Włączają się pozostali i nad miską rozpętuje się prawdziwa ulewa nieczystości pochodzących z głębi gardel. Rozochoceni faceci klną i rzucają obelgi z myślą o klientach. W ciągu paru sekund wyładowują się za dwadzieścia dni ciężkiej pracy, za drobne poniżenia i za zmęczenie.

Sałata jest terenem konkursu na najładniejszy, największy i najobrzydliwszy charch. Wygrywa Alfredo dzięki barwie i rozmiarom swojej pamiątki, czegoś naprawdę obrzydliwego.

Każę dodać przypraw, wytrzeć brzegi naczyń i wracam do klientów, mając za plecami cały bez wyjątku personel. Mikos uroczyście niesie sałatę.

— Proszę państwa, bardzo proszę o wybaczenie tego drobnego incydentu, mamy nowy personel, toteż osobiście zająłem się państwa zamówieniem. Mam nadzieję, że będzie państwu smakowało.

Smakowało im. Stara zjadła wszystko. Przez resztę wieczoru miałem najbardziej uśmiechnięty zespół kelnerów na świecie. Mój mały kawał rozerwał ich. Od kiedy mam tę restaurację, wszyscy zachowywali się bez zarzutu. Nikt się nie załamał, i po dzisiejszym incydencie zastanawiam się, czy nie spróbować przyznać każdemu jednego dnia wolnego.

Mijają dni, potwierdzając sukces. Co wieczór po zamknięciu cały zespół spotyka się w kuchni, żeby wypić jednego, pozartować i podzielić się drobnymi kłopotami. Od incydentu z plwocinami wszyscy są zgrani i pełni entuzjazmu. To zespół kolegów.

Mianowałem Paola, neapolitańczyka, kierownikiem sali, ze względu

na sympatię, jaką do niego żywię. Rocco i on, przepojeni nostalgią, prawie co wieczór opowiadają sobie o dalekim kraju, dzieląc się wspomnieniami o wspaniałych czarnowłosych kobietach i złocistych pizzach.

Niedługo minie miesiąc, od kiedy La Strada weszła na właściwą drogę, i moja nowa zabawka zaczyna mnie już nudzić. Uratowanie interesu było przedsięwzięciem zabawnym, a nawet ciekawym. Pomogło mi to odrobić straty i na kilka tygodni korzystać z szacownego statusu właściciela.

Mam teraz więcej wolnego czasu i znów zacząłem rozglądać się dookoła. Przedstawiam się jako biznesmen, który bada teren przed ewentualnym rozpoczęciem operacji w Toronto. Wszyscy kelnerzy w barach na Yorkville znają mnie, i mam chody w kilku spośród najlepszych dyskotek. Moja reputacja ustaliła się, i wyczuwam wokół szacunek.

Angelo, jako korzystający z każdej okazji człowiek interesu, zaproponował mi spółkę. Myśli o rozmnożeniu trattorii w całej Kanadzie, wejściu do Montrealu, Vancouver, a potem być może o wyeksportowaniu naszej recepty do Stanów Zjednoczonych. Jest przekonany, że kuchnia Mammy to świetny handlowy pomysł. Przejął wszystko z amerykańskiej skuteczności, pozostając jednocześnie sprytnym i szybkim jak Włosi. Myśli już, jakby tu przekształcić eksperyment w królestwo forsy, i ofiaruje mi złote góry za zajęcie się organizacją w terenie.

Nie interesuje mnie to. Słucham go i nie odmawiam, bo niewielu ludzi godzi się, żeby grymasić, kiedy proponują fortunę i godną pozazdroszczenia pozycję społeczną. Jak mu wytłumaczyć, że nie mam mentalności kupca o ustalonej reputacji i że przychodząc tutaj chciałem jedynie napełnić sobie kieszenie i pojechać na słońce? Teraz przygoda się skończyła i interesuje mnie co innego. Rio? Karaiby? Miami? Gdzieś dalej? Odbywam w myślach podróż dookoła zwrotnika, jednym uchem słuchając dywagacji Paola.

Ten raz jeszcze rozmarzył się o pieniądzach. Gdyby miał majątek, kupiłby sobie chevrolety, po jednym każdego koloru, i zamówił do nich specjalne wykończenie.

— Coś eleganckiego, ze złożonymi klamkami i srebrnymi dolarami dookoła przedniej szyby.

Włoski Amerykanin to facet, który starał się uciec od szarzyzny. Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia marzy o życiu na kupie dolarów. Tam, w kraju, nie wystarczy być spryciarzem i umieć kombinować. Takich jest zbyt wielu, i widoki na wzbogacenie się są nikłe. Pozostaje emigracja, szansa zrobienia dobrego interesu oraz zakłady piłki nożnej. Paolo często opowiada, ze szczegółami i wymachując rękami, jak wiele razy o mały włos nie został milionerem, podczas gorących wieczorów spędzonych wśród kumpli dookoła tranzystorowego radia.

Totocalcio, zakłady sportowe, to prawdziwa instytucja. Dla Włocha to synonim majątku i męskich wieczorów. To rodzaj loterii, całkowicie oficjalnej. Trzeba nanieść na siatkę swoje typy wygrywających drużyn w meczach futbolowych.

Sportowy totalizator jest rozpowszechniony we wszystkich krajach śródziemnomorskich. Zdarzało mi się z niego korzystać, żeby szybko zarobić trochę pieniędzy. Parę tysięcy lirów to niezbyt wiele za godzinę ciekawych obliczeń, parę milionów zysku i dreszczyk odczuwany podczas ogłaszania wyników. Dlaczego pozbawiać się tych drobnych emocji, które dodają życiu pikanterii?

Hazard. Tego byłoby mi potrzeba, żeby oddalić nudę, która mnie ogarnia. Niestety, w Kanadzie nie ma kasyna. Żeby zagrać, trzeba jechać do Stanów. Jedyne legalne zakłady to wyścigi konne. Bukmacherzy oczywiście przyjmują potajemnie zakłady na rozgrywki baseballowe i w futbolu amerykańskim, ale ja potrzebuję prawdziwego hazardu. Czegoś mocnego.

Odkryłem hazard w wieku siedemnastu lat, na pokładzie statku, który wiózł mnie do Argentyny. Nigdy już nie rozstałem się z tą przyjemnością. Moim pierwszym kasynem był dom gry w Mar del Plata, koło Buenos Aires. Od tej pory grałem we wszystkich kasynach kontynentu, od Ameryki Południowej do Nevady, nie mówiąc już o Wschodzie. Priapolis w Urugwaju, Makao, Wyspy Bahama, Las Vegas, Reno to najslynniejsze miejsca na światowej liście wielkiej gry.

Grałem za każdym razem, kiedy nadarzyła się okazja, od Caesar Palace w Las Vegas po brudne zaplecza sklepów w brazylijskim barrio, i zamierzam kontynuować.

Zawsze gram do ostatniego dolara. Stawiałem na mecze piłki nożnej, wyścigi konne i walki kogutów. Zdarzyło mi się nawet postawić własną koszulę w wyścigu krabów pustelników. Spośród wszystkich moich wad zamilowanie do hazardu stoi na pierwszym miejscu.

Zauważyłem, że wielu ludzi ma hobby albo zależy im na jakimś przedmiocie. Jedni zbierają pudełka po serze camembert, inni pochłonięci są własną karierą, większość koncentruje swoje wysiłki na zakupie domku na wsi, kawałka ziemi albo nowego samochodu.

Ja nie, nie przywiązuję się do spraw materialnych. Niczego długo nie posiadam, wyrzucam równie szybko, jak nabywam. Znam tylko dwie przyjemności: przygodę i pleć piękną. Obie te rzeczy mają cechę wspólną: chwilowe emocje, jakich dostarczają, i po których pozostają tylko wspomnienia. Jestem sybarytą, interesuje mnie wyłącznie terażniejszość.

Hazard dostarcza tego wszystkiego jednocześnie. Kiedy wchodzę do kasyna, nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało; to przyjemność, na którą nie ma ceny. Jestem gamblerem, zatwardziałym graczem.

— Ej, Paolo! Ty się tu orientujesz, słyszałeś kiedyś o pokerze w okolicy?

Dumny z nagłego zainteresowania, jaki we mnie wzbudza, prostuje się i przybiera tajemniczą minę.

— Może...

— No, gadaj! Znasz jakiś stół?

— Tak, ale to niełatwe. Trzeba mieć chody. Trzeba iść do booze-can.

Po raz pierwszy słyszę to słowo, ale czuję, że kryje się za nim coś interesującego. Paolo zauważa moje podniecenie i próbuje przedobrzyć. Patrzy na mnie z politowaniem:

— Nie wiesz, co to jest booze-can?

Rozkoszując się winem i moim zniecierpliwieniem w końcu wyjaśnia:

— W tym kraju w nocy panuje prohibicja. Od pierwszej w nocy

nie można już kupić ani zamówić alkoholu. Wszystkie zakłady z licencją zamykają o tej porze. Ale są spryciarze, którzy otwierają klub u siebie w domu, tak jakby organizowali prywatkę, i tam klienci mogą pić przez całą noc. Adresy przekazywane są z ust do ust, aż do chwili, kiedy policja zrobi nalot i zamknie klub. Są tam też stoły do gry, przede wszystkim w pokera.

— Znasz takie miejsce?

Tym razem odchyła się do tyłu, dumny, z miną konspiratora. Gdyby miał cygaro, zapaliłby je teraz.

— Może...

— Dobra. Zaprowadzisz mnie.

— Ma...

Jeśli będzie mi się tu bawił w tajemnice, zawlokę go tam siłą.

Później, wieczorem, Paolo i ja zamykamy restaurację. Paolo zna booze-can o dwie ulice stąd i zgodził się, żeby mnie tam zaprowadzić. Pobrałem tysiąc dolarów z kasy i moja niecierpliwość nie zna granic. Już wyobrażam sobie spowity dymem krąg graczy, strumienie nielegalnego alkoholu i bandytów z mafii, rzucających na stół paczki dużych banknotów. Jest jeszcze zbyt wcześnie. Przechodzimy przez Avenue Road, zimną i pustą przestrzeń, i idziemy dla zabicia czasu do Stavrosa, baru z hotdogami otwartego przez całą noc, gdzie zwykle wypijamy ostatnią kawę.

Dwa stoły i pięć krzeseł krytych pomarańczowym plastikiem, ekspres do kawy i opiekacz parówek, to cały świat Stavrosa, który tu rządzi. To Grek z Salonik, zmęczony życiem; przyjechał tu przed dziesięciu laty, żeby zbić szybki majątek, i nie może się zdecydować na powrót do kraju, podobnie jak większość śródziemnomorskich imigrantów.

Na nasz widok podaje dwie filiżanki kawy, do których dyskretnie dolewa trochę ouzo. Nie ma licencji na alkohol, ale za to kawa jest o tyle smaczniejsza! Stavros dba o mnie, bo zostawiam dobre napiwki. W chwili nieuwagi powiedziałem mu, że mam w żyłach trochę greckiej krwi, i od tej pory jesteśmy dobrymi kumplami.

Przysiada się do nas i zaczyna gadkę na swoje dwa ulubione tematy: o kobietach i o powrocie do kraju. Ten facet nigdy nie śpi i potrafi mówić godzinami.

Ale dziś wieczór wolę zbyt długo tu nie siedzieć.

Idziemy szybkim krokiem, bo mróz przenika do kości. Silny wiatr tworzy wiry martwych liści, które zalegają na chodniku.

Numer 87 przy Bedford Street to duży biały budynek o eleganckim wyglądzie, stojący pośrodku ogrodu. Obchodzimy dom od tyłu, gdzie znajdują się małe drzwi.

Paolo rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie i puka.

Drzwi uchyla jakiś facet, patrzy na mnie badawczo ponad ramieniem Paola.

— To Cizia, mój szef. Jest w porządku.

Facet wpuszcza nas. To stary przystojniak o przebiegłym spojrzeniu. Nazywa się Haig. Jest właścicielem. Uprzejmie życzy mi, żebym dobrze się bawił w jego domu.

Nic tu nie przypomina speluny. Nie ma ani kontuaru, ani umundurowanych kelnerów. Paru ludzi przechodzi od grupki do grupki, zbiera zamówienia, przygotowuje co trzeba w kuchni, podaje i natychmiast pobiera należność. Jeśli nie liczyć ich dyskretniej obecności, wszystko robi wrażenie raczej eleganckiego wieczorku towarzyskiego niż nocy w burdelu.

Pokój jest przepelniony. Typy są różne, ale na ogół ludzie robią wrażenie dobrze sytuowanych, dobrze ubranych, bez kłopotów finansowych. Mężczyźni są pewni siebie, a kobiety, co stwierdzam z przyjemnością, urocze. Nawet nie wiedziałem, że można takie piękności znaleźć w Kanadzie. Całe to miłe towarzystwo najwyraźniej świetnie się bawi.

Haig wylania się z tłumu i chwytając mnie za łokieć.

— Paolo mówił, że jest pan właścicielem La Strady? Przepraszam, że zostawiłem pana samego, ale tak liczne towarzystwo wymaga wiele zachodu.

Ma lekki środkowoeuropejski akcent. A może ormiański lub turecki? Albo bałkański? Niewykluczone, że wszystkie trzy naraz.

To interesująca postać. Ma około sześćdziesiątki, jest dosyć niski i trochę zbyt zadbany. Jego białe włosy są starannie uczesane do tyłu i wypomadowane. Ma cienki wąsik, nienagannie przycięty. Białą trzyczęściowy garnitur jest doskonałego kroju, nosi do tego odpowiedni krawat i chusteczkę w kieszeni marynarki. Każdy z jego palców ozdobiony jest wielkim pierścieniem ze złota i diamentów.

Bardzo elokwentny, teatralny, czyni dla mnie honory domu i ciągnie

za ramię, żeby przedstawić kilku osobom, których nazwiska natychmiast zapominam, jako że uwagę moją zaprzęta tylko jedno: myśl o grze.

Oprowadziwszy mnie dookoła, Haig znika i zostaje sam, z kieliszkiem w ręku. Nie ma śladu pokera. Zapewne trzeba poczekać na późniejszą porę...

Paolo nieco przesadził opowiadając o nielegalnym charakterze tego miejsca. Światła, pełno pięknych samochodów zaparkowanych w ogrodzie, tajemnica ledwo co strzeżona. Policja z pewnością wie o wszystkim i przymyka oczy. Nic strasznego się tu nie dzieje i zaczynam się zastanawiać, czy nie pomyliłem adresu.

— Zadowolony?

Głos jest melodyjny i kobiecy, toteż odwracam się z najładniejszym uśmiechem na twarzy.

Na ile mogę stwierdzić, jest to rzeczywiście kobieta. Wiek jakby średni. Pod elegancką sukienką to i owo zaczyna już opadać, ale wielkie oczy mają wspaniałą niebieski kolor, a jej uśmiech jest przyjemny.

— Yes, sympatycznie tu.

— Och, ależ pan jest Francuzem! Ou! Uwielbiam Frenchies. Jesteście tacy...

— Przepraszam... Jestem Włochem, proszę pani.

Pani ma najwyraźniej ochotę na coś egzotycznego. Jej piękne oczy bezwstydnie taksują mnie od stóp do głowy. Ja dostrzegam tylko jej usta, zmysłowe, o jędrnych i błyszczących wargach.

Dowiaduję się, za jednym zamachem, że jest dziennikarką, że mieszka w Nowym Jorku, że straciła dziewictwo na gondoli w Wenecji, że południowcy są najlepszymi kochankami, że wieża w Pizie wkrótce się zawali, że jej dwaj pierwsi mężowie byli południowcami i że jej pies nazywa się Benito.

Postanowiła mnie poderwać.

Zapędzony w róg pokoju nie widzę wyjścia, kiedy podchodzi do mnie uśmiechnięty Paolo.

— Cizia, w sąsiednim pokoju jest stół do gry.

Natychmiast podążam za nim, a po piętach depcze mi dziennikarka, nie dając za wygraną. Przez tłum pijących torujemy sobie drogę w kierunku półotwartych drzwi.

— To tu — szeptem do mnie Paolo.

Wchodzimy do dużego, pogrążonego w ciszy pokoju. Naprzeciwko kilku facetów za stołem gra w karty. Paolo zamyka za nami drzwi, odcinając nas od hałasu, i przedstawia mnie zebranym.

Ci džentelmeni z przyjemnością powitają mnie w swoim gronie, kiedy tylko zwolni się jakieś miejsce. Na razie siadam sobie na kanapie nie opodal. Przyjmuję maskę spokojnej obojętności, ale wewnątrz wszystko się we mnie gotuje z radości. Z trudem mogę usiedzieć na miejscu i wypalam papierosa za papierosem, żeby ukryć podniecenie. Po raz pierwszy od przyjazdu do Toronto jestem szczęśliwy, bez żadnych zastrzeżeń. Nareszcie coś się naprawdę dzieje!

Oczekująca mnie partia to największa przyjemność, jaką mogę mieć z życia. Nic w świecie nie byłoby w stanie odciągnąć mnie od stolika pokerowego. Gra to pasja, która, gdy już raz kogoś opanuje, nie opuszcza go nigdy.

Uważam się, i inni uważają mnie, za doskonałego gracza, i zielone sukno to dla mnie synonim pewnych zysków oraz przyjemności. Korzystając z umiejętności lub ze szczęścia podczas moich podróży wielokrotnie utrzymywałem się z gry, której nigdy nie traktowałem jak coś doraźnego.

Jestem całkowicie pochłonięty obserwowaniem stołu, na który padają karty. Szybkie i dokładne ruchy zdradzają doświadczonych graczy. Są w różnym wieku, ale wszyscy starsi ode mnie, między trzydziestką a pięćdziesiątką.

Partia rozgrywa się bez zbędnych słów, przerywana jedynie rytualnymi formułkami: „czekam”, „wchodzę”, których słucham jak najpiękniejszej muzyki.

Kocham tę specyficzną atmosferę, napiętą, lecz zarazem spokojną. To zaleta partii rozgrywanych przez ludzi cywilizowanych. Znam kraje, gdzie krew jest gorąca i głośno od przekleństw, karty latają w powietrzu, a główną trudnością nie jest napęlić sobie kieszenie, lecz przeżyć wystarczająco długo, by móc korzystać z wygranych pieniędzy.

Tutaj gracze nie są rozmowni. Czas płynie powoli w tym pokoju odciętym od tamtych rozrywek. Dobiegają nas czasem tylko jakieś odgłosy, za każdym wejściem lub wyjściem Haiga, który w towarzystwie kelnerki opróżnia wieczne pełne popielniczki, zbiera nowe zamówienia lub dyskretnie zapytuje o życzenia klientów.

Usiadł na chwilę koło mnie, ale jest zbyt towarzyski i ruchliwy, by

czuć się swobodnie w panującej tutaj ciszy. Wkrótce życzy mi szczęścia i wraca do swojej bieżączki.

Mojej niechcącej poderwanej znajomej czas także się dłuży. Podejmuje konwersacyjne wysiłki, ale nie słucham jej i nie mam ochoty odpowiadać. Jej ręka, która nagle znalazła się na moim udzie, gwałtownie przywołuje mnie do rzeczywistości. Zmęczona własnym monologowaniem teraz atakuje otwarcie! Jak przez mgłę słyszę od niej, że jestem piękny i silny. Można być pochłoniętym grą, ale to nie powód, by tracić dobre maniery.

Odpowiadam, że ona także jest całkiem niezła. Dla porządku rzucam na nią okiem, żeby przyjrzeć się bardziej szczegółowo. Parę lat temu musiała być pociągająca. Wygląda na wyglodniałą czterdziestkę, ma jeszcze ładne resztki, obfite biodra i solidne piersi. Odgaduje moje zainteresowanie i zaczyna prężyć się na moich oczach, kiedy ratuje mnie gong.

Jeden z graczy ze smutną miną wstaje i kiwa na mnie.

Po wymianie kilku uprzejmości gra zostaje wznowiona. Okiem przyszłego właściciela oceniam forszę leżącą na stole. Jest tu parę tysięcy dolarów, wystarczająco dużo, by uszczęśliwić mnie przynajmniej na tydzień. Już wiem, na co wydam.

Moi partnerzy grają w seven stud, grę typowo amerykańską. Reguły są takie same, jak w pokerze klasycznym, ale każdy gracz otrzymuje kolejno po siedem kart. Dwie pierwsze i ostatnie są „zakryte”, co znaczy, że ich wartość zna wyłącznie właściciel. Cztery pozostałe są „odkryte” i leżą na stole, widoczne dla wszystkich.

Nie sposób wytłumaczyć seven stud laikowi. Trzeba przede wszystkim pamiętać, że łatwo tu przegrać własną koszulę, a nawet więcej. Zwiększać stawki można już od trzeciej karty, aż do siódmej.

Przez pierwsze rozdania gram ostrożnie, nie podejmując zbędnego ryzyka, aby móc ocenić moich przeciwników. Karty są nowe i dobrze się ślizgają. Na stojącej obok komódce leży stos nowych talii i w każdej chwili każdy gracz może zażądać wymiany. Paolo przynosi mi kawę za kawą i przypala mi papierosy.

Jest mi dobrze...

Trójka piątek już przy trzeciej karcie! To dobre rozdanie, żeby nie powiedzieć świetne. Siedzę tu już od dwóch godzin, i na taką właśnie

okazję czekałem, by na pewniaka zgarnąć dużą forszę. Stawiam bez przesady, ale ku mojemu zaskoczeniu sąsiad podbija stawkę. W jego ślady idzie następny i po chwili robi się gorąco. Wygląda na to, że każdy coś ma na ręku. Moja trójka może się okazać słabiutka. To samo dzieje się przy stawkach po czwartej, piątej i szóstej karcie.

Teraz na środku stołu leży już sporo pieniędzy. W powietrzu czuje się elektryczność. Drżące ręce zapalają papierosy, które dopalane są aż po filtr. Nerwy są napięte, nikt się nie odzywa, każdy skoncentrowany jest na swojej grze. Tym razem stawka jest wysoka.

Mój sąsiad z lewej, gruby Amerykanin z nowojorskim akcentem, ociera sobie czoło głośno dysząc. Ja jestem spokojny, pewny siebie. Wraz z szóstą kartą dostałem fulla. Trójka piątek i para dam! To ostatecznie zapewnia mi powodzenie, i patrząc na piętrzący się stos banknotów śmieję się w duchu. Musi tu być około pięciu tysięcy dolarów. To się nazywa wygrana!

Ale kiedy wszyscy pokazują karty, mina mi rzednie. Brunet po mojej prawej, facet około trzydziestki, starannie ubrany, odkrywa fulla z trójką króli, którego nie sposób było odgadnąć, jako że króle były kartami zakrytymi.

Oburącz przyciąga forszę do siebie.

— Panowie pozwolą? — mówi z szerokim uśmiechem, widząc nasze przygnębione miny. — That's nice!

Każdy miał niezłe karty, więc rozczarowanie jest powszechne. Gruby nowojorczyk nie potrafi powstrzymać przekleństwa i rzuca kartami o stół. Haig, który właśnie wszedł niosąc po szklance w każdym ręku, zapytuje go uprzejmie, ile przegrał, pociesza dwoma sentencjonalnymi zdaniem o niebezpieczeństwach gry i równie szybko wychodzi. Co do mnie, zostało mi około trzystu dolarów.

— Jak tam?

To Paolo, który zaniepokojony, przyszedł zobaczyć, co się dzieje.

— Nie ma sprawy, po prostu brak szczęścia.

Wyciągam się wygodnie w fotelu, rozluźniam stawy palców dłoni, po czym przechadzam się nieco po pokoju, żeby rozprostować nogi, podobnie jak pozostali gracze. Następne godziny poświęcam na powolne odrobienie strat. Noc ma się już ku końcowi, kiedy wreszcie pojawia się powtórna okazja: kolor, który dostaję już przy piątej karcie. To wystarczy, by spokojnie windować stawkę. Ale ponownie

gracze podniecają się. Dotrzymuję im kroku aż do końca, i kiedy karty zostają odkryte, cała moja forsa jest w puli.

Cholera! Wąsaty blondyn, doskonały gracz, zachowujący kamienną twarz za ciemnymi okularami, wygrywa mając fulla. Jestem całkowicie splukany. Czterej pozostali partnerzy, w tym gruby Amerykanin, również odchodzą z pustymi kieszeniami. Nie ma już chętnych i gra zostaje zakończona.

Wstaję, smutny, że już koniec, i wściekły, że przegrałem. Nie pokazuję tego po sobie. W końcu miałem swój przydział emocji, a to jest bezcenne!

Z wyjątkiem grubego, który nie umie przegrywać i oszedł bez pożegnania, zostajemy przez chwilę, żeby pogadać. Dowiaduję się, że stół ten jest czynny przez dwa lub trzy wieczory w tygodniu. Dobrze wiedzieć! Już teraz wiem, że jutro o tej samej porze będę w tym samym miejscu.

Paolo, zrozpaczony, że jego czempion przegrał, gorąco mnie przeprosza. Pocieszam go i posyłam, by zapłacił za napoje, bo nie mam już ani dolara. W wielkiej sali zabawa skończyła się już dawno. Wspomagany przez kelnerki Haig usiłuje pożegnać ostatnie niedobitki, niepewnym krokiem zmierzające w stronę drzwi.

Dziennikarka, o której już zapomniałem, czekała na mnie całą noc i zasnęła w fotelu. Przyglądam się jej w zamyśleniu. Wystrzałowa nie jest, ale taki dowód miłości zasługuje na nagrodę. Budzę ją i jedziemy do mojego hotelu jej samochodem.

Już w windzie przykleja się do mnie, zebrząc o pocałunek. Jej oddech, ciężki od alkoholu, o dosyć nieprzyjemnym zapachu po całonocnej zabawie, trochę zmniejsza moją ochotę. Jedno z ramięczek jej sukienki obsunęło się. Spod makijażu prześwitują cienie pod oczami. Wszystko to nie jest najświeższe.

Zajmowanie się damami to obowiązek, ale dzisiejszego ranka co innego mi w głowie. Partia, którą rozegrałem, była poważna, i trudno mi teraz wrócić do rzeczywistości. Jeszcze raz myślę o tym kolorze, który dostałem przy ostatnim rozdaniu. Widzę w myślach karty, jakie miałem w ręku w ciągu tej nocy.

Tylko wyjątkowa piękność mogłaby mnie oderwać od tych myśli.

Padam na łóżko. Moja pani rozбира się pośpiesznie i dołącza do mnie z całuskami i pieszczotkami, które działają mi na nerwy. Znalazłem przygodę, przerzynałem tysiąc dolarów, mam ochotę być sam i to coś wilgotnego, co klei się do mnie, jest męczące.

Z miłosierdzia przywołuję na pomoc całą moją śródziemnomorską dumę. Prababka, jak dzielny żołnierz, nie szczędzi wysiłków, pochylona nad moim przypadkiem. Ze wzrokiem wbitym w jej kark, ciągle myśląc o pokerze, z roztargnieniem wodzę palcem po żarłocznej i wymęczonej lechtaczce.

Moje roztargnienie mści się na mnie. Nie uważam i pierwsza część naszych uścisków raptownie się kończy. W oczach mojej towarzyszkę odczytuję rozczarowanie tak szybkim finałem, kiedy, zdyszana, unosi głowę.

Pocieszam ją i wymykam się pod prysznic. Mam ochotę uciec, ale przywołuję się do porządku przed lustrem. Nie mam prawa tego robić! Stawką jest mój honor, a nawet honor Włoch!

Kiedy tylko wychodzę z łazienki, jedno spojrzenie uzmysławia mi, że rzecz jest niewykonalna. Szybko wkładam spodnie, zmyślam jakiś pretekst, zapewniam, że zaraz wrócę i pozostawiam ją samą w pokoju.

Na dole zostawiam w recepcji wiadomość.

— W moim pokoju jest pewna dama. Proszę jej powiedzieć, że młody człowiek już nie przyjdzie. Nie ma sensu czekać.

Na dworze jest już jasno. I zimno.

Już dziewiąta rano i La Strada potrzebuje mojej obecności. Znajduję tu Paola, którego malutkie oczka zdradzają rozpaczliwą potrzebę snu. Ja chcę tylko jednego, zagrać w pokera. Rzucam się w wir pracy, żeby jakoś przetrwać. Po południu usiłuję zrobić małą sjęstę, ale podniecenie nie pozwala mi zasnąć.

Wieczorem zgarniam cały utarg. Jest tego tysiąc pięćset dolarów. Licząc z tym, co zabrałem wczoraj, to cała gotówka w tym tygodniu. Więcej nie ma, bo Amerykanie praktycznie wszyscy płacą kartami kredytowymi.

O wpół do drugiej jestem u Haiga, w towarzystwie Paola, który, choć wykończony, chce zobaczyć, jak się odgrywam. Klientów jest tak samo dużo jak poprzedniego dnia. Haig, w czarnym garniturze,

przyjmuje mnie z uśmiechem. Chce poznać mnie z nowymi ludźmi, ale mnie interesuje tylko gra i wymykam się po angielsku.

Jestem pierwszy, w tylnej sali nie ma jeszcze nikogo. To obszerny pokój w kształcie półkola. Cztery wielkie okna, niemal od sufitu do podłogi, zajmują całą część zakrzywioną. Teraz zasłony są zaciągnięte, żeby uchronić nas przed spojrzeciami ewentualnych ciekawskich. Środek zajmuje duży okrągły stół i kilka krzeseł. Komoda w stylu, którego nie umiem rozpoznać, oraz ustawione pod ścianą krzesła i fotele uzupełniają to dosyć skąpe umeblowanie.

Siadam przy stole czekając na chętnych. Nadchodzą kolejno. Rozpoznaję trzech, wśród nich obu wczorajszych szczęśliwców, którym zamierzam odebrać swoje pieniądze.

Dopiero o wpół do trzeciej, kiedy zaczynam już się niepokoić, jest wreszcie komplet i możemy zaczynać. Każdy płaci dziesięć dolarów za wynajęcie stołu od Haiga i na opłacenie kart.

Partia jest powtórką wczorajszej, i bardzo szybko sprawy przybie-  
rają dla mnie zły obrót. Miałem tylko dwa dobre rozdania, ale za każdym razem zostałem pokonany przez układ wyższy od mojego i skompletowany w ostatniej chwili. Stół ogarnęło podniecenie i żeby nie wypaść z gry, musiałem podnosić stawki; moje rezerwy poważnie stopniały. Jestem dobrym graczem, ale nic się nie poradzi na brak szczęścia.

Znowu dobry układ: trójka dziesiątek w pierwszych trzech kartach. To wymarzona okazja, żeby się odkuć. Moja kolej.

— Czekam.

Nie chcę zaczynać zbyt ostro, żeby nie wzbudzić podejrzeń przeciwników. Ale mój sąsiad z prawej podnosi stawkę, potem następny, i znowu stół ogarnia podniecenie. Co tu się dzieje? To nie jest normalne. Coś tu nie tak. Mam zbyt wiele doświadczenia, żeby tego nie wyczuć. W mojej głowie zapaliło się czerwone światelko. Coś tu nie gra, ale co?

Kiedy przychodzi kolej na mnie, żeby dołożyć się do puli, instynktownie wycofuję się. Odmawiam i na znak, że wycofuję się z gry, rzucam karty na stół.

Nikt nie komentuje. Ale przez ułamek sekundy dostrzegłem błysk zdziwienia w spojrzeniu bruneta, tego, który sporo wygrał poprzedniego wieczoru i któremu dziś też dobrze idzie. Była to krótka chwila, ale wystarczyła.

Skurwysyn!

Odwraca wzrok, ale jest za późno. Jego pytanie potwierdza moje podejrzenia.

— Nie grasz dalej?

— Nie.

Wbijam wzrok w jego oczy. I teraz już wie, że ja wiem. Błysk paniki w jego spojrzeniu pozbawia mnie ostatnich wątpliwości. Skurwiel! Gra jest manipulowana. Nie wiem, jak on to robi ani kto z nim pracuje, ale on oszukuje, i tego jestem pewien. Gardło ściska mi przyływ gwałtownej nienawiści. Chcieć mi zabrać moją forszę!

Opanowuję się i powoli wstaję. Muszę zachować samokontrolę. Idę do toalety i spryskuję sobie twarz i kark zimną wodą. Zmuszam się do głębokich, długich oddechów, które przywracają mi spokój, po czym wracam do stołu.

Dziesięć minut później jestem splukany. Zmuszam się do uśmiechu.

— Nie mam szczęścia dziś wieczór, Dobrej nocy, gentleman!

Wstaję, przeciągam się i naturalnym ruchem kładę rękę na ramieniu bruneta.

— Do zobaczenia, partner.

Mój głos jest spokojny, na twarzy mam miły śmiech, ale moje spojrzenie przekazuje mu, co myślę.

— Tak, tak. Zgoda.

W jego głosie słychać ulgę, że obędzie się bez awantury przy stole. Pozostawiam rękę na jego ramieniu trochę dłużej niż to konieczne, po czym idę usiąść w tym samym fotelu, co poprzedniego dnia.

Odczuwam straszliwą nienawiść na myśl, że ktoś próbował mnie oszukać. Kiedy przypomnę sobie wczorajszą rozgrywkę i moje rozczarowanie, mam ochotę urwać mu głowę. Nie wywinie się z tego tak łatwo. Nie wiem, ilu ich bierze w tym udział, ale jestem gotów. Przewiduję wszystkie możliwości i szykuję się do walki.

— Co robimy? Idziemy?

Paolo podszedł do mojego fotela lekko zaniepokojony.

— Nie, zostajemy.

Z mojego tonu wnioskuje, że zaszło coś nienormalnego.

— Co się stało?

— Oszukują tu. Zajmiemy się tym. Nie odchodź, aż cię zawołam.

Przez resztę nocy obserwuję grających. Nie wiem, którzy z nich oszukują ani jakimi posługują się sposobami, ale są to na pewno zawodowcy. W przebiegu gry nie ma niczego nienormalnego. Uważnie śledziłem ruchy rąk graczy podczas kolejnych partii, i niczego nie zauważyłem.

To tylko przypuszczenie, intuicja, która znalazła potwierdzenie, kiedy brunet przeraził się. Gdyby nie ten błysk w jego oku, wszystko położyłbym na karb braku szczęścia.

Ale on oszukuje, to pewne. Dobrze ubrany, średniodługie włosy starannie uczesane, zadbany, nie wygląda na człowieka pracującego. Jeżeli ma partnera, to podejrzewałbym blondyna, który wygląda na bandytę z tymi swoimi wąsami. No i po co by mu były ciemne okulary w środku nocy, w zadymionym pokoju, jeśli nie po to, by ukryć spojrzenie? To byłoby już dwóch. Przez cały wieczór, za każdym razem, kiedy wygrana jest spora, wszystko zgarnia albo brunet, albo drugi szczęśliwiec wczorajszego wieczoru, blondyn w ciemnych okularach. Pula gwałtownie rośnie pięciokrotnie tego wieczoru i niezmiennie przypada jednemu z tej dwójki. Pozostali to jelenie.

Takie są fakty. Ogarnia mnie nienawiść. Jak ktoś mógł ośmielić się mnie oszukać i wziąć za frajera?

Jestem oportunistą. Jeżdżę po świecie wykorzystując wszystko, co pojawi się w zasięgu ręki, i uważam się za najlepszego w tej zabawie. Jeszcze nikomu nie udało się mnie nabrać, i sama myśl, że ktoś odważył się spróbować, doprowadza do wściekłości.

A gdyby tak wszyscy byli w zмовie? Kiedy partia dobiega końca, jestem cały naładowany i gotów na wszystko! Gotów do bicia, do poobrywania im uszu, do pokrajania ich na kawałki, nie wiem, do czego jeszcze, ale tak łatwo się z tego nie wywiną...

Jestem już przy drzwiach, kiedy brunet, wmieszany w grupę graczy, szykuje się do opuszczenia pokoju. Obejmuję ramieniem jego plecy, z uśmiechem na ustach, ruchem, który postronnym obserwatorom może wydawać się przyjacielski.

— Chwileczkę, partner. Chciałbym cię o coś spytać.

Blednie, usiłuje się oswobodzić, ale trzymam mocno. Zanadto boi się, by nie zwrócić uwagi pozostałych. Blondyn zbliża się dyskretnie, potwierdzając jedynie moje przypuszczenia. Wyczuł problem i interweniuje, zanim nie będzie za późno.



— Żadnych skandali — mówi do mnie przez zęby, wskazując wzrokiem pozostałych graczy, którzy kierują się w stronę drugiej sali. Nie chcę awantur.

Odczekuję chwilę, aż ostatni dostatecznie się oddali.

— Ile przegrałeś?

— Tysiąc pięćset dolarów — mówię, wyciągając rękę.

— Aż tyle? Jesteś pewien?

— Tysiąc pięćset dolarów, przyjacielu.

Wyciąga plik banknotów i upewniwszy się, że nikt nie patrzy, odlicza piętnaście studolarówek. Szybko chowam je do kieszeni i przytrzymuję plik, nim go schowa z powrotem do kieszeni.

— A wczoraj tysiąc.

Wzdryga się.

— Wczoraj to było wczoraj!

— Tysiąc dolarów, skurwielu!

Podniosłem głos i nadal trzymam jego przegub, pomimo jego dyskretnych wysiłków, by się uwolnić. Wszyscy mamy na twarzach uśmiechy i mówimy przyciszonymi głosami, ale napięcie rośnie i ktoś mógłby coś zauważyć.

— OK, pogódźmy się. Tylko bez awantur, bardzo proszę.

Odlicza jeszcze tysiąc dolarów i chce odejść. Nie puszczam go.

— Chwilę, teraz chcę dostać moje pieniądze.

— Co? Jakie twoje pieniądze? Dostałeś je, czego jeszcze chcesz?

— Mój udział, kanciarzu.

Gwałtownym ruchem wykręcam mu rękę.

— Wczoraj i dziś wieczór przeszkodziliście mi w pracy. Trzeba mi teraz zapłacić to, co mogłem wygrać. Zgarnęliście jakieś sześć tysięcy dolarów, na trzech to daje dwa tysiące na łebka. Czekam na moją część.

To im się zupełnie, ale to zupełnie nie podoba. Płacąc za pierwszym razem okazali swoją słabość. Wiem, że będą płacić nadal. Nie będą się bić, to pewne. Zwłaszcza brunet robi w portki ze strachu. Szanse nie są równe, i zamierzam wykorzystać je aż do końca.

— Bo jak nie, to będę musiał rozpowiedzieć dookoła, że jesteście kurewskimi złodziejami, a waszą forszę i tak wam zabiorę. I sprawi mi przyjemność dokopać wam w te wasze zaszrane mordy.

W miarę jak mówię, rośnie moja nienawiść. Więc płacą. Brunet wyjmuje zwitek banknotów i wyciąga z niego dwa tysiące, które mi wręcza z leżką w oku. Dziękuję im z szerokim uśmiechem.

Teraz pilno im już tylko do jednego: jak najszybciej stąd odejść i nie patrzeć już na mnie, ale ponownie ich zatrzymuję.

— Chwileczkę! Paolo, daj wizytówkę La Strady tym panom.

Zaskoczeni patrzą na mały kartonik, który wręcza im mój ochro-  
niarz.

— To moja restauracja. Czekam tam na was jutro z obiadem. Nie zmuszajcie mnie, żebym po was przyjechał. Dobrej nocy, panowie!

Kiedy odchodzę, mając przy boku Paola, który nie odezwał się słowem, panuje całkowita cisza.

Dzisiejszej nocy znów nie będę spał. Jestem zbyt podniecony, żeby się położyć. Siedzę w fotelu, w ciemnym pokoju, przed oknem, i przez długie godziny myślę i cieszę się.

Pojawiła się przygoda. Mój tupet i nos pozwoliły mi odkryć świat całkowicie dla mnie nieoczekiwany w tym dobrym starym Toronto. Zawodowi oszuści! Co za wspaniała okazja napelnić sobie kieszenie z fasonem!

Faceci są zdolni. Oskubali mnie elegancko, tak że z niczego nie zdawałem sobie sprawy. Daleko mi do ministranta, i nie siadam do pokerowego stołu nie podejmując pewnych środków ostrożności. Muszą mieć dobrą technikę, skoro niczego nie zauważyłem.

Są dobrzy w swojej dziedzinie, ale łatwo ulegli moim groźbom. Wystarczyło podnieść głos, żeby ich nastraszyć. Boją się przemocy, a to dla mnie dodatkowy atut.

Popelnili straszny błąd płacąc od razu! Teraz będą już bulić bez końca. To łatwa zwierzyna. Nie mogą wiedzieć o kantach i nie pobierać należnej mi opłaty.

Chodzę po pokoju, paląc papierosa za papierosem. Od czasu do czasu przystaję przed oknem i w zamyśleniu patrzę na uśpione budynki i jasno oświetlone wymarłe ulice.

W tym biznesie możliwości są ogromne. Opracowuję plany i to, co widzę oczyma duszy, jest wspaniałe. Moi dwaj kanciarze nie umieją się zabawić. To niesamowite, do jakiego stopnia wszystko jest ustawione i wydaje się oczekiwać tylko na lekkie popchnięcie.

Ale ich udział jest nieodzowny. Jestem graczem, czasem oszukuję, lecz nie umiem podmieniać kart. Oni są prestidigitatorami. Faceci jak oni nie pozostawiają jeleniom żadnych szans. Są bezlitośnie skuteczni.

Muszę zapewnić sobie ich całkowicie dobrowolną współpracę. Dołożenie im niczego by nie dało, a w dodatku mogłoby uszkodzić im ręce. Muszę liczyć na ich lojalność tak długo, jak będzie trzeba. Tym bardziej że, technicznie rzecz biorąc, będą lepsi, jeżeli nie zmusi się ich do działania pod przymusem.

Trzeba będzie namotać im w głowie subtelnie. Będę musiał ich nastraszyć, ale tak, żeby nie ogarnęła ich panika, i przedstawić korzyści płynące ze współpracy ze mną. W tej dziedzinie też wszystko jest już ustawione.

Zagram im rolę w sam raz pasującą do sytuacji: rolę mafioso. Sytuacja jest idealna. Jeżeli moi współpracownicy będą sądzić, że działam sam, mogą spróbować mnie wykiwać albo strzelić mi w plecy. Nie przyjdzie im to nawet do głowy, jeśli będą myśleli, że jestem członkiem organizacji typu Cosa Nostra, prawdopodobnie przysłanym na zwiad do Toronto przez mafię.

Cały scenariusz zbuduję według tego schematu.

Dla Anglosasów amerykański Włoch oznacza mafię. Jako Włoch, szef trattorii i otoczony makaroniarzami, już jestem dla nich człowiekiem podejrzanym. Moje wąsy doskonale uzupełniają ten obrazek. Co do bajeru, to potrafię przekonać każdego, że jestem młodym kuzynem Lucky Luciano, że moja matka wyrabia makaron i że urodziła się w tej samej wiosce co Al Capone. Rola taka bawi mnie i grając ją potrafię dokonywać cudów.

Niedawno czytałem książkę, prawdziwy bestseller, opowiadającą właśnie o mafiosach, o wymuszaniu okupów i wojnach gangów.

Pozostaje mi tylko ich przekonać. Z tym nie będzie problemu. Nie ma obawy, mam nad nimi ogromną przewagę. Argentyna stanowiła ważny etap w moim życiu. Nauczyłem się tam sztuki oszukiwania. Pobierałem lekcje u mistrzów w tym fachu, najlepszych oszustów kontynentu, dla których mechanizmy ludzkiej duszy nie mają tajemnic.

Często przekonywałem się o jednej rzeczy: chętnie podejrzewa się, że w tym, co ktoś mówi, jest jakaś część przesady albo nieprawdy; ale przeciętny śmiertelnik nigdy nie podejrzewa, że wszystko wokół niego może być sfalszowane od początku do końca, że obraca się w teatrze, gdzie wszystko jest fałszywe.

I im grubszy miś wszystko to szyte, tym lepiej. Jako niezły kameleon jestem pewien, że doskonale odegram swoją rolę. Mam już ustawione dekoracje, a zresztą, tak czy inaczej z moimi kanciarzami

idzie jak po maśle. Anglosasom łatwo jest zamotać we łbie. Dla nich wszystko jest jasne, rzeczywiste i pozytywne.

Myśl, że wszystko jest z góry ukartowane, nawet im nie przychodzi do głowy. Włosi, królowie teatru, mieli niezłą zabawę z tymi ciemniakami, i to przez całe lata.

Siedzę w fotelu przed oknem i patrzę, jak wschodzi słońce. W oknach budynków zapalają się światła. Ulice są nadal puste. W dali widać jezioro. Przede mną rozciąga się całe miasto.

Toronto. Amerykańskie miasto, dostatnie i spokojne.

Rozsiadłem się w jednym z boksów La Strady. Jest tu dosyć przestronnie i można zjeść w spokoju. Kotara, do połowy zasunięta, odsłania część stołu tonącego w papierach. Są to dokumenty właściciela, księgi rachunkowe i pomieszane faktury. Paolo przyniósł na srebrnej tacy mały dzbanek do kawy z tego samego metalu, wyszperany w kuchni, i filiżankę. Siedzę i pijam espresso.

Paolo stoi przy mnie, w czarnym, nieco przyciasnym smokingu, z zawziętym wyrazem twarzy.

W doskonałym momencie, jak na potrzeby mojego scenariusza, wchodzi Angelo Gucci, Luigi i trójka ich znajomych, i zabierają się do obiadu. Są mile widziani. Jedzą z hałasem, rozmawiają głośno i po włosku: są idealni! Wyglądają jak żywcem wyjęci z telewizyjnego serialu o mafii.

Paolo pędzi do drzwi, kiedy tylko dostrzeże w nich moich gości, i prowadzi do mojego stanowiska pracy. Unoszę wzrok znad rachunku za mięso i patrzę na nich w milczeniu.

Brunet czuje się nieswojo. Przesłupuje z nogi na nogę.

— To ładnie, że przyszliście. Teraz wszystko będzie szło gładko. Jak się nazywasz?

— Nivel — odpowiada blondyn w ciemnych okularach.

— Nivel, bene, bene. A ty?

— Louie D'Amour.

— Dobra, trzeba się poznać, to ważne. Ja jestem Cizia. No to siadajcie, proszę.

Każdego klepię z całej siły w ramię, wskazując miejsca po drugiej stronie stolika. Paolo z kamienną twarzą powrócił na swój posterunek przed boksem, z założonymi rękami, wpatrzony w salę.

— Czego się napijecie? Szampana?

Albo nie lubią, albo uważają, że nie jesteśmy jeszcze na wystarczająco przyjacielskiej stopie, w każdym razie obaj odmawiają i zamawiają po piwie.

— Ach, wy, Amerykanie, nie znacie się na przyjemnościach! — mówię z przesadnym, wyrazistym ruchem ręki. — Ale basta! Pora coś zjeść.

Ponieważ robią wrażenie zaskoczonych i chcą coś odpowiedzieć, uprzedam ich:

— Najpierw jemy, o interesach pogadamy potem. W moim kraju mówi się o biznesie dopiero, jak się dobrze zje.

Nie ma lepszego Włocha ode mnie.

Pstrykam palcami w kierunku Paola, który przywołuje kelnera.

— Będziemy jedli pasta. Przygotowała ją Mamma. Zobaczycie, co to dobre jedzenie.

— Skąd pochodzisz, Cizia? — pyta mnie wreszcie Louie D'Amour, oszołomiony potokiem mojej wymowy.

— Mama jest Włoszką, tata Korsykaninem, a ja urodziłem się w Marsylii. Znasz Marsylię?

— Nie — przyznaje.

— Ten dzieciak nie zna Marsylii! Wy naprawdę niczego nie znacie, wy Amerykanie!

I zabieram się do spaghetti, które jest doprawdy wspaniałe. Mamma przeszła samą siebie. Chętnie jadłbym głośno, żeby dopełnić obrazu, ale tylko prawdziwy Włoch może jeść jak świnia i mieć przy tym klasę.

— Cizia, dzwonią z Nowego Jorku.

— Mi scusi, un momento.

To Paolo, niezastąpiony w swojej roli, śmiertelnie poważny. Kiedy wracam do stolika, pogratulowawszy w kuchni Mammie, rozmowa milknie jak ucięta nożem.

Dalej jemy w milczeniu, przerywanym tylko moimi banalnymi uwagami. Louie D'Amour i Nivel nie odzywają się i jedzą bez apetytu. W tle słychać okrzyki dobiegające od stolika Angela, który przyciąga zaniepokojone spojrzenia obu kanciarzy.

Wracając od telefonu klepię lekko Angela w ramię; ten zdziwiony jest nieco moją nagłą poufałością, ale bezwiednie przyłącza się do mojej gry.

— Cizia, dzwoni Miami.

Tym razem korzystam z okazji, żeby się odlać. Kiedy wracam do stolika, posiłek jest zakończony, a Louie i Nivel zaczynają wykazywać oznaki zniecierpliwienia. Odstawiam swoją filiżankę z kawą i pochylam się ku nim.

— No dobra, a teraz pogadajmy o interesach. Już czas. Ale spokojnie, bez nerwów.

Wypowiadając ostatnie słowa podnoszę głos i patrzę na nich kolejno. Czuję, że już przegrali. Dali się nabrać w całej rozciągłości.

— Cizia, telefon z Napoli.

Tu już Paolo przesadza. Muszę go powstrzymać, zanim nie zapowie rozmowy z Panem Bogiem we własnej osobie!

Odpowiadam podirytowanym głosem:

— Dość tych telefonów, Paolo. Rozmawiam o interesach. Powiedz, że jestem zajęty i że zadzwonię za godzinę.

— Si, don Cizia!

I z godnością odchodzi w tym swoim smokingu. Nie na darmo jest Włochem i ma nieco zbyt rozwinięte zamiłowanie do teatru. Odwracam się do moich rozmówców.

— Wczoraj postąpiliście bardzo nieładnie! W moim kraju...

Robię palcem ruch podrzynania gardła. Louie D'Amour podskakuje nerwowo; uspokajam go.

— Nie znaliście mnie, więc wam wybaczam. Należą się wam wyjaśnienia. Normalnie mieszkam w Nowym Jorku, tam jest kupa roboty, ale teraz jestem tu na wakacjach.

Wiem, że dla nich wakacje oznaczają problemy lub przymusowe wygnanie. W tym środowisku nigdy nie mówi się o ucieczce.

— Przyjechałem odwiedzić moich przyjaciół, braci Guccich.

Szerokim ruchem wskazuję na stół Włochów.

— Ale nie lubię nic nie robić, a nawet w czasie wakacji zawsze znajdzie się jakieś zajęcie. Na razie rozglądam się przed sprowadzeniem tutaj rodziny. Mówiono mi o klubie Haiga (jeszcze jedno grube kłamstwo). Więc przyszedłem sprawdzić. A tu widzę, że zabieracie mi pieniądze!

Louie D'Amour znów podskakuje, ale Nivel, blondyn, przechodzi do ataku:

— Ale my tu jesteśmy od dawna, przygotowaliśmy sobie to miejsce i...

— Tsss, tsss! Bez nerwów, kolego! Rozmawiamy po koleżeńsku. Spokojnie, stai calmo.

Jeśli dalej będzie do mnie mówił tym tonem, dostanie po gębie. Paolo lekko odwrócił się w jego stronę i przygląda się mu złowrogo. Louie D'Amour kuli się na swoim miejscu.

— Zrozummy się. Nie wypędzam was z mojego klubu, niczego wam nie zarzucam, nie wiedzieliście, ale teraz trzeba się dzielić! Więc albo się dogadamy i będę dostawał mój udział, albo was zastąpię kim innym!

Chciałbym zresztą wiedzieć, kim! Ale czuję, że nie będzie kłopotów. To kanciarze, ale nie kozaki. Louie D'Amour jest łatwiejszy do urobienia. Drugi, Nivel, jest twardszy, ale nie sądzę, by się stawiał. Jeżeli to miejsce jest tak dobre, jak myślę, zgodzą się na wszystko, żeby się dogadać.

— Ale na razie nie będziemy się targować. Mówię wam co i jak, przedstawiam mój pogląd na sprawę, to wszystko. Macie cały dzień do namysłu. Odpowiedź dacie mi dopiero wieczorem.

Siedzący naprzeciwko mnie Nivel próbuje główkować.

— Ale czego właściwie chcesz? Ile?

— Ja i moi przyjaciele nie jesteśmy łakomi. Wasz biznes nie jest wielki. Interesuje mnie raczej ze względu na plany na przyszłość. Dzielimy się po równo, na trzy części, my friend.

— Przecież to gangsterstwo!

To D'Amour. Wygląda na to, że jest bardzo wrażliwy, jeśli chodzi o forszę. To dodaje mu odwagi.

— Pomyśl raczej, ile macie do stracenia, jeśli nie dojdziemy do porozumienia. Twój zawód jest cholernie ryzykowny, kolego. A my stanowimy doskonale ubezpieczenie.

Mój głos brzmi teraz twardo, a uśmiech zupełnie stracił swoje ciepło. Louie D'Amour potrząsa głową i nie nalega. Łagodnieje.

— Nie obawiajcie się. Powtarzam, że nie pożałujecie naszej współpracy. Dobrze się zastanówcie, to uczciwa propozycja!

Nie wyglądają na przekonanych i czuję, że Nivel waha się co do dalszego postępowania. Jedyne obecność ludzi, których bierze za moich goryli, powstrzymuje go przed powiedzeniem tego, co myśli.

Nasze pożegnanie nie jest zbyt serdeczne. Trudno mieć im to za złe.

— No, to do wieczora — mówię do nich, klepiąc ich jeszcze raz po ramieniu.

I Paolo odprowadza ich do drzwi.

Nie wiem, czy połknęli haczyk. To oszuści, faceci przyzwyczajeni

do panowania nad nerwami i ukrywania swoich uczuć. Ale jedno jest pewne: dziś wieczór będę na miejscu i wezmę swój udział, nawet gdybym musiał w tym celu pokroić ich na kawałki...

Wchodząc do boozecan Haiga przygotowany jestem na wszystko. Przewidując zdradziecką napaść z ich strony, mam przy sobie cały arsenał białej broni. Kuchnia La Strady dostarczyła wszystkiego, co potrzeba, by pociąć, zmiażdżyć i posiekać na drobno pierwszego, który kiwnie palcem.

Do wewnętrznej kieszeni marynarki włożyłem wielki nóż do mięsa, który, choć przyzwyczajony do krwawych zadań, przeżywał prawdopodobnie przyjemniejsze chwile.

Paolo, mianowany do ochrony osobistej, nie przebierał w środkach, by zapewnić mi bezpieczeństwo. Do przyniesionej na tę okazję walizeczki powrzucał kolejno dwa tasaki, śrubokręt, pół tuzina ostrych przedmiotów i młotek. Na wszelki wypadek owinął sobie też wokół bioder łańcuch od drzwi La Strady, obciążony potężną kłódką, a w nogawkę od spodni wsunął zaostriżony łom do lodu. Widząc, jak kuleje, podejrzewam, że do butów powkładał sobie po korkociągu, żeby uzupełnić wyposażenie.

Nie sądzę, by zastawili na mnie pułapkę. Jestem nawet pewien, że wybiorą ostrożne postępowanie.

W wielkiej sali panuje ten sam nastrój eleganckiego koktajlu. Kiedy wchodzę, krótkim OK przez zaciśnięte zęby Nivel potwierdza mi, że wygrałem.

Tego wieczoru nie biorę udziału w grze. Usiadłem sobie z boku. Stojący przy mnie ciągle milczący Paolo zaopatruje mnie w napoje i papierosy. Wobec braku bezpośredniego niebezpieczeństwa schował swoje żelastwo do walizeczki, tę ostatnią jednak trzyma przy sobie.

Obserwuję stół. Nie mogę kazać Nivelowi i D'Amourowi objaśnić, na czym polegają ich sztuczki, skoro sam występuję w roli oszusta. Liczę forszę dokładaną do puli i dokonuję miłych rachunków.

Po raz pierwszy zauważam, że moi dwaj nowi wspólnicy siedzą w naturalny sposób obok siebie. Gdybym ich nie przejrzał, nigdy bym się nie domyślił, że są kumplami.

Jak dotąd przegrywali niewielkie sumy, ale nagle jak zwykle stół ogarnia szaleństwo i pula robi się pokaźna. Wygrywa Louie D'Amour.

Nie wiem, jak to zrobili. Przez moment nie spuściłem z nich oka. Jeśli to manipulacja, to osiągnęli wysoki stopień perfekcji.

Po dwóch godzinach w podobny sposób napelnia sobie kieszenie Nivel. Partia kończy się z braku uczestników. Wszyscy są splukani.

Kiedy wieczór się kończy, Paolo idzie po moją część i przynosi ją. Zachowałem w pamięci niedawne rozgrywki i z góry wiem, że należy mi się dziewięćset dolarów.

Nazajutrz i dwa dni potem ten sam scenariusz. Pozostaję w moim kącie i obserwuję. Paolo, nadal bez słowa, przynosi mi mój udział, który z góry sobie obliczyłem. Siadam przy stoliku dopiero wiele dni później, kiedy nareszcie rozumiem, jak przeprowadzają swoje machloje.

Partia trwająca całą noc nigdy nie jest rozgrywana jedną i tą samą talią. Po pewnym czasie, kiedy któryś z graczy uzna, że karty źle się ślizgają albo że są nieco zniszczone w wyniku tasowania i rozdawania, żąda wymiany talii na nową.

Dlatego też u Haiga stale leży kilkanaście fabrycznie nowych opakowań w zaklejonym celofanie. Przed rozpoczęciem partii każdy bierze jedną talię i wyciąga z niej jokery, po czym dokładnie ją tasuje. Trwa to długo, toteż, by nie tracić czasu, kiedy trzeba wymienić talię, robi się to wcześniej.

Właśnie wtedy Louie D'Amour lub Nivel ukradkiem zamieniają talię, którą mają tasować, na talię przygotowaną w domu. Mają takie spreparowane talie w każdej kieszeni, i każda obliczona jest na inną ilość graczy.

Talie te ułożone są tak, by zapewnić właścicielowi dobre rozdania. Kiedy w trakcie partii któryś z naszej dwójki żąda wymiany kart, załatwia to tak, by wypadła właśnie kolej na spreparowaną talię. Bierze ją i tasuje tak zręcznie, że karty powracają na swoje miejsca w zaplanowanej kolejności. Następnie podaje ją partnerowi, który przekłada i ponownie sprawia, że porządek kart nie zostaje naruszony.

To wyższa szkoła jazdy. Jeśli o niczym się nie wie, nie ma mowy, by cokolwiek zauważyć.

Przedwczoraj zgarnąłem tysiąc sześćset dolarów, wczoraj dwa tysiące, a dziś wieczór zarobię jeszcze więcej.

Co za wspaniały kraj ta Kanada! Otwierają się przede mną szerokie perspektywy, i odłożyłem na później mój wyjazd na słońce. Zbyt wiele mam tu do zrobienia.

Zima nie jest taka nieprzyjemna. Wystarczy odpowiednio się wyposażyć. Mróz zapowiada się srogi. Wałęsam się po świecie w jednych džinsach i jednej parze wysokich butów, ale kiedy przychodzi pora na postój, lubię opływać w luksusy. Tworzę sobie przyjemne otoczenie, wybieram wszystko, co najlepsze, po czym wyjeżdżając wszystko zostawiam.

Przygoda rozpoczęła się. Najwyższy czas, by się odpowiednio urządzić.

Przed wszystkim funduję sobie kompletną garderobę. Na długie lodowate noce wybieram kilka smokingów oraz liczne eleganckie i lekkie garnitury. Biorę tylko najdroższe koszule zawsze w jasnych odcieniach, co podkreśla moją opaleniznę przystojnego podróżnika, i kupuję je na tuziny. Jeśli chodzi o buty, daję swojej fantazji całkowitą swobodę, i w niecały tydzień mam ich już prawdziwą kolekcję, jak zwykle przesadną.

Zakupy w sklepach pasażu to moja mała przyjemnośćka, prosta i bezpretensjonalna. Trwonię forszę jak dzieciak, przy okazji podtrzymując moją reputację, i korzystam z okazji, by pogadać z paniami. Następnie zabieram je do mojego apartamentu w Hyatt Regency.

Szacowna właścicielka sklepu z wyrobami skórzanymi nalegała, żebym pozostał w swoich wysokich butach. Szefowa butiku z elegancką bielizną, którą wielokrotnie spotykałem w pasażu, w końcu poddała się jak inne, i to kiedy już sądziłem, że jest frygidą. Ale wyszło na jaw, że dotąd opierała się memu przebojowemu urokowi tylko po to, by więcej zyskać w moich oczach. Ubrana jedynie w futro i najbardziej podniecające koronki ze swej osobistej kolekcji ta naturalna blondynka zmusiła mnie do odstąpienia od reguły, którą sobie wyznaczyłem, by załatwiać te panie tylko raz, a to w celu zachowania umiaru i oszczędzania się. Dla niej, ze względu na różnorodność jej bielizny, poświęciłem się trzykrotnie.

Będąc niekiedy demokratą wysoko oceniłem urocze intermedium, jakiego dostarczyła mi sprzedawczyni rogalików, figlarna i zuchwała bruneteczka, która wychodząc ode mnie usprawiedliwiła się, że idzie

do dentysty. Pretekst o tyle zabawny, że zostawiła mi na ramieniu głęboki ślad zębów.

Te małe sjęsty w uroczym towarzystwie nie mają w sobie nic wypoczynkowego, ale jestem w olśniewającej formie. Natomiast Paolo coraz wyraźniej słabnie. On też działa na okrągło. W nocy towarzyszy mi w klubie, a w dzień pracuje w La Stradzie. Szczęściarz, ma przynajmniej możliwość pospać trochę po południu, w restauracyjnej szatni.

Następny dzień poświęcam na szukanie idealnego mieszkania. Dość już mam bezosobowej atmosfery hotelu, pomimo zapewnianych tam luksusów. Chcę przestrzeni i dokładnie wiem, jakiego miejsca potrzebuję.

Najwygodniej byłoby utworzyć główną kwatery po prostu na miejscu mojej działalności. Dom Haiga jest wystarczająco duży, by w nim zamieszkać. Poza tym klub to prawdziwa kopalnia i niechętnie pozostawiam go bez opieki.

Ale trzeba, żeby propozycja wyszła od samego Haiga. Pragnąc przyspieszyć jego decyzję rozpoczynam uporczywą cichą pracę, zmierzającą do tego, by nie mógł się już beze mnie obejść.

Staram się do niego zbliżyć. Wieczorem przychodzę do klubu wcześniej, kiedy jest jeszcze sam, i wypijam z nim drinka. Rozmawiamy, wymieniamy poglądy i często się z nim zgadzam. Nie jest trudny w obyciu. Potrzebuje sympatii i łatwo otwiera się przed kimś, kto okazuje mu przyjaźń.

Odkrywamy w sobie wspólne pasje, których dotąd u siebie nie podejrzewałem, jak zamiłowanie do sportu. Kupuję rakiety, szorty i białą koszulkę oraz ręczniki do zawiązywania wokół szyi i popołudniami grywamy we dwójkę w tenisa. Haig okazuje się doskonałym nauczycielem. Ruch dobrze mi robi.

Dzielimy też inną pasję, tym razem całkowicie prawdziwą: kobiety. Nie kochamy ich w ten sam sposób, ale nie mogę przedstawić mu swoich poglądów na płęć piękną, jeśli nie chcę odebrać mu wszystkich jego złudzeń. Haig to stary, romantyczny amant, dla którego samice to nadal słaba płęć. Co zadziwiające, ma powodzenie i zdarza mu się zdobywać bardzo ładne dziewczyny. Zna wszystkie stałe bywalczynie klubu, a te z kolei cenią go. To typowy stary elegant, uczynny, zawsze na miejscu, dowcipny i niezbyt niebezpieczny, którego kobiety lubią wybierać sobie na spowiednika.

Ma sześćdziesiąt lat, ale nadal czyni wszystko, by je uwodzić. Dużo sportu, specjalna dieta bogata w witaminy i afrodyzjaki. Haig bardzo dba o swoją męskość. Jego próżność nie zna granic. Wczesnym wieczorem spędza długie godziny pucując i przyglądając się sobie w lustrze łazienki. Ma całą kolekcję garniturów, uszytych według jednego wzoru: z kamizelką, jednolitego koloru, do tego odpowiednia koszula, krawat i chusteczka, w butonierce koloru, do tego odpowiednia, które nosi, dobrane są tak, by pasowały do koloru ubrania.

Sympatia, jaką wzbudza, każę zapomnieć o jego niskim wzroście, jego wieku i przesadnym wystrojeniu.

Lubię tego staruszka i motam mu w głowie bez złych zamiarów. Cenię jego sposób patrzenia na życie. Z pochodzenia jest Ormianinem, był żonaty z Ormianką, uważaną za ozdobę miejscowej kolonii, ale wszystko porzucił. Ten rozmiłowany w przyjemnościach i zabawie człowiek pozostawał grzeczny do czterdziestego roku życia. Któregoś dnia, znudzony rodziną i bliźnimi, rzucił pracę, zostawił całe pieniądze żonie i dwojgu dzieciom, które go nie rozumiały, i od tej pory żyje wesoło.

To miły facet, oszczędny, ale o dobrym sercu, taki, co to wszystko odda komuś, kto umie go słuchać.

Jest już gotów. W ciągu paru dni odmlodniał pod moim wpływem. Lubi pokazywać się w moim towarzystwie i zdał sobie sprawę z mej skuteczności oraz z tego, jak wiele mam forsy, bo kiedy razem się bawimy, wydaję bez umiaru.

Kiedy doszliśmy do tego etapu znajomości, sprytnie dałem mu do zrozumienia, że zamierzam definitywnie zamieszkać w Toronto, że szukam mieszkania i że jest to trudne ze względu na moje szczególne wymagania.

— Lubię domy, które mają swoją osobowość. Nie cierpię miejsc bez duszy. A poza tym trzeba, żeby to było niedaleko od klubu.

— No po prostu tak jak u ciebie!

— ...i trudno coś takiego znaleźć. Ty dobrze znasz miasto, pomóż mi coś znaleźć. Jak będzie trzeba, mogę zapłacić bardzo dużo.

W zamyśleniu obiecał, że spróbuje. Widzę, że w jego duszy kielkuje już odpowiednia myśl. Żeby pozwolić jej dojrzeć, zabieram Haiga na poszukiwanie mieszkania, co porządnie go męczy. Ani największe

biuro handlu nieruchomościami w Toronto, agencja Royal LePage, ani ogłoszenia w Toronto Star nie pozwalają mi znaleźć wymarzonego mieszkania. Jedno jest za ciemne, drugie zbyt jasne, sąsiad ma paskudną gębę, a zresztą za daleko od klubu.

Po czterech dniach rajdów po mieście Haig, który nie ma już dwudziestu lat, czuje się zmęczony i coraz bardziej pragnie coś dla mnie znaleźć. Robimy postępy.

Skończyliśmy właśnie grać w tenisa i zamierzam iść do hotelu, by się przebrać, gdy zatrzymuje mnie.

— Cizia, mam pomysł co do twojego mieszkania.

Najwyższy czas.

— Jesteś podobny do mnie, lubisz ruch i duże towarzystwo.

— Owszem.

— Więc pomyślałem sobie: może byś tak zamieszkał u mnie? Drugie piętro jest wolne, mogę ci część wynająć. Co ty na to?

Mówię, że jestem zachwycony, że nie pomyślałem o tym i wyrażam nadzieję, że nie będę mu przeszkadzał.

— To będzie dla mnie przyjemność, Charlie. Wynajmę ci za tysiąc dolarów miesięcznie, specjalna cena dla ciebie.

Znikają wszelkie wyrzuty sumienia, jakie mogłem żywić wobec tego starego lisa. Przecież to co najmniej dwa razy więcej niż cena rynkowa! Ale trudno mieć mu to za złe. Przez cały dzień obsypywałem go dolarami, zgodnie ze starą zasadą, że zawsze szanuje się człowieka, który ma forszę. Cena jest wysoka, ale mam to, czego chciałem, i odtąd jestem pewien, że Haig niczego mi nie odmówi.

Następnego dnia przeprowadzam się i zdaję sobie sprawę, że naprawdę trochę przesadziłem. Nigdy dotąd nie liczyłem moich garniturów, wrzucanych do szaf w miarę jak były kupowane. Mobilizuję kelnerów z La Strady. Piechotą, z naręczami wieszaków, przemierzają pięćset metrów, jakie dzielą Regency od mojego klubu. Kiedy przechodzą ulicą po raz drugi, nieliczni przechodnie z zaciekawieniem przyglądają się tej kolumnie wyfraczonych kelnerów, którzy obrabowali pralnię. Kiedy wnoszą sześć kartonów z moimi butami, przedpokój jest już niezłe zastawiony.

Mam teraz wielką sypialnię, ogromny salon i luksusową łazienkę. Umeblowanie jest dobre, ale niezbyt odpowiada moim gustom. Pierwszym krokiem jest więc zabranie się do urządzenia wnętrza.

Wszystkie starocie, krzesła Ludwik Cośtam i komody Karol Jakiś, upycham w pakamerze na końcu korytarza, gdzie będą mogły spokojnie pokrywać się kurzem nie przeszkadzając mi.

Śpieszno mi czuć się już jak u siebie. Kelnerom każę zostać, żeby wszystko doprowadzili do porządku, a zaspanego Paola posyłam do sklepu w centrum, gdzie ma kupić nowoczesne meble i zamówić wykładzinę.

Plącę gotówką i pod wieczór drugie piętro domu Haiga zmienia wygląd. Przedpokój sprawia przyjemniejsze wrażenie dzięki swemu różowemu perskiemu dywanowi. W salonie duży niski stół z przyciemnianego szkła stoi pomiędzy szeroką kanapą obitą brązową skórą a podobnymi skórzanymi fotelami. W barku, o nowoczesnym kształcie, pełno alkoholi, a w lodówce mrozi się szampan. Paolo, chłopski syn o wyrobionym guście, postawił na ilość, co dla niego jest synonimem jakości. Wybrał po jednej lampie z każdego rodzaju i poustawiał je wszędzie. Gigantyczny telewizor stoi na przeciwko barku.

Najbardziej udana jest sypialnia. Na trzech ścianach kazałem pozawieszać lustra, a pośrodku ustawiono łóżko wodne, szerokie na dwa i pół metra. Na każdej ścianie umocowane są też baterie małych różnokolorowych reflektorów, których siłę światła można regulować. Na podłodze gruba biała wykładzina, która kosztowała piekielnie drogo. Kosztorys przewidywał położenie jej w dwa dni. Za to, co zapłaciłem, żeby mieć ją natychmiast, mógłbym pokryć wykładziną cały dom, wliczając w to ściany, sufity i okna. Przy łóżku dwie niedźwiedzie skóry dodają całości smaku i elegancji.

Haig zapewnił mnie, że jest zachwycony, ale widziałem przecież jego zaskoczenie i lekki niepokój.

Dzisiejszego wieczoru jelenie okazały się wyrozumiałe i szybko się zmyły.

Zwykle dzielimy zyski u Stavrosa, na Road Avenue, albo w innym cofé shop otwartym przez całą noc, Fran's, na Saint-Clair Avenue. Ale dziś jestem zadowolony i zamiast parapetowy wyjątkowo zapraszam

Nivela i Louie D'Amoura na rozliczenia do siebie, o kilka schodków od naszego miejsca pracy. Są zadziwieni szybkością mojej przeprowadzki. Nivel dąsa się, ale D'Amour nie kryje podziwu.

— O kurwa mać, ale to pięknie!

Otrzymałszy swój udział Nivel przez zaciśnięte zęby żegna się i znika. Louie D'Amour ociąga się i najwyraźniej nie ma ochoty wychodzić. Po raz pierwszy przejawia chęć zbliżenia się do mnie, i mogę tylko z tego być zadowolony. Lubi pieniądze i urządzenie wnętrza robi na nim wrażenie. Pociąga go skuteczność moich działań i zaczyna patrzeć na mnie innym okiem.

Przy drugiej butelce szampana ośmiela się trochę i zaczyna mi stawiać pytania.

— Co robisz z tymi Guccimi? Nie należysz do ich rodziny. Dlaczego właściwie jesteś w La Stradzie?

— Stary, za dużo by mówić. Tu nie chodzi o zwykłe sprawy rodzinne. Wiesz, u Włochów są więzy ważniejsze niż więzy krwi...

Wierny odgrywanej przez siebie postaci pozostawiam trochę niedomówień w moich odpowiedziach. Staram się, żeby stworzyć atmosferę tajemnicy, dużo wyrażam gestami i daję mu do zrozumienia, nigdy nie wymawiając tego słowa, że mafia być może ma zamiar rozpocząć działalność w Toronto.

Jest lekko podпиты i odbiera moje przekazy doskonale. Szczęśliwym trafem miał jakiś zatarg z Luigim, jedynym bandytą w rodzinie Guccich, bokserem, którego uważa za wysokiego lotu gangstera.

— Jest twardy. Cholernie twardy. Załatwił mnie i nic nie mogłem zrobić. Ta cała rodzina trzyma się razem... A kim jest Paolo?

— Przyjacielu, są rzeczy, o których nie masz prawa wiedzieć. Zadowolaj się tym, co mogę ci mówić i co dzięki mnie zarabiasz. W ten sposób pozostaniemy kumplami.

Nad ranem otumaniony szampanem D'Amour wyraża chęć rozpalenia w kominku. Haig zostawił mi kilka polan, ale nie udaje mi się ich podpalić. Zniecierpliwiony idę do pakamery po jedno ze starych krzesel. Przynoszę je do salonu i dwoma uderzeniami obcasa zamieniam je w wiązkę dobrze wysuszonego drewna, która zajmuje się od pierwszej zapalki. D'Amour przygląda mi się, zaskoczony, pod czym ogarnia go niepowstrzymany atak śmiechu. Kiedy wychodzi, płyną mu jeszcze po policzkach łzy i wstrząsa nim od czasu do czasu niepohamowany chichot.

Jeszcze nie jestem uważany za dyrektora klubu, ale po upływie dwóch tygodni nocni goście nie traktują mnie już jak zwykłego klienta. Jestem tu ciągle. Na początku wieczoru witam stałych bywalców i prowadzę z nimi rozmowy.

Większość klienteli to lubiący się bawić artyści, osobistości miejscowego showbusinessu. Można tu spotkać drobnych producentów, aktorów, muzyków. Czasami rozpoznaję twarze widywane na małym ekranie, dziennikarzy lub początkujących piosenkarzy.

Wmieszani w to sympatyczne i nieco ekscentryczne towarzystwo przychodzą także drobni naciągacze, dealerzy, bukmacherzy, okazyjni żigolacy i postacie nieokreślone, półbiznesmeni, półbandyci. To zwykła mieszanka nocnego życia. Bandyci nawiązują stosunki i szukają ofiar do swoich procederów. Artyści przychodzą się zeszmacić.

Te dwa światki mają jedną cechę wspólną, lubi się w nich ładne kobiety, toteż są one u Haiga licznie reprezentowane. Najbardziej pociągające towary w mieście umawiają się tutaj. Modelki, aktoreczki, call-girls, wszystkie rozkoszne, gotowe do zabawy i łase na pieniądze.

Odkrywam tu nową zaletę swojej pozycji: mam u tych pań powodzenie. Niezależnie od mojej aparycji, a jest to liczący się w tym środowisku atut, zaczynam być znany z powodu bogactwa i sukcesów, dwóch rzeczy, które bardzo pociągają kobiety.

Moje tajemnicze pojawienie się, moja wszechobecność w klubie, co do którego niektórzy sądzą, że jestem jego prawdziwym właścicielem, zwiększają tylko zainteresowanie, jakie wzbudzam.

Oczywiście, bardzo szybko zainaugurowałem swoją garsonierę. Wybranką owej nocy była młoda piosenkarka rewiowa, której przyszła kariera wygląda obiecująco, jeśli na scenie jest równie sprawna, jak w łóżku. Przyznała mi się, że mój wygląd oczarował ją już pierwszego dnia, kiedy pojawiłem się w klubie. Byłem wówczas zajęty swoimi sprawami i zupełnie nie zauważyłem wysiłków, jakie robiła, żeby przyciągnąć moją uwagę. Podobnie zresztą, jak nie zauważyłem innych.

Wśród babek poczta pantoflowa działa szybko. Moja reputacja wkrótce się ustala i nie mam powodów do narzekań. Kieruje się do mnie wiele uśmiechów, jestem zasypywany mnóstwem drobnych względów, a na drugim pięttrze rozpieszczają mnie jak mogą.

Zdarza się nawet, że natykam się w La Stradzie na świeże towary, spotkane poprzedniego wieczoru w klubie. Przychodzą dla mnie. Nie słabnę i wynagradzam ich upór, wpisując je na swoją listę.



Restauracja przeszła teraz na dalszy plan w sferze moich zainteresowań, ale jadam tam obiady albo wpadam przynajmniej raz w ciągu dnia. Paolo zaczyna się przyzwyczajać do życia bez snu, i bardzo dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków kierownika. Polecilem mu dzwonić do mnie przy najmniejszych trudnościach, i zdarza się to często, gdyż jak na razie zabroniłem mu podejmowania jakichkolwiek własnych decyzji.

Ale najlepiej idzie biznes.

Przedtem partyjki rozgrywane były dyskretnie, prawie w ukryciu. Ale rozpuściłem wśród klientów klubu wiadomość o stole pokerowym w drugiej sali. Amatorów do oskubania jest coraz więcej. O ile początkowo graliśmy trzy razy w tygodniu, teraz zasiadamy do gry codziennie i napełniamy sobie kieszenie w sposób bezwstydy.

Ale nic nie jest doskonałe. Choć obaj moi współnicy nad ranem skrupulatnie dzielą się ze mną swoimi zyskami, czynią to z zasmucającym mnie brakiem entuzjazmu. Odkąd zrozumiałem, na czym polegają ich sztuczki, znów gram dla przyjemności. Trochę im pomagam dzięki precyzyjnemu szyfrowi, składającemu się z umówionych słów czy niewinnie brzmiących zdaniek, ale moja pomoc techniczna na tym się kończy.

D'Amour próbował nauczyć mnie kilku numerów. Przez dwa dni trenowałem w La Stradzie, cierpliwie przekładając i tasując karty. Lecz moje ręce nie są rękami artysty, i szybko zdałem sobie sprawę, zgodnie zresztą z przewidywaniami, że nic z tego nie będzie. Ćwicząc nawet po piętnaście godzin dziennie potrzebowałbym długich miesięcy, żeby osiągnąć ich poziom albo przynajmniej ich skuteczność działania.

Nie jesteśmy jednakowo inteligentni. Oni to fizyczni. Potrzebna jest im głowa. Tego właśnie pragnę: kierować ekipą kanciarzy. Przebieranie palcami nie przysporzy mi kapitału. Nie tędy droga do całkowitego zapanowania nad moimi oszustami.

Nivel powiedział mi, nieco zgorzkniałym tonem, że choć osiągamy w tej chwili wyjątkowe zyski — to się czasami zdarza — jest to przypadkowa dobra passa, która rychło się skończy. Z jednej strony

Nivel mnie wkurwia i zamierzam się go pozbyć. Z drugiej chodzi tu o ich słabą stronę i potrzebna jest moja interwencja.

Jeśli grozi nam brak kandydatów na frajerów, to trzeba zająć się reklamą. Przyciągnięcie jeleni należy do mnie. Mam już kandydata na pierwsze miejsce na liście.

Ron Edwards to typowy handlowiec, jowialny i fałszywy. Ma sklep w pasażu i odkąd zacząłem ubierać się u niego, musiał ze mnie wyciągnąć co najmniej cztery tysiące dolarów; najwyższy czas mu je odebrać.

Ron nie traci czasu. Wystarczy coś u niego kupić, by zostać jego przyjacielem. Za każdym razem, kiedy przechodzę, wita mnie głośnie „Hello, Cizia” i „My dear friend Cizia”, wylewność godna długoletniego przyjaciela z dzieciństwa. Po powitaniach następuje zwykle olśniewająca propozycja, zawsze za specjalną cenę, okazja zarezerwowana wyłącznie dla mnie.

Może tu chodzić o różowy komplet z chińskiego jedwabiu albo o parę mokasynów z niezwykle rzadkiej skóry z czegośtam słonia.

— Cizia! My dear friend Cizia! Jakże się cieszę! Dawno się nie widzieliśmy!

To prawda. Już od wczoraj nic u niego nie kupilem.

— Masz szczęście. Dostałem właśnie niesamowite rzeczy!

Jest gruby, spocony, koniuszek jego podbródka deformuje rodzaj tłustej brodawki. Jego sprzedawczyni, Judith, ma przyklejony na stałe do ust ten sam handlowy uśmiech, co jej szef. Chętnie bym z nią odbył małą sjęstę, żeby sprawdzić, czy potrafi przybrać inny wyraz twarzy, ale sama myśl o tym, że przede mną był już ten grubas, odbiera mi ochotę. Ron koniecznie chce, by mi pokazała różnokolorowe koszule z żabotem, ale kategorycznie ucinam sprawę.

— Daj spokój. Daj mi dwie białe koszule. Dwie! Nie dwa tuziny. Przepraszam, ale się spieszę.

Gruby plik zielonych banknotów, który wyciągam z kieszeni, powoduje, że wytrzeszcza oczy. Wzdycha z przejęciem.

— Na miłość boską, Cizia, masz restaurację czy jakąś cholerną kopalnię złota?

Przesuwam przed jego nosem wachlarz banknotów, żeby dobrze przyjrzał się ich nominalom.

— Moja kopalnia, kochasiu, to poker. Odkryłem stół w jednym boozecan. Ładuję, ile się da.

Kiedy nasycił już oczy i napelnił sobie łeb cyframi, nie wytrzymuje.

— Myślisz, że ja też mógłbym... To znaczy, czy mógłbym przyjść zagrać któregoś wieczoru, żeby zgarnąć trochę forsy? Mógłbyś mnie wprowadzić?

— Nie wiem. Wiesz, to prywatny klub.

— Cizia! My dear friend!

Powstrzymuję go, zanim zacznie przypominać mi nasze wspólne dzieciństwo, i udaje, że się namyślam. W końcu, po chwili niepewności, ustępuje.

— Dobra. Wprowadzę cię, ale to tylko dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi.

Tego samego wieczoru Ron siedzi przy naszym stoliku. Uprzedziłem go, że gramy o duże stawki, i poradziłem, żeby zabrał ze sobą sporą gotówkę. Jest szczęśliwy jak dziecko. Ale nie tak bardzo, jak ja. Zawsze cieszę się obrabiając frajera, ale tym razem radość jest szczególna.

Mruga do mnie porozumiewawczo. Przez kilka pierwszych rozdania, bez większego znaczenia, umacniam jego zaufanie odpowiadając uśmiechami i kiwnięciami głowy. Kiedy spreparowana talia zostaje rozdana, obserwuję go, jak zapoznaje się z otrzymanymi kartami. Dokładnie wiem, co dostał. Na widok trójki nie potrafi opanować radosnego drgnięcia. Ja też.

Nieświadomie wyprostował się na krześle. Delektuję się jego mimiką, zdradzającą złe powstrzymaną radość, jego mimowolnymi ruchami, wszystkimi tikami rozentuzjowanego człowieka, który nie zdaje sobie sprawy, że jest obserwowany.

Powodzenia, grubasie, przyjemnego wieczoru!

Niesamowicie podniecony natychmiast podwyższa stawkę i w krótkim czasie wyklada na stół całą swoją forszę. Kiedy dostaje siódmą kartę, wyczytuje z jego twarzy upojenie szczęściem. W duchu liczy forszę w puli, równowartość wielu tygodni ciężkiej pracy. Coraz trudniej mu się opanować. Ledwo kończy się licytacja, z triumfalną miną odkrywa karty.

— Full z dam i waletów!

Nie czekając pochyla się do przodu z zaślinionym uśmiechem, by zgarnąć pulę, kiedy D'Amour powstrzymuje go jednym słowem.

— Chwileczkę!

Louie kolejno odkrywa swoje karty przed Ronem, który jeszcze nie całkowicie rozumie. Full z króli i asów!

Grubas nagle oklapł. Powoli, niechętnie, zabiera ręce, które już dotykały forsy. Z miną zbitego psa patrzy, jak wymarzone pieniądze piętrzą się teraz przed D'Amourem, a ja z trudnością powstrzymuję uśmiech.

— Cizia, muszę się odegrać. Pożycz mi dwa tysiące dolarów.

— Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? To poważna suma.

— Oddam ci jutro, jesteśmy przecież sąsiadami i przyjaciółmi, prawda, Cizia? Zaufaj mi, dobrze?

— No dobra, dałeś słowo.

I znów zaczyna się to samo. Jest trochę spięty, ale nie potrafi ukryć swojej radości, kiedy dostaje drugi dobry układ. Ani ja, mojej, kiedy po chwili siedzi splukany.

Spluwają z niego grube krople potu, i ponownie prosi o pożyczkę, tym razem trzech tysięcy dolarów.

— Cizia, jutro najpóźniej. Masz moje słowo. Szczęście się odwróci. Miałem dobre karty, wiesz. Zapłacę ci z pierwszej wygranej. Nie mogę teraz przestać. Jak chcesz, wypiszę ci czek.

— Nie, mam do ciebie zaufanie. Ale to ostatni raz.

Może sobie próbować. Nawet Nivel, który przecież panuje nad sobą doskonale, nie potrafi ukryć lekkiego uśmiechu rozdając ułożoną talię. Ron stracił całą swoją jowialność.

Trudno jest się zatrzymać, kiedy się przegrywa. Dlatego właśnie niektórzy przegrywają wszystko. Ron wpadł już po uszy. Poci się i nerwowo ociera twarz chusteczką. Wszystkie jego nadzieje obrócone zostały wniwecz. Za każdym razem, kiedy ma dobrą kartę, stawia wielkie sumy pewien, że nadeszła wreszcie upragniona chwila.

Zgodnie z ustaleniami teraz wygrać ma Nivel, więc stawiam całą moją forszę i kiedy przegrywam, ja i mój frajer jesteśmy całkowicie splukani. Usiłuję przybrać zasmuconą minę. Ron jest błydy, niemal się dusi.

— Cizia.

— Nie, stary. Winien mi już jesteś pięć tysięcy dolarów, to wystarczy. Zresztą nie mam już gotówki. Przez ciebie nie mogę nawet się odegrać.

I do tego wszystkiego pozwalam sobie jeszcze na luksus opieprzenia go. Sprzedawaj teraz te swoje koszule, gruba świnió!

Dwie godziny później dzielimy się u Fran's.

Fran's, na Saint-Claire Avenue pomiędzy Younge Street i Avenue Road, to jedna z niewielu restauracji otwartych przez całą dobę. To miejsce spotkań nocnych marków i wszystkich tych, którzy nie mają dokąd pójść. Od czasu do czasu spotkać tam można ubranych w smokingi hulaków, którzy przyszli zjeść ostatniego hamburgera bez smaku albo wypić kawę po dłuższej partyjce.

Za częścią barową, oświetloną a giorno sinymi neonami i umeblowaną zwykłymi stolikami z tworzywa, znajduje się zaciszna restauracja, bardziej elegancka, o tej porze zwykle zamknięta.

Przekonałem kelnerkę Annie, straszliwie umalowaną starą Kanadyjkę, zawsze ubraną w sfatygowaną bluzkę bordo i wyblakły czepek w tym samym kolorze, by wpuszczała mnie tam, kiedy zechcę. Często o świcie zasiadamy przy stoliku w głębi, z dala od niedyskretnych spojrzeń.

Stara Annie miała wprawdzie na początku pewne wątpliwości na widok plików banknotów, ale moje sute napiwki i uwodzicielski uśmiech przewyciężyły jej nieufność. Odtąd, ku mojemu przerażeniu, patrzy na mnie z wyraźnym marzycielskim zainteresowaniem, a jej przeciągłe spojrzenia przyprawiają mnie o zgrozę.

— Może emocje spowodują, że schudnie?

Jestem zadowolony z załatwienia swojego pierwszego jelenia i żartuję radośnie. Nivel stara się mnie zgasić.

— Przegrał tylko tysiąc pięćset dolców. Nie ma powodu, żeby skakać pod sufit.

— Tysiąc pięćset? A pięć tysięcy, które mu pożyczyłem?

Krzywi się wzgardliwie.

Denerwuj mnie tak dalej, bałwanie, to załatwię cię na amen!

— Ej, testa di cazzo! Kiedy pożyczam komuś pieniądze, to dostaję je z powrotem, zrozumiano?

Ci kretyni myślą, że skoro w Kanadzie długi karciane są nielegalne, będą trudności z odzyskaniem forsy. Byłby to pierwszy raz, kiedy nie oddano by mi czegoś, co mi się należy.

Wczesnym popołudniem jestem u Rona.

— Cizia! Jak się masz? Co za noc, nie? Przychodzisz po zakupy?

— Daj spokój, Ron, dobrze wiesz, po co tu jestem. Masz moje pieniądze?

— A, tak, nasze małe długi. Nie ma sprawy, między ludźmi interesu zawsze się dogadamy. Zapłacę ci ubraniami.

I wielkopańskim gestem wskazuje mi swoje stoiska.

— Wybierz sam...

Ma mnie za idiotę czy jak?

— Kurwa, Ron, we łbie ci się poplątało? Masz mnie za handlarza starzyzną? Kiedy kupuję garnitur, to nie płacę ci makaronem! Bądź poważny! W ogóle nie podoba mi się ta cała sytuacja! To nie w moim stylu upominać się o pieniądze. Nie utrudniaj mi sprawy. Ja też jestem splukany, sam widziałeś, i nie mam gotówki. Musisz mi zapłacić.

— OK. Nie denerwuj się, wymyślimy coś. Zawsze znajdzie się jakiś sposób.

— Co znaczy „dogadamy się”? Dostyc tego, Ron. Kiedy prosiłeś mnie o pożyczkę, dałem ci ją, i powiedziałeś, że dzisiaj zapłacisz, tak czy nie?

— Tak, ale...

— Więc płać, do jasnej cholery! Przez ciebie jestem bez grosza. Nie nalegałbym, gdybym sam nie był splukany. Ale muszę płacić moim pracownikom, i jeśli nie chcesz, żeby nasze dobrosąsiedzkie stosunki się popsuły, musisz mi oddać pieniądze, i to zaraz!

Już nie udaję. Wyczuł w moim głosie groźbę. Jęczy i usiłuje jeszcze jakoś się wykręcić, ale godzinę później jesteśmy razem w banku. Kiedy mam już pieniądze w ręku, czas zadbać o stosunki.

— Przepraszam, że byłem z tobą twardy, ale musisz mnie zrozumieć. Mam biznes i muszę o niego dbać. Mam ludzi, którzy są ode mnie zależni, rozumiesz?

Rozumie, ale mimo wszystko trudno mu to strawić. Żeby podnieść go na duchu, wracam z nim do sklepu i kupuję krawat, tylko jeden, i to możliwie najtańszy.

Natychmiastowy zwrot pięciu tysięcy dolarów zrobił wrażenie na moich współnikach.

Nivel boczy się jak zwykle, ale D'Amour coraz bardziej się do mnie garnie. Ma częściej odruchy sympatii, zostaje ze mną po rozdaniu forsy i wspólnie spędzamy trochę czasu, żeby się zrelaksować.

Dziś po południu budzi mnie niewiarygodny hałas na schodach. Mała brunetka, zdobycz poprzedniej nocy, jest wykończona i nawet nie podnosi głowy. Idę zobaczyć, co się dzieje.

Na schodach stoi obładowany pakunkami D'Amour i pozdrawia mnie szerokim uśmiechem. Za nim jego dziewczyna wita się skinieniem głowy. U jej stóp cienko poszczekują obrzydliwe dwa małe pieski.

Na dole Haig mocuje się z dwoma kuframi, zbyt ciężkimi na jego sily. D'Amour śmieje się widząc moje zaskoczenie.

— Wynająłem drugą połowę pietra. Teraz już się nie rozstaniemy, partner!

I w ten sposób D'Amour już się ze mną nie rozstał.

Poznałem już jego dziewczynę Dianę, ale nigdy nie miałem okazji obserwować jej dłużej. We dwoje tworzą dziwną parę.

Diana jest byłą burdelmamą. Szczupła, o całkiem znośnym ciele, ma krótkie włosy koloru blond z odcieniem marchewkowym. Jej skóra, ukryta pod grubą warstwą makijażu, jest nieprzyjemnie szorstka i nierówna. Dziewczyna wygląda na kurwę prosto z ulicy, i zawsze zastanawiałem się, co taki D'Amour z nią robi. Jej wiek nie jest możliwy do określenia. Louie twierdzi, że ma dwadzieścia siedem, ja bym jej raczej dał o dziesięć więcej. Można się domyślić, że jest twarda, złośliwa dla przyjemności, i że nie cofnie się przed niczym, żeby osiągnąć cel. Uczucie, jakim darzy Louie D'Amoura, wygląda mi na matczyne raczej niż jakiegokolwiek inne. Matkuje mu i udziela rad, których on skwapliwie słucha. Później dowiedziałem się, że razem dokonywali drobnych oszustw ubezpieczeniowych.

Jedynym mankamentem nowego sąsiedztwa są ich psy, ich dzieci, jak nazywają swoją parę english poodels, rodzaj komicznego skrzyżowania pudła i pekińczyka. Wyglądają jak para włochatych pantofli, które poszczekują, jeśli tylko się do nich zbliżyć. Louie i Diana traktują je po królewsku i dbają o nie, jak o własne dzieci.

Raz w tygodniu kierowca w liberii przyjeżdża po nie limuzyną, żeby zawieźć je do luksusowego fryzjera dla psów. Tam są czesane, fryzowane, pucowane oraz przysługuje im posiłek w specjalnej „restauracji dla psów”, przy czym menu stanowi obiekt dojrzałych przemyśleń poprzedniego wieczoru.

Kiedy suczka, czyli piesek w różowej obroży, ma cieczkę, zakładają

jej specjalne majteczki, aby przedwczesna ciąża nie zniekształciła jej ślicznego małego ciała. Czasami zastanawiam się, czy samiec ma prawo pójść do burdelu!

Nie cierpię ich i nie przepuszczę żadnej okazji, by dać im porządnego kopniaka. Dźwięk dzwoneczków, przyczepionych do ich odpowiednio różowej i niebieskiej obroży, doprowadza mnie do szału.

Louie D'Amour włożył w dekorację wnętrza mniej wysiłku niż ja. Zadowolił się wysprzątaniem i wstawieniem kilku własnych mebli, w tym bardzo ładnej toaletki z wielkim lustrem, którą nazywa swoim teacherem. Codziennie po południu, ubrany w boksinę i szlafrok, któremu brakuje tylko jego inicjałów na plecach, ćwiczy przed lustrem przez dwie godziny manipulacje kartami. Wielokrotnie obserwowałem go i zawsze mnie zadziwia. Nawet wiedząc, na czym polegają jego sztuczki, nie potrafię dostrzec ruchów jego palców. Jest bardzo dumny ze swojej techniki i nigdy nie zapomni, żeby mi wstawić długą tyradę na temat swoich rąk.

— Są na wagę złota! Złota!

Ostatnio trochę zaniedbałem swoją restaurację. Trzeba powiedzieć, że maszyna pracuje teraz równo i nie wymaga już mojej stałej obecności. Wpadam tam na obiad i za każdym razem z przyjemnością stwierdzam, że sala jest pełna.

Zaglądam do Mammy, żeby się przywitać, i przy okazji daję jej mały upominek, buteleczkę francuskich perfum, który sprawia, że się rumieni i wydaje z siebie półgłosem okrzyki po włosku, biorąc Madonnę na świadka jej szczęśliwego losu.

Dla Alfreda, który siedzi w swoim kącie przed stołem marchwi do oskrobienia, przyniosłem książkę kucharską. Wybrałem podręcznik dla początkujących, żeby nie zamącić w głowie memu pomocnikowi kucharskiemu zbyt skomplikowanymi pojęciami. Czas, żeby zabrał się za studiowanie, jeśli chce zrobić karierę w tej branży. Wygląda na szczęśliwego, że o nim pamiętałem.

Rocco jest u szczytu formy, wesoły i odprężony. Jemy we dwojkę, co pozwala mi raz jeszcze przekonać się, że Mamma jest odpowiednią osobą na swoim stanowisku. Jej ravioli to prawdziwe delicje.

i jedwabnym szlafroku, jak stylowy pan domu, by wypić kieliszek i porozmawiać ze stałymi bywalcami, po czym wracam na górę, na ogół nie sam.

Nie wszystkim się to podoba, i jak wszędzie zdarzają się zawistni.

Tego wieczoru Nivel jest poważny jak gliniarz, kiedy wypisuje mandat; podzieliliśmy się właśnie forszą u Stavrosa, sprzedawcy hotdogów na Avenue Road, kiedy nagle wyciąga w moim kierunku palec.

— Żeby się to więcej nie powtórzyło!

Podrywam się zaskoczony, ale już wściekły.

— Co takiego? Co to ma znaczyć, kutasie?

— Ta brunetka, którą załatwiłeś po grze dziś wieczorem, to moja dziewczyna.

— Ty, zmień ton, jak do mnie mówisz! Skąd mam wiedzieć, że to twoja cizia? Na twarzy nie ma wypisane! Zwariowałeś czy szukasz guza? Bo jak tak, to powiedz!

W miarę jak mówię, moja wściekłość się wzmacnia. No fakt, coś tam może i wiedziałem, ale dowalała się do mnie, a poza tym on był zajęty grą. Z zasady nigdy nie biorę się do kobiet moich współników, ale tego kretyna nie uważam za swojego współnika. Poza tym niech nie mówi do mnie takim tonem.

Mam właśnie rozwalić mu kieliszek na mordzie, kiedy powstrzymują mnie D'Amour i Stavros.

— Daj spokój, Cizia. Chyba nie będziecie się klócić o takie głupstwa. A ty, Nivel, chyba naprawdę zgłupiałeś! Skąd twoim zdaniem Cizia miał wiedzieć, że zależy ci na tej dziewczynie?

Stavros klepie mnie po ramieniu swoją zatłuszczoną łapą.

— Spokojnie, Cizia. Masz, to ci dobrze zrobi.

I nalewa mi sporą porcję ouzo. Kończymy podział forsy w milczeniu, po czym Nivel szybko znika.

— Nie zwracaj sobie nim głowy. On uważa się za wielkiego podrywacza. Cholera go bierze, kiedy widzi, jakie masz powodzenie, i jakoś musi się wyładować. Zaczyna się już bać o swoje dziewczyny. Kurczę, odkąd tu jesteś, jego notowania cholernie spadły!

— Jak jeszcze raz zaczniesz, to mu dołożę!

— Tylko mu nie uszkodź rąk, jest nam potrzebny.

— A ty co, zależy ci na nim?

Louie D'Amour uśmiecha się przepaszająco.

— Nie o to chodzi. Jestem z nim dla roboty. Ale nie przepadam za nim. Za bardzo zadziera nosa. Ten facet to kutas! — konkluduje krótko.

Co mi się podoba u D'Amoura, to szybkość, z jaką zmienia poglądy. To naprawdę kumpel, na którym można polegać!

— Wiesz, Louie, przetrząłem tę małą przede wszystkim dlatego, że była niewyżyta.

— Niemożliwe? Naprawdę?

— Tak, sama mi powiedziała. I mówiła też, że Nivel ma za małego.

— Poważnie?

Pokazuję mu pudełko zapalek.

— Nie większego niż to, zapewniam cię.

To czyste oszczerstwo. Nivel zasłużył na nie i wiem, że D'Amour nie utrzyma języka za zębami. Przede wszystkim jednak nie chcę, żeby Louie pomyślał sobie, że poluję na cudze dziewczyny i że specjalnie przetrząłem lalunię Nivela. Zabieranie się do czyjejś dziewczyny to zbyt łatwy i wredny sposób, żeby uderzyć w faceta. Jeśli jest rzecz, na punkcie której mężczyźni są głupi i bezbronni, to właśnie to. Nie ma nic szlachetnego w zrobieniu z przeciwnika rogacza. Jest to broń, której nie używam.

Chociaż...

Któregoś wieczoru, nieco później, kiedy właśnie mam zejść na dół, by zacząć wieczór, puka do drzwi Louie D'Amour.

— Cizia, na dole jest dwóch moich kumpli, którzy chcieliby zagrać.

— Jasne! W czym problem?

— Oni też kantują, i to nieźle.

To ciekawe. Schodzimy na salę, i wskazuje mi obu facetów.

— To jest Chuck, a ten drugi to Bananas.

Nie wyróżniają się niczym szczególnym. Bananas jest niski, ciemnowłosy i lekko zaokrąglony, koło czterdziestki. Chuck jest młodszy, średniego wzrostu, ubrany w dżinsy i skózaną kurtkę.

Pojawiają się w samą porę. Od paru dni chodzi mi po głowie pewien projekt, którego nie udaje mi się zrealizować.

— Doskonale! Powiedz im, żeby siadali. Zróbcie tak, by wygrywali.

Lepiej będzie, jeśli nie trafi na tych samych. Spotkamy się u Fran's na podział forsy.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

— Nie chcesz ich najpierw zobaczyć? Powiedzieć im, kim jesteś?

— Ależ nie, bądź spokojny. Na pewno już wiedzą, załatwimy to wieczorem.

— A ty nie będziesz grał?

— Nie, dziś nie, mam co innego do zrobienia. Mówię ci, że wszystko pójdzie dobrze.

Zresztą mam to gdzieś! Dziś naprawdę nie karty mi w głowie. Od dwóch dni mam ochotę na Sabinę, wysoką Holenderkę, fajną pod każdym względem, która niczego więcej nie pragnie, niż zajrzeć do mego łóżka.

Dziewczyna pracuje cały dzień, ma męża, nasze rozkłady jazdy nie pokrywają się i nie może zostawać w klubie zbyt długo. Właściwie jest to kobieta, jakich wiele, ale jej mąż jest inspektorem do spraw narkotyków. A dobrać się prawu do dupy to zawsze przyjemność.

Sabina została aż do świtu. Myślę, że można do niej mieć zaufanie w sprawie kłamstwa, jakie wymyśli dla swojego rogatego męża.

Do Fran's przychodzę pierwszy, jak to mam w zwyczaju. Zastanawiam się nad tą nową okazją. Już od dłuższego czasu dręczyło mnie to, że wygrywają stale ci sami. Opatrznościowe pojawienie się tej dwójki pozwoli mi rozwiązać problem.

Annie, stara kelnerka, przynosi moje espresso kołysząc biodrami. W jej wieku to niewskazane: jeszcze sobie coś zwichnię. Mruga do mnie porozumiewawczo. Tęsknie wyglądam nadejścia kolegów, zanim usiądzie przy moim stoliku.

Paolo poszedł chrapać do samochodu, więc nie ma co na niego liczyć. Ładna mi ochrona osobista!

Pierwszy zjawia się Nivel, za nim Chuck, potem D'Amour i Bananas. Kiedy wszyscy już coś zamówili, zwracam się do dwóch nowych.

— No i jak wam się u mnie podoba? Fajny klub?

— Już go znaleźliśmy. Wiedzieliśmy, że zrobiło się z niego dobre miejsce, że zaszły duże zmiany.

Bananas odpowiedział mi cichym głosem. Dobry punkt dla niego. Ten mały facecik jest zabawny. Nie wygląda zupełnie na oszusta,

raczej na dobrego, spokojnego ojca rodziny. Chuck, choć też sympatyczny, bardziej już rzuca się w oczy.

Z rozbawieniem zauważam, że cała nasza piątka nosi wasy. Przez parę dni D'Amour wyhodował pod nosem kilka włosków.

Każdy wyciąga z kieszeni pieniądze, zgłaszając wyjściową stawkę. To raczej rytuał niż środek ostrożności. W tym światku kanciarzy, gdzie jeden oszukuje drugiego przy lada okazji, każdy doskonale wie, ile inni postawili i ile wygrali co do dolara. Jesteśmy przyzwyczajeni do zapamiętywania kart i patrzenia wszędzie, gdzie się tylko da, toteż nie sprawia nam żadnych trudności zapamiętanie sum, jakie leżały na stole.

Mam zwyczaj zgarniać wszystko, kiedy każdy już zabrał swoją stawkę. Potem dzielę na trzy części i rozdaję forszę ojcowskim gestem. Wygłaszam przy tym komentarz w rodzaju: „Nieźle, co?“, albo „No to mamy forszę, chłopaki“.

Wpływy z dzisiejszego wieczoru wynoszą cztery tysiące pięćset dolarów. Pobieram swoją część, trzydzieści trzy procent, po czym resztę dzielę na cztery. Louie D'Amour i Nivel patrzą na mnie nie rozumiejąc.

— No — mówię zakończywszy operację. — Trzydzieści trzy procent dla mnie, reszta dla was.

Nivel podskakuje na krześle, oburzony.

— Co to znowu za kurewstwo?

— Jak to kurewstwo?

— Powiedziałeś, że dzielimy na równe części!

— No, trochę przesadziłeś — mówi mi Louie D'Amour, któremu chciwość dodaje odwagi.

— Jak to przesadziłem! — odpowiadam, podnosząc głos. — Jesteście u mnie, gracie u mnie i zgarniacie forszę u mnie. Nie należy o tym zapominać. I tak jestem miły, że wam coś zostawiam. Nigdy tyle nie zarabialiście. Mój udział wynosi trzydzieści trzy procent, reszta dla pracowników, koniec, kropka!

Chuck i Bananas nie odzywają się słowem, ale dwóm pozostałym to się nie podoba. Przestraszony moim gniewem D'Amour dąsa się w milczeniu. Nivel bez słowa zabiera swoją forszę i zmywa się, nie mówiąc nawet „do widzenia“.

Mój nowy regulamin ostudził atmosferę. Rozstajemy się szybko.

— Widzimy się jutro? — pyta Bananas.

— Tak. Też będziesz, Chuck?

— Jasne.

— Dobra. Do jutra, partners.

Budzę Paola, który odwozi mnie do domu.

Nivel mnie wkurwia. Strasznie zadziera nosa w tych swoich ciemnych okularach. Ma około czterdziestki i uważa, że jest zbyt doświadczony, by zadawać się z takimi gówniarzami jak my. Dawniej był przemytnikiem, przemycał wszystko, a zwłaszcza byle co; jest Australijczykiem i mieszka w Kanadzie od dziesięciu lat.

Następnego wieczoru przeszkadza mi już sam jego widok. Przyprował Cindy, jedną ze swoich przyjaciółek, blondyneczkę — trzeba powiedzieć — całkiem ładną, która co rusz wybucha przyjemnym śmiechem. Jest krupierką w kasynie na Wyspach Bahama i spędza wakacje w Toronto. W naszym klubie nie jest po raz pierwszy.

Nivel, chcąc wyraźnie zaznaczyć swoje prawo własności, stale trzyma ją przy sobie i odsyła dopiero, kiedy zaczyna się gra. Dziś wieczór nawet trochę przesadza. Co chwila obejmuje ją w pół, patrząc przy tym na mnie z wyższością.

Co on sobie wyobraża? W nosie mam tę jego lalę. Już najwyższy czas, żebym coś zrobił z tym bałwanem.

Dziś nie będę grał. Czterech kanciarzy przy stole zupełnie wystarczy. Zresztą spędzenie nocy naprzeciwko niego tak czy inaczej przekraczałoby moją wytrzymałość.

Korzystam z sytuacji, żeby trochę połączyć po swoim klubie; jest to przyjemność, na którą pozwalam sobie niestety zbyt rzadko. Zajmuję się tylko kandydatami na nędzarzy i nie starcza mi czasu na innych. Szkoda, bo stajemy się coraz bardziej modni i pojawia się tu teraz sporo ludzi interesujących, zabawnych lub po prostu sympatycznych.

Na przykład Roy, czarny trębacz z Nowego Jorku, który rozpoczyna obiecującą karierę w Toronto. Jest zatwardziałym kokainistą, ma czerwone i zapuchnięte oczy, bez przerwy pociąga nosem. Przez większość czasu pogrążony jest w sobie tylko zrozumiałych majakach, ale zawsze ma na ustach jakąś melodię, w rytm której kołysze biodrami, bardzo cool.

Gratuluje mi oprawy muzycznej. Odnowiłem repertuar, przedtem nieco anemiczny z powodu walców i tang, które uwielbia Haig.

Zamiast tych staroci słucha się teraz u mnie najnowszych przebojów. Są The Temptations, jest soul i cztery do pięciu razy w ciągu wieczoru „You're killing me softly” Roberta Flacka.

Paolo, fanatyk sportu, doniósł mi, że co wieczór goszczę u siebie wielu członków baseballowej reprezentacji Toronto, Blue Jays, dosyć znanej w Ameryce.

Zastanawiam się, do kogo by tu podejść, jako że Roy najwyraźniej odplątał w obłoki, kiedy moją uwagę przyciągają jakieś blond włosy. To Cindy.

Żegna się z Haigiem. W drugiej sali zaczyna się zapewne partia, i Nivel ją odesłał. Roy, który na chwilę powrócił na ziemię, wzdycha przeciągle.

— Kurwa! Ale dupa!

Fakt, że linia bioder wygląda ciekawie. Przyglądam się, jak Cindy powłóczyłym krokiem zmierza do wyjścia i przypominam sobie zachowanie Nivela. Ten sukinsyn już tak długo mnie denerwuje!

Nie atakuje się mężczyzny załatwiając jego dziewczynę, bo tak się nie robi. Przez chwilę walczę z moimi wielkimi zasadami, po czym nienawiść, a przede wszystkim ten tyleczek wysoko zawieszony nad długimi nogami na szpilkach, którego linia podkreślona jest obcisłą spódnicą z bardzo śmiałym rozcięciem, wytyczają moje dalsze postępowanie.

Przepraszam Roya. Mruga do mnie, życząc mi szczęścia. Doganiam Cindy, zanim wyjdzie do hallu. Obejmuję ją w pół i odwracam. Patrząc jej z bliska prosto w oczy oświadczam:

— Dziś w nocy śniło mi się, że cię rznąłem, a ty wołałaś mamusię.

Nie odwraca wzroku, wprost przeciwnie. Z małym chytrym uśmieszkiem odpowiada:

— Chwalipięta.

Jej dłoń wciska się między moje uda. Cindy nie spuszcza ze mnie oczu. Ruch jej ręki staje się mocniejszy. Nie wiem już, co jej powiedzieć. Rozpaczliwie szukam czegoś błyskotliwego, dowcipnego albo wręcz eleganckiego. Za naszymi plecami dwaj faceci dyskutują o zwyczajnie cen ropy.

Czuję przez materiał, jak jej paznokcie przesuwają się po mojej skórze. Oczy Cindy błyszczą. Jest zadowolona z osiągniętego rezultatu.

Idę za nią po schodach, z zażenowaniem starając się ukryć moje oczywiste podniecenie. Kiedy jesteśmy w sypialni, Cindy siada na

łóżku. Z torebki wyciąga małe zawiniątko i neseser toaletowy. Na lusterku czegoś, co kiedyś było puderniczką, przygotowuje szybkimi, doświadczonymi ruchami scyzoryka dwa rządki kokainy.

— Zobaczysz, przyjechała prosto z Boliwii. Jest praktycznie czysta.

Co mnie to obchodzi? Ja nie po to tutaj przyszedłem. Raz kiedyś próbowałem, podczas pobytu w Kolumbii. O ile mogę sobie przypomnieć, dostałem wtedy bólu dziąseł, nie mogłem spać i stałem się bardzo nerwowy.

Muszę jednak teraz się poświęcić, bo wyjdę na dużego frajera. Cindy przygląda mi się przez chwilę, po czym dodaje trochę kokainy do mojego rządka.

— Przy twoich wymiarach przysługuje ci większa porcja.

Wygląda, jakby się na tym znała. Biorę od niej zwinięty w rulonik banknot. Wtykam go sobie w nos i pociągam.

Szczypie. Powstrzymuję się, żeby nie kichnąć. Cindy zbliża swoją piękną twarz do lustra, z nosa sterczy jej banknot. Szybkim pociągnięciem wciąga rządka, po czym wyciąga do mnie rękę.

Kiedy zaczynam bardziej precyzyjne pieszczoty, ogarnia mnie fala ciepła i ogromna radość, czuję jak wstępuje we mnie niesamowita siła. Nagle mam niesłychaną potencję. Rzucam Cindy na ziemię, obok łóżka. Jest rozogniona, oddaje mi się. Rzucam się na nią.

To ja o mało nie wołałem mamusi. Dziewczyna jest jak wulkan, a kokaina najwyraźniej zwielokrotnia przyjemność. Wszystkie moje zmysły są wyostrzone. Nie wiem, czy to praca krupierki tak wyćwiczyła jej rękę, ale palce Cindy są diabelnie sprawne. Musi też mieć kilkoro ust. Cindy uwielbia wszystko, z wyjątkiem używania łóżka. Naładowany energią noszę ją po całym mieszkaniu.

Leżąc nago na niedźwiedziej skórze, obok łóżka, zwierza mi się później:

— Od pierwszego razu, kiedy cię zobaczyłam, chciałam, żebyś mnie wziął tutaj, na tej skórze. Ciężko było czekać.

Zawsze miło jest słuchać takich rzeczy, nawet jeśli nie jest to nic nowego. Ale tego o mało nie kupiłem.

Cindy przeciąga się bezwstydnie, ale opieram się. Muszę przecież zejść do pokerowego stolika, by zobaczyć, czy wszystko idzie dobrze, i ocenić dzisiejsze wpływy.

— Un momento! Zaraz wracam.

Na dole wielka feta. Przeciskam się pomiędzy parami siedzącymi

na stopniach schodów. Hałas rozmów jest oghuszający. Muzyka gra na cały regulator.

Pośrodku sali pijana blondynka tańczy z przymkniętymi oczyma. Jest zmysłowa i prowokująca, niedwuznacznie porusza biodrami.

Z trudem toruję sobie drogę, pozdrawiając nowo przybyłych i zamieniając po parę słów z nieznajomymi, którzy, ze swej strony, wydają się mnie dobrze znać. Co najmniej kwadrans zajmuje mi przejście przez salę, bo muszę grać rolę dobrego pana domu, a już pilno mi wracać na górę. Przy stole wszystkie w porządku. Pliki dolarów przechodzą we właściwe ręce.

Nie mogę się już opanować i pędzę do Cindy.

O piątej D'Amour puka do drzwi.

— Cizia! Idziemy dzielić forszę?

— Jedną chwilę! Zawołaj pozostałych i przyjdźcie tu za pięć minut, tylko się ubiorę.

Dzisiaj załatwię Nivelę. Już z góry myśl o świństwie, jakie dla niego przygotowałem, dostarcza mi dużo radości.

Właśnie przeliczamy forszę, kiedy słychać odgłosy prysznic. Nivel odwraca się niespokojnie.

— Ej, tam obok ktoś jest.

Uśmiecham się do niego grzecznie.

— Nic się nie bój. Z tą dziewczyną nie będzie problemów. Jest w porządku.

D'Amour wypowiada parę komplementów na temat mojej umiejętności postępowania z kobietami.

— To jakaś nowa?

— Jasne, a co myślałeś?

Bawię się w macho. Nivel patrzy na mnie z pogardą, a mnie ogarnia nienawistna radość. Umyslnie przesadzam, komentując odgłosy dobiegające z łazienki i mnożąc wulgarnie aluzje do moich seksualnych osiągnięć.

Nivel wkłada swoją forszę do kieszeni i wstaje, żeby wyjść.

— Poczekaj, partner, zapomniałeś o czymś.

I otwieram drzwi do sypialni.

Nivel patrzy, znieruchomiała i załamana, na Cindy, która miała na niego czekać w domu, a tu stoi owinięta w mój jedwabny szlafrok. Jest równie zaskoczona, jak on, ale lepiej rozumie mój żart.



Nivel opanowuje się i zwraca się do mnie.

— Bastard!!!

Nie ma czasu powiedzieć nic więcej. Wymierzam mu cios, od którego spadają mu okulary. Zanim zdąży zareagować, moje kolano wbija się w spłot słoneczny, to tajlandzka technika. Nivel, z otwartymi ustami, trzyma się oburącz za brzuch i usiłuje złapać oddech. Wiem, że nie uda mu się to przed upływem dziesięciu minut, i nie zamierzam dać mu wystarczająco dużo czasu, żeby zrobił to u mnie. Chwytam go za ramiona i zrzucam ze schodów. Szybko znajduje się na dole, nabijając sobie przy okazji parę guzów, które, mam nadzieję, przez jakiś czas pozostawią mu po mnie miłe wspomnienie.

D'Amour, przerażony moją brutalnością, pobladł i nie śmie się odezwać. Chuck i Bananas, jak zwykle, zachowują milczenie. Do pokoju wpada nagle Haig i krzyczy.

— Cizia! Co się stało? Zobaczyłem Nivelą i ...

— Spokojnie, nic się nie stało. Tylko małe nieporozumienie co do sposobu traktowania kobiet. Nivel chciał uderzyć swoją dziewczynę. Nie mogłem pozwolić, żeby to zrobił pod moim dachem.

— Ale mimo wszystko...

— To twoja wina, Haig! Przyjmujesz tu byle kogo. Ten facet zupełnie nie umie się zachować. Zresztą, już się tu nie pokaże.

Trochę przesadzam. Haiga w końcu ogarniają wątpliwości i przeprasza za swoje wtargnięcie. Później, po paru kieliszkach szampana, gratuluje mi i dodaje, że na moim miejscu też by wyrzucił tego źle wychowanego człowieka.

— A teraz co zrobimy? Był nam potrzebny do roboty.

D'Amour jest jeszcze błądzący ze strachu i nie ośmiela się spojrzeć mi w oczy.

— Spokojnie, partner. Nie ma żartowania. Po pierwsze, nie mogłem się powstrzymać. Po drugie, nie będziemy sobie zawracać dupy facetem, którego nie lubimy. Jeśli zaczniemy ustępować jakiemuś chamstwu, to będzie początek końca. Po trzecie, wszystko przewidziałem. Po czwarte, spadajcie, bo mam co innego do roboty.

Wskazuję na drzwi sypialni, za którymi czeka Cindy.

— Panowie, widzimy się jutro w La Stradzie. D'Amour da wam adres.

— Wiemy, gdzie to jest. To twoja restauracja.

— Zgadza się. A więc do jutra na obiedzie, panowie. Bądźcie punktualni.

Cindy wita mnie dwoma rządkami kokainy. Łapie mnie za spodnie i przyciąga do siebie.

— Jesteś świnia, Cizia.

Rozpina mi pasek i szepcze, pochylając nade mną głowę:

— Ale uwielbiam świnie.

Kokaina znów działa, jestem u szczytu formy i dosiadam Cindy aż do południa następnego dnia, kiedy to udaje mi się wreszcie wyzwolić.

— Wychodzisz?

— Tak. Muszę zająć się biznesem.

Cindy robi mi rządek na drogę i błaga, żebym szybko wracał.

W La Stradzie każę nakryć stół na cztery osoby w jednym z boksów. Paolo znów stanął na posterunku przed zasłoną, z założonymi rękami. Czekam na moich wspólników, kiedy staje przede mną Alfredo z dymiącym talerzem w ręku. Wydaje się bardzo dumny z siebie.

— Cizia, spróbuj tego. Wiesz, nauczyłem się książki kucharskiej na pamięć, i wszystko zrozumiałem.

Rzucam okiem. Jest tam coś brązowego o przykrym zapachu.

— To pieczeń z koźlęcia w sosie myśliwskim!

Dobrze, że mi powiedział. Ta papka z mięsa i jakichś bliżej nie określonych składników wystarczyłaby, żeby wyrzucono go z każdej europejskiej restauracji waląc rondlem po łbie. Widząc, jak się krzywię, usprawiedliwia się:

— Nie znalazłem koźlego mięsa. Zamiast niego dałem wieprzowinę, ale to to samo.

To się nie da nazwać. Mogłoby może smakować Amerykaninowi, bo jest ładniejsze niż hamburger, ale dla choć trochę bardziej wyrafinowanego podniebienia papka przypomina głównie jedzenie dla psa. W sposób możliwie najłagodniejszy tłumaczę Alfredo, że lepiej zrobi zapominając o tej książce kucharskiej, która dla niego się nie nadaje.

— Słuchaj! Czemu nie robisz gulaszów?

Odchodzi ze spuszczoną głową. Widzę, że mu smutno.  
Jego marzenia o karierze wielkiego kucharza o międzynarodowej  
sławie zawaliły się.

Paolo jest szary ze zmęczenia. Bardzo źle wygląda, ma podkrążone  
oczy i ledwo trzyma się na nogach.

— Paolo, chodź na chwilę.

Przygotowuję mu rząderek kokainy i pokazuję, jak wciągać. Przy  
okazji robię drugi dla siebie.

Paolo przez chwilę stoi nieruchomo, pociągając nosem, oparty  
o ścianę. Kilka sekund później wyprostowuje się. Z okrutną miną strzeże  
teraz dostępu do mojego stolika, a jednocześnie zaczyna pilnować  
obsługi we wszystkich częściach lokalu naraz. On też wita moich  
wspólników przy drzwiach i stanowczym tonem każe im iść za sobą:

— Idziemy! Szef czeka na was!

Chuck i Bananas siadają naprzeciwko mnie. Louie D'Amour,  
odgrywający starego wygę, usiłuje zająć miejsce koło mnie, ale odsyłam  
go do pozostałych dwóch. Siedzą ściśnięci jak uczniacy i słuchają mnie.

— Żeby uniknąć problemów takich, jak wczorajszy i przedwczoraj-  
szy, musimy ustalić sobie pewne rzeczy. Niektórzy wzięli mój dobry  
charakter ze słabość. Więc jak w każdym dobrym biznesie, który się  
dopiero rozkręca, trzeba dokonać pewnej korekty. Żebyśmy się zgodzili  
co do tych nowych zasad, bo nigdy już nie będę do tego wracał! Od  
dziś ja biorę pięćdziesiąt procent, reszta dla was.

— Ale, ale... — zaczyna Louie, prawie się dusząc.

Przerywam mu.

— Żadnej dyskusji! Jak się komuś nie podoba, niech odejdzie  
teraz, bo do tej umowy nie będę wracał. Ale zanim podejmiecie  
decyzję, zastanówcie się. U mnie macie pewność, że znajdziecie frajerów  
co wieczór. Macie stałe dochody. D'Amour głośno się do tego nie  
przyzna, ale nigdy nie zarabiał tyle, co teraz, od kiedy jest ze mną. Co,  
Louie?

— No... tak... Ale teraz, Cizia, naprawdę nie wiem.

— Poza tym ze mną macie ochronę.

Wskazuję na salę restauracji, jednym gestem obejmując Paola,  
braci Guccich, kelnerów i klientów. Nie ma co sobie żalować.

Wiem, że się zgodzą. Nawet dla siedemnastu procent na osobę

moja propozycja jest interesująca. Klub działa dobrze. Lecz nie  
wziąłem pod uwagę Louiego.

Rozumiejąc, że nie pozwolę już zakwestionować naszej umowy,  
myśli błyskawicznie. A kiedy chodzi o pieniądze, stać go na wiele.  
Rzuca mi znaczące spojrzenie i zwraca się ku pozostałym:

— Co do naszych pięćdziesięciu procent, podział będzie na-  
stępujący. Jako starszy stażem biorę dwadzieścia procent, a wy po-  
piętnaście. Ale zyski są tego warte.

Tym razem naprawdę mnie zamurowało! Wiedziałem, że D'Amour  
jest szybki, ale nie sądziłem, że do tego stopnia. Nie mam nic  
przeciwko temu, by bronił swoich interesów, jeśli potrafi narzucić swój  
punkt widzenia. Poza tym ma trochę racji. Toteż kiedy odwraca się do  
mnie, lekko zaniepokojony, w milczeniu potakuję.

Chuck i Bananas przez cały ten czas nie odezwali się ani słowem.  
Namyślają się i porozumiewają wzrokiem.

— OK, zgoda.

Nivel mieszka w zachodniej części miasta, w pobliżu lotniska.  
Wołam Paola.

— Weźmiesz samochód. Pojedziesz do Nivela i przekażesz mu  
wiadomość od Cizi: nie chcę go nigdy więcej widzieć; żeby mi  
nigdy nie wszedł w drogę. Jeśli spotkam go w pobliżu klubu albo  
restauracji, albo w jakimkolwiek innym miejscu, gdzie bywam,  
rozwalę mu łeb.

Kiwa głową, wargi ma mocno zaciśnięte. Obciąga rękawy, porusza  
ramionami i potakuje. Na wszelki wypadek dodaje:

— Bez brutalności, Paolo. Masz przekazać wiadomość, to  
wszystko.

Głęboko wciąga powietrze nosem i rzuca:

— Zobaczmy, boss!

I pędzi do wyjścia.

Cindy wróciła na Wyspy Bahama. Pozostawiła mnie fanatycznie  
przekonanego do tego cudownego boliwijskiego proszku, który po-  
zwala mi nie spać, być cudownym kochankiem, a wkrótce schrupać  
całe to miasto aż po ogryzek.

Kupiłem od niej resztę jej zapasu, dwa kryształki wielkie jak  
laskowe orzechy. Jestem w fantastycznej formie.

Pod wpływem moich nalegań Chuck zgodził się zmienić spodnie i koszulę. Zachował skórzaną kurtkę, niezbyt elegancką, ale stanowiącą jego narzędzie pracy. W jej podszewkę i w rękawy wszyte są małe kieszenie, z zewnątrz niewidoczne, w których trzyma spreparowane talie kart. Bananas, zawsze spokojny, to miły facet, z którym nie należy nigdy grać nawet o jednego centa.

To doskonale nabytki, zawodowcy wysokiej klasy. Ich umiejętności są większe niż u D'Amoura. To oni wprowadzają mnie do prawdziwego świata oszustów. Są zawodowymi graczami, znają się na wszystkich rodzajach gier. Oszukują we wszystkim, za każdym razem, kiedy mają po temu okazję.

Jasne wytłumaczenie w kilku zdaniach, na czym polegają gry takie jak poker, black-jack lub craps, jest niemożliwe. Opiszę więc jedynie sztuczki najczęściej używane przez zawodowych szulerów.

### ABC SZULERA

#### *Gambler's grip (dłoń gracza).*

Przykład dla praworęcznego: podczas rozdawania trzymać karty w lewej ręce, z kciukiem na karcie wierzchniej, przy czym palec wskazujący zakrywa widoczną stronę talii. Kolisty ruch prawej ręki, zbliżającej się, by wziąć następną kartę, w sposób naturalny zasłania widok pozostałym graczom. Kciuk lewej dłoni rozsuwa karty w wachlarz. Prawa dłoń może wówczas wybrać odpowiednią kartę: pierwszą, drugą, ostatnią lub przedostatnią. Kciuk zamyka następnie wachlarz z powrotem. Jest to niedostrzegalne.

Gambler's grip używany jest w black-jacku i pokerze.

#### *Poker.*

Chuck i Bananas używają oczywiście talii wcześniej spreparowanych. Nie zawsze jednak mają możliwość je wykorzystać. W takich przypadkach polegać muszą na własnej sprawności, by ustawić kolejność kart pod samym nosem pozostałych graczy. Kiedy kończy się rozgrywka i wszystkie karty znajdują się na stole, potrafią oni w trakcie zbierania i tasowania poustawić je tak, by rozdać swoim współnikom doskonale układy. Następnie gambler's grip, który opanowali do perfekcji, pozwala im na wybranie w odpowiednim momencie potrzebnej karty uprzednio włożonej na swoje miejsce w talii.

#### *Black-jack, czyli oko: karty znaczone.*

W Kanadzie najczęściej używane talie zawierają tak zwane bee cards lub bicycles. Na odwrocie bee cards widnieją czerwone romby, w normalnych taliach porzucane przypadkowo po całej powierzchni. W taliach spreparowanych, kiedy obwódka przecina romb w połowie, oznacza to kartę poniżej dziesiątki, a romb nienaruszony oznacza dziesiątkę, figurę lub asa. Wystarczy więc szulerowi jeden rzut oka na wierzch karty, by mieć wyobrażenie o jej wartości.

Osoba nie uprzedzona nie jest w stanie zauważyć tak drobnej różnicy.

Szulerzy kupują takie specjalne talie po piętnaście dolarów na czarnym rynku w Buffalo, mieście granicznym między Kanadą a USA.

Na odwrocie bicycles namalowany jest jadący na rowerze anioł, który gra na trąbce. W tak skomplikowanym rysunku łatwo jest umieścić grubszą linię lub wprowadzić dodatkowy nieznaczny szczegół, co zawodowcowi wystarczy do rozpoznania wartości karty.

Tu również gambler's grip pozwoli mu na dobieranie kart podczas rozdawania.

Chuck i Bananas korzystają z mnóstwa innych sztuczek i nieznacznych ruchów przy manipulacjach, pozwalających im dopomóc nieco szczęściu. Zamurowało mnie zupełnie, gdy dowiedziałem się, w jaki sposób oszukują przy grze w kości.

#### *Craps (kości angielskie).*

Jest to najpopularniejsza w Ameryce gra w kości. Jej reguły są dość skomplikowane, ale przede wszystkim należy pamiętać o podstawowym znaczeniu liczby siedem. Wygrywa ona, kiedy obie kostki wyrzucane są po raz pierwszy, przegrywa natomiast, jeśli zostanie wyrzucona w trakcie partii.

Chuck ma niesamowitą małą skórzaną walizeczkę pełną kości do gry. Są tam małe, duże, od czarnych do białych poprzez czerwone, jednym słowem wszystkie występujące na rynku odmiany. Wszystkie są trefne (podrobione), i to na kilka sposobów.

#### *Percentage dice (kości procentowe).*

Dają one siódmkę prawie za każdym razem. Z jednej strony punkty zostają przewiercone bardzo cienkim wiertelkiem, po czym

wypełnia się je złotem, które jest gęste i bardzo ciężkie. Kostka zachowuje normalny wygląd, ale ma przesunięty środek ciężkości i zatrzymuje się zawsze na tym samym boku. Kości takie używane są zwykle na początku partii i służą do wyrzucania zwycięskiej siódemki.

#### *Kości do kombinacji.*

Są to kostki, w których każdy bok ma wartość identyczną jak bok przeciwległy. Nie można zobaczyć obu stron kostki jednocześnie, trzeba do tego się przesunąć. Są kostki „nieparzyste”, mające dwie piątki, dwie trójki i dwie jedynki, oraz „parzyste”, z szóstkami, czwórkami i dwójkami. Suma dwóch „parzystych” wyrzuconych razem nigdy nie będzie więc wynosić siedem, podobnie zresztą jak w przypadku „nieparzystych”. Natomiast jeśli chce się wyrzucić siódemkę, wystarczy wziąć po jednej z każdego rodzaju, by podwoić swoje szanse.

#### *Flats.*

Są to kostki nacięte w sposób zwiększający prawdopodobieństwo wyrzucenia bądź niewyrzucenia jakiejś liczby. Moi współnicy bardzo rzadko posługują się tą odmianą, która charakterystyczna jest dla zakazanych uliczek w podłych dzielnicach. Ale bez zręczności szulera wszystkie te podrobione kości są nieprzydatne. Cała sztuka polega bowiem na szybkości i sprawności w zamienianiu i wzajemnym podstawianiu kości „trefnych” i normalnych.

#### *Zastosowanie.*

W spelunkach gra się w craps na długim prostokątnym stole dostawionym do ściany. Konieczny jest udział minimum trzech kanciarzy. Jeden rzuca kości, dwaj pozostali stoją na drugim końcu stołu, by je łapać i odrzucać.

Podobnie jak pozostali gracze, każdy z nich ma w dłoni plik banknotów, skrywających kości podrobione. W odpowiednim momencie, po zdjęciu ze stołu pary normalnych kostek, oszust przekłada plik pieniędzy z jednej ręki do drugiej, przy okazji zamieniając kości, po czym odsyła trefne kostki współnikowi. Po kilku wygranych rzutach szulery ponawiają operację w odwrotnej kolejności, by do gry powróciły kostki normalne. I tak przez całą partię, za każdym razem, kiedy stawka jest odpowiednio wysoka.

To wielka sztuka. Element najtrudniejszy: zamiana kostek, musi

być całkowicie niedostrzegalny. Jest oczywiście sprawa zasadnicza, by podrobione kostki nigdy nie dostały się do rąk innych graczy. Jedno spojrzenie i zdaliby sobie sprawę z oszustwa.

Na kontynencie amerykańskim szulery przyłapani na gorącym uczynku są zwykle karani zmiażdżeniem obu dłoni. Zawód wymaga więc potężnej dawki zimnej krwi oraz nieprzeciętnej szybkości i sprawności.

Chuck i Bananas mają te zalety. Im więcej się od nich dowiaduję, tym bardziej jestem zdziwiony. Znalazłem wymarzonych współników. W klubie zarekwirowałem drugą salę w głębi domu, gdzie zainstalowałem wspaniały stół do craps, z którego jestem bardzo dumny i który został zaprojektowany specjalnie dla mnie. Chciałem, by był potężny i szeroki, dokładnie o wymiarach stołów w kasynach. Okazał się zbyt szeroki, żeby przejść przez drzwi, i musiano go zamontować na miejscu. Jest pokryty filcowym sukmem w dołarowozielonym odcieniu, doskonale zachęcającym do gry, i wspaniale spełnia swoją rolę.

O ile partie pokera odbywają się dyskretnie, gra w craps ma miejsce przy szeroko otwartych drzwiach. Ożywienie panujące przy stole przyciąga większość klientów, którzy, porwani panującym tu podnieceniem, prawie zawsze zostawiają po trzydzieści lub czterdzieści dolarów. Craps służy do skubania finansowych płotek. Poker zarezerwowany jest dla rekinów.

Elitarny klub Haiga powoli przekształcił się w spelunę, a jednocześnie osiągnął rozmiary, które zaczynają starszego pana niepokoić. Sprzedaż alkoholu poza dozwolonymi godzinami to jedno, a prowadzenie nielegalnego kasyna to zupełnie co innego. Metamorfoza ta również mnie sprawia kłopoty, choć są one innego rodzaju. Jeśli chcę, żeby moje przedsięwzięcie się ostało, muszę podjąć pewne środki ostrożności. Nie mogę przejść od rzemiosła do oszustwa na skalę przemysłową, nie przyjmując nowych reguł postępowania.

Jest oczywiste, że nie można w nieskończoność obrabiać frajerów tak, by ktoś bardziej spostrzegawczy od pozostałych nie zauważył, że wygrywają stale ci sami. Podczas zebrania z moimi współnikami wprowadzam nowe zasady pracy, nie spotykane w świecie oszustów. Muszę im wytłumaczyć, że z drobnych naciągaczy, którymi byli

wcześniej, przeszli teraz na wyższy poziom i że nie wystarczy już wygrywać, ale trzeba wygrywać inteligentnie, by nie zabić kury znoszącej złote jaja.

Jeśli chodzi o biznesmenów, podsyłanych nam przez personel hoteli, nie nastąpiły tu żadne zmiany. Nadal ogoławamy ich ze wszystkiego, co mają przy sobie, bez oglądania się na drobiazgi. Są w mieście przejazdem i nie stanowią dla nas niebezpieczeństwa.

Również klienci przyprowadzani przez hookers (ani kurwy, ani fordanserki, po prostu dziewczyny żyjące z atrakcyjności swego ciała na koszt bogatych facetów) nie stanowią problemu. Są to mieszczanie pragnący się zeszmacić w obcym dla siebie świątku, i sami znikają, kiedy poczują niebezpieczeństwo. Po jednym albo dwóch wieczorach, podczas których przegrywają kupę forsy, wracają na ziemię i uciekają, zanim będzie za późno.

Natomiast trzeba mitygować moich współników, jeśli chodzi o stałych bywalców klubu. Opinia pechowego miejsca bardzo szybko się roznosi, a mnie taka reklama nie jest potrzebna. Od tej kategorii klientów będziemy codziennie wyciągać jedynie niewielkie sumy, nic więcej. Więcej nawet, kiedy będzie udany wieczór i paru bawiących przejazdem frajerów zgra się do nitki, pozwolimy wygrywać stałym bywalcom, którzy wcześniej dużo u nas zostawili.

Niektórych ludzi nie można oskubywać doszczętnie. Nie każdy umie przegrywać z uśmiechem, a wystarczy jeden obrażony, żeby zaczęły się kłopoty. Wszystko musi odbywać się łagodnie, bez zadrażnień.

Moim współnikom z trudem przychodzi zrozumienie tych nowych metod. Nie mogę im pozwolić, by dali upust swoim złym skłonnościom.

— Nie ma pan dzisiaj szczęścia.

Facet odwraca się do mnie.

— Nie, ale szczęście się odwróci!

Bardzo by mnie to zdziwiło. Zajmują się nim Chuck, Bananas i Louie D'Amour. Nigdy nie odzyska pieniędzy, które właśnie przegrywa.

Moją uwagę zwracają donośne okrzyki, które nagle się wzmożły.

— Nooo! Rzucajcie. Wygrywa siódemka. Cholera!

Ktoś zdrowo przegrywa przy stole do craps. Kandydat do ruiny

jest elegancki, starannie ubrany, robi wrażenie człowieka bogatego i pewnego siebie. Zostawił już u nas cztery tysiące dolarów, ale to nie koniec. Plik banknotów w jego ręku jest nadal gruby, a on nie zdradza zamiaru wycofania się z gry. Rzuca kości z nonszalancją człowieka, dla którego kilka tysięcy dolarów więcej lub mniej nie ma żadnego znaczenia.

Coś tu brzmi fałszywie. Jego ostentacyjna pewność siebie wydaje mi się przesadzona. Facet gra o zbyt wysokie stawki. To utracasz, którego pieniądze palą się w rękach i który upaja się świadomością, że uwaga całego stołu skierowana jest na niego. Liczni widzowie obojga płci ściągają tu z całej sali, zwabieni nagłym ożywieniem tej partii, i facet prostuje się, zgrywając bohatera. Plik banknotów zawiera co najmniej pięć tysięcy dolarów.

Dobra. Skoro nalegasz, załatwimy cię. Jedno spojrzenie w kierunku moich partnerów i już zrozumieli. Obrabiamy go.

W tłumie odszukuję znajomą, Ginę, wspaniałą Portorykankę o uwodzicielskim uśmiechu. Ta dziewczyna to hooker, niebezpieczna call-girl. Odciągam ją na bok.

— Gina, bądź miła dla tego faceta. Tak, żeby zupełnie oszalał.

Gina jest ekspertem od męskiej psychologii. Po paru minutach frajer jeszcze bardziej wypręża się, głaskany spojrzeniami i pełnymi podziwu uśmiechami Giny.

Jeszcze bardziej podwyższa stawki. Ile może mieć przy sobie? Czy ma jakieś rezerwy? Tak duża gotówka to rzadkość. Niewielu ludzi chodzi sobie mając w kieszeni dziesięć tysięcy dolarów, albo nawet więcej, i facet ten mnie intryguje.

Parę osób przesuwają się, by zrobić mi miejsce przy stole.

Teraz się za ciebie wezmę, mój śliczny. Zajmę się tobą osobiście. Przegrywasz wystarczająco dużo, żebym zrobił ci ten zaszczyt. Postanawiam nie bawić się w drobiazgi. Wyciągam pięć tysięcy dolarów i kładę je na brzegu stołu, co oznacza, że jestem „otwarty” do wysokości tej sumy. Inni gracze mogą stawiać przeciwko mnie do pięciu tysięcy.

Jeleń reaguje tak, jak przewidywałem. Świadomy, że stał się gwiazdą, podkreślony przez Ginę, szpanuje.

— Trzymam!

I szybko kładzie koło mojej forsy pięć czerwonych banknotów.

— Tysiąc... trzy tysiące... pięć tysięcy.

Jest w pułapce. Chuck rzuca mi podrobione kości, a ja jak zwykle zaczynam swój teatr, chucham na nie, szepczę do nich, każę chuchnąć mojej sąsiadce i wyrzucam.

Kości toczą się, podskakują, odbijają o ścianę, toczą się znowu i w końcu nieruchomieją. Spokojnym, bezosobowym głosem krupiera Bananas ogłasza nieunikniony wynik.

— Siedem, wygrana.

Facet nie potrafi powstrzymać cichego przekleństwa. Na chwilę jego wspaniałość gdzieś ulatuje. Ramiona mu opadły. Trzykrotnie próbuje przypalać sobie papierosa, usiłując wykrzywić twarz w obojętnym uśmiechu.

Jego gotówka się skończyła. Jestem trochę rozczarowany. Swobodne zachowanie i arystokratyczne maniery pozwalały mi mieć nadzieję na coś więcej, pomimo wątpliwości, jakie budziła jego osoba. Jeśli ma jakieś rezerwy, powinien się złamać. Chęć odegrania się jest zawsze silniejsza. Zwraca się do mnie i pyta:

— Zgadzasz się na rewanż? Zostało mi pięć tysięcy pięćset dolarów.

A więc jednak! Po tym razie pozostawi u nas prawie piętnaście tysięcy..

— Jesteś pewien? OK, wyciągaj forsz!

Chuck ponownie posyła mi podrobione kości. Dwie wpadki po pięć tysięcy to sporo jak na stół do craps. Chwila jest uroczysta i przedłużam ją. Koncentruję się. Zdejmuję marynarkę, którą natychmiast przejmuje jakiś kibic. Pocieram kostkami o zielone sukno. Wznoszę oczy do nieba, ku Madonnie, każę chuchać wszystkim sąsiadkom i wyrzucam.

— Toczą się kosteczki! Dalej, moje piękne!

Kości toczą się, odbijają od ściany, toczą się jeszcze i nieruchomieją.

Dalej odgrywam swoją komedię i kryję twarz w dłoniach. Okrzyki widzów informują mnie o oczywistym wyniku. Bananas potwierdza:

— Siedem, wygrana.

Frajer jest błydy, zaciska obie dłonie na brzegu stołu. Mamrocze:

— To niemożliwe, to niemożliwe.

Chuck schował już podrobione kości i odesłał mi normalne. Kładę je na stole.

— Ja pasuję. Przykro mi, przyjacielu. Nie masz dzisiaj szczęścia. Dałem ci szansę, więcej nic nie mogę zrobić.

Po czym zapraszam go na kieliszek, bo zawsze trzeba łagodzić urazę człowieka, który dużo przegrał. Mocny łyk alkoholu pozwoli mu nieco przyjść do siebie, i uprzejmie wymieniamy kilka banalnych zdań. Jest Kanadyjczykiem pochodzenia rosyjskiego. Ma bardzo nieznaczny środkowoeuropejski akcent, ale jego angielski jest doskonały, prawie sztuczny. Świadomość utraty majątku leży mu na żołądku i facet szybko wychodzi.

Z daleka widzę, jak mówi parę słów do Giny, która wybucha śmiechem i kładąc mu rękę na ramieniu całuje go w policzek. Zapewne poradziła mu, by wrócił, kiedy będzie miał więcej szczęścia. To kolejny cios wymierzony w jego samopoczucie; ze spuszczoną głową kieruje się ku wyjściu.

Posyłam Paola, by pojechał za nim. Robię tak w przypadku każdego poważnego klienta czy frajera, który mnie zaintryguje, i dysponuję już ciekawą listą adresów. Zawsze może się przydać.

Podchodzi do mnie Gina. Gratuluję jej dobrej roboty, co przyjmuje z dużym zadowoleniem. Jest drobna, bardzo sexy, ma twarz niewinnej nastolatki, ale jej czarne, wiele obiecujące oczy zadają temu kłam. To dobry kumpel. Jest zimna i wyrachowana, nigdy nie traci głowy, nawet w łóżku.

W moim klubie jest wiele podobnych dziewczyn, ich obecność jest tu wręcz koniecznością. Mężczyźni chętniej przychodzą do lokalu znanego z pięknych kobiet.

Przez chwilę rozmawiam z Giną, po czym wspólnie decydujemy, by zakończyć wieczór w mojej garsonierze.

— Cizia, pożycz mi pięć tysięcy dolarów.

Ten Rosjanin jest niepoprawny. Zjawił się tu następnego dnia pod koniec wieczoru. Szybko i z podniesionym czołem przegrał osiem tysięcy dolarów, pod pieśczośliwym spojrzeniem Giny, i jeszcze mu mało. Nalega i proponuje wystawić mi czek jako zastaw.

— Pięć tysięcy nie mogę. Możesz dostać trzy tysiące dolarów.

Podczas gdy Paolo sprawdza wypisany przez niego czek i porównuje z dokumentami, gość zapewnia, że zapłaci przed końcem wieczoru. Jest pewien, że się odegra.

Dałem mu forszę. Poszedł ją przegrać. Po czym zniknął.

Kilkakrotnie telefonowałem pod numer, który mi zostawił, bez skutku. Dziś rano, podczas podziału pieniędzy, D'Amour pyta, czy dowiedziałem się czegoś nowego. Chyba czas już się ruszyć.

Adres, zanotowany przez Paola, zgodny jest z wypisanym na czeku. Widział, jak facet wchodził do budynku.

Jest ósma rano i jeszcze nie spałem. Jestem zmęczony i wściekły. W taksówce, która wiezie mnie do wschodniej dzielnicy, zapadam w drzemkę, skostniały z zimna. Nie lubię tej okolicy. To biedna, paskudna część miasta. W nocy spadł pierwszy śnieg i zamienił się w brudne i lepkie błoto.

Taksówka zostawia mnie przed budynkiem stojącym pomiędzy Spadina i Bathurst Avenue. Jest to czteropiętrowy dom z czerwonej cegły, naprawdę wygląda podle. Przez chwilę zastanawiam się, czy adres podany na czeku nie jest przypadkiem fałszywy. Jak można wydawać tyle szmalu i mieszkać w takiej ruderze! Nie omyliłem się, wyczuwając w facecie coś podejrzanego.

Mieszkanie numer siedem znajduje się na parterze. Korytarz jest ciemny. Pukam do drzwi. Odpowiada mi jakby pytające mrugnienie. Wrzeszczę:

— Tu Cizia!

Cisza. Jeśli Rosjanin jest w domu, to postanowił udawać, że go nie ma. Ale ze mną to nie przejdzie. Ryczę:

— Ej, Rusek, tu Cizia. Otwieraj!

I daję porządnego kopa w drzwi, słysząc go na całej klatce. Chyba kretyn nie każe mi tutaj czekać!

— Otworzysz wreszcie, do jasnej cholery!

Walę teraz w drzwi raz po razie. Hałas robi się z tego piekielny. Jeśli myśli, że się zmęczone, to grubo się myli! Słysząc już różne odgłosy z sąsiednich mieszkań, kiedy odpowiada:

— Przyjdź później, jestem zajęty.

— Chyba zgłupiałeś. Otwieraj zaraz, bo wyważę drzwi.

Walę w drzwi z całej siły i ryczę, ile sił w płucach. W całym budynku rewolucja. Histeryczne głosy błagają, żebym skończył z tym burdelem. Ktoś z drugiego piętra obrzuca mnie wyzwiskami przez całą klatkę schodową.

— Ciszej tam!

— Skończycie wreszcie te awantury?!

— Chcemy spać!

Tamten bałwan krzyczy do mnie, głosem piskliwym ze strachu:

— Mam broń, jeśli wylamiesz drzwi, będę strzelał!

Nie wierzę mu, ale nigdy nie wiadomo. Jakiś mały rozczochrany staruszek wyszedł na korytarz w piżamie i opieprza mnie, gotowy wskoczyć z powrotem do nory w razie niebezpieczeństwa. Słyszę, jak otwierają się inne drzwi. Sprawa się komplikuje. Nie mogę zadzierać z całym domem. Mogą zawołać gliny albo co gorsza rzucić się na mnie. Moje ubranie wyraźnie informuje, że nie jestem tutejszy, a w amerykańskich downtowns ludzie bywają krewcy.

Zmieniam taktykę. Przemawiam do niego głosem normalnym, prawie łagodnym. Za wszelką cenę muszę go uspokoić, żeby otworzył mi te swoje kurewskie drzwi.

— Spokojnie, nie ma sprawy. Chcę tylko z tobą pogadać. Masz broń, no to co? Lepiej porozmawiajmy, nie zmuszaj mnie, żebym komuś zlecił tę sprawę, wiesz, jak to się może skończyć. No, już, otwieraj.

Cisza.

— Mówię ci, że nie ma sprawy, do cholery! Proszę cię tylko, żebyś nie kazał mi czekać na zewnątrz. Nie chodzi o wielką sumę, sprawa nie jest warta całego tego burdelu. Trochę się niepokoiłem, to chyba normalne, chcę się po prostu dowiedzieć, co się dzieje. Daj mi jakieś wyjaśnienie.

Fałszywy, jak tylko się da, dwoję się i troję, żeby go uspokoić i nakłonić do otwarcia drzwi. Potem go rozwałę. Mówię dalej łagodnym głosem. Po chwili uchyla drzwi i przystawia mi do twarzy mały pistolet. To szmata! Naprawdę miał broń. Muszę go uspokoić do końca, i to szybko.

Patrzę na broń z rozbawionym uśmiechem i mówię lekko kpiącym tonem:

— Oj, Rusek, Rusek, spokojnie, nie zabija się ludzi o byle co. Chcę z tobą pogadać, daj już spokój!

Ale on zupełnie nie zamierza dać spokoju. Paraliżuje go strach, mogę to wyczytać z jego twarzy. Nie ogolony, ubrany w stary szlafrok narzucony na podkoszulkę, w niczym nie przypomina playboya z sali gier. Upewnia się, czy naprawdę jestem sam.

— OK, wejdz.

Za gardło chwyta mnie zapach stęchlizny.

— O rany, śmierdzi tu u ciebie! Trzeba przewietrzyć!

Idę do okna, ale zatrzymuje mnie.

— Nie ruszaj się. Siadaj tutaj.

Jego głos zrobił się twardy, najwyraźniej facet czuje się pewniej. Siada naprzeciwko mnie cały czas mierząc do mnie ze swojej spluwy. Wcale mi się nie podoba ta mała czarna dziurka wycelowana dokładnie między moje oczy.

— Słuchaj, skończ już z tym teatrem. Przyszedłem się dowiedzieć, co zamierzasz w sprawie forsy, którą jesteś mi winien. To wszystko. Nic więcej nie chcę. Chyba nie masz zamiaru mnie zabić, co? Nie będziesz ryzykował więzienia dla jakiejś forsy.

Jego nora jest ciasna i brudna. Dokoła stoją skrzynki. Za moimi plecami zauważyłem stos kartonów z nazwą znanego sprzętu elektrycznego, w kącie leżą jakieś brudne łachy. Mam ochotę zapalić, przynajmniej nie będzie się czuło tego smrodu. Ale kiedy tylko robię pierwszy ruch, tamten podskakuje.

— Nie strzelaj — mówię mu z uśmiechem — to tylko papieros. Chcesz zapalić?

Potrząsa przecząco głową.

— Pogadajmy poważnie. Zapłacisz mi, czy nie?

— Nie mogę. Nie mam teraz pieniędzy.

Nadal we mnie mierzy. Przede wszystkim uspić jego czujność. Dopóki będzie taki spięty, do niczego nie dojdziemy. Wstaję i pogwizdując idę do toalety.

Rozpinam rozporek i odruchowo wypuszczam parę kropel do umywalki. W lustrze dostrzegam jego zaskoczone spojrzenie. Prawie zapomina o swoim gnacie.

— Przepraszam cię, Rusek, to takie niedobre przyzwyczajenie.

To prawda, że to niedobre przyzwyczajenie, ale to takie wygodne robić do umywalki. Myję ręce i poprawiam włosy. Kiedy wracam na swoje miejsce, facet wygląda już trochę normalniej.

— Jak mogłeś pożyczać pieniądze wiedząc, że nie będziesz w stanie ich zwrócić? Przecież wyglądałeś na dzianego faceta. Wiesz, co się robi, jak ktoś nie płaci długu? Nie zmuszaj mnie, żebym kazał ci połamać ręce i nogi.

— Nie chodzi o to, że nie chcę zapłacić, po prostu nie mogę, nie mam ani grosza. Ale to się już niedługo zmieni, to kwestia paru dni. Zobacz, mam pełno towaru do sprzedania. Potrzebuję tylko kilku dni, naprawdę, wierz mi.

To mały paser, nic więcej. Nieźle mnie nabrał. Nigdy bym się nie domyślił. Zabierze wreszcie ten niepotrzebny pistolet sprzed mojego nosa? Denerwuje mnie, tak nie można rozmawiać. Muszę zyskać na czasie. Oczekuje z mojej strony gwałtownej reakcji. Jedynym sposobem, żeby go uspokoić, jest naturalne zachowanie.

— No, dobra, obaj jesteśmy dorośli, porozmawiajmy. Nie jadłem śniadania. Nie bądź taki skąpy i daj mi kawy. Chyba nie żądam zbyt wiele? Naprawdę masz dziwny sposób przyjmowania gości.

Wstaje i idzie zrobić kawę na małej kuchence, w rogu pokoju. Czulem, że w tym facecie coś mi nie pasuje, ale nigdy bym sobie nie wyobraził takiego upadku.

— Robiłeś wrażenie bogatego człowieka. Masz klasę. Na ogół nie daję się oszukać.

Pochlebstwo robi swoje. Odpręża się i nawet wykrzywia twarz w uśmiechu.

— Mój biznes to karty kredytowe. Jak robię swoje przedstawienie, porządnie ubrany, każdy sklep daje się nabrać. Udał mi się większy numer, a potem...

Dlatego zachowywał się tak naturalnie, i to mnie zmyliło. Ma wprawę w udawaniu pewnych siebie. Gdyby wtedy nie przegrał, nigdy bym się nie dowiedział prawdy. Podaje mi filiżankę kawy, którą wypijam z przyjemnością.

— Dobrze mi to zrobiło. A teraz możemy porozmawiać poważnie.

— Słuchaj, Cizia, ja chcę ci zapłacić. Mam kupców na moje towary. Za cztery dni, najdalej tydzień, wszystko ci oddam, przysięgam. Nie miałem zamiaru cię naciągać, ale bałem się twojej reakcji.

— Wiem. To nieważne. Liczy się intencja. Dużo tego masz w tych kartonach? Może będę mógł ci pomóc. Na pewno mam znajomych, których to zainteresuje.

Wstałem i grzebię w tym jego burdelu. Zupełnie się nie znam na sprzęcie hi-fi. Próbuje wyciągnąć jakiś aparat z pudła pociągając za guzik, który zostaje mi w ręku.

— Co to za świństwo? To się rozwała!

— Oj, uważaj! To delikatny sprzęt! Dużo kosztuje! Poczekaj, zaraz ci pokażę...

Podbiega, żeby mi pomóc. Odłożył spluwę. Czekałem na ten moment i daję mu w mordę potężny cios pięścią, który powstrzymałem od



trzech kwadransów, bo tak długo już staram się, żeby ten jebany sukinsyn odłożył wreszcie tego kurewskiego, cholernego gnata!

Rozwała się o ścianę na przeciwległym końcu pokoju. Chowam rewolwer do kieszeni i podnoszę właściciela, po czym przyciskam go do ściany. Kopnięcie kolanem, akurat pod zebra. Otwiera szeroko usta. Oddechowy nokaut. Na chwilę mam spokój.

— A więc, skurwielu, nie chciałeś mi zapłacić od razu.

Rozpaczliwie usiłuje złapać oddech.

— Nie... mam... pieniędzy... nie... mogę...

— Dobra, wstawię to wszystko do lombardu.

— Nie... nie... do... lombardu...

— Ubieraj się, durniu, szybko!

W swojej brudnej podkoszulce, z okrwawioną mordą, naprawdę wygląda jak gówno. Jesteśmy daleko od pewnego siebie rosyjskiego księcia.

— Jesteś brudną świnia. Śmierdzi tu u ciebie i robisz paskudną kawę.

Daję kopa w kuchenkę i kawa pryska na ścianę. Telefonuję do La Strady. Paolo właśnie przyjechał. Podchodzi do aparatu.

— Tu Cizia. Weź furgonetkę i przyjeżdżaj. Mam robotę.

Ta szmata, już w ubraniu, usiłuje jeszcze się ratować.

— Cizia, proszę cię, nie do lombardu. To wszystko warte jest dziesięć tysięcy dolarów. Jeśli chcesz, ustalimy jakąś cenę...

Z czystej złośliwości, a także dlatego, że brał mnie za idiotę, raz jeszcze daję mu po mordzie.

— Za późno, chuju. Jak miałeś kłopoty, to trzeba było do mnie przyjść. Dogadalibyśmy się jakoś. Próbowaleś mnie oszukać, a ja nie lubię kanciarzy.

Chyba, że pracują dla mnie, ale tego nie musi wiedzieć.

Wkrótce potem przyjeżdża Paolo. Rozdziawia gębę w szerokim uśmiechu, kiedy widzi, w jakim stanie jest Rosjanin. Wskazuje mu kartony.

— Każ tej piździe załadować to do furgonetki.

Paolo to facet szybki i skuteczny, który nie lubi za dużo gadać.

— No, pizda, ładuj to!

Pod naszymi dobrotliwymi spojrzeniami facet zabiera się do roboty. Kiedy raz jeszcze próbuje argumentować, kieruję go na właściwą drogę udając, że chcę go kopnąć.

— Wkładaj kurtkę, jedziesz z nami.

— Ale dlaczego?

— Do rozładunku! A poza tym nie jestem złodziejem, kolego. Jeśli dostanę więcej niż trzy tysiące dolarów, to resztę ci oddam. Jazda, subito!

Rusek jedzie z tyłu, na kartonach. Zanim ruszymy, Paolo ziewa, jakby miała mu odpaść szczęka.

— Zmęczony?

— Si, ecco... Nie miałbyś trochę mokatyny?

— Co?

— No wiesz, tego białego proszku, żeby się rozbudzić...

— Kokainy! Jesteś nierozsądny, Paolo. Niedługo zostaniesz narkomanem.

Przygotowuję dwa rządki. Paolo jest zdolnym uczniem, zwiija już banknot w rurkę. Głośno wciąga, i błyskawicznie wraca mu forma. Poklepuje kierownicę i dwukrotnie naciska klakson.

— Dokąd jedziemy, boss?

— Chinatown.

W małych uliczkach chińskiej dzielnicy błyszczą neony w wiecznie otwartych małych restauracyjkach. Na chodnikach pełno Chińczyków. Jak to już dawno! Nie było mnie tu od czterdziestu dni, i jestem wzruszony znów widząc moje pierwsze kanadyjskie środowisko.

Mój koleś Li-Han siedzi w swojej knajpie.

— Cizia! Jak się masz? Chcesz zapalić?

— Nie. Mam dla ciebie biznes, ale musielibyśmy pogadać w spokojnym miejscu. Nie wiesz, gdzie można by postawić furgonetkę?

Li-Han prowadzi nas do podziemnego parkingu, parę ulic dalej. Są to garaże jakiegoś bloku, zamienione na plantację soi. Ogromne pojemniki z wodą i elektryczne grzejniki utrzymują tu, jak w szklarni, wilgotne i nieprzyjemne ciepło. Dziesiątki Chińczyków w fartuchach i białych czepkach uwijają się przy pracy, nie zwracając uwagi na naszą przeprowadzkę. Rusek przenosi kartony. Li-Han sprowadził z okolicy kolegów sklepikarzy, którzy skrzeczają oglądając sprzęt.

Nie znam się na tym kompletnie. Żeby uniknąć wielogodzinnych targów, przyjmuję prostą zasadę ustalania cen. Duże, to drogie. Małe, to niedrogie. Przy sprzedaży każdej sztuki Rosjanin załamuje ręce.

Li-Han półgłosem kusi mnie proponując fajkę opium i minetkę w wykonaniu kuzyneczki.

— Pamiętasz? Masaże?

Kiedy wszystko już sprzedane, dostałem w sumie trzy tysiące dwieście dolarów. Wciśniętej w kąt wynędzniałej szmacie, która była moim dłużnikiem, daję dwieście dolarów. Patrzy żałośnie i wkłada je do kieszeni.

— A mój pistolet?

To automat colt, kaliber 25. Kieszonkowa broń, nie robi dużego wrażenia, ale na małą odległość może być skuteczna. Wyciągam dwieście dolarów.

— Biorę go. Zauważ, jaki jestem hojny. Wart jest najwyżej połowę. Przyznaje to i jego zmysł handlowy budzi się natychmiast.

— A naboje? Będziesz potrzebował?

Wybucham śmiechem. Odzyskałem forszę, mój gniew ulotnił się i jego upór bawi mnie. Odwożę go do domu, polecając uprzednio Li-Hanowi, by na później przygotował mi swoją kuzynkę. Kupuję od Rosjanina naboi za sto dolarów. Żegnamy się, jakby nic nie zaszło. Nie tracąc czasu wracam do Chinatown.

Mała porcelanowa laleczka jest już gotowa w małym pokoiku, gdzie przed posążkiem Buddy nadal świeci lampka.

— Dzień dobry. Ja się cieszę, ty wróciłeś, panie Cizia.

Skromnie spuszcza wzrok. Gratuluję jej angielskiego, nie sądziłem, że tyle potrafi powiedzieć. Kładę się i dziewczyna zabiera się do roboty.

Masaż i czynności towarzyszące dobrze mi robią. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczony. Nocne życie źle na mnie wpływa i cierpi na tym moja kondycja. Zabiegi małej laleczki przywracają mi dobre samopoczucie.

Tego samego wieczoru kładę na stół odzyskane trzy tysiące dolarów. Zaskoczeni moi współnicy zasypują mnie pytaniami.

— Zapłacił ci bez gadania?

— Nie chciał. Ale trochę psychologii skierowało go na właściwą drogę...

Opowiadam im przebieg akcji. Kiedy przestają się już śmiać, widzę w ich oczach szacunek.

I tak upływają kolejne, podobne do siebie dni. Coraz mniej czasu spędzam przy stole do gry, zastąpiło go łóżko. Zdarza się, że opuszczam

je wyłącznie na czas podziału wygranych, bo chwila ta jest święta. Ku mojemu wielkiemu zakłopotaniu dzisiaj moją towarzyszką jest ta sama dziewczyna, co wczoraj wieczorem; Inez, piękna ciemnowłosa. Latynoska, stworzona jest, by się podobać i dawać zadowolenie. Zmysłowa i skora do uniesień myśli, że znalazła w mojej osobie ogiera, który spełni wszystkie jej życzenia, a nawet więcej. Jest w błędzie, bo jeśli tak wspaniale się nią zająłem, to głównie za sprawą tego fantastycznego boliwijskiego proszku, doskonałego afrodyzjaka, którego używam w dużych ilościach.

Inez siedzi koło mnie i opowiada głupstwa, pytając, czy ją kocham. Jak można tak szybko przechodzić do takich uczuć! Ledwo słucham jej paplania, zastanawiając się raczej, na kogo by ją tu zamienić dzisiejszej nocy, kiedy ukazuje mi się zjawisko, które usuwa w niepamięć wszystkie inne uroki wieczoru.

Boże, jaka ona piękna!

Blondynka, niebieskie oczy, wysoka i szczupła, z niesamowitymi piersiami. Haig, zawsze elegancki, podchodzi, by wziąć jej płaszcz. Nieodparta siła popycha mnie przez całą salę w jej kierunku.

Jestem o kilka kroków od niej, kiedy nasze spojrzenia spotykają się, by już się nie rozstać. Przebiega mnie jakby dreszcz i wiem, że ona czuje to samo.

Całuję ją w rękę, po czym obejmuję w pól. Prowadzę ją do baru, zostawiając Haiga samego, z płaszczem przewieszonym przez ramię.

— Szampana?

— Tak.

Jej głos jest cudowny, przyjemnie modulowany i ciepły. Ponieważ szampan Haiga daleki jest od doskonałości, posyłam do mojego barku po butelkę dom pérignon.

Na imię ma Helena, pochodzi z Quebecu. Mówi po francusku z cudownym akcentem. Jeśli chodzi o mnie, to chcę jej powiedzieć tylko jedno:

— Jest pani piękna.

Uśmiecha się do mnie. To wszystko, ale to wiele. Och! co za uśmiech. Więcej nie rozmawiamy. Nasze dłonie spotykają się. Nie cofa swojej. Przykładamy do ust kieliszki z szampanem, bez zbędnych słów. Wystarczą nam spojrzenia.

Otoczenie zniknęło. Nie słyszę już ani muzyki, ani rozmów. W kilka

chwil przeniosła mnie w inny świat. Zapomniałem, gdzie jestem, żeby móc myśleć tylko o niej, ale jej częste spojrzenia ponad moim ramieniem każą mi nagle odwrócić głowę.

Za mną siedzi Inez i morduje mnie wzrokiem, wargi ma zaciśnięte z wściekłości.

— Znasz tę dziewczynę?

Jak przez mgłę słyszę swój głos:

— Kto? Ja? O, nie, to znaczy... trochę.

Czuję, jak dwa sztylety wbijają mi się w plecy.

— Kocha cię, to widać.

— Kogo? Mnie?

— Jesteś jej kochankiem?

— Kto? Ja?

W duchu zastanawiam się, czy walnąć Inez w głowę od razu, czy poczekać na lepszą okazję, żeby ją otruć albo udusić w jakimś kącie. Na szczęście bez słowa opuszcza salę, blada od pohamowywanej wściekłości. Już ją wymazałem z pamięci.

Noc upływa jak we śnie. Pełnię honory klubu. Przechodząc sprawdzam stół do gry i pieniądze, które się na nim znajdują. Korzystam z tego, by dać znak mojej ekipie, by szybko kończyć z frajerami. Nieco później, w środku nocy, podział dokonuje się błyskawicznie.

Nie mam ochoty zostawać tutaj. Wiem, że wystarczy jedno słowo i Helena będzie moja.

Ale dla perły o takiej wartości potrzebuję nowej, czystej szkatułki. Moja sypialnia jest jakby zbrukana pobylem w niej moich poprzednich kochanek. Na tę okazję D'Amour zamienia się w szofera i wiezie nas jej czarnym lincolnem continental.

Serce mi bije jak sztubakowi. Czuję się niezręczny i nieśmiały. Kiedy dojeżdżamy do jej domu, na St. Mary Street, wysiadam i pomagam jej wysiąść. Mam ją pocałować, kiedy nasze spojrzenia spotykają się.

— Zaprosisz mnie? — pytam.

— Tak.

Nasza miłosa noc była spokojna, najspokojniejsza, jaką przeżyłem od dawna. Helena dołączyła do mnie w kąpielni, i wzajemnie się

umyliśmy. Jej skóra jest niewiarygodnie delikatna, cienka i jedwabista. Ma ciało absolutnie doskonałe.

Kiedy wychodzę, zdaję sobie sprawę, że się zakochałem! Zostawiłem ją, kiedy jeszcze spała. Przy drzwiach potknąłem się o włochatą kulkę; był to yorkshire terrier, który od razu narobił hałasu. Nie byłem w stanie powstrzymać impulsywnego odruchu, po czym cicho zamknąłem za sobą drzwi. Kiedy tylko znalazłem się na ulicy, pierwsze popołudniem sto jeden białych róż. gdzie kazałem zanieść jej wczesnym te proste słowa: „Kocham cię”.

Następnie, jak co dzień, idę zobaczyć się z Louie. Dzień zawsze zaczyna się od wizyty u fryzjera na Isabella Street. Nie cierpię się golić i od kiedy podróżuję, mam zwyczaj powierzać swój zarost zawodowcom. Codziennie pełny zestaw zabiegów: golenie, manicure i czyszczenie butów.

Fryzjer Dany, około czterdziestki, lekko zniewieściały, to kumpel. Nieodmiennie kończymy spotkanie małą partyjką gry w oko, w głębi sali, przy stanowisku mycia włosów. I nieodmiennie zabieramy Dany'emu jego forsę. Nigdy nie wygrywamy dużo, to raczej rytuał, sposób na miłe rozpoczęcie dnia.

Wygrałem od niego wspaniałą brzytwę, bardzo starą, z rogową rączką i ostrzem z hiszpańskiej stali. Noszę ją stale przy sobie, w lewym bucie. W razie bójki brzytwa robi o wiele większe wrażenie niż nóż, a ta w dodatku jest bardzo estetyczna.

Fryzjer Dany zajmuje się także paserstwem i handluje po trochu wszystkim. Za każdym razem proponuje fantastyczne okazje: od dziesięciu skrzynek prezerwatyw z główką myszki Miki po pierścionki z diamentem. Kupiłem od niego riot-gun, wspaniałą strzelbę Remingtona z obciętą lufą, za pięćset dolarów. Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda...

Następnie idziemy na obiad, najczęściej do Truffles, restauracji hotelu Hyatt Regency, albo do innego modnego lokalu. Jesteśmy znani wszędzie i nasze królewskie napiwki zapewniają nam doskonałą obsługę. Ale na rozpoczęcie wieczoru nic nie może się równać z Maxwell's Plum. Jest to bardzo elitarny bar na Yorkville Street. Część położona w głębi, otwierana wieczorem, posiada parkiet

taneczny, wokół którego ustawione są głębokie fotele i niskie stoliki, oświetlone dyskretnymi lampkami.

Każdego wieczoru mam zarezerwowany stolik i rzadko się zdarza, bym się tam nie pokazał. Maître d'hôtel, Sam, to mały francuski Żyd, bardzo zabawny. Z twarzy nie schodzi mu uśmiech i zawsze ma mi do opowiedzenia jakąś śmieszną historyjkę. Jesteśmy w dobrych stosunkach i kiedy przychodzę osobiście, zajmuje się grzecznym przesadzaniem osób, które nieopatrznie usiadły przy moim stoliku.

Tu zjadam swój wieczorny posiłek, zanim pójdę grać w karty. Płacę tylko duże rachunki, kawa i aperitif są na koszt lokalu. Biorąc pod uwagę, ile u nich zostawiam, to naprawdę drobiazg. Płacę wyłącznie banknotami pięćdziesięcio- i studolarowymi i nigdy nie czekam na resztę. Postanowiłem nie zaśmiecać sobie kieszeni drobnymi. W barze stale trzymają cztery butelki mojego ulubionego francuskiego szampana, jedyne alkoholu godnego moich kolacji.

Z wielkich sum, które zgarniam po całonocnej grze, następnego dnia nie zostaje nic. Nie rozumiem, jaką przyjemność można czerpać z tezauryzacji. Dla mnie pieniądze mają wartość tylko wtedy, kiedy je wydaję. Ta przygoda któregoś dnia się skończy, więc trzeba przynajmniej przeżyć ją intensywnie.

Nie wiem, czy to prawda, że kradzione nie tuczy, ale jest pewne, że szybko zdobyte pieniądze znikają z kieszeni jeszcze szybciej. Jedyнным moim ograniczeniem jest to, co mam w kieszeniach, nigdy mniej niż tysiąc dolarów. Czasami nie jest to łatwe, ale zawsze znajduję sposób, żeby wszystko roztrwonić, nie odmawiam sobie żadnej przyjemności, ulegam każdej pokusie.

D'Amour i ja gramy we dwójkę przez cały dzień i przy każdej okazji o wszystko: wiek kelnerki, kolor jej majtek albo wynik meczu baseballowego. Każde zdarzenie staje się okazją do zakładów, i nie ma takiego rachunku, o zapłacenie którego nie gralibyśmy w kości, normalne oczywiście! Zdarza się nam również robić zakłady z innymi klientami, przyszłymi jeleniami, w ten sposób wciągany w tryby machiny, która zaprowadzi ich do mojego klubu.

Kiedy nie ma o co się założyć, obrabiamy się wzajemnie w bullshitt-pokera. Karty zastępują tu numery seryjne banknotów, które trzymamy w ręku. Można robić kombinacje używając numerów własnych oraz domniemanych numerów partnera. Wygrywający zabiera banknoty

przeciwnika. Gramy tylko studolarówkami i stawki bardzo szybko rosną. Louie zasmakował w tych zwariowanych wydatkach, spodobał mu się ten nowy sposób bycia, i teraz rozumiemy się doskonale.

Dni upływają nam na zwariowanych numerach i wybuchach śmiechu. Ale dzisiaj godziny nie mijają szybko. Mam jeszcze przed oczami ciało Heleny, a jej łagodny głos nadal brzmi w moich uszach. Zawistny D'Amour po raz pierwszy pogratulował mi szczęścia. On też był olśniony, kiedy ją zobaczył, i nie szczędzi pochwał na temat jej urody. Słuchając jego komentarzy czuję się zażenowany.

— Takiej sztuki jeszcze nie widziałem. Masz niesamowity fart. Gdyby przyszło mi do głowy, że przyjdzie do klubu, zrobiłbym wszystko, żeby cię wyprzedzić.

— Dlaczego, znałeś ją wcześniej?

Wykrzykuje:

— Jak to, nie wiedziałeś? To aktorka. Grała w filmie, poza tym pojawia się w telewizji. Jest fantastyczna, naprawdę znalazłeś najlepszy towar w mieście.

Jako prawdziwy samiec nie może się powstrzymać, by nie zadać mi pytań na temat naszej wspólnej nocy.

— Dobrze się wali? Chyba bomba w łóżku, nie?

Po raz pierwszy pozostaję przyzwoity i udzielam wymijających odpowiedzi.

— No, opowiadaj, warta grzechu? Zna się na rzeczy?

Odmawiam podania jakichkolwiek szczegółów. To mój romans i nie mam ochoty go zbrukać. Kiedy zapada wieczór, dzwonię do niej, żeby ją zaprosić.

— Dobry wieczór, tu Cizia.

— Dobry wieczór. Dziękuję za kwiaty, sprawiły mi naprawdę wielką przyjemność. Nie powinieneś być.

— Zapraszam cię na kolację, spotkamy się w Maxwell's Plum?

— To miło z twojej strony, ale jestem zajęta i nie mogę tego odwołać.

— A później?

— Też nie mogę. Jutro mam przesłuchanie i muszę wcześniej iść spać. Następnym razem. Obiecuję.

Mam zepsuty wieczór i gram bez przekonania. Duchem jestem

gdzie indziej. Czegoś mi brakuje. Tej nocy, po raz pierwszy od bardzo dawna, kładę się spać sam.

Dopiero dwa dni później jemy razem kolację w Truffles. Helena promienieje. Mówi robiąc wielkie gesty, nieco przesadna w zachowaniu, ale zachowuje swoją naturalną klasę. Sprawiają jej przyjemność spojrzenia ludzi, którzy ją rozpoznali. Jednakże, pomimo jej wybuchów śmiechu, czuję, że zachowuje dystans i wkrótce dowiaduję się, dlaczego.

— Cizia — mówi mi, nagle poważniejąc — to był błąd, że byliśmy razem tamtego wieczoru. Myślę, że lepiej będzie, jeśli pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Twoje życie zbyt różni się od mojego. Nie znam cię.

Nie wiem, kim jesteś i co robisz w życiu.

— Nic szczególnego, moja śliczna. Jestem tu na wakacjach.

— To po co nosisz rewolwer i brzytwę?

A ja myślałem, że rozebrałem się dyskretnie! Więc to ją niepokoi.

— To dwa przedmioty, które dostałem od dziadka, moje jedyne pamiątki rodzinne. Bardzo mi na nich zależy.

— Więc po co nosisz je przy sobie?

— Przynoszą mi szczęście.

Nie jest naiwna i doskonale wiem, że jej nie przekonałem, ale Helena przede wszystkim pragnie, by ją uspokoić. Jest trochę przerażona tym nieznanym światem, którego istnienia się domyśla, i wkładam wiele wysiłku, by ją pocieszyć i roztoczyć cały swój urok osobisty, odzyskując jej zaufanie.

— Cizia, jest ważna rzecz, o której musisz wiedzieć, jeśli nasz związek ma mieć jakąś przyszłość.

— Co tylko zechcesz, moja piękna. Dni bez ciebie za bardzo mi się dłużą.

Patrzy na mnie swoimi niebieskimi oczami.

— Nie może być innych kobiet poza mną, jak długo będziemy razem.

Uf! Już się bałem, że zażąda małżeństwa albo oświadczy mi, że jest w ciąży.

— Ależ oczywiście, to się rozumie samo przez się.

— A jeśli pojawi się inna kobieta, nie będziesz już się ze mną spotykał!

Jakżeby inaczej!

Mówię jej wszystko, co pragnie usłyszeć. Nie muszę kłamać, bo jest pewne, że w tej chwili nie myślę o innych kobietach.

Więc zaakceptowałem jej reguły, miałem na to ochotę, i od tego czasu mieszkam u niej. Oczywiście zachowałem swoje mieszkanie w klubie, które teraz służy mi już tylko do podziału forsy. Ze swej strony Helena to prawdziwy zawodowiec. Bardzo dba o swoje ciało i uważa, by się nie przemęczać. Jest w połowie kariery, potrzebuje uregulowanego trybu życia. Całkowicie mi to odpowiada. Mam dzięki temu spokojne miejsce, gdzie nikomu nie wolno mi przeszkadzać. W zaciszu jej mieszkania przeżywamy piękną miłosną przygodę.

Jedyną przeszkodą w naszym romansie jest Minette, włochata kula, o którą się potknąłem pierwszego wieczoru. Od tej pory nie lubi mnie i jest to całkowicie odwzajemnione. Jest to yorkshire, a raczej „yorkshit”, zgorzkniała stara panna, taki mały głupi pies, jakiego każdy chciałby wyrzucić przez okno przynajmniej raz w życiu. Ja w każdym razie wielokrotnie byłem już o krok od zrobienia tego, ale Helena bardzo go kocha i postanowiłem szanować jej własność.

Minette — co za kretyńskie imię! — ma zwyczaj spać na łóżku, w nogach swojej pani. To małe coś nieustannie się rusza i przeszkadza mi. Pierwszy raz strąciłem je z łóżka kopniakiem niechcący, później zasmakowałem w tym: każdej nocy staram się, małymi podstępными uderzeniami, zrzucić psa na podłogę.

Nie pokazuję mojej wrogości Helenie, która uwielbia tego potworka, ale kiedy tylko się odwróci, moje przyjacielskie pieszczoty zamieniają się w ciosy w pysk. Helena zaczyna się czegoś domyślać. Trzeba powiedzieć, że popełnia błąd zostawiając nas samych w mieszkaniu, i weszło mi w zwyczaj zamykać tę jej sukę do szafki z butami, kiedy tylko pani domu wyjdzie do miasta.

Ale raz Minette zemściła się, uszkodzając mi parę wysokich butów. Od tej pory wkładam ją do pudełka kartonowego, po czym chowam całość do szuflady. Pies nie ośmiela się już nawet na mnie szczekać.

Helena jest naprawdę bardzo wziętą młodą dziewczyną. Większość jej czasu upływa na audycjach, spotkaniach i tak dalej. Co do mnie, to gra zajmuje mi większość nocy, i często, kiedy się budzę, Heleny już

nie ma. Co tydzień prowadzi ona program nadawany na żywo, „Party Game”, który bardzo mi się podoba.

Leniuchując w łóżku lubię na nią patrzeć, wiedząc, że ten kanadyjski sekssymbol, podziwiany i oklaskiwany przez dziesiątki tysięcy telewidzów, wkrótce po programie dołączy do mnie, by rozpocząć inny program, tylko dla dorosłych.

Spędzamy razem większość popołudni i wszystkie wieczory aż do otwarcia klubu. Chodzimy na długie spacerunki zakochanych. Dzięki Helenie odkrywam miasto, które dotąd wydawało mi się podobne wszystkim innym amerykańskim miastom, z downtown, drapaczami chmur i szerokimi alejami. Toronto jest miastem świeżym i przestronnym, pełnym parków i traktów, miastem, w którym przyjemnie jest mieszkać. Po ponad dwóch miesiącach odkrywam, że leży ono nad brzegiem wielkiego jeziora Ontario, nad którym jest port jachtowy oraz turystyczna infrastruktura. Jezioro staje się moim ulubionym miejscem wypoczynku i jeśli nie jest zbyt zimno, długo spacerujemy wzdłuż jego brzegów.

Pomimo sporych rozmiarów miasto nie ma zorganizowanej przestępczości ani ulicznych rozbojów. Daleko stąd do operacji wymuszania okupu przez mafię amerykańską. Całe szczęście dla mnie, bo nigdy nie mógłbym się tu urządzić i rozwinąć działalności. Powstrzymano by mnie.

Jest mi dobrze, jestem szczęśliwy. Mam biznes, który zaspokaja moją potrzebę działania, mnóstwo pieniędzy i najpiękniejszą dziewczynę w ramionach. Zdarza się, że na całe miasto patrzę okiem właściciela.

Często wychodzimy we czwórkę, z Dianą i D'Amourem, który z konieczności powrócił do bardziej małżeńskiego życia.

Podobnie jak ja, Helena uwielbia ekshibicjonistyczną przesadę. Lubi się pokazywać i zaznaczać miejsca, w których bywa. Żeby sprawić jej przyjemność, zwiększam dawkę szpanu. Wychodzimy bez przerwy na ekstrawaganckie kolacje. Zawsze zamawiam tylko najlepsze rzeczy i zawsze z francuskim szampanem. Rachunki opiewają na astronomiczne kwoty. Moje niesłychane napiwki sięgają niekiedy wielu setek dolarów.

Wszędzie przyjmują nas z szerokim uśmiechem, i zaczyna się

podstępna walka o to, kto będzie obsługiwał przy naszym stoliku. Jeśli Helena upuści widelec, pięć osób rzuca się, by go podnieść, i nie mogę wyciągnąć papierosa, żeby nie rozpoczęły się prawdziwe fajerwerki. Widziałem w Truffles, jak kelnerzy zwyczajnie się pobili o przywilej obsługi nas.

Wszystko to podoba się Helenie. Dzięki niej poznaję modne w showbusinessie lokale. Często chodzimy do Julie's Mansion, wielkiego starego dwupiętrowego domu o eleganckim wystroju. To ulubione miejsce aktualnych gwiazd, obsługuje tu około dwudziestu kelnerów, jedna ładniejsza od drugiej, ubranych jedynie w przezroczyście sari pozwalające odgadnąć wszystkie ich wdzięki. Nie są fordanserkami, to raczej luksusowe kurtyzany, ich obecność dodaje estetycznego smaku doskonałej jakości potrawom. Pozostając wierny danemu słowu, nie odmawiam sobie jednak tak przyjemnych widoków.

Obiecałem monogamię i dotrzymuję obietnicy, pomimo nieustannych pokus. Zresztą Helena robi wszystko, żeby mi w tym pomóc. Któregoś wieczoru w Julie's Mansion, gdzie jestem już dobrze znany, wychodzi na chwilę, by poprawić fryzurę. Kiedy wraca, przy moim stoliku siedzi pięć dziewcząt, szczebioczących i uwodzicielskich. Helena z miną właściciela kładzie rękę na moim ramieniu i wystarczy krótkie zdanie, by przepędzić intruzki:

— Odejdźcie, on jest mój.

Pozwoliłem jej na to, bo owa manifestacja wyłączności rozbawiła mnie i przyniosła mi zaszczyt. Ale lata poligamii musiały wyrzucić na mnie swoje piętno, bo Helena, choć z jednej strony ma do mnie zaufanie, z drugiej ma się na baczności. Później dowiedziałem się, że przeprowadziła wywiad na mój temat i że pokłóciła się w klubie z Inez, która przyszła oskarżyć ją o kradzież narzeczonego, a przy okazji ostrzegła ją przed moją niestałością, wyśmiewając moje przyrzeczenie wierności.

Kiedy Helena dowiedziała się, że nasz związek rozpoczął się od kłamstwa, odeszła z płaczem. Żeby ją pocieszyć, kazałem zanieść jej orchideę oraz pierścionełkę wysadzany diamentami, który wygrałem tego samego wieczoru w pokera. Nie mogłem się powstrzymać, by nie powiedzieć jej, że otrzymałem go od mojej babki, która przekazała mi go na łożu śmierci. Przecież nie mogę zmienić się tak całkowicie!

Po tym incydencie Haig przyszedł do mnie na dłuższą rozmowę. Widział mnie już w akcji i niepokoi się, bo bardzo lubi Helene.

— Nie wolno ci jej skrzywdzić. Helena to cudowna kobieta, zasługuje na to, żeby się nią opiekować.

— Ależ oczywiście, Haig. Nie ma problemu, no, przecież mnie znasz.

Patrzy na mnie w zamyśleniu:

— Znam cię, znam cię, to łatwo powiedzieć. Nie rozumiem ciebie, jesteś dziwny facet. Nie znam nikogo, kto w życiu codziennym byłby tak miły jak ty. Jesteś zawsze grzeczny, uprzejmy. Bardzo uprzejmy, masz dobre maniery, robisz wrażenie, jakbyś pochodził z którejś z najlepszych europejskich rodzin. Wszyscy są zgodni, że jesteś doskonały. Masz opinię człowieka hojnego, który chętnie pożycza pieniądze. Ale jesteś zdolny do takich niesłychanych metamorfoz! Kiedy grasz, wyglądasz jak wilk. Nie masz już przyjaciół i nie robisz prezentów. Czasami przeraża mnie ta twoja twardość, czuję, że nie ma w tobie litości. Jesteś dziwny — podsumowuje.

Pocziwy staruszek. Nie mogę wytłumaczyć mu wszystkiego, bo padłby tu trupem. Jest jedynym człowiekiem, który widzi mnie na co dzień nie znając prawdy o mnie.

Któregoś wieczoru wyraził chęć zagrania z nami w pokera. Odmówiłem. Moi współnicy byli zaskoczeni i niezadowoleni. Faktem jest, że nie mam prawa w ten sposób postępować wobec zespołu, który nie ma obowiązku liczyć się z moimi szlachetnymi uczuciami. Postanowiliśmy być lajdakami, trzeba nimi być aż do końca. Tym gorzej dla Haiga, jeśli ponowi swoją prośbę.

Bezlitosny jestem rzeczywiście, jeśli chodzi o pracę, i pozostaję nieugięty w kwestii długów. Tylko dwóm osobom udało się wykręcić. Jedną był sympatyczny i zabawny Włoch. Po przegranej przyszedł do mnie i powiedział, że nie jest w stanie mnie spłacić.

— Zupełnie szczerze, nie mogę, to wszystko. Nawet jeśli każesz mnie połamać na kawałki, nie będę w stanie dać ci nawet jednego dolara. Ale jeśli się zgodzisz, mogę się wykupić dostarczając ci mięso przez całą zimę! I co tydzień przynosi nam skrzynki włoskich produktów: salami, parmeńską szynkę, suchą kiełbasę i chianti.

Uznałem, że taka transakcja jest zabawniejsza niż rozwalenie mu głowy. Nie zasługiwałby na to.

Innemu też się udało, ze względu na jego zawód. Kokainowy dealer zawsze może płacić w naturze. A ja potrzebuję mnóstwo jego towaru. Nie mogę już usiedzieć w miejscu.

Jesteśmy teraz dobrze zorganizowani. Kupiłem pagera, czyli bip, którym moi współnicy posługiwali się już od jakiegoś czasu. Jest to małe czarne pudełeczko, na małe akumulatorki, które nosi się przy sobie, przy pasku lub w kieszeni. Jest na stałe połączone z centralą. Kiedy rozlegnie się dźwięk „bip”, wystarczy zatelefonować do centrali, by dowiedzieć się, kto mnie poszukuje i pod jakim jest numerem. Dzięki temu aparacikowi możemy błyskawicznie się kontaktować. W naszej pracy ma to ogromne znaczenie.

Jeśli znajdę interesującego gracza, którego zżera ochota na partyjkę pokera, wystarczy jeden telefon, by natychmiast, nie wzbudzając podejrzeń frajera, zorganizować dobrą spreparowaną grę.

Pager to bardzo niedawny wynalazek, mój aparat nosi numer 480. Jedyny problem to konieczność posługiwania się szyfrem w rozmowach.

Z dyskretnego i bezpretensjonalnego lokalu zrobiłem jeden z najbardziej znanych klubów w mieście, przynajmniej w pewnym środowisku. Nie lubię się ukrywać, i choć podobają mi się rzeczy zabronione, to tylko w pełnym świetle. Jak długo to potrwa, tyle potrwa...

Ale dzisiaj czuję kłopoty. Zauważyłem dwóch facetów wyraźnie odbiegających od zwykłego tłumy klientów. Choć moi goście miewają bardzo różny wygląd, ci dwaj na pewno tutaj nie pasują.

Nie pociągnąłbym długo w podziemnym światku, gdybym nie potrafił wyczuć, że dzieje się coś nienormalnego. Ci dwaj faceci są mocno podejrzani. Mają wypisaną na twarzach pewność siebie bandytów i zepsucie najgorszych mętów. To właśnie mi przeszkadza.

Ubrani w skórzane kurtki, bawełniane koszulki, dzinsy i kowbojskie buty wyglądają na dobrze trzymających się trzydziestolatków, są wysocy i bardzo mocno zbudowani. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że to dwaj bokserzy albo zawodnicy futbolu amerykańskiego, w każdym razie byli sportowcy. Jedno jest pewne, ci dwaj nie zarabiają na życie pracą intelektualną.

Najbardziej jednak niepokoją mnie nie ich rozmiary, ale coś w ich

zachowaniu, co każe oczekiwać najgorszego. Są zbyt wyzywający, zbyt pewni siebie, na granicy prowokacji. Patrzą dookoła ironicznym wzrokiem i zupełnie mi się nie podoba ich uśmiech, kiedy często podchodzą rzucić okiem na stół. Zachowują się jak zdobywcy.

Kiedy wstają, żeby pójść do toalety, stoją oparci o kaloryfer, przy wejściu na salę gier. Patrzą na mnie, jak przechodzę koło nich, w spojrzeniu mają wyzwanie, i czuję ich wzrok na moich plecach, kiedy idę w stronę drzwi.

Ogarnia mnie nagle wściekłość. Szukają zaczepki. Usiłuję się opanować. Nie chcę awantur w klubie; najpierw trzeba pogadać, żeby zorientować się, z kim mam do czynienia. Ale kiedy wracam na salę, widzę, jak właśnie wychodzą na zewnątrz.

Domyślam się, że wrócą. Nie przyszli tu bez powodu.

Rzeczywiście, następnego dnia, już dosyć późno, przychodzą i ustawiają się w tym samym miejscu.

Poczyniłem pewne przygotowania. W głębi sali gier, w szufladzie szafy, strzelba z obciętą lufą jest w zasięgu ręki. Nie mam zaufania do kalibru 25 Rosjanina. Riot-gun wygląda poważniej. Robi dziury jak talerze.

Po przeciwnej stronie klubu widzę Paola, rozwalonego w fotelu, pod którym ukrył kij baseballowy. Na początku wieczoru musiałem pójść do komórki, w której spał, i zdrowo nim potrząsnąć.

— Paolo, umiesz się tym posługiwać? — zapytałem, podając mu kij. Jeszcze nie rozbudzony wziął go odruchowo i odpowiedział:

— O tej porze? Na dworze jest strasznie zimno... a poza tym w baseball to ja...

— Ależ nie o to chodzi. Trzeba walnąć kogoś w łeb.

— A, to w porządku.

Uśmiecha się szeroko i od razu trzeźwieje. Każe mu zejść na salę i czekać w pogotowiu.

Klub powoli pustoszeje, a oba osiłki nieustannie przechadzają się po salce w głębi, z ironicznymi uśmiezkami na ustach.

Jestem podniecony paroma rządkami kokainy, mam wszystkie nerwy na wierzchu i coraz trudniej mi się opanować za każdym razem, kiedy dostrzegam któregoś z nich. Ale zajmuję w grze kluczową pozycję i muszę zachować spokój. Wiem, że to już niedługo.

O czwartej gra kończy się z braku jeleni. Wielkim wygranym jestem dziś ja. Zatrzymuję zespół, który właśnie zamierza opuścić salę.

— Zostańcie tutaj, jacyś faceci szukają guza.

Nie zauważyli niczego i pozostają na miejscach, zaskoczeni, oczekując na wyjaśnienia. Jedynie Chuck, bystrzejszy od innych, rzuca spojrzenie w stronę obu potężnych, którzy stoją w drugiej sali.

Klub jest praktycznie pusty. Haig zniknął w kuchni, żeby przeliczyć utarg z kelnerami. Daję znak moim współnikom, by usiedli na krzesłach pod ścianą, obok drzwi. Ja sam pozostaję za stołem, z twarzą do wejścia, obok szuflady, w której leży riot-gun.

Obaj faceci powoli zbliżają się, wypinając piersi, i wchodzą do sali. Młodszy idzie przodem, z uśmiechem na ustach, bardzo pewny siebie. Kurtki mają rozpięte i nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, czy są uzbrojeni. Widzę, jak w głębi klubu Paolo powoli wstaje.

— Cześć.

— Cześć.

Dopiero w tym momencie zauważają, że nie jestem sam. Najwyraźniej spodziewali się zastać mnie samego. Niedobry punkt dla nich. Ale to nie zbija ich z tropu, i młodszy, blondyn z wrednym uśmiezkiem na twarzy, mówi:

— Zauważyliśmy, że sporo wygrywasz.

— Tak, mam szczęście! — mówię, zgarniając forszę leżącą przede mną.

— Gównno, nie szczęście! Oszukujesz, mały, i chcemy dostać swoją część.

A więc o to chodzi. To tylko wymuszanie okupu, nic poważnego. Zanim przejdziemy do poważnej rozmowy, chciałbym jeszcze upewnić się, że nie mają broni.

— OK. Pogadamy. Wiecie, tu nie ma wiele forsy.

— Nie udawaj kretyna, makaroniarzu. Z nami to nie pójdzie.

Mówi cały czas blondyn, jeszcze pewniejszy siebie teraz, kiedy myśli, że się boją. Poczekaj chwilę, koleś!

— Per la Madonna, ale wy jesteście agresywni! Siadajcie, pogadamy!

— Nie!

— Napijcie się chyba czegoś?

— Nie!



Starszy nie powiedział słowa, ale blondyn coraz bardziej się denerwuje. Mają te skurwysyny broń czy nie?

— Nie będzie wam przeszkadzało, jeśli naleję sobie kieliszek? — pytam, podchodząc do szafy z przepraszającym gestem.

Świadom ich spojrzenia wbitego w moje plecy, naturalnym gestem otwieram szufladę. Potem wszystko odbywa się bardzo szybko. Chwytam strzelbę obracając się jednocześnie na pięcie. Zanim którykolwiek zdołał zareagować, przystawiam lufę do piersi blondyna.

— Więc chcesz mojej forsy, asshole?

Wskazuję na plik banknotów na stole.

— No, proszę, weź sobie, fucking son of a bitch!

Rozsada mnie nienawiść, jaką nagromadziłem w sobie przez ostatnie dwa dni na myśl, że ci dwaj w ogóle ośmielili się pomyśleć o zabraniu mi mojej forsy. Mam niesamowitą ochotę rozwalić im łby!

— Więc ja oszukuję, a ty chcesz swoją część, mother-fucker? No więc dalej, bierz ją sobie!

Pobledli, zaskoczeni moją reakcją, cała pewność siebie znikła, stoją jak skamieniali.

— Nie, poczekaj, wytłumaczmy ci. Wait a minute...

Już za późno. Nadbiega Paolo. Nie zadając zbędnych pytań potwornym ciosem kija baseballowego wali blondyna, który pada na ziemię. Teraz rzucają się wszyscy.

D'Amour daje facetowi kopniaka prosto w mordę. Drugi gość ma refleks. Rzuca się do przodu. Uderza Bananasa pięścią w wątrobę i dobiega do drzwi, tam wywraca Paola pchnięciem ramienia i znika.

Chcę biec za nim, widzę, jak do walki przyłącza się Chuck. Ale przeszkadza mi stół i tamtemu udaje się uciec, Tymczasem na sali odbywa się jatka. Kopniakami, uderzeniami pięści i kijów baseballowych moi współnicy pastwią się nad skurwysynem, który ryczy z bólu. Na salę wpada przerażony Haig.

— Co się dzieje, zwariowaliście?

Na widok ciała blondyna, który leży znokautowany na dywanie, Haiga przechodzi dreszcz.

— Co to... zabiliście go?

— Nie, ma twardą głowę. Pilnuj swego nosa, to nasze sprawy.

Nie słuchając jego protestów podnoszę skurwiela i sadzam go opierając o ścianę. Dostał solidnie. Obawiając się, by nie wstał, bo to naprawdę góra mięśni, Paolo, Chuck i Louie walili z całej siły.

— Dobra, a teraz gadaj. Kto cię nasłał? Dokąd zwał twój kumpel? Kim jesteście?

Każde pytanie podkreślam uderzeniem w twarz zamkniętą dłonią. Facet, przygwożdżony lawiną ciosów, nie jest w stanie odpowiadać. Ale czas nagli. Jego koleś może coś szykować, i trzeba go szybko zneutralizować.

— Cizia, telefon.

Dzwoni tamten, ogarnięty paniką.

— Nie zabijajcie go! Zaszła pomyłka. Nie zabijajcie go!

— Gdzie jesteś?

— Niedaleko, pozwólcie mu odejść, mówię wam, że to pomyłka.

— Jeśli chcesz odzyskać kolegę, to przyjdź się tłumaczyć tutaj.

— OK, ale porozmawiajmy spokojnie. Żadnych pułapek.

— Jeśli chcesz go odzyskać, przychodzisz zaraz, i to sam. To wszystko!

I odkładam słuchawkę.

— Paolo, bierz dwudziestkępiątkę i schowaj się w samochodzie.

Gdyby było ich więcej, zatrab.

Parę minut później dzwonek do drzwi. Panująca na dworze cisza upewnia mnie, że jest sam, i otwieram drzwi. To rzeczywiście on, trzymając rękę na widoku, na ustach ma przepaszający uśmiech.

— Wchodź.

Kieruję lufę na jego brzuch. Paolo, który podszedł do niego od tyłu, przykłada mu pistolet do nerek.

— No, co? Umówiliśmy się, że porozmawiamy spokojnie!

— Zamknij się! Włóż.

Prowadzę go pod lufą do sali i sadzam na krześle koło jego kumpla, na którego rzuca zaniepokojone spojrzenie.

— No dobra, więc co masz do powiedzenia?

I przez dwadzieścia minut przepasza. Nie wiedział, nie chciał, to jego kumpel powiedział mu, że jest łatwy numer do zrobienia. Potrzebują forsy, ale do mnie osobiście nic nie mają.

Kiedy mówi, nie mogę powstrzymać uczucia szacunku. Ten facet ma zalety. Wrócić prosto w paszczę lwa, żeby uratować kumpla! Odwaga i wierność to cechy, które szanuję. To go ratuje. Ten drugi dostał za swoje, to wystarczy. Najadł się strachu na całe życie. Ten facet przyzwyczajony do zadawania ciosów, a nie do ich otrzymywania, zwłaszcza od mniejszych od siebie.

Nikt za nimi nie stoi. Pozwalam im odejść. Przedtem daję nawet kieliszek pobitemu, żeby miał siłę dojść do parkingu... Na dworze luty mróz. Patrzę, jak ich stary buick buksuje na lodzie, po czym odjeżdża. Uspokojony wracam do klubu.

Haig czeka na mnie na górze, wydarzenia przerosły go.

— Cizia! Cizia! Co tu się dzieje? Coś ty znowu narobił?

— Ci dwaj przyszedli tutaj, żeby zabrać ci twój klub. To bandyci, złodzieje. Masz szczęście, że to mnie wzięli za właściciela.

Haig nie wygląda na przekonanego, ale nie nalega. Wzruszam ramionami i zamyślony idę zabrać forszę.

Haig, staruszku, za dużo myślisz. Przy całym szacunku, jaki dla ciebie żywię, będę zmuszony rozwiązać twój problem. Za bardzo się niepokoisz, a nie chciałbym, żebyś wbił sobie do głowy pomysł zlikwidowania gier w moim klubie.

Banas rozpoznał jednego z naszych gości, starszego, tego, który wrócił po kumpla. Według niego facet pracuje w nocnym lokalu w centrum, na Dundas Street. Jest tam bramkarzem.

Następnego dnia idę go odwiedzić, sam, ale uzbrojony. Nie sądzę, by mi coś groziło, ale wolę się upewnić, że ostatecznie zrezygnowali z robienia mi problemów i że nie mają zamiaru się mścić.

Wejście do lokalu strzeżone jest przez ogromnego faceta z mordą buldoga, o wyjątkowo odpychającym wyglądzie. Jego nabijany metalowymi gwoździemi pas z trudem podtrzymuje wielki brzuch piwosza. Siedzi i je hamburgera, obficie mażąc koszulkę i podbródek keczupem.

— Słucham?

Przygląda mi się, już wrogo nastawiony, oczka przymrużone. Jestem zbyt dobrze ubrany i nie podobam mu się.

— Szukam faceta, który tutaj pracuje. Wysoki brunet.

— No wiem, Harry. Co od niego chcesz?

Raz jeszcze taksuje mnie wzrokiem, pochłania resztę hamburgera i z trudem wstaje, by zapukać w znajdujące się za jego plecami drzwi. Otwiera się judasz.

— Powiedz Harry'emu, że jest jakiś facet do niego.

Harry jest zaskoczony moim widokiem.

— Spokojnie, chcę z tobą pogadać. Mam dla ciebie propozycję.

Wewnątrz śmierdzi mieszkanką potu, rozlanego piwa i tanich

perfum; charakterystyczny zapach amerykańskich knajp. Jest ciemno i duszno. Tłum ludzi podryguje na parkiecie słuchając ogromnego czarnego pianisty, śpiewającego ochryplym głosem. Dwóch czy trzech zdechłaków na drugim planie uzupełnia tę orkiestrę.

Harry toruje nam drogę do baru i autorytatywnie odsuwa klientów, żeby zrobić miejsce dla nas.

— Czego się napijesz?

— Whisky bez wody.

Pochyleni nad kontuarem dwaj faceci głośno pociągają nosem. Lokal mocno pachnie meliną dealerów. Dookoła stoją klienci, zataczający się bynajmniej nie od alkoholu. Zamieniam kilka słów z Harrym i upewniam się, że nie żywimy do siebie urazy.

— Powiedziałeś mi wczoraj, że potrzebujesz forsy, zgadza się?

— Tak.

— Chcesz pracować dla mnie?

Patrzy z obrzydzeniem wokół siebie, po czym odpowiada.

— Tak.

To dobry nabytek. Zastąpi Paola, którego brak snu i kokaina porządnie już zniszczyły. Nocne życie nadało mu zielonkawą cerę, i chwilami moje polecenia z trudem torują sobie drogę do jego zamglonego umysłu.

Jego bokobrody zwiędły. Zaczyna zamieniać się w ruinę. Nie tylko on zresztą. Nadużywanie wszystkiego, co się da, niszczy moje zdrowie. Moje mięśnie zanikają, jestem blady i mam krótki oddech. Przeszkadza mi to. Niedobrze jest się tak zapuścić, a w mojej sytuacji może to nawet być niebezpieczne. Problemy pojawić się mogą w każdej chwili, i dobrze byłoby przygotować się fizycznie na każdą ewentualność, bo strzelanie do ludzi jest zabronione.

Jak dotąd moja wrodzona złośliwość, moje zepsucie i moje szczęście pomagały mi w różnych bijatykach, z których zwykle wychodziłem w korzystnej sytuacji. Nie jestem mały, ale w tym kraju wszyscy są co najmniej o głowę wyżsi. Jestem odważny, ale trochę treningu dobrze by mi zrobiło. I D'Amourowi też.

Utwierdzam się w tym ponownie dziś rano, kiedy patrzę w lustro. Naprawdę nie jest dobrze. Zamiast obrazu niepowstrzymanego zdobywcy, opromienionego aureolą, lustro pokazuje mi jakiegoś

podstarzałego chylącego się ku upadkowi faceta, ubranego w zbyt obszerny jedwabny szlafrok.

Widzę przed sobą nie tylko głowę wariata, ale w dodatku człowieka, który przedwcześnie się postarzał, z ogromnymi sińcami pod oczami. Już od dawna nie sypiam więcej niż parę godzin na dobę.

Przyglądam się sobie w lustrze, usiłując napinać mięśnie, przyjmować korzystne pozy.

Nic z tego. Ruina!

Lustro, lustro... Musiałoby być cholernie magiczne albo cholernie kłamliwe, żeby pokazać mi korzystny obraz mojej osoby. Jak tak dalej pójdzie, czeka mnie cementarz w krótkich abcugach, i moim wrogom pozostanie patrzeć, jak czas wykonuje ich zemstę. Muszę koniecznie coś zrobić!

Łażę trochę po mieszkaniu, w którym są liczne ślady wczorajszej zabawy, i myślę nad rozwiązaniem. Na stole walają się szklanki, na ziemi leży butelka, której zawartość wsiąkła w dywan. Na małym lusterku leżącym na komodzie, obok zwiniętych w rurki banknotów, dwa zapomniane rządki kokainy wskazują mi źródło mojego upadku.

Oto winowajca! To ten narkotyk mnie wykańcza!

Mściwym ruchem wciągam nosem oba rządki, robię sobie kawę i zdecydowanym krokiem, choć nadal w złym humorze, idę przez korytarz zapukać do drzwi D'Amoura.

Odpowiada mi poszczekiwanie dwóch glistowatych piesków, po czym Diana przychodzi otworzyć; jej oczy kleją się od snu, a z morderczym cuchnie alkoholem.

Jest w stanie jeszcze gorszym niż ja, i z trudem powstrzymuje grymas obrzydzenia. Nad jej policzkiem beznadziejnie zwisają sztuczne rzęsy, których w pijackim zamroczeniu zapomniała zdjąć poprzedniego wieczora. Ubrana w różowy szlafrok i domowe pantofle z różowymi pomponami wygląda jak stara kurwa u kresu kariery.

Na sam jej widok moje samopoczucie pogarsza się jeszcze bardziej.

— Obudź swojego faceta!

— Dlaczego?

— Jak to dlaczego? Obudź go, mówię ci!

I tak znoszę ją z trudem, ale dziś rano wygląda tak wulgarnie, że napawa mnie obrzydzeniem. Tylko ze względu na D'Amoura dotąd nie dałem jej kopa w tyłek.

Wiem, że robiła przykre uwagi Helenie, którą usiłuje małpować. Tak jak gdyby ropucha mogła upodobnić się do białej gołębiczy! Dziś rano nie lubię nikogo! Zataczając się do drzwi podchodzi Louie, usiłujący zawiązać swój szlafrok.

— Co się stało, Cizia? Która godzina?

— Partner, trzeba się przygotować, mamy dużo roboty.

— Co takiego?

Znajduje się jeszcze w oparach snu, łapie go więc za ramię i obejmuję jego biceps dookoła palcami jednej dłoni.

— To wszystko ma być umięśnione. I to szybko!

Patrzy na mnie zaskoczony, przekonany, że zwariowałem. Opowiadam mu o dobroczynnym wpływie kultury fizycznej, o przyjemności płynącej z posiadania dobrze umięśnionego ciała, doskonale funkcjonującego, oraz o dumie, jaką się odczuwa, kiedy w ładnym stylu poobrywało się komuś uszy. Niezbyt przekonany przejmuje jednak mój entuzjazm.

— Zgoda, ale bez dłoni.

— OK. Bez dłoni.

I w ten sposób, po dokonaniu paru zakupów, znajdujemy się w hali kulturystycznej.

— Cizia, chodź! Pomóż, szybko!

Znowu D'Amour ma kłopoty. A przecież tak dobrze zaczęliśmy. Byliśmy bardzo eleganccy. Wy tłumaczyłem Louie, że porządny trening zależy przede wszystkim od starannego wybrania odpowiedniego stroju. Kupiłem sobie biały szlafrok frotté, jaskrawoniebieskie spodenki, a na ramiona od niechcenia zarzuciłem odpowiednio wyglądający ręcznik. D'Amour ma taki sam komplet, tylko czerwony.

Rezultat nie jest taki, na jaki liczyliśmy w sklepie. W moim przypadku to jeszcze ujdzie. Choć nie jestem przesadnie umięśniony, jako tako wyglądam. Ale Louie jest żaloszny. Nigdy w życiu nie zrobił fizycznego wysiłku, i kiedy widzę go wychodzącego z szatni, wybucham śmiechem. Jest chudy, biały jak umywalka, a jego patyczkowate nogi nikną w zbyt szerokich spodenkach. Urażony usiłuje przed lustrem naprężyć niedostrzegalne bicepsiki.

Na sali czuć pot i zapach nóg. D'Amour wpuszczony zostaje

między facetów o imponujących mięśniach, o ciałach wysmarowanych tłuszczem, którzy szpanują przed lustrami. Napięcie mięśni pośladków z prawej, napięcie z lewej, mały palec delikatnie odstaje. Od czasu do czasu któryś z nich podnosi jakąś sztangę, po czym wraca przed lustro, by się podziwiać. Prawią sobie nawzajem komplementy i zapisują wyniki pomiarów na małych karteczkach.

Co ja tutaj robię?

D'Amour położył się na plecach, by spróbować podnieść metalowy gryf połączony z jakimiś kablami. Louie, którego tors ma kształt pompki od roweru, został przygnieciony tym świństwem i teraz wzywa pomocy.

Nie rozumiem, jak działają te wszystkie urządzenia. Ciągnę, popycham jakieś dźwignie, nie osiągając specjalnych rezultatów. Denerwuję się, przeklinam i zaczynają patrzeć na mnie dziwnym wzrokiem. Przeszedłem w niewłaściwe miejsce.

Obok jest ciekawiej. To sala bokserska, gdzie przysze sławy podmiejskich ringów systematycznie przychodzą poprawić sobie profil. Trenerzy, z nieodłącznymi ręcznikami na ramionach, wrzeszczą, że trzeba walić mocniej. Kilku sponsorów o wyglądzie sutenerów, w trzyczęściowych garniturach i z cygarami w zębach, przychodzi niekiedy usiąść na sali, żeby porozmawiać o zaletach swoich podopiecznych.

W Azji trenowałem boks tajlandzki, wszechstronny i niebezpieczny sport, i spodobało mi się to. Tutaj śmierdzi i jest za dużo ludzi. Idę po D'Amoura, który drzemie w jakimś kącie.

— Chodź, zmywamy się stąd! Nic tu po nas. Znajdziemy co innego.

Mam już nowy pomysł.

— Źle podeszliśmy do sprawy. Mięśnie są niepotrzebne. Nam potrzebna jest technika walki.

Kupujemy szybko nowe stroje i wczesnym wieczorem przychodzimy do klubu karate, wybranego z książki telefonicznej.

Położony jest w środku Chinatown, nad restauracją. Na fasadzie domu straszy całą ulicę trzymetrowej wysokości karateka o twarzy zniekształconej nienawiścią i łuszczącą się farbą.

Tym razem rzecz wygląda poważnie. Obaj ubrani jesteśmy w prawdziwe kimona najwyższej jakości. Jestem złaźniony wiedzy i od razu

przyznałem sobie czarny pas. Czarny i biały to dwa kolory, które świetnie do siebie pasują. Wokół czoła zawiązałem przepaskę ze stylizowanym zachodzącym słońcem, emblematem japońskich kamikaze. Przed moją pierwszą lekcją gotowy jestem na wszystko.

Na sali grupa uczniów ćwiczy pod kierunkiem starego brodatego instruktora, który wygląda mi na zaspanego. Na uboczu, ubrani w kimona wyszywane na czerwono, czarno lub biało, faceci na wyższym poziomie doskonalą swoje techniki parami, wydając groźne okrzyki. Kompletne zestawy szabel, kijów i innych przyrządów, które mogą być niebezpieczne, jeśli ktoś umie się nimi posługiwać, pozawieszane są na ścianach wokół zdjęć przedstawiających wielkiego mistrza oraz widoki Japonii.

Uniknąwszy tradycyjnego ukłonu w stronę tatami, usiłujemy wykonać rozgrzewkę. Boli mnie wszędzie, był już najwyższy czas, żeby się za to zabrać. W tej dyscyplinie większość roboty wykonują przedramiona. Aby je zahartować, walimy jak wariaci w wyścielane gąbką deski. Kiedy wychodzimy, czuję entuzjazm. Czuję się doskonale. D'Amour również, choć ma nieco sztywne ręce, przez co tego wieczoru zmuszony jest do szybkiego odejścia od stołu gry, by uniknąć błędów manipulacyjnych.

Ale następnego dnia jest już fatalnie. Mięśnie mam sztywne i odczuwam ból w całym ciele. Kiedy przychodzi po mnie Louie, mam ochotę wszystko rzucić w diabły.

Ledwie przychodzimy, instruktor ponownie każe nam walić w te przekłete kawałki drewna. Jestem śpiący i raczej mam ochotę walić w kogoś. Na szczęście instruktor wzywa nas, by nauczyć paru chwytów, nie omieszkawszy przedtem poczynić uwag na temat mojego stroju.

Donośne „bip” z mojego pagera, przyczepionego do czarnego pasa dziesiątego dan, najwyraźniej mu się nie podoba, bo pozwalam sobie go uciszyć, żeby wysłuchać przeznaczonej dla mnie wiadomości. Za pierwszym razem dzwoni Helena, życząc mi dobrego dnia, następnie Chuck, który prosi o telefon; w tej sytuacji instruktor musi prowadzić mnie do swojego biura, gdzie znajduje się aparat. Kiedy wracam na salę, posyła mi posępne spojrzenie. Nie ośmiela się protestować, bo moje „bip” każe mu domyślać się, że jesteśmy gliniarzami.

Trenuję z wielkim kretyńcem, który umyślnie zadaje mi ból za każdym razem, kiedy pokazuje mi cios; a w dodatku stary wydaje mi rozkazy... Czuję się, jakbym był w szkole!

To też nie jest jeszcze dobra metoda. To nienormalne, żeby kłaniać się sobie po każdym ciosie. Wszyscy muszą być tutaj jacyś zakompleksieni. Trzy dziewczyny, które z nami ćwiczą, są paskudne i mają owłosione nogi. Z pewnością nie trenują, żeby nauczyć się bronić przed próbą gwałtu, bo pod tym względem nic im nie grozi.

A tamten dalej wali mocno, umyślnie. I to z uśmiechem. Korzystam z chwili przerwy, kiedy opuszcza gardę, żeby trochę odpocząć, i rąbię go nogą w szyję, po tajlandzku, rozkładając go na ziemi.

Właśnie przepraszam instruktora, zapewniając go, że był to tylko pożałowania godny odruch, kiedy rozlega się ryk bólu, po czym trzaska donośny policzek. Zaraz potem nadbiega Louie, trzymając się za przegub, z twarzą wykrzywioną grymasem godnym ciężko rannego.

— Ta cipa zwariowała. Chciała mi złamać nadgarstek. Wyobrażasz sobie?

Wymachuje mi przed nosem swoimi długimi białymi dłońmi szulera. Na prawej widnieje czerwona pręga.

OK, dosyć tego. Odciągam instruktora na bok.

— Słuchaj, profesorze, te twoje historie nas nie interesują. Nam są potrzebne kursy przyspieszone. Jesteśmy bardzo zajęci i nie mamy czasu uczyć się ukłonów. Rozumiesz? Pokaż nam tylko jakieś dziesięć ciosów, tak żeby poobrywać uszy i powybijają oczy, szybciotko, jakieś techniki duszenia albo nie wiem co jeszcze. Mogę ci zapłacić bardzo dużo, jeśli szybko nas tego nauczysz.

Jest zdumiony. Jego dostojne usta są półotwarte i cała mądrość zniknęła z jego tępych oczu. Potrzebuje dobrej minuty, żeby dojść do siebie i mówić wyraźnie.

— Ależ to niemożliwe!

Tłumaczy mi, że to, o co go proszę, klóci się z duchem sztuki walki, że naucza raczej pewnej filozofii niż technik bojowych, i że celem sztuk walki nie jest zabijanie, lecz właśnie unikanie przemocy.

— Brutalne stosowanie karate nie pomoże wam zrozumieć prawdziwej drogi, jaką prowadzi ta sztuka. Jej celem jest poszukiwanie harmonii z przyrodą, poprzez poznanie samego siebie.

Co mi tu opowiada ten stary bonza?

— No dobra, może się jakoś dogadamy. Zrobimy szybko te wszystkie historie, jak medytacja i ukłony, i przejdziemy do spraw poważnych. Zgoda, profesorze?

Potrząsa głową, zasmucony moim brakiem zrozumienia.

— To niemożliwe. Nie w takim celu wielcy mistrzowie przekazali nam swoją sztukę.

Słucham go uprzejmie, ale głównie mam ochotę mu przyłożyć, żeby przestał opowiadać mi te swoje bzdury. Z tego starego żadnego pożytku już nie będzie.

Opuszczamy klub, zostawiając po sobie przyjacielskie rady wypisane na ścianach szatni. Miejmy nadzieję, że nie jest sprzeczne z ich filozofią wsadzanie sobie wielkich mistrzów w dupę.

Trudno. W gruncie rzeczy moja metoda nie jest taka zła. Po tych wszystkich latach ulicznych bójek daję sobie jakoś radę. Potrzebuję tylko udoskonalenia. Wracam więc do sklepów: kupuję kij baseballowy, kastet i trzydziestkęosemkę z krótką lufą, o spłowanym numerze.

Paolo wbił hak w sufit mojego pokoju i zawiesiłem tam sześćdziesięciokilogramowy worek treningowy. Od czasu do czasu wyładowuję się na nim i wygląda to bardzo elegancko.

D'Amour jest szczęśliwy. Miał już dosyć tych kretynizmów. Przez obolałe mięśnie popełnił kilka błędów manipulacyjnych przy stole.

A właśnie nadszedł czas, żeby wykazać się skutecznością, bo Haig zdecydował się grać, a ja się zgodziłem. Od czasu rozróby coraz częściej kręci się w pobliżu stołów do gry. Pragnie zrozumieć szaleństwo, które popycha tych wszystkich ludzi do przegrywania własnych pieniędzy. Około trzeciej nad ranem siedzi już przy stole do black-jacka.

Haig jest lekko podchmielony i ma wielkopański gest. Pod koniec nocy przegrał już dwa tysiące pięćset dolarów, w gotówce.

Mam już na niego haka.

Haig stanął mi na drodze. Jest przerażony skalą, na jaką rozkręciłem jego klub, i wielokrotnie mówił mi o potrzebie zmniejszenia liczby gier. Ani mi to w głowie! Trzeba więc, żeby zadłużył się u nas tak, bym miał zapewnioną jego współpracę, a przynajmniej neutralność.

Przez tydzień będzie walczył ze swoim przeznaczeniem. Co wieczór, około trzeciej, kiedy ubywa gości, siada do stołu, rozgorączkowany, usiłując odegrać się za straty dnia poprzedniego. Gra to nałóg, w który popada się szybko. Niebawem też Haig traci swoją pewność siebie. Jego stare ręce drżą, kiedy kładzie przed sobą stos żetonów.

Dziesiątka, trójka, dziesiątka. Znowu przegrał, ociera pot z czoła wielką chustką w kratę, którą, zdenerwowany, omyłkowo wkłada do zewnętrznej kieszonki marynarki. Łatwo traci rozsądek, przyzywa dobre karty, kreśli na stole znak krzyża.

Kiedy, dla uprawdopodobnienia całości, pozwalamy mu wygrać parę razy, ściąga uwagę całej sali swoimi okrzykami. Przy grze w craps ogarnia go prawdziwy szal. Jest niskiego wzrostu, ale zajmuje przy stole więcej miejsca niż ktokolwiek inny. Przemawia do kostek, każe mi na nie chuchać, każe chuchać sąsiadom, sam traci oddech, po czym bardzo mocno wyrzuca je prawie kładąc się na stole. Czekam tylko, kiedy się na niego wdrapie, żeby odczytać wynik. Gra pochłonęła go całkowicie. Niezmiennie, każdego ranka, powtarza mi to samo: „Jutro będę miał szczęśliwy dzień, jutro”.

Już trzeciego dnia nie jest w stanie spłacić swoich długów. Przegrał dziesięć tysięcy dolarów, płacąc gotówką, stanowi to całą jego rezerwę. Odmówiłem przyjmowania jego pierścieni i innych przedmiotów pod zastaw, pozwalam mu grać na kredyt. Wiem, że w ten sposób tym pewniej się pograży. Dopóki pieniądze nie leżą na stole, gracz nie zdaje sobie do końca sprawy, ile przegrał. Haig, całkowicie pochłonięty swoją pasją, nie jest tu wyjątkiem. Po tygodniu jest mi już winien czternaście tysięcy dolarów. Zatrzymuję go.

- Haig, dosyć tego. Trzeba pomyśleć o spłacie długu.
- Ależ Cizia, przecież wiesz, że nie mam pieniędzy.
- Wiem, i to właśnie mnie niepokoi.
- Ale muszę się odegrać. Pozwól mi grać.
- Nie. Pora zapłacić.

Porzucam ton koleżeński i rozmawiam z nim twardo. Nie muszę się wysilać, żeby zrobić na nim wrażenie. Ociera czoło, jak zwykle, chusteczką w kratę. Powrócił na ziemię, szaleństwo go opuściło.

- Ależ Cizia, ja nic nie mam, wiesz o tym. Mam tylko ten dom.
- Ile jest wart?

Przechodzi go dreszcz, przykłada rękę do serca.

- Nie! Nie to! Proszę cię, nie to!

Oczy zachodzą mu łzami. Zdaje sobie sprawę, w jakie szambo się wpędził, i zderzenie z rzeczywistością okazuje się zbyt trudne. Stracił cały swój splendor. Teraz jest już tylko małym staruszką, zagubionym w świecie, który jest dla niego zbyt twadry.

— Cizia, to wszystko co mam. To całe moje życie. Nie możesz tego zrobić przyjacielowi.

— Haig, nie próbuj mnie brać na sentymenty. Przyjaźń nie ma tu nic do rzeczy. Znasz zasady: przegrywasz, płacisz.

— Ale ja nie mogę!

Boże, jak trudno jest czasem być skończonym skurwysynem! Przez kilka chwil patrzę na niego udając, że szukam wyjścia z sytuacji.

— Dobra, dogadamy się. Ale musisz mi coś obiecać.

— Wszystko, co tylko zechcesz, Cizia.

— Obiecuj, że nie będziesz już grać.

— Przysięgam ci, przysięgam!

Spluwa na ziemię, podnosi lewą rękę, prawą, spluwa na nowo i proponuje, że przyniesie Biblię.

— Nie, wierzę ci. Więc zachowasz swój dom, ale...

Zawisa na moich wargach, z iskierką nadziei w oku.

— ...ja przejmuję kierownictwo klubu. Pozostajesz właścicielem ścian, do mnie należy biznes. Będziesz sprawował zarząd pod moim kierownictwem, a zyski będziemy dzielić.

Odczuwa pewną ulgę. Jego interes rozwinął się na skalę, która go przerażała. Dopóki chodziło tylko o normalny boozecan, działał skutecznie. Ale teraz sprawa go przerosła. Zapomniałem już, że klub jest nielegalny. Porwany moim pędem do wielkości widzę oczyma duszy obrazki z czasów prohibicji: gra dzień i noc, kobiety, alkohol i narkotyki bez ograniczeń. Podziemny świat. Żaden boozecan tak się nie rozwinął. Teraz należy do mnie. Zrobię z nim, co będę chciał. Haig, widząc, że się rozmarzyłem, trochę się niepokoi.

— Ale musisz jednak uważać, to może się stać niebezpieczne.

Coraz więcej czasu spędzam z Harrym, który został moim nowym gorylem. Po stażu, jaki przy mnie odbył, Paolo dobrze zasłużył na stanowisko zastępcy menedżera La Strady. Mając tylko jedną posadę zamiast dwóch będzie mógł szybciej wrócić do formy.

W wyniku moich starań Harry obciął włosy, ogolił się, nosi nowe ubranie i nie ma już mordy zebraka. Jest człowiekiem o milej powierzchowności i regularnych rysach, wygląda, jakby wyszedł prosto z uniwersytetu. Jego lekko rozmarzone spojrzenie jeszcze bardziej podkreśla wygląd nauczyciela gimnastyki.

Jest bardzo silny i umie się bić, ale absolutnie nie jest brutalem o małym mózdku. Mówi niewiele, ale odkąd pracuje dla mnie, często rozmawiamy i przekonałem się, że jest dość inteligentny i wykształcony, bo lubi czytać. Uwielbia Steinbecka. Jest smutny, niekiedy roztargniony, zdarza mu się uśmiechnąć, ale nigdy się naprawdę nie śmieje.

Nazajutrz po objęciu przez niego służby zrozumiałem, kim jest, kiedy zauważyłem, że lekko kuleje. Ma rozwalone lewe kolano.

Spostrzegł moje spojrzenie i wyznał mi:

— Byłem ranny. Wojna...

Harry to „vet”, weteran wojny wietnamskiej. Jak większość jemu podobnych jest zagubiony, odrzucony, szamocze się pomiędzy ciężarem strasznych wspomnień i przykrościami, jakie spotykają go od czasu powrotu.

Urodzony w Oklahomie, w jakiejś dziurze, gdzie przeznaczeniem jego było zostać farmerem, pojechał prosto do dżungli. Kazano mu iść i zabijać, więc słuchał rozkazów. Kiedy wrócił, opluto go nazywając katem i obarczając jego osobieście za napalm, bombardowania i wszystkie okrucieństwa popełnione tam przez obie strony.

Szybko miał tego dość i ponownie opuścił swoją błotnistą dziurę, tym razem wyjeżdżając do Kanady. Nienawidzi Stanów Zjednoczonych i nie chce już o nich słyszeć. Poza raną i wszystkimi przykrościami US Army zostawiła mu jeszcze jeden prezent: heroinę, od której nie potrafi się całkowicie uwolnić.

Lubię tego faceta. Zaprosił mnie do siebie, do małego podłego mieszkania w downtown, gdzie mieszka ze swoją rodziną. Jego żona to mała blondynka, niezwykle blada, niemal przezroczysta, o ogromnych bardzo jasnych oczach, zajmujących połowę twarzy. Ich synek, mały silny człowieczek, ma cztery lata i nazywa się Marlon, jest sympatyczny i pełen życia.

Dałem im pieniądze, żeby mogli zmienić dzielnicę i znaleźć sobie większe mieszkanie. Muszą zmienić otoczenie.

Harry ma dwadzieścia siedem lat. Przy jego inteligencji i z forszą, jaką przy mnie zgarnia, będzie miał okazję do nowego startu w życiu, i myśl o tym sprawia mi przyjemność. To kumpel.

Od tygodnia śnieg sypie bez przerwy, i całe miasto pokryte jest grubym białym cafunem. Po raz pierwszy widzę prawdziwy śnieg,

który nie ma nic wspólnego z szarą breją, jaką pamiętam z mojego dzieciństwa w Bordeaux. Helena przytuliła się do mnie, oboje otuleni jesteśmy w ciepłe futra i spokojnie sobie idziemy.

Wyszliśmy właśnie z Maxwell's Plum, gdzie piliśmy szampana. Klub jest tylko o sześć przecznic stąd, Helena lubi spacerować i świeże powietrze pomaga mi ochłonąć po alkoholu.

Spokojni, przytuleni miłośnie jedno do drugiego, snujemy plany na przyszłość. Opowiadam jej o moich nowych pomysłach na wykończenie wnętrza klubu. Mam zaufanie do jej gustu. Zamierzam także powiększyć salę gier, wstawić więcej stołów i wszystko odnowić.

Klub dopiero otwarto, ale na parkingu już pełno limuzyn. Teraz przyjmowaniem pierwszych gości zajmuje się Louie. Ja przychodzę dopiero, kiedy robi się ciekawiej.

Pukam do tylnych drzwi. Harry rzuca tylko zdawkowe spojrzenie przez wizjer, i otwiera nam. Jak zwykle pozdrawia mnie spokojnym uśmiechem, po czym pomaga Helenie zdjąć płaszcz. Podaję mu swój.

— Wszystko dobrze?

— Nic specjalnego.

Kupił sobie kilka szarych garniturów, w sportowym stylu, ale eleganckich. Z kieszeni marynarki wystaje książka.

— Dużo ludzi?

— Tak. Przyszli grupami po dziesięcioro.

Helena musi wcześniej wstać. Pójdzie spać do siebie.

Przed odprowadzeniem jej do taksówki pobieram swoją wieczorną porcję kokainy z paczki, którą chowam w zwykłym miejscu: wewnątrz starego wypatroszonego telewizora, który stoi zapomniany w pakamerze. Znajduje się tam też walizeczka z kośćmi do gry, sprawdzam odruchowo jej obecność.

Idziemy wypić ostatni kieliszek z Haigiem. Jest już po drugiej, i mamy tłum jak w święto. Stół pokerowy jeszcze jest pusty, ale noc zapowiada się obiecująco. Mamy właśnie wyjść, kiedy z przedpokoju dobiega trzask łamanego drewna, po czym słychać krzyki i odgłosy walki. Tłum gwałtownie przesuwa się, wciskając mnie w kominiek.

— Gliny, gliny!

Cholera, nalot.

— Heleno, dawaj trawkę, szybko.

Wyrwam jej skręta z rąk i wrzucam do ognia, razem z moim zapasem kokainy. Wokół nas rozpryskują się szyby... To faceci, którzy mają wszelkie powody, by obawiać się kontroli; wybrali najszybszy sposób wydostania się na zewnątrz.

Widzę, jak Chuck tygrysim skokiem przelatuje przez okno, trzymając w rękach krzesło jako osłonę, i znika w brzęku tłuczonego szkła. Wokół całkowita panika, każdy usiłuje się ratować.

— Daj chusteczkę!

Szybko wycieram rękojeść mojej trzydziestkiósemki, po czym wsuwam broń między oparcie i siedzenie fotela, a tymczasem umundurowani gliniarze rozbiegają się po pokoju, wylapując uciekinierów.

— Policja! Nie ruszać się!

Wrzeszczą wymachując policyjnymi legitymacjami. Dwóch złapało faceta, który usiłował uciec przez okno, i ciągną go teraz na środek pokoju. Niektórzy wbiegają po schodach, przeskakując po cztery stopnie naraz, inni wpadają do wszystkich pokoi otwierając drzwi kopniakami.

— Pod ścianę! Wszyscy! Szybko!

Powoli odsuwam się od fotela, obejmując Helenę w pół, staramy się wyglądać jak zwyczajna para zaskoczona taką brutalnością. D'Amour zniknął, Chuck i Bananas także.

Dowódca, ogromny detektyw ubrany po cywilnemu, przedziera się przez tłum i idzie w stronę barmana, który ledwo ma czas odstawić tacę.

— Ty! Chodź tutaj!

Lapie go za kołnierz i ciągnie za sobą. Tamten protestuje, więc dostaje w mordę...

— Zamknij się, gówniarzu...

...po czym zostaje wyrzucony na korytarz.

— Zwinąć go.

Nasz barman to młody imigrant bez zezwolenia na pracę. Jego kłopoty dopiero się zaczynają. Przystawiciele prawa wydają się dosyć zdenerwowani.

— Zatrzymać tę muzykę, do cholery!

Ponieważ nikt się nie rusza, jeden z gliniarzy podchodzi i bezskutecznie grzebie wśród wzmacniaczy. Dwoma susami doskakuje do niego dowódca, odsuwa go i zrzuca aparat na ziemię, wyrwijąc kable. W naglej ciszy wrzeszczy:

— Gdzie właściciel?!

Haig wychodzi na środek, wyprostowany, nieco błady. Ledwo sięga ogromnemu policjantowi do piersi.

— To ja.

— Więc pewnie masz mi coś do powiedzenia?

Muszę przyznać, że Haig zachowuje się bez zarzutu. Kiedy odpowiada, nie wygląda na przerażonego, i nawet udaje mu się prawie zrobić gniewną minę.

— Nie rozumiem tego wtargnięcia. To prywatne przyjęcie dla porządných obywateli!

— Gówno nie prywatne przyjęcie! A ci, co powyskakiwali oknami to też porządni obywatele? Nie rób z nas idiotów! Chłopaki, spisywać wszystkich!

Rozbiegają się po domu. Kiedy znajdują żetony i stół do craps, dowódca nie jest zachwycony.

— A to, kretynie, to też w ramach prywatnego przyjęcia?

Świerzbi go, żeby przyłożyć Haigowi, ale nie może uderzyć faceta, który jest dwa razy niższy i dwa razy starszy. Jeden z gliniarzy kopniakami rozwala stół, po czym drze sukno i wyrzuca przez okno żetony.

W kuchni trzech detektywów opróżnia szafy, rozrzucając zawartość po podłodze. Kiedy wychodzą, mają pełne kieszenie paczek papierosów i całe naręcza butelek.

Dowódca kazał ustawić pod ścianą wszystkich, których mordy mu się nie spodobały. Stoją z rękami podniesionymi do góry, a tamci dokładnie ich przeszukują. Gliniarze rozdają wezwania do sądu na następny dzień. Jeden z klientów, który pozwolił sobie na ironiczny uśmiech podając swoje dokumenty, dostaje po twarzy.

— Co pan tu robi?

Kolej na mnie.

— Zostałem zaproszony na to przyjęcie, to wszystko.

Ogląda moje dokumenty imigracyjne.

— Czym się pan zajmuje w Kanadzie?

Wyciąganiem forsy od frajerów i sranie na gliniarzy, kretynie. Gdybyś wiedział, że rozmawiasz z szefem, i że o parę centymetrów od ciebie leży moja trzydziestkaósemka, a w bucie mam jeszcze brzytwę... Ale dziś nie jest twój szczęśliwy dzień, bałwanie.

— Niczym specjalnym, jestem tu jako turysta, przyjechałem zobaczyć się z narzeczoną.



Helena kieruje na niego swój najbardziej czarujący uśmiech. Gość wzrusza ramionami i nie nalega. Zapisuje nasze nazwiska i oddaje dokumenty.

Trwa to dobre dwie godziny, w ciągu których gliny przewracają dom do góry nogami. Nie udaje im się znaleźć ani walizeczki z kośćmi, ani kokainy. Colt 25 znajduje się u Heleny. Co do trzydziestkiósemki, jeśli ją znajdą, to będą mieli kłopot. Mam tylko nadzieję, że nie zrobili zbyt wielkiego burdelu w moim mieszkaniu, i że nie ukradli za dużo rzeczy. W końcu, kiedy już wszystkich porządnie wymęczyli, wyrzucają nas za drzwi.

Spotykam się z D'Amourem później, u Fran's. Jest przybity, widać, że przeżył szok, ale jest też zadowolony, że mnie widzi.

— Niepokoiłem się.

— Wszystko w porządku. Mam tylko wezwanie do sądu.

— Kurwa! Ale pech! Że też musiały nas dopaść te sukinsyny!

— Musiało do tego dojść, Louie. Nie było siły.

Chuck i Bananas wrócili do domów bez żadnych kłopotów. Harry dołączył do nas u Fran's. Kiedy siada koło mnie, czuję, że jest zakłopotany.

— Widziałem, jak wchodziłi. Dwóch wmieszało się w grupkę klientów. Jak tylko przeszli przez drzwi, od razu wyciągnęli legitymacje, i zauważyłem ruch na parkingu. Nie bardzo mogłem coś zrobić. Od razu zwałem.

— Oczywiście, Harry. Nic innego nie mogłeś zrobić. To wyłącznie moja wina.

Podnosi go to na duchu. Zareagował dobrze, i szybko! Dać się złapać nie miałyby sensu. Nigdy nie kazałem mu sprawdzać wszystkich klientów. Wszystko szło dobrze, myślałem tylko o tym, jak jeszcze bardziej rozwinąć interes, i zapomniałem w końcu, że to wszystko jest nielegalne i że taki nalot możliwy jest w każdej chwili.

— Ich też! Wszystko nam popsuli. To co, nie można się już zabawić?

— Cizia, jak to wygląda tam u nas?

— Nie wiem. Wszystko zamknęli i nie mogłem zobaczyć.

Klnie przez chwilę, po czym opowiada mi, jak udało mu się wywinąć. Miał szczęście. Kiedy wszystko się zaczęło, stał przy schodach

i miał dość czasu, żeby wejść na górę, zgarnąć Dianę i „dzieci”. Przeszli przez dach garażu i zeskoczyli na ulicę.

Diana jeszcze nie ochłonęła. Musiała porządnie wziąć się w garść, żeby tak biec po dachach, na szpilkach, ze swoimi dwoma psami. Wydaje mi się przez to prawie sympatyczna. Pociesza swoje dwa potworki, które nie schodzą jej z kolan.

— To dla nich straszne przeżycie. Biedactwa okropnie się bały. Wstrętnei policjanci, nastraszyli moje małeństwa!

Helena uznała to wszystko za bardzo podniecające. W jej światku takie sceny rozgrywają się przed kamerą. To jej pierwsze zetknięcie z policją, i wyniosła zeń ekscytujące wspomnienie z niecodziennej przygody.

Louie chce iść spać do hotelu, ale niechętnie myślę o pozostawieniu otwartego domu bez opieki. Trzeba tam pojechać. D'Amour, zaniepokojony od urodzenia, kategorycznie odmawia.

— Chyba zwariowałeś!

Pojechałem.

Drzwi wejściowe wiszą na jednym zawiasie, niemal wyrwane z futryny. Obraz zniszczenia, jaki zastaję wewnątrz, przyprawia mnie o rozpacz.

Przeszło tu prawdziwe tornado. Krzesła powywracane, po podłodze walają się szklanki, połamany stół do craps leży na środku pokoju, wszędzie widać drewniane drzazgi. Przez rozbite okna wdiera się lodowaty wiatr, a na parkiet spadają płatki śniegu. Do kuchni nie mogę nawet wejść. Śmierdzi tu alkoholem i wszystko jest potłuczone.

Odnosi się wrażenie, że dom został porzucony po napadzie bandy wandalii. Bo to jest wandalizm! Czy musieli rozbijać o ściany butelki z keczupem i opróżnić zawartość lodówki na podłogę?

Na piętrze szkody są mniejsze, niż się obawiałem, ale mój dom został zbrukany. Na białym dywanie i na pościeli widnieją ślady zabłoconych butów. Szafy zostały opróżnione i moje garnitury leżą na ziemi, jedne na drugich. Wszystkie moje buty zostały porzucane po całym pokoju: jakiś cwaniaczek znalazł w nich zwitek banknotów, pogotowie kasowe, które trzymałem, żeby pożyczać frajerom. Mój

barek został ograbiony i przewrócony, a butelki szampana naturalnie zniknęły. To świństwo. Nie musieli wszystkiego rozwalać. Nie mam już ochoty tutaj nocować. Nie mogę znieść, że ktoś wdziera się w moją prywatność, a w takim burdelu nie czuję się już u siebie.

Pakamera to jedyne miejsce, do którego nie dotarli, zapewne dlatego, że nie było tam nic do zabrania. Telewizor, w którym ukryłem kości i kokainę, nadal stoi. Pobieram mały zapas, biorę też trochę rzeczy osobistych i idę spać do hotelu. Cały ten widok załamał mnie zupełnie.

Trzy godziny później jestem w sądzie na King Street, w północnej części Toronto. Jestem spokojny. Jako klient będę musiał zapłacić tylko niewielką karę. Przyszedłem tu raczej z ciekawości.

Rozpoznaję klientów z poprzedniego wieczoru, około trzydziestu osób. Ciekawe towarzystwo. Ludzie ci zapewne nigdy nie mieli do czynienia z wymiarem sprawiedliwości, i zupełnie nie pasują do tego otoczenia. Są tu biznesmeni w garniturach i krawatach, ludzie z wyższych sfer. Są odprężeni, biorą tę przygodę z dobrej strony i mrugają w moim kierunku porozumiewawczo. Będą mieli o czym opowiadać rodzinie.

U mego boku zmęczona Helena zmusza się do uśmiechu. Ściskam parę dłoni, podczas gdy faceci opowiadają mi o swojej bohaterkiej postawie poprzedniego wieczoru.

— Co, Cizia, dorwali cię?

Mówi do mnie gruby lekarz. Spokojny ojciec rodziny usiłuje przybrać zblazowany ton bandyty aresztowanego po raz dziesiąty.

— Nie, wszystko w porządku. Jestem tu tak samo jak pan, jako zwykły klient.

— Ale co teraz będzie, klub zostanie zamknięty?

— Tylko chwilowo, panowie. Na kilka dni, żeby naprawić szkody. Ale wkrótce znowu otwieram, możecie to przekazać znajomym.

Przede wszystkim trzeba uspokoić klientów, to owoc dwóch miesięcy pracy.

— Popelniony został mały błąd, to była nieprzewidziana reakcja. Ale teraz wszystko załatwimy.

— W jaki sposób załatwić?

— Nie mogę wam wszystkiego powiedzieć, ale bądźcie pewni, że więcej problemów nie będzie.

I kończę:

— Teraz już wszystko pójdzie dobrze!

Kwadrans później wchodzimy na salę, gdzie czekają sędziowie. Uczestniczyłem w swoim życiu w wielu procesach, ale w takim jeszcze nigdy. Sędzia odczytuje nam kilka artykułów Kodeksu Karnego, dotyczących sprzedaży alkoholu i licencji, po czym przekazuje głos Haigowi, który zaczyna od wyrażenia szacunku dla Wysokiego Sądu i od paru dowcipów. Następnie wyjaśnia, że nie chodziło tu bynajmniej o nielegalny lokal, lecz że był to „stag”, czyli prywatna zabawa.

— Proszę sądu, pracowałem przez całe moje życie. Teraz nadeszła pora, żebym się trochę zabawił. Zasłużyłem sobie na to. Nie możecie odmówić ostatniej przyjemności siedemdziesięcioletniemu starcowi!

— Ależ pan urządza takie zabawy co wieczór!

— No tak, ja to uwielbiam! Niech sąd sobie wyobrazi, siedemdziesiąt lat uporczywej i ciężkiej pracy. Siedemdziesiąt lat abstynencji! Mam mnóstwo do nadrobienia.

Sędziowie nie ukrywają rozbawienia.

— Ale pan każe płacić za napoje!

Jakiś facet wstaje i oświadcza, złożony przysięgę na Biblię:

— Dwa dni temu byłem u pana Haiga na Bedford Street. Poprosiłem tego pana o whisky.

Wskazuje na barmana.

— Przyniósł mi ją i zapłaciłem cztery i pół dolara.

Barman reaguje natychmiast.

— Ależ tak, pamiętam. Zapytałem go, czy został zaproszony, odpowiedział, że nie. Więc kazałem mu zapłacić, tak jak mi polecono.

Haig potwierdza.

— Nie jestem milionerem. Mam wielu przyjaciół, nie mogę wszystkim stawić. Niektórzy przynoszą mi butelki. Od innych oczekuję małego własnego udziału. Po prostu pokrywam swoje koszty. Mam dobrą emeryturę, która pozwala mi dostatnio żyć. Nie potrzebuję zarabiać więcej. Chcę korzystać z życia, nic więcej. Nie mam już wiele czasu, Wysoki Sądzie. Proszę nie pozbawiać starego człowieka jego ostatnich przyjemności.

Ostatecznie zyskuje sobie ich sympatię, podkreślając szacowność swoich gości, tu obecnych lekarzy, biznesmenów... Faktem jest, że wszyscy podejrzani osobnicy pouciekali przez okna, kiedy tylko pojawiła się policja!

Udobruchani sędziowie okazują wspaniałomyślność. Każdy z klientów zostaje skazany na zapłacenie grzywny w wysokości dziesięciu dolarów. Przylapany na gorącym uczynku barman dostaje grzywnę pięćsetdolarową. Haig jest wolny.

Doprawdy łatwo tu zbić majątek!

Dziś wieczór atmosfera jest ponura. Helena i Diana poszły spać wcześniej, po kolacji w Maxwell's Plum, i zostawiły nas samych, D'Amoura i mnie.

— Co teraz robimy? — pyta mnie.

— Nie wiem, stary. Siedzimy w gównie po uszy.

Milczymy. Nie mamy serca do żartów i pierwsza butelka szampana nie jest w stanie nas rozweselić. Dlaczego zabrali mi moją zabawkę? Dlaczego zawsze ktoś musi mieszać się do moich spraw? Ukradkiem przygotowuję dwa rządki na stole, żeby sobie poprawić humor.

— No, Louie, nie trzeba dać się złamać.

Zamawiam szampana. Wypijamy butelkę po butelce, bierzemy rządki za rządkiem, coraz mniej dyskretnie w miarę upływu czasu...

Tym razem idziemy na całego. The Temptations ryczą przez kolumny, że ich ojciec był włóczęgą. My też jesteśmy żebrakami, wyrzuconymi na ulicę w takie zimno, i trzeba jakoś walczyć z bluesem, chwytającym nas za gardło.

Szampana!

Wciągam rządki prosto z podłogi, leżąc na miękkiej ławie. Krztusząc się od śmiechu, z kieliszkiem w ręku, Louie D'Amour wykrzykuje jakieś sprośności. Przed naszym stolikiem nieustannie pojawiają się nowe twarze.

— I co, Cizia, zapominamy o przyjaciółkach?

To Kathleen, pulchna blondynka o bardzo ciepłej dupie.

— Odkąd jesteś z Heleną w ogóle cię już nie widać. Zostałeś pastorem czy już ci nie staje?

— Jestem MONOGAMISTĄ!

Przytula się do mnie. Ma wielkie piersi. Lubię wielkie piersi. To kurwa. Uwielbiam kurwy.

Co mi odbiło, żeby przysięgać wierność? Bez przekonania usiłuję odepchnąć tę diabolicę. Jak to zrobić? Jeśli jej nie dotknę, tylko mała

minetka, wykroczenie będzie mniej poważne. Będę wtedy tylko pół-monogamistą. To nie tak źle.

— Sam!

Maître d'hôtel, mój kumpel, jest zawsze gotów na spełnienie moich żądań. Nadbiega.

— Zrób mi przysługę, to ważna sprawa.

— Co tylko zechcesz, Cizia.

— Znajdź mi jakiś spokojny kątek. Ta pani chce mi obciągnąć.

Rzuca pełne aprobaty spojrzenie na Kathleen, która odpląca mu pięknym uśmiechem.

— Oczywiście. Chcesz mój samochód? Albo klucze od mojego mieszkania?

Nie jestem w stanie jechać tak daleko.

— Nie, załatw mi to w sraczu.

W ciągu kilku lat swojej kariery widział już wiele, ale tu go zamurowało.

— Nie. Przepraszam cię, ale to niemożliwe.

— Nooo!... Zrób to...

Waha się pomiędzy chęcią zrobienia przyjemności kumplowi a poczuciem obowiązku.

— Dobra. Ale szybko.

— Już ja się tym zajmę — odpowiada Kathleen.

— Ale Sam! Nie w męskim, tam śmierdzi. Damski sracz jest lepszy.

Zawsze zresztą zadziwiła mnie ta niesprawiedliwość. Kobiety mają piękne toalety, jest tam przestronnie, są lustra i zawsze pełno gadżetów. U mężczyzn to przeważnie dwa metry kwadratowe śmierdzące uryną. Na to, co zamierzam zrobić, potrzebuję minimum komfortu.

W tej sytuacji pozostaje mu tylko wrzucić ramionami. Kilka chwil później chwije się niebezpiecznie, próbując dowlec się do toalety. Pod moimi krokami podłoga jest jakaś miękka, światła tańczą mi przed oczami. Przemierzam tych parę metrów czepiając się barowej lady, przewracając po drodze kieliszki i holując ze sobą Kathleen, której stan jest jeszcze dalej posunięty niż mój. Schody, z tymi wszystkimi stopniami, okazują się groźną przeszkodą i ze względów bezpieczeństwa pokonujemy je na czworakach. Przy umywalkach Sam czeka na nas trzymając wspaniałą tablicę z napisem: „Awaria”. Kathleen chichocze za moimi plecami i zamykamy za sobą drzwi na klucz.

Pomieszczenie jest przestronne, a na ścianach wiszą wielkie okrągłe lustra. Jest tu elegancko, prawie intymnie.

Facet, którego dostrzegam w lustrze przed sobą, przeraża mnie. Rozszerzone źrenice zajmują mi prawie pół twarzy, a ręka trzymająca paczuszkę kokainy konwulsyjnie drży. Muszę przytrzymać się stołu, który tańczy przede mną, żeby nie ulecieć w górę. Podczas gdy moja narzeczona, klęcząc u moich stóp, przykłada się, by rozwiać moje troski, ja z nosem w mojej paczuszce wciągam kokainę długimi wdechami. Ktoś wali regularnie w drzwi, i słyszę głośnie kobiece skargi.

— Cizia, przesadzasz!

To Sam rzezi przez drzwi.

— Już idę, stary.

Kathleen, zwinęta w jakimś kącie, wstrząsana atakami śmiechu, nie jest w stanie się podnieść. Udaje mi się ją dowlec do drzwi, choć słaniam się na nogach. Nasze wyjście jest triumfalne, obejmujemy się wzajemnie, ale oczekiwane oklaski nie następują. Tłum chętnych do siusiania o nabrzmiałych i obolałych pęcherzach morduje mnie wzrokiem. Kieruję do nich mój najpiękniejszy uśmiech. Sam pomagam mi wejść po schodach.

Noc kończę z czterema przyjaciółkami w moim pokoju w Hyatt Regency.

Moje wiarołomstwo napawa mnie obrzydzeniem.

Przychodzę do siebie wczesnym popołudniem. Moją pierwszą czynnością jest ogłoszenie najbliższej kwiaciarni. Kupuję tam dwieście jeden czerwonych róż i z tym imponującym bukietem w ramionach dzwonię do drzwi mieszkania Heleny.

— Dzień dobry, moja śliczna.

Ma na sobie czerwone kimono, jest świeża i ładnie pachnie. Jej uśmiech jest cudowny.

— Dlaczego te wszystkie kwiaty?

— Bo cię kocham, moja śliczna.

Jej piękne oczy pogrążają się w moich. W tym spojrzeniu jest sama czułość. Czuję, jak mnie bada. Czyżby miała jakieś wątpliwości? Odrzucam tę myśl. To niemożliwe. Mimo wszystko usiłuję nadać moim oczom niewinność i naiwność prawdziwego świętego, wiernego i zakochanego, po prostu takiego jak ja.

— Bawiłeś się wczoraj wieczorem?

Opowiadam jej, że z Louie D'Amourem snuliśmy plany na przyszłość aż do późnych godzin wieczornych. Ona jednak chce wszystko wiedzieć, gdzie, z kim, o czym rozmawialiśmy i zadaje mnóstwo innych pytań.

Improwizuję i udaje mi się rozwiać wątpliwości, które, jak czuję, zaczęły już kielkować w jej sprytniej główce. Jestem doświadczonym kłamcą i szybko ją przekonuję, więc z lubieżnym uśmiechem zaciąga mnie na łóżko i rozpoczyna swoje pieszczoty. Oddaję się ekstazie. Jej stworzone do miłości usta znają mnie doskonale i wkrótce doprowadzają mnie do najwspanialszej rozkoszy.

Powoli wracam na ziemię i otwieram oczy. Jej twarz znajduje się bezpośrednio nad moją.

— Ty świnió!

— Co się stało, kochanie?

— Świnió, zdradziłeś mnie!

Poznała po gęstości. Nie mam wytłumaczenia. Wstaję i wrzeszczę, że tak, że były trzy, że było mi dobrze i że mam już dosyć wiecznie tej samej dupy.

Zgodnie z najlepszymi wzorcami trzaskam drzwiami wybiegając z mieszkania.

Na dworze jest szaro i mroźno. Idę z pochyloną głową rozbryzgując śnieg na boki wściekłymi kopniakami. To co, na mnie zwalają się kłopoty jeden za drugim, a panienska korzysta z tego, żeby mi dokuczyć? Więcej się nie zobaczymy.

Po trzech dniach milczenia, kiedy już zacząłem na nowo przyzwyczajać się do celibatu, Helena dzwoni do mnie. Spotykamy się i każe mi obiecać, że nigdy więcej jej tego nie zrobię.

— Jak chcesz, moja śliczna.

Znów obiecałem.

Brak mi Bedford Street. Dobrze się tam czułem. Strasznie brak mi komfortu mojej garsoniery i frajerów, których nie trzeba było szukać, bo sami przychodzili, żeby dać się oskubać. Zdaję sobie teraz sprawę, jak fantastyczna była nasza sytuacja. Nie mogę teraz otworzyć lokalu.

Policja trzyma dom na oku. Zorganizowanie teraz czegoś spowodowało-  
by natychmiast kolejny nalot, a przyłapanie na recydywie miałyby  
fatalne skutki.

Sukinsyny!

Pozbawili mnie wszystkiego i wyrzucili na ulicę jak jakiegoś  
złodzieja. A przecież ja tylko ożywiałem nieco nocne Toronto. Nigdy  
nikogo nie zmusiliśmy do przyścia, a nawet jeśli skubaliśmy wszystkich,  
to najczęściej bez złośliwości. Poza tym, biorąc pod uwagę, jak szybko  
wydają te tak brzydko zarobione pieniądze, moja rola polega głównie  
na redystrybucji dóbr paru osób pomiędzy całe mnóstwo zaintereso-  
wanych.

Sukinsyny!

Muszę więc kontynuować robotę na zewnątrz. Żeby znaleźć miejsce  
akcji, trzeba teraz się przemieszczać, co stwarza wiele niedogodności.

Wraz z D'Amourem i Harrym, który jest stale obecny i zachował  
swoją bezpośredni charakter, ponownie odwiedzam najmodniejsze bary.  
Maitre d'hôtel albo barman to doskonali naganiacze. Biznesmen,  
który od niedawna pracuje w mieście albo po prostu bawiący tu  
przejazdem, kiedy się nudzi, zawsze zwraca się do któregoś z nich,  
żeby wskazali mu miejsca, gdzie można się zabawić. Jeśli ma ochotę  
zagrać, zostaje skierowany do nas.

Są też starzy bywalcy klubu, zawsze chętni do oskubania  
i sprowadzający swoich przyjaciół. Wynajmuję na stałe apartament  
w Hyatt Regency. Jest ważne, żeby klient przyjmowany był lu-  
ksusowo. Dzięki pagerowi członkowie ekipy mogą błyskawicznie  
kontaktować się między sobą. Kiedy oznajmiam frajerowi, że  
prawdopodobnie wiem o trwającej właśnie partyjce, wystarczy  
jeden telefon, żeby rozpocząć operację. Godzinę później, kiedy  
wchodzi do apartamentu, powietrze jest zadymione, popielniczki  
pełne, a gracze wyglądają, jakby siedzieli nad tą partią pokera  
od wczoraj.

Jest też szampan i wysokiej klasy jedzenie. Swoją przewrotność  
posuwam tak daleko, że wynajmuję znajome luksusowe dziwki, żeby  
nasz gość mógł się odprężyć.

Stosując tę metodę ma się praktycznie pewność, że facet nie

odejdzie od stołu, zanim nie zostanie idealnie oskubany. Z drugiej  
strony wymaga to ogromnych inwestycji, co pożera część zysku  
i zostawia nam akurat tyle, by wygodnie żyć.

Chuck i Bananas to doświadczeni zawodowcy. Poza naszymi  
spreparowanymi partiami w Hyatt Regency zajmują się na nowo  
swoimi dawnymi biznesami. Dzięki nim odkrywam nowe podziemne  
światy. Życie szulera nie jest sielanką. Miejsca, gdzie leżą pieniądze do  
wzięcia, bywają czasem niebezpieczne. Mam teraz okazję podziwiać  
ich zimną krew. To świetni faceci.

Najłatwiej jest wprosić się na stags. Są to wielkie prywatki,  
organizowane przez przyszłych żonkosiów, którzy żegnają w ten  
sposób stan kawalerski. Tu niebezpieczeństwa nie ma. Klientela jest  
miła, nieco głupawa, a pod koniec wieczoru porządnie wlana. Wtedy  
właśnie organizujemy zwykle stół do craps. Chuck ocenia kości. Jeśli  
zachodzi taka potrzeba, rozgrywa jedną partię, żeby lepiej je wy-  
próbować, po czym idzie do samochodu po odpowiedni model naszych  
specjalnych kostek. Tak jak to było w klubie. Chuck i Bananas  
dokonują podmiany, kiedy tylko Louie albo ja mamy rzucić, podając  
nam odpowiedni zestaw.

Dużo więcej odwagi potrzeba, by oszukiwać w booze-can w czarnej  
dzielnicy. Wiele z tych klubów nie przyjmuje białych, ale moi kumple  
znają jeden, w paskudnej czarnej piwnicy, który nie stosuje tej zasady.  
Tutaj już zupełnie zabawa nam nie w głowie. Zarabiamy na życie  
starając się go nie stracić.

Sala gier ukryta jest za dansingiem, obszernym ponurym pomiesz-  
czeniem śmierdzącym potem i piwem. Gęsty tłum czarnych podryguje  
w rytm tam-tamów. Po kątach leżą faceci schlani do nieprzytomności.  
Ogromny Murzyn w podkoszulku i czarnym berecie pilnuje drzwi  
w głębi sali. Za nimi jest mały pokój. Nie ma okien. Powietrze jest  
zadymione i gorące.

Dookoła stolika z plikami banknotów w rękach stoją czarni  
i wrzeszczą na kości, walą się wzajemnie po plecach i wykrzykują  
swoje stawki. Jest też paru białych, najgorszego rodzaju, złanych  
potem grubasów, obrzydliwych, o ospowatych mordach. Stawiają tu

swoją forszę sutenerzy, chuligani, drobni amerykańscy bandyci „na wakacjach”, uliczni dealerzy, przedstawiciele najgorszych mętów z zakazanych dzielnic miasta. Każdy z nich ma się za Al Capone przez tych parę minut, które wystarczą, by ogołocić ich ze wszystkiego.

Liczne obecne tu samice to kurwy z ulicy, grube, głupie i hałaśliwe, mają wielkie dupy i chichoczą tępo, kiedy jakiś facet przyciśnie je gdzieś w kącie. Śmierdzi brudem i niedomytymi ciałami. Sukno na stole jest obrzydliwe. Nie podoba mi się tu.

W moim stylu byłoby raczej przyjmować ludzi z dobrego towarzystwa, w dużych ilościach, i podbierać im forszę po cichu. Natomiast zupełnie nie jest w moim guście wyciąganie paru dolarów jakimś społecznym mętom, z którymi w dodatku trzeba w tym celu mieć bezpośrednio do czynienia. Jedyłą nauką, jaka płynie z tych wieczorów, jest spostrzeżenie, że te brudne szmaty są zdolne zabić dla kilku dolarów. Każdy z nich uważa się za wielkiego twardziela. Są zakłamanymi i niebezpiecznymi.

Zachowujemy spokój, ale wszystkie zmysły mamy napięte. Nie można sobie pozwolić na najdrobniejsze wahanie przy podmiianie kości; trefne kostki trzeba zabierać natychmiast po zagranium. Tłum podnieconych czarnuchów kłębi się bez przerwy. Rozpychają się wszyscy. Którykolwiek z nich, jako że są to ludzie bez wychowania i najmniejszego poczucia taktu, może w każdej chwili wziąć ze stołu spreparowaną kostkę, pod wpływem jakichś podejrzeń albo po prostu odruchowo, bez żadnych szczególnych zamiarów. Jeśli zdadzą sobie sprawę, że biali oszukują ich w ich własnym lokalu, będzie masakra.

Tradycyjną karą jest połamanie palców szulerowi za pomocą obcęgow, by upewnić się, że nie będzie recydywy.

Cały czas mam przy sobie swoją trzydziestkęósemkę. Inni tutaj są uzbrojeni i będą strzelać bez wahania. Jedyne wyjście zagrodzone jest przez górę mięśni i głupoty w czarnym berecie. W takiej atmosferze, pośród zdenerwowanych Murzynów, którzy walą w stół za każdym razem, kiedy toczą się po nim kości, można tylko podziwiać spokój Chucka i Bananasa.

Nie można wygrywać zbyt często. Już samo to wzbudziłoby nastroje rasistowskie, które i tak wiszą w powietrzu. Pilnie uważamy,

żeby nie mieć za dużo szczęścia. Posługujemy się naszymi kostkami, kiedy w puli jest wyjątkowo dużo forsy, czyli trzy do czterech razy w ciągu wieczoru, toteż noce czasami się dłużą.

Przyprowadził nas tutaj Chuck, największy kozak w naszej ekipie. Zna osobiście właściciela, którym jest Isaac Jones, sława tutejszej ulicy, alfons i handlarz heroiną. Zostałem mu przedstawiony, ale na tym się skończyło. Facet ten napawa mnie obrzydzeniem i jest jasne, że ja też nie przypadłem mu do gustu.

Isaac Jones jest Metysem, to fanfaron obwieszony złotymi świecidełkami od stóp do głowy. Im bardziej człowiek rzuca się w oczy, tym większą ma klasę. Nosi długie garnitury; marynarka, bardzo wcięta, zakrywa mu kolana, nogawki spodni praktycznie przysłaniają lakierki, a całość uszyta jest z błyszczących materiałów w kolorze różowym lub białym. Kołnierzyki jego zielonych lub żółtych koszul, najczęściej z zabotami, są ogromne i wyłożone daleko poza klapy marynarki. Na końcu złotego łańcucha, zbyt grubego i zbyt błyszczącego, zwisają ciemne okulary za sto dolarów. Facet nosi bez przerwy biały kapelusz z szerokim rondem.

Ochrona osobista tego pajaca wygląda z daleka jak wielobarwny turystyczny folder. Jest tam kolor turkusowy, jest kolor żółty jak piasek i zielony jak palmy. Całość uzupełnia kokosowy orzech, który zastępuje im mózg. Podczas wypadów na miasto banda ta jeździ różowo-zielonym cadillakiem ze wszystkich stron błyszczącym od chromu.

Nasz bandyta znany jest ze swej brutalności w interesach. Nie można powiedzieć, żeby specjalnie doskwierały mu skrupuły. Dążąc do zwiększenia ciężaru swojej heroiny dodaje do niej innych substancji. Zdarzało mu się już dosypywać do niej byle czego, aby tylko było to białe i sproszkowane. Niektórzy z jego klientów, całkowicie uzależnieni, zmuszeni do kupna swojej dawki i do wstrzyknięcia jej, stracili przez to życie. Nie przeszkodziło to w rozkwicie głównego biznesu Isaaca Jonesa.

Na szczęście nie jestem całkowicie pozbawiony szampana i zabaw. Wielu spośród moich dawnych klientów z klubu zaprasza mnie na partyjkę do siebie. Któregoś piątkowego wieczoru gruby i bogaty

pośrednik w handlu samochodami prowadzi mnie, by zagrać u jednego z jego przyjaciół, antykwariusza.

Przyjąłem zaproszenie, bo może to być interesująca okazja. Idzie ze mną D'Amour, z kieszeniami wypchanymi spreparowanymi taliami kart różnych rodzajów, typu bess i typu bicycles. Jest z nami Helena, lecz nudzi się potwornie. Dom jest zwyczajny, nie licząc dosyć ładnego sklepu z antykami na parterze. Nie ma jednak wysokiej jakości trunków i ani antykwariusz, ani handlarz nie zażywają kokainy.

Pod nieobecność żony antykwariusz, mały zasuszony i niewyżyty facecik, korzysta z sytuacji, by oddać się swoim ulubionym rozrywkom. Łatwo wyobrazić sobie jego połowicę jako zgorzkniałą megierę, która odmawia mu dupy za każde przewinienie. W miarę grzecznie ucinamy dyskusję. Przyszliśmy tutaj, żeby grać.

Używają kart typu bess. D'Amour zajmuje się podmianą i już o ósmej tamci są splukani. Zabieram się właśnie do odejścia, kiedy antykwariusz, pragnąc zapewne maksymalnie wykorzystać swój wolny wieczór, prosi mnie o kredyt. Żeby mnie zachęcić, zapewnia, że ma pieniądze. Obraca poważnymi sumami, gdyż jego sklep jest dobrze znany. Ustępuję i ponownie zasiadam do stołu. Wzdychając od czasu do czasu Helena drzemie skulona w jakimś fotelu.

To pułapka. Antykwariusz nie stawia wiele, gra ostrożnie, co zmusza nas do gry przez całą noc, by wreszcie go zmogło. O siódmej rano, kiedy postanawia zakończyć imprezę, jest nam winien jednaście tysięcy dolarów.

— Masz skąd wziąć gotówkę, żeby mi zapłacić?

— Nie ma sprawy, Cizia, jutro będę miał twoje pieniądze.

Musi sprzedać trochę towaru, i zajmie mu to cały dzień. Rachunek bankowy tego pana jest pusty. Ponieważ facet zaczyna się denerwować, postanawiam pobrać należność w naturze. Schodzę do sklepu. Tamten idzie za mną, zaniepokojony myślą o mnie buszującym pośród tych wspaniałości, gdyż bierze mnie za tępego chama, który nie potrafi docenić pięknych przedmiotów.

Jest tu sporo szmalu. Zajmowałem się handlem antykami i znam się na tym. Tamten proponuje mi, uczciwie, srebrny czajniczek z epoki wiktoriańskiej za pięć tysięcy dolarów. Biorę przedmiot w moje grube łapy i rzucał nim w stronę D'Amoura, który łapie go niezręcznie i upuszcza pokrywkę. Wrzeszczę:

— Sam widzisz, że to twoje gównno się rozlatuje! Uważasz mnie za durnia?

— Ależ zapewniam cię, znam się na tym dobrze, to mój zawód. To jest warte pięć tysięcy dolarów. Mam na to klientów, wiesz...

— Do cholery! Kto chciałby kupić taki grat? Za taką cenę sprzedam ci pełne wyposażenie kuchni!

Kładę mu przyjazną, lecz ciężką rękę na ramieniu.

— Słuchaj. Nie wiem, jaką to miało cenę kiedyś, ale dzisiaj na pewno nie jest warte pięciu tysięcy dolarów.

— Ależ to są an-ty-ki!

— Kurwa! Antyki, to znaczy stare rzeczy. A ja nie znam nikogo, kto by używał starych rzeczy.

— Cizia, posłuchaj mnie. Tego się już nie używa. To się wystawia w gablotce, żeby oglądać. Rozumiesz? To przyjemność dla oka.

— Ale ten twój czajniczek nawet nie jest ładny! Nie będę wystawiał czegoś tak brzydkiego.

Antykwariusz usiłuje wziąć Helenę na świadka, ale dziewczyna jest zbyt pochłonięta powstrzymywaniem ataków śmiechu i nie może odpowiedzieć. Włącza się handlarz samochodami i w końcu daje się przekonać, że towar nadaje się do sprzedaży.

Rzucam spojrzenie wokół siebie.

— No tak... Trzeba by mieć ciężarówkę, żeby zabrać te wszystkie świństwa.

Tamten aż podskakuje, oburzony.

— Jak to!? To nie są świństwa. Jest tego z dziesięć razy więcej od tego, co ci jestem winien.

Podchodzę do niego.

— To ty tak mówisz, staruszkule! Nie mogę tego sprawdzić. Nie wiem, jakie były ceny w tamtych czasach. Ale wiem, że dzisiaj czajnik do herbaty nie kosztuje pięciu tysięcy dolarów.

Trzymam go tak w niepewności przez jakiś czas. Załamuje ręce, usiłując wpoić wielkiemu chamowi, jakim jestem, podstawową wiedzę o dawnej sztuce. W końcu obławowuję Louie i Helenę stosami różnych bibelotów, które wybieram niby to przypadkiem. W rzeczywistości staram się wyszukiwać rzeczy, które na oko mają największą wartość. Sprzedawca staroci zrezygnował już z prób wyjaśniania mi czegokolwiek i przygląda się wszystkiemu kompletnie przybity.

W lincolnie D'Amour patrzy na stertę przyniesionych przedmiotów.

— Poza tym, żeby przysrać staremu, miałeś jeszcze jakieś powody, żeby zabrać całe to gówno?

— To nie żadne gówno, osle... to antyki... Mają wielką wartość! Zupełnie nie znasz się na sztuce. Wszystko trzeba ci tłumaczyć.

Nasze cuda sprzedać możemy tylko antykwariuszom lub kolekcjonerom. Louie D'Amour poumawiał się z ludźmi i jeździ na spotkania trzymając skarby w małej walizce.

Staram się uchodzić za bogatego spadkobiercę. Opowiadam o wielkiej przeszłości mojego rodu, o historycznych wspomnieniach i o pożałowania godnych przelotnych kłopotach, ale wszystko to nie wzbudza wielkiego zaufania. Zwłaszcza Louie nie potrafi obchodzić się z tymi przedmiotami z właściwym szacunkiem, pomimo lekcji, jakich mu udzielałem.

Po trzech spotkaniach, w czasie których żaden z odwiedzanych manszardów, zachwycony niebywałą okazją, nawet nie próbował sprawdzać moich kłamstw, osiągamy sumę jedenastu tysięcy dolarów.

Louie sprawdza w kalendarzyku.

— Następne spotkanie mamy w centrum za godzinę.

Mam już dość. Otwieram walizkę, biorę delikatnie trzy świństwa, które nam zostały, i wyrzucam je za okno.

Często bywam w Julie's Mansion, barze, w którym kelnerki chodzą w sari. Ostatnio wiele spośród nich wylądowało w moim łóżku. Wszystkie bardzo o mnie dbają, jedna bardziej urocza od drugiej. Pod lekkimi barwnymi okryciami ich kształty są doskonałe. Sporo tego jak na jednego mężczyznę i nie byłem w stanie dotrzymać obietnicy danej Helenie w chwili roztargnienia.

Dziś wieczór nie mam nic do roboty i spędzam czas w salce na piętrze przy grze w bumper ball. To rodzaj małego bilarda, z małymi grzybkami pośrodku, których zadaniem jest niedopuszczenie, by kule wlatywały bezpośrednio do otworów. Nic poważnego, ale mimo to można przy tym wymienić parę dolarów z którymś ze stałych bywalców. Mój dzisiejszy przeciwnik jest nawet zawodowcem, jedynym w tej branży. Po całym dniu zgarnia co najmniej tyle, by zapłacić za kielicha, a może i za dwa.

— Ciział!

— O! Cześć, Greg!

— Jak leci? Klub nadal zamknięty?

W dobrych starych czasach, kiedy działał booze-can, mieliśmy przyjemność oskubać Grega Johnsona w pokera przez dwa wieczory z rzędu. Wymieniamy parę uprzejmości, po czym Greg ścisza głos:

— Urządzam partyjkę w moim domu na wsi pod koniec tygodnia. Może chciałbyś się przewietrzyć? Stawki będą wysokie.

— Ja zawsze chętnie.

— Gdybyś chciał wziąć jakichś przyjaciół, to zapraszam.

— Niewykluczone. Zobaczę.

Następnej soboty wyruszam w drogę z Harrym. Wszystko ustaliłem z resztą zespołu. Pomyślałem sobie, że mały weekend na wsi dobrze nam wszystkim zrobi. Jest szaro. Drogę pokrywa śnieg. Na poboczach widać od czasu do czasu rozwalone samochody. Amerykańskie wozy są bardzo wygodne, ale okazują się do niczego w trudnych warunkach. Poza tym ich właściciele to fatalni kierowcy.

W oddali widać czarne, niezbyt zachęcające lasy. Harry włączył ogrzewanie na maksimum.

Dobry klient z tego Grega Johnsona. Jego specjalność to samochody i części zamienne. W tej branży można sobie czasem niezłe napęścić kieszenie. Za każdym razem, kiedy mu się to udaje, siada do gry, a kiedy gra z nami, przegrywa. Jest więc dobrym graczem. Lubimy się z nim spotykać.

Po półgodzinnej jeździe autostradą trzeba skrócić w jakąś płataninę bocznych dróg, żeby znaleźć jego domek. To niewielki budynek otoczony barakami z blachy falistej. Od przodu obszerne podwórze, w lecie błotniste, lecz teraz utwardzone przez mróz. Wszędzie dookoła piętrzą się stosy bloków żelastwa, pokryte śniegiem, i mniej lub bardziej ogołocone szkielety samochodów. Dwóch barczystych facetów o wyglądzie neandertalczyków, ubranych w fartuchy, przygląda się, jak podjeżdżamy.

Greg jest paserem, jednym z szefów rynku kradzionych samochodów. Wybiega z domu, uśmiechnięty, z wyciągniętą ręką, żeby nas powitać.

— Cześć! Wchodźcie, w środku ciepło!



Chuck i Bananas już są i siedzą przy stole. Witamy się. Greg przedstawia mi pozostałych uczestników, dwóch wielkich facetów o byczych karkach. Też są handlarzami. Jowialnie ściskają mi dłoń. Greg klepie mnie po ramieniu i zapewnia ich, że jestem wielkim graczem.

— Prawda, Cizia? No, to czego się napijesz?

Pokój jest zaniedbany. Dookoła walają się brudne szklanki, popielniczki są pełne i nic nie jest naprawdę jak trzeba. W powietrzu czuć wilgoć. Greg żartuje z kolegami. Na dworze jest szarawo i zapalamy światło.

Louie D'Amour i Diana przyjeżdżają nieco później, zacerwienieni od mrozu, obwiązani szalikami i rozradowani. Diana, w czerwonej mini i wysokich butach z czarnej skóry, które sięgają aż nad kolano, wygląda jak zwykle na kurwę. Zależało jej, żeby przyjechać, bo chciała przewietrzyć swoje dwa zwierzaki, które trzyma przyciśnięte do piersi.

Zaczyna się niedobrze. Greg i tamci dwaj grają własnymi kartami. Nie są to ani bees, ani bicycles. Przygotowane przez Chucka talie pozostaną więc w jego kurtce, bezużyteczne. To dla nas niekorzystne, ale zdarzało się już wcześniej. Moi partnerzy są na tyle sprawni, że potrafią w każdej talii ułożyć odpowiedni układ podczas tasowania i rozdać nam dobre karty. Pierwsze pule zgarniają tamci trzej. Jak zwykle pozwalamy na początku frajerom trochę powygrywać.

Wkrótce jednak sprawy się komplikują. Nasi przeciwnicy mają szczęście. Na to nie można nic poradzić. Chuck i Bananas podsyłają mi dobre układy, ale tamci zawsze jakoś się wywiną. Nie udaje nam się odegrać stawek, które straciliśmy na początku. Po półtoragodzinnej grze jesteśmy do tyłu o kilka tysięcy dolarów. Nie podoba mi się to, usiłuję zachować spokój i skoncentrować się, ale źle się czuję w tym domu. Na samym początku partii dwaj debile w fartuchach weszli do pokoju i już w nim pozostali. Ich obecność za moim plecami powiększa moje podejrzenia.

Pół godziny później Bananas prosi o zrobienie przerwy. Znowu przegraliśmy. Podczas gdy wszyscy rozprostowują kości, podchodzi do mnie.

— Cizia, to zawodowcy.

— Co?

— Ci dwaj Amerykanie to szulerzy.

To tłumaczy wszystko, nasze przegrane i moje złe przeczucia. Wybieram najspokojniejsze rozwiązanie.

— Odbierzemy im forszę po cichu. Zawiadom innych.

Do nikogo już nie można mieć zaufania! Teraz wszystko wydaje się oczywiste. Ten cały weekend to pułapka, zastawiona na nas, by zabrać nam naszą forszę. A my, mistrzowie udawania, wpadliśmy w nią niczego nie podejrzewając. Ręce obu Amerykanów są wąskie i białe, takie same jak u moich kanciarzy. Powiniennem być to zauważyć wcześniej...

Diana zaczyna krzyczeć ze swojej kanapy. Jeden z mastodontów w fartuchu pośpiesznie wstaje. Diana piszczy, że próbował ją obmacywać. Harry wyprostował się. Louie chce interweniować. Wszystkich uspokajam wzrokiem.

Te dwa umięśnione tępaki zostały przewidziane w scenariuszu na wypadek, gdyby sprawy potoczyły się źle. Jesteśmy równi liczebnie, ale oni mają przewagę w mięśniach, a stąd wszędzie daleko. Nie uda nam się ich pokonać.

Walczyliśmy na zielonym suknie jeszcze przez pięć godzin, ale nie potrafimy odwrócić sytuacji. Gdy podwyższamy stawki, ludzie Grega pasują. Teraz, kiedy wiemy już, co jest grane, my z kolei wycofujemy się, kiedy atakują. Nikt nie wygrywa. W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Proszę o kolejną przerwę.

Przeciągam się i uśmiecham do jednego z grubych.

— Dobrze chwilę odpocząć. Zdaje się, że szczęście jest po waszej stronie.

— O, wiesz, najważniejsze, żeby nas nie opuściło.

I to mnie on to mówi. Czuję się, jakbym rozmawiał z drugim Bananasem.

Staję przy oknie obok Harry'ego. W odbiciu na szybie sprawdzam, czy nikogo nie ma w pobliżu, po czym mówię do niego tak, jakbym robił uwagi o krajobrazie:

— Za pół godziny wyjdiesz, bez zwracania na siebie uwagi. Poprzecinasz opony wszystkich samochodów oprócz naszych. Uważaj, żeby nikt cię nie zauważył. Weźmiesz strzelbę z wozu Louiego, leży

pod tylnym siedzeniem, schowasz ją pod płaszczem. Jak wrócisz, czekaj na mój znak.

Zachowuje kamienną twarz.

— Dlaczego?

— To oszuści. Załatwimy ich.

Partia zostaje wznowiona. Teraz już nie martwię się o pieniądze i zwiększam pułk, choć wiem, że tamci są przygotowani, po prostu dla przyjemności zobaczenia mimowolnych uśmiezków Grega.

Harry dość długo nie wraca. Mam nadzieję, że nie stało mu się coś złego. W końcu przychodzi, a wraz z nim do pokoju wpada lodowaty powiew. Harry ma na sobie długi płaszcz. Strzelby nie widać.

— Kurwa, ale zimno!

Bardzo naturalnym ruchem tupie o ziemię, żeby strząsnąć śnieg z butów, i zwrócony twarzą do ściany rozciera ręce.

— Fakt, że zimno. To działa na pęcherz! Przepraszam na chwilę...

Wstaję i kieruję się w stronę sracza.

Szybki rządek kokainy. Sprawdzam trzydziestkęósemkę oraz czy łatwo wyciągnąć brzytwę z buta. Zachęcające mrugnięcie do mojego odbicia w lustrze i wychodzę.

Dwa metry od stołu wyciągam rewolwer.

— Stick'em up, suckers?

Wszyscy podrywają się, zaskoczeni. Za sobą słyszę szcęk zamka strzelby. Odskakuję na bok, żeby odsłonić pole Harry'emu, który wrzeszczy:

— Freeze, assholes!

Strzelba z uciętą lufą wygląda jeszcze groźniej. Oba mongoloidy kamienieją z otwartymi ustami. Mój zespół w komplecie zniknął z pola ostrzału. Na mój pierwszy krzyk padli na ziemię. Facetom w fartuchach Harry każe dołączyć do Grega i jego dwóch kumpli. Cała piątka wyciąga ręce pod sam sufit. Panujemy nad sytuacją.

— Co, Greg? Chciałeś mi zabrać moją forszę? To nieładnie...

Stoją nieruchomo jak posągi.

— Diana, obszukaj ich.

Szybko obmacuje ich z kpiącym uśmiechem. Chowa do kieszeni małą paczuszkę kokainy, którą Greg, ten egoista, chciał zachować dla siebie, a także grube pliki banknotów.

— Louie, zbieraj forszę ze stołu i z zapasów tych panów. Usiłują wprowadzić protestować, ale znajdują się po niewłaściwej stronie karabinowej lufy.

— Stulić mordy! Wszyscy! Na kolana, ręce na głowy, motherfuckers!

Wycofujemy się. D'Amour, Diana ze swoimi dwoma psami, Chuck i Bananas biegną do samochodów. Oslaniam ich wraz z Harrym. Kiedy wszystkie trzy silniki zastartowały, wskazuję ręką salon.

— No, Harry, teraz możesz się zabawić.

Nie trzeba mu dwa razy powtarzać.

Łup! Telewizor sypie się w drobny mak i w postaci deszczu odłamków spada na ziemię. Łup! Rozlatuje się wieża stereo. Trzeci wystrzał robi ogromną dziurę w drzwiach do kuchni i niszczy stos brudnych talerzy. Z sufitu spadają kawałki tynku. Cała piątka, na klęczkach, osłupiała, przygląda się temu pustoszeniu, przerażona. Greg zatyka sobie palcami uszy.

Łup! Strzał w kominiek rozsypuje po dywanie rozżarzone węgle. Wybiegamy z domu i lecimy do samochodu, który jest gotów do odjazdu.

Dla porządku Harry ostatni raz strzela, tym razem w samochód Grega. Przednia szyba rozpryskuje się. Na pełnym gazie pędzimy po zamarzniętych polnych drogach. Nieco dalej, już na autostradzie, Harry zwalnia, po czym zatrzymuje się. Jest uśmiechnięty, odprężony. Wyciąga z kieszeni jug, małą paczuszkę heroiny, i pogwizdując przygotowuje sobie długi rządek na tablicy rozdzielczej.

— I co, Harry? Zadowolony?

— Zdziwiasz mnie! Fajnie jest!

Wciąga nosem cały ten swój proszek i wydaje westchnienie rozkoszy. Minutę później ogarnia nas niepohamowany atak śmiechu, który utrzymuje się aż do Toronto.

Daję mu premię w wysokości pięciuset dolarów, po czym jadę spotkać się z resztą, żeby podzielić forszę.

Dzięki mnie D'Amour poznał przyjemność kibicowania walkom bokserskim i wieczorami często towarzyszy mi, kiedy idę robić zakłady w jakiejś hali. Nie zna się na tym zupełnie, ale wierzy w moje prognozy i w ten sposób niekiedy udaje nam się wyciągnąć od naiwnych parę banknotów.

Dzisiejszego wieczoru obejrzelśmy serię krótkich walk w Bagnatas Boxing Club i kiedy prezentowano uczestników, od razu wpadł mi w oko jeden z zawodników. To Murzyn, bardzo wysoki, chudy, o długich rękach, noszący pseudonim Spider — Pająk. Kiedy wprowadzają przeznaczonego mu przeciwnika, nie mam już żadnych wątpliwości. Jest nim karzeł o krótkich nogach, równie sztywny, co mój champion jest giętki i szybki.

Wstaje, kiedy tylko mój faworyt wychodzi na ring. D'Amour, który ślepo mi wierzy, wykrzykuje wraz ze mną swój entuzjazm. Przez cały wieczór wygrywaliśmy i teraz całą poprzednią wygraną postawiliśmy na Pajaka.

Spider niemalże lata nad ringiem, pędząc przed sobą karła. Fantastycznie bije z lewej, krótkimi precyzyjnymi ciosami. Mały jest mocny i trzyma się, ale jego garda nie na wiele się przydaje. Wszystkie uderzenia Spidera dochodzą celu.

Kiedy kończy się pierwsza runda, zwycięstwo mamy w kieszeni.

— Louie, zdaje się, że odkryliśmy mistrza.

— No. Widziałeś, ile jest wyższy od tamtego.

— A jaki ma zasięg rąk? A praca nóg? Wystarczą mu trzy kroki na przejście na drugą stronę ringu. A poza tym jak inteligentnie walczy!

W trzeciej rundzie karłowi udaje się uderzyć Spidera, który opada na liny. Jest liczony i D'Amoura ogarniają wątpliwości.

— To tylko przypadek. Nie ma sprawy.

Na „cztery” Spider wstaje i rzuca się do przodu, nabuzowany i wściekły. Atakuje wspaniałymi lewymi prostymi, zmuszając karła do przesunięcia gardy, korzysta z chwili odsłonięcia się przez tamtego, wali prawym prostym i otrzymuje niesamowity podbródkowy, który rozciąga go na ziemi w ostatecznym nokaucie.

Kiedy opuszczaliśmy salę, leżał jeszcze pośrodku ringu, jak zmiażdżony pająk.

Może szczęście mnie opuściło. Widocznie wyjechało z Toronto nie powiadamiając mnie, i pozostawiając sam na sam z kłopotami. Jest okropnie zimno. Mój kumpel — słońce, przestał się pokazywać. O piątej po południu jest już ciemno.

Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

— Od jakiegoś czasu jesteś innym człowiekiem.

No tak, teraz ona będzie mi zawracać dupę. Kiedy obudziłem się w południe w różowej bombonierce Heleny, już byłem w złym humorze. Potem zobaczyła, jak dokopałem Minette, jej pudlowi, który akurat się nawinął. Jej łzawe protesty nie poprawiły sytuacji. A teraz chciałaby pokierować moim życiem!

— Cizia, potrzebujesz odpoczynku. Klub i tak jest zamknięty, może wyjechalibyśmy gdzieś na słońce na jakiś czas? Nikt nie zostaje w Toronto na zimę.

Fakt, że jest styczeń 1973, to znaczy pierwsza od dawna zima, którą spędzam w lodowatym klimacie, i że o tej porze roku Toronto nie wygląda zachęcająco. Patrząc przez okno na szare, ponure chmury, pokrywające niebo niczym ołowiany sufit.

Jest niesamowicie zimno, a na chodnikach zalega brudny śnieg.

— Moglibyśmy pojechać na Antyle na jakieś dwa tygodnie. Mam przyjaciół, którzy mają tam dom.

Dlaczego by nie, co mi w tym przeszkadza? Mam pieniądze i mam czas. Wprawdzie biuro imigracyjne zatrzymało mój paszport odkąd przyjechałem do Vancouver, ale z łatwością mogę uchodzić za Kanadyjczyka, a wyrobienie sobie fałszywych dokumentów to żadem problem. Tylko że Antyle już znam.

Helena kontynuuje swoje wywody, usiłując wziąć mnie na sentymenty.

— Na Jamajce jest nieźle. Mają dobrą trawkę...

To prawda, ale mają też jah, a on i ja nie jesteśmy w zbyt dobrych stosunkach.

W końcu, ponieważ Jaśniepani chciała słońca, zabrałem ją na tor wyścigowy w Greenwood, we wschodniej części miasta, gdzie panuje klimat tropikalny, jeśli oceniać go na podstawie stroju kelnerek.

Nie byłem tu już od dwóch albo trzech tygodni. Właściwie od czasu zamknięcia klubu. Dawniej zjawialiśmy się tu bardzo często, kiedy popołudnia zbyt nam się dłużyły. Podoba mi się to miejsce, gdzie wszystko zorganizowane jest tak, by wyciągnąć od ludzi forsy nie odbierając im uśmiechu.

Pierwsze piętra trybun opanowane są przez motłoch i byłem tam tylko raz, błąd debiutanta! Setki osób tłoczą się przed rzędem okienek. Podłoga zasłana jest papierkami i wygląda to jak hall dworcowy w porze wyjazdów urlopowych.

Ale na trzecim piętrze wszystko wygląda inaczej. Usytuowana na szczycie trybun restauracja zaprasza szczęśliwych graczy. Jedna z jej ścian jest całkowicie przeszklona i wychodzi akurat na linię mety. Kiedy się tu zajęło miejsce, nie ma już potrzeby się ruszać. Miłe kelnereczki, w spódniczkach mini, cienkich majteczkach, z głębokim dekoltem i wiecznym uśmiechem na buzi, podchodzą do stolika i zbierają zakłady, by następnie zgłosić je w odpowiednim okienku. Siedzimy sobie spokojnie z nosem pełnym kokainy i kieliszkiem szampana w ręku i robimy zakłady przez całe popołudnie.

Jeśli szczęście dopisuje, te same kelnereczki, nadal uśmiechnięte, przynoszą wygraną na małej tacce. Posiadły one wszystkie tajniki sztuki zdobywania napiwków. Jakże mógłbym odmówić zostawienia okrągłej sumki tej małej pupci, która trzepocze się o parę centymetrów od mojego nosa? Kiedy taka dziewczyna kładzie tacę na stoliku, przesadnie się przy tym schylając, fantastyczny widok głębi dekoltu pozostawia tylko alternatywę: albo pogрузić się tam aż po uszy, albo wsunąć banknot. To drugie rozwiązanie ze względu na miejsce jest bardziej odpowiednie i stosujemy je po królewsku. Przynajmniej wtedy, kiedy udaje nam się wygrać. Co zdarza się niestety nadzwyczaj rzadko z powodu szczęśliwego pomysłu Louie, który, otumaniony nadmiarem kokainy, uważa się za profesjonalistę.

W regularnych odstępach czasu znika, by zejść do wagi i przynieść stamtąd poufny i całkowicie pewny cynk, pochodzący bezpośrednio z ust brata stróża pilnującego siodła dżokeja. Cynk za każdym razem okazuje się całkowicie skorodowany i jesteśmy niemal szczęśliwi, kiedy wyścigi dobiegają końca. Praktycznie zawsze opuszczamy hipodrom splukani, ale z uśmiechem na ustach.

Dzisiaj jestem z Heleną i wiem, że popołudnie nie przebiegnie normalnie.

Już na samym początku, po pierwszym wyścigu, wygrywam siedem tysięcy dolarów postawiwszy na piątkę, numer, który będzie mi przynosił szczęście do końca dnia. Jak zwykle siedzę przy tym samym stoliku, a moja ulubiona kelnereczka, mała brunetka o długich nogach, przyzwyczajona do moich królewskich napiwków, odstawia przede mną swoje normalne przedstawienie, częściowo dla zarobku, częściowo z sympatii.

Helenie zupełnie się to nie podoba. Morduje dziewczynę wzrokiem, a mnie rzuca podejrzliwe spojrzenia.

— Spaleś z nią.

To nie pytanie, to stwierdzenie.

— Ależ skąd! Lubi mnie, bo jestem dla niej hojny. To wszystko. Ma ładną dupkę i pokazuje ją, to jej praca, rozum.

— To nie musisz się jej tak nachalnie przypatrywać!

— Słuchaj, nie denerwuj mnie. Ma ładną dupkę, przyjemnie na nią popatrzeć, a jeśli mam być szczery, ta dziewczyna mi się podoba.

Helena wstaje, oburzona.

— Jesteś zwykły cham!

Do cholery, może już starczy! Ja tu zajęty jestem grą, a ta mi zawraca głowę jakimiś scenami zazdrości. Co to ma znaczyć? Przysiągłem jej wierność, zgoda; nie dotrzymałem przysięgi, zgoda, ale tego ona nie wie. A zresztą to nie powód, żeby naruszać moje podstawowe swobody. Jej zazdrość, która na początku nieco mnie bawiła, teraz coraz bardziej mnie drażni.

Siedzi przygnębiona, milcząc. Nawet już na nią nie patrzę, zajęty

stawianiem na następnego konia. A szczęście uśmiecha się do mnie przez całe popołudnie. Pomijam faworytów, stawiam wyłącznie na jakieś stare chabety, a one wygrywają!

Kiedy późnym popołudniem opuszczam Greenwood, mam kieszenie wypchane plikami banknotów. Zarażona moją radością Helena całkowicie zapomniała o naszym nieporozumieniu i do taksówki idziemy trzymając się za ręce.

Wracam do miasta i dzwonię do D'Amoura. Umawiamy się w Maple Leaf Garden, wielkim ośrodku sportowym, gdzie na gigantycznym ekranie oglądać będziemy bezpośrednią transmisję z wyjątkowego wydarzenia. Dziś wieczór mistrz świata wagi ciężkiej Joe Frazier bronić będzie swego tytułu w walce z nowym pretendentem, Georgem Foremanem.

— Przynies całą gotówkę, jaką masz — mówię mu — wyciągnij swoje oszczędności, to jedyna okazja. Mam dziś szczęście i trzeba to wykorzystać. Dzisiaj nabijamy sobie kabzy.

Jest przyzwyczajony do mojego nieustającego optymizmu i ma opory. Opowiadam mu przebieg mojej gry na wyścigach, żeby go przekonać, i kiedy odkładam słuchawkę, liczby tańczą mu przed oczami.

Helena wróciła do domu i spotykamy się w Hot Stuff Lunch, barze Maple Leaf. Podniecona publiczność zajęła już miejsca na sali, gdzie zainstalowany jest ekran. Louie D'Amour ma plik banknotów prawie tak gruby, jak mój. Chociaż dotrzymuje mi kroku w wydatkach, zawsze udaje mu się odłożyć jakiś tysiąc dolarów od czasu do czasu. To przejaw jego strachliwego charakteru, którego nigdy nie potrafiłem do końca zmienić.

— Stawiamy wszystko na Joe Frazier.

Podskakuje nerwowo.

— Wszystko?

— Spokojnie, staruszkule! Zaufaj mojemu instynktowi. Ten facet to maszyna. Jego lewy prosty to żelazo. Jak dorwie tego Foremana, zrobi z niego powidła.

Jako fanatyk boksu tłumaczę mu:

— Słyszałeś o Mohamedzie Ali?

— No jasne.

— Więc nastaw uszy i słuchaj. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym przegrałem majątek, bo postawiłem na Alego. Było to w Madison Square Garden, walka stulecia. Frazier tak mu dołożył, że głowa boli!

— Tak, ale...

— Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dwa, Terry Daniels, widziałeś pojedynek?

— Nie.

— Rozegrany został w Nowym Orleanie, w Super Bowl. Tak mu przyłożył, że tamten wyleciał z ringu.

— Dobrze, zgoda, ale...

— A Ron Stander, słyszałeś o nim?

— Nie.

— Techniczny nokaut w piątej rundzie!

— A Oscar Bonavera, argentyński byk, Chuvalo, Ramos, Ellis...

wszyscy załatwieni na cacy! Wykończeni przez Joe Frazier!

Robi na nim wrażenie ogrom moich wiadomości w tej dziedzinie.

— Nie mamy prawa przegrać, Louie, to bank!

Krzywi się.

— Tak samo mówiłeś wczoraj o Pajaku.

Poświęcam jeszcze trochę czasu, żeby wytłumaczyć temu sknerze, jaka jest różnica między serią małych lokalnych pojedynków a klasą walk w wadze ciężkiej. Joe Frazier to prawdziwy mistrz. Udowodnił swoje umiejętności niejednym razem. Nikt nie ma co do tego wątpliwości i praktycznie wszyscy stawiają na niego. Bukmacherzy zmuszeni są do brania zakładów trzy do jednego.

— Trzy do jednego? To samobójstwo!

Nie podoba mu się, że trzeba sporo postawić, żeby liczyć na minimalny zysk. Konieczność wyłożenia trzech tysięcy dolarów, żeby zarobić tylko tysiąc więcej, zniechęca niejednego gracza.

— To powinno cię upewnić, że mam rację. Nikt tu nie ma wątpliwości. Rób, co chcesz, ja tam wszystko stawiam na Frazier.

— Dobra... niech to szlag, idę z tobą.

Jedyny problem to znalezienie poważnych bukmacherów, którzy nie ogłoszą plajty w razie dużych strat. Znam paru, do których mam zaufanie, bo stawiam u nich na NFL, amerykańską ligę futbolową. Jeden przyjmuje zakład na sześć tysięcy dolarów, inny na dziewięć tysięcy, i w końcu udaje nam się ulokować całą forszę u kilku bukmacherów.

Kiedy upici szampanem i zataczający się wracamy na salę, żeby sobie spokojnie usiąść, widowisko już się zakończyło.

Sędzia przerwał pojedynek w drugiej rundzie, po tym jak George Foreman, nowy mistrz świata wagi ciężkiej, sześciokrotnie posłał na liny Joe Fraziera, byłego mistrza świata wagi ciężkiej.

A my straciliśmy całe nasze pieniądze.

Louie D'Amour powoli odwraca głowę w moją stronę, osowiały. Patrzę na niego, niemal równie zszokowany jak on, i mówię:

— Partner, jutro otwieramy klub.

## CZĘŚĆ DRUGA

Minęły dwa miesiące. Przyzwyczailem się do zimna, które nocą dochodzi niekiedy do minus dwudziestu pięciu stopni. Chroniony ciepłym futrem nie zwracam już na to uwagi.

Otworzyłem salę gry w Chinatown, korzystając z usług Li-Hana, mojego chińskiego przyjaciela. Azjaci, nawet bardzo biedni, uwielbiają grę na pieniądze, a w dzielnicy nie było dotąd nielegalnego kasyna. Li-Han obserwował rozwój moich interesów i to on przyszedł do mnie z konkretnymi propozycjami. Zbadał rynek. Był drobnym dealerem i alfonsem, potrzebował kapitału.

Zgodziłem się, bo interes był zyskowny. Ale postawiłem dwa warunki: biorę pięćdziesiąt jeden procent zysków i sam podejmuję decyzje.

Od początku sala przyciąga pięćdziesięciu amatorów dziennie. Nie wyobrażacie sobie orientalnej zadymionej speluny, pełnej podstępnych Chińczyków i okrutnych morderców. Gra jest dla moich klientów normalną czynnością, zwyczajną rozrywką, i są zachwyceni, że mają miejsce, gdzie mogą się zabawić. Wszystko odbywa się w jednym pokoju, nad restauracją Li-Hana. Tłoczą się tu i grają w gry, których reguł nawet nie rozumiem. Używa się tu kości, żetonów i domina. Systemy stawek są tak zagmatwane, jak to tylko możliwe. Wiem jedno, że na koniec dnia wygrywa bank. Oddelegowałem Harry'ego, żeby zapewnić bezpieczeństwo i mieć oko na mojego nowego współnika, którego uroczyście uprzedziłem:

— Li-Han, nie wolno oszukiwać.

Mam pełne zaufanie do Harry'ego. Udowodnił już swoją odwagę. Jest inteligentny i zna Azjatów. Pozostawiłem mu względną niezależność.

Sam zatrudnił sobie pomocników i zorganizował pracę. Wiem, że jest wierny, a jego obecność w Chinatown pozwala mi zbyt często się tam nie pokazywać.

Jestem zadowolony z tej sali. Zorganizowanie wszystkiego nie nastąpiło trudności i od razu zaczęło przynosić zyski. Chińska dzielnica to dziewiczy teren i być może kryje w sobie inne możliwości. Chinatown będzie doskonałym zapleczem w razie wpadki booze-can Haiga.

Pod 87 na Bedford Street mój lokal znów działa. Haig ponownie objął swoje stanowisko pana domu, skupionego i gościnnego. Pod okiem D'Amoura w ciągu paru nocy klub odzyskał swój dawny rytm pracy. Dodatkowy środek ostrożności: gra się teraz w małym pomieszczeniu przylegającym do kuchni. W razie nalotu gracze i oszuści mają do pokonania tylko parę metrów, dzielących ich od tylnych drzwi.

Chuck i Bananas zajmują się stołami gry.

Krótko mówiąc postawiłem wartościowych facetów tam, gdzie mogą mi przynosić zyski. Wieczorem robię obchód, żeby zebrać pieniądze. Postanowiłem pozostawać w cieniu. Chcę, żeby widziano mnie jak najmniej, żeby móc działać z ukrycia. Zdobyłem nową klientelę na interesującym rynku, bez konkurencji i z dala od wzroku władz.

Przyciągnięci moją opinią mafioso, moimi kontaktami z Włochami, plotkami i reputacją mocnego człowieka, wielokrotnie przychodzą do mnie ludzie z półświatka, żeby prosić o ściągnięcie dla nich długu, którego nie są w stanie wyegzekwować.

Odbywa się to tak. Ktoś ma dług honorowy i odmawia zapłacenia należności. Za pięćdziesiąt jeden procent tej sumy zgłaszam się do dłużnika i przekonuję go, że powinien wyrównać rachunki. Jeśli sprawa mnie interesuje i jeśli dochodzimy z klientem do porozumienia w sprawie ceny, uprzejmie ostrzegam zainteresowanego, jeden raz, zawiadamiając, że trzeba zapłacić. Następnie stosuję zastraszanie, dużo skuteczniejsze od zwykłej przemocy fizycznej, o ile naciski są odpowiednio dozowane.

Interes ten rozwija się szybko. Wchodzę w niego bez kompleksów, z całą skutecznością, do jakiej jestem zdolny. Dłużnicy to ludzie z marginesu, nie przedszkolaki. Jestem więc bandytą mającym do czynienia z bandytami.

Przy takich okazjach posługuję się przypadkowymi pomocnikami. Harry naraił mi takich wielu. To prawdziwi fizyczni, spokojni, wyrafinowani aż po czubek swoich baseballowych kijów. Często ich zmieniam, bo są bardzo zajęci. Idą wraz ze mną na mordobicie, kiedy ich normalni pracodawcy, okoliczne więzienia, pozostawiają im nieco wolnego czasu.

Moja reputacja umacnia się. W środowisku underground jestem znany jako twardy facet, który nie robi prezentów i któremu wszystko się udaje. Jestem mafioso. Przypomniałem sobie gesty i słowa bandytów z dzieciństwa, kiedy bawiliśmy się w gangsterów. Noszę teraz na stałe moją trzydziestkęósemkę w kaburze przypiętej nad biodrem i zakrytej marynarką, niewygodnej, ale bardzo eleganckiej.

Trzeba powiedzieć, że dbam o opinię. Mam teraz samochód odpowiadający mojej pozycji, dostarczony przez tego kochanego D'Amoura. Kupił sobie limuzynę lincoln continental, którą chciał zamortyzować wynajmując ją na wieczór gwiazdom showbusinessu przyjeżdżającym do Toronto. Wygrałem ją od niego w trakcie szybkiej partii bullshit-pokera i za jednym zamachem zrujnowałem wszystkie jego obliczenia. Jego protesty i długie opisy wyrzeczeń, jakie poniósł, nie potrafiły mnie wzruszyć. To właśnie samochód, jakiego potrzebuję. Telewizor, telefon, barek, z tyłu przestrzeń obliczona na sześć osób, trzeba przyznać, że Louie D'Amour zadbał o wszystko.

Na pocieszenie pozwalam mu jednak siadać za kierownicą, kiedy nie mam innego kierowcy, chociaż kategorycznie odmawia założenia szoferskiej czapki. W ramach zdrowotnych spacerów i by obejrzeć światło dnia, jeżdżę limuzyną po mieście godzinę dziennie, rozwalony na tylnej kanapie i na całkowitym haju.

Mianowałem D'Amoura menedżerem klubu. Dla niego to awans, dla mnie sposób na to, by nie pokazywać się tam zbyt często. Nie mieszkam już w klubie. Od czasu nalotu nie lubię już mojego mieszkania. Wynająłem apartament w Hyatt Regency.

Fizycznie czuję się źle. Odczuwam to podczas każdego przebudzenia. Kokaina wyczerpuje mnie. Jest jeszcze gorzej, odkąd odkryłem speedball, nowy przepis: dwie trzecie kokainy, jedna trzecia heroiny. Zupełne szaleństwo.

Nauczyła mnie tego Lynn, wysoka blondynka o ogromnych czarnych

oczach i krótko obciętych włosach, okalających ładną buźkę wróbelka. Choć bardzo kobieca, jest jednocześnie jak skała, twarda i egoistyczna, pobudliwa i nienasycona. Lubi bójki, przemoc i krew. Tonem, jakby opowiadała kawał, mówi o tym, jak znalazła swojego narzeczonego z kulą w głowie, leżącego w kałuży krwi w samochodzie, w wyniku jakichś porachunków. Jej przedramiona noszą liczne ślady nacięć brzytwą, pozostałość po dawnej próbie samobójstwa, podjętej w przebrzydłości.

Jest moją nową towarzyszką, od czasu kiedy rzuciłem Helenę, według jej własnego określenia. Zarzucała mi, że zrobiłem się zbyt poważny, z jej punktu widzenia zresztą słusznie. Tonem, który miał mnie ostatecznie pogryźć, rzuciła mi kiedyś:

— Wydaje ci się, że jesteś Lucky Luciano!

Skorzystałem z okazji i zatrzasnąłem jej drzwiczki przed nosem, zostawiając ją samą na chodniku. Przez dwa dni nie mogła w to uwierzyć, po czym w odruchu gwałtownej rozpaczki wyrzuciła za okno moje ubrania.

Był już najwyższy czas, żebym odszedł. Nie chciałem jej ranić, i trzeba było uniknąć, by przywiązała się do mnie jeszcze bardziej. Muszę żyć pełnią życia, bez przerwy, a to nie jest życie dla niej. Nie mogę znieść monogamii. Nie mogłem już wytrzymać tej jej wiecznej troski o moje zdrowie, o ilości narkotyków, jakie zażywałem, i o mój charakter.

A przecież wiem, że ma rację. Kiedy chodzę, wystarczy, że poodycham trochę zimnym powietrzem i już leci mi z nosa krew. Narkotyk zżera mi nozdrza nie mniej niż mózg.

Poza tym jestem niebezpieczny. Helena nie powinna mieć do czynienia z moim światkiem. Lubię ją, to dobry kumpel. Po prostu nie zostaliśmy przeznaczeni dla siebie, to wszystko.

Lynn przynajmniej nie zakocha się i bardziej pasuje do okoliczności. Nie będzie ode mnie wymagać, żebym był jej wierny. Ma w nosie moje przyjemności, jak długo będę ją stawiał na pierwszym miejscu. Od czasu do czasu pracuje dla agencji zatrudniającej modelki, ale jej główne zajęcie to przemyt kokainy między Toronto a Florydą. Ma tam dawnego kochanka, który jest poważnym dostawcą, i przechodzi do Kanady przez przejście graniczne w Niagara Falls, gdzie nieustający potok turystów sprawia, że kontrole są symboliczne.

Nie musząc już zajmować się prowadzeniem moich klubów dzielę czas między kilka punktów w mieście, i tylko o określonych godzinach pojawiają się w kwaterze głównej. Tutaj napływają dla mnie informacje i stąd wydaję polecenia.

W porównaniu z innymi moimi interesami ściąganie długów to najciekawsze zajęcie.

— Niedobrze, Cizia! Niedobrze!

Przerażony Louie D'Amour dopada mojego stolika. Dookoła mnie rozbrzmiewają ciche odgłosy spokojnie działającego klubu. Siedząca naprzeciw mnie Lynn pożera mnie wzrokiem.

— Co się stało?

— Przyszedł Bobby Thompson! Właśnie wszedł! Jest z nim Don Caruso! Chcą z tobą rozmawiać. O, to niedobrze! Cizia. Uważaj.

Wskazuje mi dwóch facetów, o których istnieniu dotąd nie miałem pojęcia. Jeden jest gruby, krępy, z fajką w ustach. Ma ogoloną głowę, ogromne dłonie, puste spojrzenie. Paskudny gość. Drugi ma wredną mordę. Jest mały, chudy, o wzroku skurwysyna. Jego twarz poorana jest bliznami. Ma złamany i skrzywiony nos.

— To mają być te złe wiadomości?

— Tak! Ten gruby to Bobby Thompson. To morderca. Widziałem, jak zabił czterech facetów kijem baseballowym. Wszedł do ich baru, zmasakrował ich i wyszedł, a nikt nie ośmielił się poruszyć. Ten facet to maszyna. Najgorszy bandyta w Toronto.

Mówi to cicho, drżącym głosem. Zdaje się, że naprawdę się boi.

— A ten drugi?

— To Don Caruso! Skurwysyn, który stale siedzi w więzieniu. Znam go, Cizia. To twardy facet!

— Nic się nie bój, partner. Zajmę się tym.

Oba strachy na wróble podchodzą do mojego stolika. Mały pozszywany taksuje mnie wzrokiem z nieprzyjemnym uśmiechem na ustach.

— Nieźle idzie ten twój interes.

Gruby stoi nieco z tyłu, trzymając fajkę w dłoni. Jego błękitne oczy pozostają całkowicie bez wyrazu.

— Owszem, idzie bardzo dobrze. No dalej, pośpiesz się, mów, po co tutaj przyszedłeś.



Spokojnie. Na luzie. Po prostu ciekawi mnie, co chce mi zaproponować.

— Myślę, że twój biznes ma jedną słabą stronę.

— Opowiedz mi o tym.

— Chodzi o to, że nie masz ochrony.

Zaczyna to już być nudne. To trzecia próba szantażu, odkąd ponownie uruchomiłem boozę-can. Oczywiście wszystkie spełzły na niczym. Skąd się tu wziął ten karzeł? Przecież powinien wiedzieć, jak sprawy stoją.

— Bardzo ciekawe. Co proponujesz?

Lynn pochyliła się do przodu. Oparła głowę na dłoni, uśmiechając się, i przygląda się nieruchomo karłowi, który ciągnie swoją starą jak świat śpiewkę. W zamian za poważny udział w zyskach — a ten kretyń jest wyjątkowo łakomy — zapewni mi skuteczną ochronę.

Gruby nie porusza się. To osiłek o prymitywnym umyśle, którego jedyną motywacją są pieniądze. Mały podejmuje decyzje. On tu jest mózgiem. Stawiam się na ich poziomie, udając durnia.

— Przed czym będziesz mnie ochraniał?

— Przed wizytą złych ludzi, którzy mogliby narobić tutaj sporo szkód. Remont jest drogi...

Lynn wybuchła dzikim śmiechem.

— A kradzieżami i pożarami też się zajmujesz? No już, spadaj stąd, kutasie!

Bawię się jak rzadko. Ten wymoczek będzie mi tu groził. Mnie! Ja ściągam długi i w całym półświatku moja sława przyprawia ludzi o dreszcz grozy, tyranizuję okoliczną ludność, a ten tu przychodzi i chce się ze mną mierzyć! Albo jest nieświadomy niczego, albo naprawdę zbyt głupi do tego zawodu.

Odchylam marynarkę i wysuwam trzydziestkęósemkę z kabury.

— To jest moja ochrona, kretynie! Właściwie dlaczego nie wstąpiłeś do domu starców? Może byś tak przestał ludziom zawracać dupę, karzełku!

Zwracam się do grubego z ręką na kolbie rewolweru.

— A ty, groźny człowieku? Chcesz potrenować? No to już, masz okazję.

Nie rusza się, wzrok ma wbity w moją rękę. Głupi, ale nie wariat.

— To ty jesteś Bobby Thompson?

Prostuje się z uśmiechem zdziwionego chłopczyka, zadowolonego, że się o nim mówi.

— Znasz mnie?

— Mówiono mi o tobie. Podobno robisz dobrą robotę. Jego uśmiech rozszerza się, i puszy się jak paw pod wpływem moich komplementów.

— Ale tym razem zadziwiasz mnie, Bobby.

Jego uśmiech zanika. Wysila się, żeby zrozumieć.

— Co ty robisz z taką szmatą jak ten tutaj? Nie trzeba pracować z przegranymi. To źle wpływa na reputację. Rozumiesz?

Jego wzrok wędruje ode mnie do karła.

— Potrzebuję takich facetów jak ty. Jeśli chcesz, mam dla ciebie dobrą fuchę.

— Yeah?

Budzi się w nim zainteresowanie. Caruso wyczuwa niebezpieczeństwo i próbuje interweniować.

— Zamknij się, półgłówku! Bobby, płacę ci sto pięćdziesiąt dolarów dziennie.

To dużo. Caruso traci głowę.

— Bobby, ja jestem bossem. Ja ci płacę. Nie słuchaj go.

Kładę na stół pięć studolarowych banknotów.

— A ja ci daję pięćset dolarów od razu, jeśli walniesz w ryj tę szmatę i wyrzucisz mi ją na dwór.

Bobby myśli, ociężale. Patrzy na banknoty na stole, patrzy na mnie, po czym jego bez wyrazu wzrok pada na karła.

— Bobby, NIE!

Straszliwe uderzenie na odlew odrzuca go parę metrów w tył. Bobby schyla się, podnosi go i bez widocznego wysiłku idzie wyrzucić obrzydliwego na ulicę. Lynn rechocze, przyklejona do mnie.

Bobby wraca po swoje pięćset dolarów. Lynn mówi mu, że jest bardzo silny, co sprawia, że się czerwieni. Potwierdzam, że został zaangażowany jako siła uderzeniowa. Lynn obejmuje mnie za szyję i szepcze mi prosto w ucho:

— Cizia, mam mokre majtki. Musisz mnie przetrząść.

Wkrótce jej głos staje się prawdziwym mruczeniem. Nigdy jeszcze nie słyszałem tylu świństw wypowiedzianych tak łagodnie. Sama muzyka jej chrapliwego i zmysłowego głosu powoduje, że ogarnia mnie gorączka. Nie wytrzymuję długo i oboje wymykamy się.

Lynn zajmuje dwa ostatnie piętra starej, spokojnej kamienicy. Jest u niej niewiele mebli, co zostawia sporo przestrzeni życiowej. Podłoga pokryta jest białą wykładziną. Jest tam też balustrada i schody z jasnego drewna. Ściany zdobią pozawieszane dookoła w metalowych ramach piękne czarno-białe zdjęcia młodych kobiet, przyjaciółek Lynn, co wzmaga męski charakter tego obszernego luksusowego mieszkania.

Lynn to specjalistka od narkotyków. Stoi na czele siatki prostytutek i wiele jej dziewczyn, wszystkie piękne, uczestniczy w przemyśle kokainy.

Jak tylko weszliśmy, rozebrała się. Kiedy tak stoi z odsłoniętymi piersiami, w samych białych majteczkach, wydaje się niemal chuda. Przygotowuje nam po kilka rządków naszej ulubionej mieszanki: speed-ball. Połączenie heroiny z kokainą to diabelski środek. Horse, heroina, całkowicie pozbawia ochoty na seks. Kiedy wzięło się jej odpowiednio dużo, jest praktycznie niemożliwe osiągnąć orgazm i mieć wytrysk. Natomiast kokaina przeciwnie, ma własności podniecające. Mieszanka obu zwielokrotnia u mężczyzn potencję i pozwala im kontrolować się całym godzinami.

Narkotyk ten musiała wymyślić sama Lynn. Nigdy jeszcze nie spotkałem tak nienasyconej kobiety. Odkąd z nią jestem, moje życie stało się pasmem pokus. Zaledwie zbliża się do mnie, a już jej erotyczna aura opanowuje mnie i pogrąża w rodzaj bosko przyjemnego piekła. Nie mogę przebywać nawet paru chwil obok niej, żeby jej ręka nie zaczęła mnie pieścić pod stołem, albo gładzić wzdłuż kręgosłupa aż po kark lekkimi muśnięciami, które szybko stają się nie do zniesienia.

Lynn stale napręża moje zmysły i jest na dobrej drodze, by wypompować ze mnie całą energię. Jej czarne oczy wlepione we mnie wyrażają więcej niż zaproszenie: to naglące żądanie, rozkaz.

Niczym ośmiornica żywi się moim życiodajnym płynem poprzez wszystkie swoje przyssawki. Jeśli uda mi się odczołgać na bok, jedna z jej rąk dosięga mnie i z powrotem przywołuje do obowiązku. To żarłoczne i nienasycone zwierzę, prawdziwy wampir. Lynn to ludojad, we wszystkich znaczeniach i wszystkimi otworami. Z nią odczuwam wszystko i za każdym razem coraz silniej.

Nie mogę już się bez niej obejść.

Wyczytałem gdzieś, że mężczyźni żyją krócej niż kobiety z powodu wysiłku, jaki wkładają w uprawianie miłości. Każdego ranka budzę się zdziwiony, że jeszcze jestem przy życiu.

Bobby Thompson stał się moim gorylem. Jeździ ze mną wszędzie i prowadzi lincolna. Widocznie nie jest mi pisane mieć szofera w służbowej czapce, bo nie udało mi się znaleźć wystarczająco dużej, by pasowała do obwodu głowy mojego nowego pracownika. Ten facet to siła natury. Nie ma straszego wyglądu, zwłaszcza kiedy ma na sobie swój nieodłączny płaszcz i sweter z golfem. Fajka wzmaga jeszcze wrażenie poczciwego ojca rodziny. Nawet jego ogolona czaszka i byczy kark nie są uderzające. Tylko dłonie, niczym gigantyczne łopaty, budzą niepokój i zdradzają jego siłę. To góra twardych mięśni otoczonych tłuszczem. Nie postarzał się od czasu, kiedy był nastolatkiem. Jego wiek umysłowy nie przekracza szesnastu lat, choć w rzeczywistości ma ich ponad czterdzieści. Pieniądze to jedyna rzecz, jaka się dla niego liczy. Żywi do dolarów bezgraniczną miłość i to nieokielznane uczucie to jedyna rzecz, jaką odczuwa. Poza tym nigdy żadnej emocji, prawdziwa maszyna.

Jest głupi i złośliwy, to znaczy, świetny, jeśli dobrze go prowadzić. Tak długo już deptę innym po odciskach, że zaczynam mieć na mieście sporo wrogów. W wieku dojrzałym ludzie z trudem zapominają o takich sprawach. Wiem, że niektórzy marzą o tym, by dostać moją skórę. Obecność u mego boku Bobby'ego, który w samą porę zastąpił Harry'ego, odstraszy mnie zdecydowanych.

Już następnego dnia po naszym pierwszym spotkaniu, które stanowiło początek długiej i owocnej współpracy, miałem sposobność przekonać się o jego zaletach.

To wina Louie D'Amoura. Ten dureń bawi się w mafioso i dał się nabrać jak frajer przy kokainowej transakcji. Chodzi o jakąś niezbyt jasną sprawę, mętną i nieco szmatławą, która mnie nie interesuje. Już od paru dni D'Amour zawraca mi głowę prosząc, bym interweniował.

— Pomóż mi. Ty potrafisz to załatwić.

— Nie zamierzam się umoczyć w narkotyki, już ci mówiłem. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— Ależ, partner, to nie żaden szwindel! Chodzi tylko o ściągnięcie długu. To twoja dziedzina, nie?

Lynn zajmuje dwa ostatnie piętra starej, spokojnej kamienicy. Jest u niej niewiele mebli, co zostawia sporo przestrzeni życiowej. Podłoga pokryta jest białą wykładziną. Jest tam też balustrada i schody z jasnego drewna. Ściany zdobią pozawieszane dookoła w metalowych ramach piękne czarno-białe zdjęcia młodych kobiet, przyjaciółek Lynn, co wzmaga męski charakter tego obszernego luksusowego mieszkania.

Lynn to specjalistka od narkotyków. Stoi na czele siatki prostytutek i wiele jej dziewczyn, wszystkie piękne, uczestniczy w przemyśle kokainy.

Jak tylko weszliśmy, rozebrała się. Kiedy tak stoi z odsłoniętymi piersiami, w samych białych majteczkach, wydaje się niemal chuda. Przygotowuje nam po kilka rzędów naszej ulubionej mieszanki: speed-ball. Połączenie heroiny z kokainą to diabelski środek. Horse, heroina, całkowicie pozbawia ochoty na seks. Kiedy wzięło się jej odpowiednio dużo, jest praktycznie niemożliwe osiągnąć orgazm i mieć wytrysk. Natomiast kokaina przeciwnie, ma własności podniecające. Mieszanka obu zwielokrotnia u mężczyzn potencję i pozwala im kontrolować się całym godzinami.

Narkotyk ten musiała wymyślić sama Lynn. Nigdy jeszcze nie spotkałem tak nienasyconej kobiety. Odkąd z nią jestem, moje życie stało się pasmem pokus. Zaledwie zbliża się do mnie, a już jej erotyczna aura opanowuje mnie i pogrąża w rodzaj bosko przyjemnego piekła. Nie mogę przebywać nawet paru chwil obok niej, żeby jej ręka nie zaczęła mnie pieścić pod stołem, albo gładzić wzdłuż kręgosłupa aż po kark lekkimi musnięciami, które szybko stają się nie do zniesienia.

Lynn stale napręża moje zmysły i jest na dobrej drodze, by wypompować ze mnie całą energię. Jej czarne oczy wlepione we mnie wyrażają więcej niż zaproszenie: to naglące żądanie, rozkaz.

Niczym ośmiornica żywi się moim życiodajnym płynem poprzez wszystkie swoje przyssawki. Jeśli uda mi się odczołgać na bok, jedna z jej rąk dosięga mnie i z powrotem przywołuje do obowiązku. To żarłoczne i nienasycone zwierzę, prawdziwy wampir. Lynn to ludojad, we wszystkich znaczeniach i wszystkimi otworami. Z nią odczuwam wszystko i za każdym razem coraz silniej.

Nie mogę już się bez niej obejść.

Wyczytałem gdzieś, że mężczyźni żyją krócej niż kobiety z powodu wysiłku, jaki wkładają w uprawianie miłości. Każdego ranka budzę się zdziwiony, że jeszcze jestem przy życiu.

Bobby Thompson stał się moim gorylem. Jeździ ze mną wszędzie i prowadzi lincolna. Widocznie nie jest mi pisane mieć szofera w służbowej czapce, bo nie udało mi się znaleźć wystarczająco dużej, by pasowała do obwodu głowy mojego nowego pracownika. Ten facet to siła natury. Nie ma straszego wyglądu, zwłaszcza kiedy ma na sobie swój nieodłączny płaszcz i sweter z golfem. Fajka wzmaga jeszcze swój poczciwego ojca rodziny. Nawet jego ogolona czaszka i byczy kark nie są uderzające. Tylko dłonie, niczym gigantyczne łopaty, budzą niepokój i zdradzają jego siłę. To góra twardych mięśni otoczonych tłuszczem. Nie postarzał się od czasu, kiedy był nastolatkiem. Jego wiek umysłowy nie przekracza szesnastu lat, choć w rzeczywistości ma ich ponad czterdzieści. Pieniądze to jedyna rzecz, jaka się dla niego liczy. Żywi do dolarów bezgraniczną miłość i to nieokielznane uczucie to jedyna rzecz, jaką odczuwa. Poza tym nigdy żadnej emocji, prawdziwa maszyna.

Jest głupi i złośliwy, to znaczy, świetny, jeśli dobrze go prowadzić. Tak długo już deptę innym po odciskach, że zaczynam mieć na mieście sporo wrogów. W wieku dojrzałym ludzie z trudem zapominają o takich sprawach. Wiem, że niektórzy marzą o tym, by dostać moją skórę. Obecność u mego boku Bobby'ego, który w samą porę zastąpił Harry'ego, odstraszy mnie zdecydowanych.

Już następnego dnia po naszym pierwszym spotkaniu, które stanowiło początek długiej i owocnej współpracy, miałem sposobność przekonać się o jego zaletach.

To wina Louie D'Amoura. Ten dureń bawi się w mafioso i dał się nabrać jak frajer przy kokainowej transakcji. Chodzi o jakąś niezbyt jasną sprawę, mętłą i nieco szmatławą, która mnie nie interesuje. Już od paru dni D'Amour zawraca mi głowę prosząc, bym interweniował.

— Pomóż mi. Ty potrafisz to załatwić.

— Nie zamierzam się umoczyć w narkotyki, już ci mówiłem. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— Ależ, partner, to nie żaden szwindel! Chodzi tylko o ściągnięcie długu. To twoja dziedzina, nie?

— Długi karciane. Nie narkotyki.

Argumentuje, że straci reputację, nie mówiąc już o sporej forsie, ale mam to w nosie. Chce się bawić w bandytę, to niech się bawi do końca, jak dorosły.

— Cizia, stracę twarz. Jak się rozejdzie, że zadajesz się ze zwykłym frajerem...

— Przeستاń, Louie. Nie próbuj mi tu wciskać kitu. Zajmę się tym, ale to ostatni raz. Jasne?

— Tak, tak. Ostatni raz. Obiecuję.

Nikt nie jest bardziej uparty i bardziej nachalny niż Louie, kiedy w grę wchodzi jego forsa. Wykorzystuje moją sentymentalność, a poza tym mam ochotę wypróbować mój nowy nabytek.

Na ten pierwszy wypad wziąłem ze sobą Bobby'ego i sprowadziłem Harry'ego z Chinatown. Louie już od co najmniej tygodnia przeżuwa swój plan, i dostarczył mi wszystkich niezbędnych informacji. Nasz obiekt najczęściej załatwia interesy w jednym z barów na Yorkville Avenue. Jedziemy tam wczesnym popołudniem, to jest w porze, kiedy najłatwiej go zastać. Harry idzie sprawdzić i w lincolnie czekamy, aż wyjdzie z baru. Moi dwaj goryle siedzą z przodu. Louie D'Amour, zdenerwowany, kręci galkami telewizora ciężko wzdychając. Nasz wielki Louie D'Amour nie lubi kłopotów.

Na zewnątrz powoli przejeżdża żółto-czerwony pług śnieżny, a po nim sznur ostrożnie jadących samochodów. Na chodniku procesja wiernych Krisznych, zmarzniętych na kość, których monotonne śpiewy dobiegają mnie nawet tutaj, przez szyby samochodu, stawia czoło mroźnemu powietrzu, dowodząc, że prawdziwa wiara nie zna przeszkód.

Mają jednak ubrania zimowe, całe warstwy swetrów, wełnianych wdzianek, czapek, jakichś bliżej nie określonych świństw, a wszystko pokryte zwykłym pomarańczowym prześcieradłem. Bałwany! Tylko dwaj, którzy walą w swoje instrumenty, bardziej wierzący albo bardziej aktywni, wyglądają na to, że im ciepło.

Naprawdę są wszędzie. Spotykałem ich we wszystkich krajach, przez które przejeżdżałem, w Europie, w Azji i na kontynencie amerykańskim. Nie wiem, gdzie znajduje się ich guru, ale byłbym zdziwiony, gdyby też odmrażał sobie jaja w tej okolicy. Wyobrażam sobie go raczej na jakiejś plaży, otoczonego krisznetkami, gładzącego się po brzuchu i myślącego o tych wszystkich debilach, którzy dla niego pracują.

W końcu w naszych czasach najpewniejszym sposobem zrobienia szmalu jest stworzenie jakiejś sekty. Szczególnie w Stanach Zjednoczonych. Ciekawe, jak bardzo lud północnoamerykański potrzebuje wierzeń. Wydajni i skuteczni ludzie muszą w ten czy inny sposób czuć się zagubieni!

Nigdy nie widziałem miejsca, gdzie byłoby tyle różnych religii. Po prostu są tam wszystkie. Katolicy, protestanci, buddyści, zwolennicy Krisznych, baptyści, świadkowie Jehowy, adwentyści Dnia Siódmego, wielbiciel Dnia Dwudziestego Ósmego, Trzeciego Oka, Drugiego Jaja, a i tak wiele pomijam.

Nie będę krytykować, w końcu ja też szukałem swojej drogi... W Azji kumple, którzy zostali wielkimi kapłanami Trzeciego Oka, wytykali mi brak uduchowienia.

— Jesteś porządny facet, Cizia, ale ciągle jeszcze zbyt przywiązany do spraw materialnych. Brakuje ci wspólnoty duchowej z twoimi braćmi. Przyłącz się do nas, poprowadzimy cię drogą prawdy i światłości...

Więc z ciekawości poszedłem zobaczyć. Ale zamiast świetlanej prawdy zobaczyłem zwykłe ludobójstwo. Pobudka o świcie, lodowaty prysznic pod wodospadem, medytacje przez trzydzieści pięć godzin tygodniowo, zakaz wychodzenia, haj wyłącznie duchowy.

Kiedy chcieli, żebym żarł nasiona i zabronili mi pierdolić, zwałem w podskokach, zabierając ze sobą kasę na pokrycie kosztów podróży.

Chętnie zgodzę się na wysilek, ale bez przesady!

Jakże to wszystko jest już odległe!

Tymczasem zaczynam się denerwować. Dostyc już mam tego czekania w samochodzie. A Harry nie wychodzi! Nie mogę tu siedzieć cały dzień, mam ważne spotkania, czekają na mnie łóżka z dziewczynami.

Zawraca dupę ten D'Amour swoimi kretynizmami! Biorę rządęk za rządkiem, żeby się czymś zająć.

Kling! Klong! Hare Krishna!

Tamte blazny zbliżają się ze swoją muzyką i głowa mi puchnie. Bez żenady jeden z nich puka w szybę. Trzyma w jednej ręce paczkę

z laseczkami kadzidla, miseczkę w drugiej. I nalega ten dureń. Teraz usiłuje zajrzeć przez przyciemnioną szybę. Otwieram okno, krzyczę mu, żeby spieprzał i żeby sobie wsadził te swoje laseczki gdzieś. Naprawdę nie lubię tych typów, którzy niczego nie zrozumieli z życia.

Podnoszę szybę, ale ten stoi w miejscu, a wkrótce dołącza do niego kolega grający na tamburynie. I kling, i klong, co za kretyńska muzyka! Doprowadzony do ostateczności otwieram okno i z banknotem w dłoni kiwam na hałaśliwego, żeby podszedł. Pochyla się ku mnie z wniebowziętym uśmiechem na ustach.

— Dzień dobry, bracie — mówi. — Czy mogę ci pomóc?

Chwytam go za kołnierz i pluję mu prosto w ryj. Oto mój datek!

— Bobby! Harry! Na co czekacie? Sam mam robić całą robotę? Zabierajcie mi stąd tych szmacciarzy!

Tylko na to czekają, i wyskakują z samochodu wydając okrzyk wojenny, niczym archaniołowie Pana Naszego na widok Antychrysta. W ciągu dwóch sekund kurnik ogarnia panika, ale obie drogi ucieczki są zablokowane. Wkrótce brat Bobby osiąga przewagę. Trzyma już trzech za końskie ogony i ciągnie ich za sobą, żeby złapać czwartego, który ucieka na czworakach. Harry, któremu udał się karny, próbuje teraz strzały wolne w postaci wielkich kopniaków w tyłek. Następnie obaj trenują rzut kriszną i po przebyciu fantastycznego łuku w kolorze pomarańczowym tamburyniarz ląduje na kupie śniegu. Jest nowicjuszem, więc lewitacja przypuszczalnie nie była przewidziana w jego programie. W ten sposób walka zostaje przerwana z braku walczących.

Łupy: trzy końskie ogony i stos podartych pomarańczowych sukien, Harry chowa do bagażnika.

— To najlepszy materiał do polerowania chromowanych zderzaków — mówi mi tonem znawcy.

Skręcam się ze śmiechu, ze łzami w oczach, bez tchu, kiedy D'Amour zawiadamia mnie, że jego dłużnik właśnie wyszedł z baru. Wstrząsany jeszcze drgawkami śmiechu wysiadam z limuzyny i idę mu na spotkanie. Bobby i Harry podążają za mną.

— Dzień dobry.

Tamten patrzy na mnie, zaskoczony, i odpowiada na moje powitanie.

— Dzień dobry!

Ma poczciwą głowę skurwysyna, chciwego i podstępnego, i zastanawiam się, w jaki sposób Louie mógł zaufać takiemu facetowi.

— Nie znamy się, nie główkuj. Byłeś winien pięć kafla D'Amourowi, teraz jesteś je winien mnie. Nic do ciebie nie mam, ale musisz mi oddać te pieniądze, i to szybko.

Zatkało go, ale dochodzi do siebie.

— Za kogo ty się masz, koleś?

— Daję ci czas do jutra do pierwszej na zapłacenie długu.

Nawet nie odpowiada, wzdusza ramionami i idzie dalej. No cóż, najwyraźniej temu panu brak wiadomości z zakresu psychologii. Tym gorzej dla niego.

Następnego dnia w południe przechodzimy do działania. Od rana Harry śledzi go, żebyśmy mogli go znaleźć. O dwunastej trzydzieści dostaję wiadomość. Moja ofiara je obiad w restauracji na Bloom Street. Jadę z Bobbym pod podany adres. To nędzny, brudny bar, na wschód od centrum. Udzielam kilku poleceń Bobby'emu i wchodzimy.

Barman o zgaszonym spojrzeniu niemrawo łązi za ladą. Kilku pojedynczych klientów je w milczeniu posiłek. Przy barze, obrócony do nas plecami, nasz klient ogląda jakieś głupoty w telewizji, trzymając w ręku talerz spaghetti.

Najbliżej siedzący konsumenci patrzą na nas, wyczuwając drakę. Gabaryty Harry'ego robią na nich wrażenie. Zostawiam go przy drzwiach, o które opiera się nonszalancko, i kieruję się ku mojemu dłużnikowi.

Palcem wskazującym pukam w jego ramię. Odwraca się.

— Hello, to ja, i jest pięć po pierwszej.

Patrzy na mnie okrągłymi z zaskoczenia oczami, usta ma pełne makaronu. Nie rozumie, skąd się tutaj wziąłem.

— Pięć minut spóźnienia. Bobby, twoja kolej.

Bobby zbliża się i swoimi dwiema łopatom chwyta faceta za kołnierz marynarki, po czym ściąga go ze stołka. Zaciska obie dłonie, niemalże dusząc tamtego, paraliżując jego ruchy, i przyciąga do siebie.

Szybkim ruchem w tył nabiera rozpędu, po czym rozwała gościowi nos straszliwym uderzeniem z czoła.

Sam jestem zaskoczony. Nie spodziewałem się takiej szybkości po grubym Bobbym. Umiem mocno wałnąć, ale jeszcze nie widziałem, żeby ktoś przyłożył z taką siłą. Nadal stojąc w tej samej pozycji, Bobby podtrzymuje na wpół omdlałego faceta.

— Kiedy szef mówi „płać!”, musisz zapłacić! Powtórz.  
I zanim Złamany Nos ma czas otworzyć usta, rozwala mu łuk brwiowy drugim uderzeniem z czoła.

— Powtórz!

I łup! — pęka drugi łuk brwiowy. Zatrzymuję Bobby'ego lekkim kopnięciem w ścięgno łydki, zanim całkowicie zmiażdży tamtemu twarz.

— Dostyc, do cholery, wystarczy.

Puszcza faceta, który z okrwawioną mordą wali się na ziemię. Na odchodnym szepczę mu:

— Jutro w południe.

W barze panuje pełna konsternacji cisza. Nikt się nie poruszył.

Kiedy samochód wiezie nas z powrotem, usiłuję wpoić Bobby'emu kilka pojęć z zakresu psychologii, którymi zwykle się posługuję. Nie zawsze jestem zmuszony walić albo kazać walić. Na początku zdarzało mi się, że stawałem samotnie, grożąc im, przed facetami dwumetrowego wzrostu. Myślałem sobie, że jak się zaczną stawiać, będę musiał walić ich białem od stołu, żeby stracili przytomność.

Wszyscy płacili, i na ogół odbywało się bez przemocy. Być może wyczuli u mnie zimną determinację, to, że nie miałem nic do stracenia i że na dłuższą metę, o ile mnie nie zabiją, muszą przegrać.

— Nie trzeba tak walić.

— Dlaczego?

Z Bobbym trzeba rozmawiać łagodnie, jak z małym chłopczykiem, żeby zrozumiał.

— Nie ma potrzeby tak rozwalać.

Żeby mieć pewność, że dobrze zrozumie, trochę przesadzam i używam jedyne go argumentu, jaki do niego dociera.

— Jak go zabijesz, nie będzie już mógł zapłacić!

— Ojej! Tylko trzy lekkie uderzenia głową...

Następnego dnia w południe pobity, którego przekonała nasza ostatnia rozmowa, spłacił mi dług. Rzuciłem jego udział D'Amourowi, ostrzegając go:

— To był ostatni raz. Więcej masz mnie nie mieszać do swoich głównianych machlojek, rozumiałeś?

Od kiedy mianowałem go menedżerem klubu, D'Amour uważa się za króla, choć nie rozumiał, co ten tytuł naprawdę znaczy. Już dawniej ubierał się w sposób wyzywający, ale teraz jego gust jest zupełnie nieznośny. Zamawia sobie całe kolekcje trzyczęściowych

garniturów z dopasowaną kamizelką w najbardziej nieprawdopodobnych kolorach. Bez przerwy powtarza: „Nie ma sprawy, don't worry”. Wyrósł mu mały wąsik, i zastanawiam się, czy wkrótce nie zacznie uczyć się włoskiego. Jego podziw i uważne imitowanie wszystkiego, co robię, są niewątpliwie wzruszające, ale brak klasy, jaki przebija z tego nowego zachowania, gra mi na nerwach.

To tylko mały oszust, bojaźliwy i skąpy. Odkąd się poznaliśmy, fascynuje go świat gangsterów i bierze się za najróżniejsze machloje, ani interesujące, ani szlachetne, byleby były nielegalne. Wielokrotnie przychodził do mnie z propozycjami różnych interesów, w rodzaju przemytu narkotyków, handlu kradzionymi kartami kredytowymi, prostytutkami... Najróżniejsze szmatławie kombinacje, które zupełnie mnie nie interesują. Mnie pociąga coś zupełnie innego, a on nie potrafi tego zrozumieć.

Zastanawiam się, czy słusznie uwolniłem go od Diany. Dopóki był z nią, zazdrościł mi sercowych podbojów i wyczuwałem jego smutek, kiedy odchodziłem z jedną lub paroma pięknościami, a on wracał do swojej starej kurwy i jej dwóch małych parszywych psów. Ogarnięty litością długo i wielokrotnie tłumaczyłem mu, że życie jest krótkie, że trzeba korzystać ze wszystkich jego przyjemności. Nie ma żadnego powodu, by poświęcać się wyłącznie jednej pochwie.

Pomimo dręczących go pragnień trzymał się mocno i podobnie jak wielu jego poprzedników próbował przekonać mnie o prostym pięknie odwzajemnionej miłości, trwałego związku i owocnej duchowej i cielesnej wspólnoty.

Aby wybić mu z głowy te beznadziejne pomysły, zawzięcie rzucałem mu w objęcia coraz to nowe dziewczyny. Posłałem na front wszystkie ich odmiany. Ślicznotki, brunetki, blondynki, dziewczyny z obwisłym tyłkiem, grubaski. Przewidziałem nawet osiemdziesiątlatkę na wypadek, gdyby okazało się, że ukrywa przede mną wynaturzone upodobania.

I pod naporem tej lawiny załamał się. Diana ponownie prowadzi burdel w Nowym Jorku, w towarzystwie swoich dwóch paskudztw, a D'Amour znowu zaczął żyć. Nawet za bardzo, moim zdaniem...

Zachowuje się jak alfons, który dla niego jest symbolem sukcesu, a mnie się to nie podoba. Nadal jest dobrym kumplem i lubię go. Ale

nie przeszkodziło mi to powiedzieć mu, że jest królem frajerów, co głęboko go uraziło. Dobrze wykonuje swoją pracę i przestrzega obowiązującej zasady: jego machlojki nie mają prawa przekroczyć progu klubu. Swoją kwaterę główną ma w Julie's Mansion.

Dziwni ludzie z tych szulerów. Ładnej rzeczy dowiedziałem się o Chucku i Bananasie, którzy nadal zawiadują stołem gier.

Przyjaźnią się od dzieciństwa. W okresie młodości była ich trójka nierozłącznych przyjaciół. Ten trzeci nigdy nie zszedł z uczciwej drogi. Kiedy odziedziczył majątek po ojcu, Chuck i Bananas nauczyli go hazardu i w ciągu paru lat dokumentnie oskubali, zachowując z nim jednocześnie doskonale stosunki osobiste. To wielcy hipokryci.

W boozee-can mamy w tej chwili regularnego frajera, przegrywającego krocie, który pozostawia u nas całe swoje wpływy z przemytu kokainy. Jak dotąd, wszystko jest najzupełniej normalne. Mniej normalne jest to, że Petera, owego handlarza, wprowadził do klubu jego własny wspólnik, Jan. Ten ostatni świetnie zna Chucka i Bananasa i doskonale orientuje się w ich działalności, a oddał nam w ręce swojego wspólnika Petera umyślnie. On finansuje ich spółkę, a ryzyko podejmuje Peter. Skłaniając kolegę do przegrywania u nas pieniędzy, Jan utrzymuje go w stanie ustawicznej finansowej zależności, co jest wygodne w prowadzeniu interesu.

Nie potrafię zrozumieć, że ludzie mogą razem działać, razem podejmować ryzyko i jednocześnie się oszukiwać. Sam jestem pozbawiony skrupułów, ale zdrada czyjejs przyjaźni przekracza moje zdolności pojmowania.

Któregoś wieczoru para bogatych Japończyków, szanowni państwo Tanaka, bawiący przejazdem w Toronto, przychodzą zabawić się w naszym boozee-can. Pan Tanaka szybko przegrywa całą gotówkę. Podchodzi do mnie kelner.

— Tanaka nie ma już dolarów. Chciałby kupić żetony za jeny. Czy możemy je przyjąć?

— Ile ma tych jenów?

— Równowartość pięciu tysięcy dolarów według obecnego kursu.

— Kto ci podał kurs?

— On.

No tak! Idę do stołu gry. Przed szanownym panem Tanaką pięć tysięcy banknotów. Szybko przeliczam i odkrywam, że jest tego raptem za dwa i pół tysiąca dolarów.

Szanowna rodzina Tanaka, nie wiedząc, że niedawno przyjechałem z Japonii, po prostu próbowała podwoić swój kapitał.

Mówię im dzień dobry po włosku, że się omylili, po angielsku, i że dziękuję im za wizytę, po japońsku. Nie dają po sobie nic poznać. Dla moich pracowników to dobra lekcja. Od tej pory nauczyli się nieufności wobec kamiennej twarzy synów Wschodzącego Słońca.

Lynn szykuje kolejną podróż tam i z powrotem do Miami, w ramach swojego handlu kokainą. Wróci dopiero za pięć dni i żąda, żebym w ciągu ostatnich godzin, jakie spędza w Toronto, pozostawał nieustannie przy niej.

Kiedy przyjeżdżam do jej mieszkania, właśnie ćwiczy przed przekroczeniem granicy i przy okazji uczy tajników zawodu jedną z dziewczyn ze swojego zespołu, dziesiętnastoletnią piękną Metyskę Ginger.

Lynn często korzysta z usług pięknych dziewczyn przy przemycaeniu narkotyków. Jej metoda doprowadzona została do perfekcji i Ginger bardzo uważnie śledzi wszystkie szczegóły pokazu, jaki robi dla niej szefowa.

Jak wielu przemytników, Lynn przemyca kokainę w prezerwatywach, które połyka, ale wprowadziła przy tym innowację. Wielu zawodowców zakończyło karierę wspaniałym przedawkowaniem, kiedy pod wpływem soków trawiennych prezerwatywa pękła w ich żołądku, przynosząc im najpierw największy haj w życiu, a następnie śmierć.

Aby uniknąć tego rodzaju kłopotów, Lynn opracowała własną technikę, która wymaga długotrwałych ćwiczeń. Wiąże ze sobą wszystkie kolejne prezerwatywy nadzwyczaj wytrzymałą żyłką wędkarską. Do ostatniej w tym łańcuszku przywiązana jest bardzo cienka nitka, której drugi koniec okręcony jest wokół trzonowego zęba Lynn. Długość całego tego ustrojstwa obliczona jest tak, by zwisało w przełyku, dzięki czemu żadna z prezerwatyw nie jest poddana niszczącemu działaniu kwasów w żołądku.

Wymaga to długotrwałych przygotowań, bo, podobnie jak połykacze mieczów, dziewczyny muszą się przyzwyczaić do obecności obcego

ciała w gardle. Lynn ćwiczy codziennie używając prezerwatyw wypełnionych mąką. Spore wrażenie robi jej widok, kiedy połyka ten swój łańcuszek, ale jeszcze bardziej zadziwiająca jest scena, kiedy pociąga za nitkę i jedna po drugiej pojawiają się małe paczuszki, powodując straszliwe napady kaszlu.

Odprawivszy Ginger, Lynn natychmiast rzuca się na mnie ze śmiałymi pieszczotami.

— Podoba ci się moja mała Ginger?

— Tak. Jest bardzo ładna.

Natychmiast gryzie mnie okrutnie w ucho i oświadcza, że mogę sypiać z kim chcę, ale z wyjątkiem Ginger, która jest jej najlepszą przyjaciółką. W pozycji, w jakiej się znajduję, trudno byłoby mi czegokolwiek jej odmówić. Obiecuję.

Na początku miłosne ataki Lynn wydawały mi się cudowne, ale jak tak dalej pójdzie, dziewczyna wypompuje ze mnie wszelką energię. Nawet z pomocą speed-ballu nie mogę już podołać. Nie jestem graczem w golfa i pełne przejście całego toru, sześć razy po trzy otwory, powtarzane kilkakrotnie w ciągu dnia, jest ponad moje siły. Ta dziewczyna mnie zabije.

Nasze miłosne uściski to bitwy, z których wychodzę pokonany, bez tchu, wykończony, połamany, okrwawiony, z rozoranymi plecami, a serce wali mi w piersi jak młot. Jestem skazany na ostateczną porażkę w tej nadludzkiej walce; wyniosą mnie nogami do przodu. Tymczasem mój męski honor nie pozwala mi się poddać, i wolę już zginąć na posterunku niż złożyć broń!

Udaje mi się wyrwać po wścieklej potyczce w parterze, i biegnę do kuchni odbudować nieco siły. Wysypuję wszystko z lodówki do głębokiego talerza. Posypuję pieprzem, polewam tabasco i dodaję meksykańskiej papryki, wszystko z myślą o dodaniu sobie ostrogi, żeby kontynuować natarcie.

Moje mięśnie są sztywne i obolałe. Stoję nago w kuchni, zamyślony. Nagle mało nie podskakuję do sufitu. Machinalnym i typowo męskim ruchem podrapałem się między udami, i mój biedny zmaltretowany członek poddany zostaje torturze papryki, której kilka drobinek zostało na moich palcach.

Próbuję wszystkiego. Wycieram, polewam wodą, znowu wycieram,

nic nie pomaga. Mogę tylko podskakiwać w miejscu i powstrzymywać się, by nie jęczeć. Z sypialni dobiega mnie tęskny głos Lynn.

— Cizia, co ty tam wyrabiasz? Chodź mnie przetrząść.

To niemożliwe! Muszę się pozbyć tej pijawki! Ból zaczyna ustępować, a w mojej głowie świta diabelski pomysł i przywraca mi pogodę ducha.

— Już idę, moja śliczna.

Wkładam palec do słoika z papryką i biegnę do sypialni.

Leżąc na łóżku z rozłożonymi udami Lynn sama zabrała się do roboty, czekając na moje przybycie. Rzucam się na nią, odsuwam jej rękę i zastępuję ją swoją. Lynn okazuje swój entuzjizm dla mojej pieszczoty, po czym nagle tężeje z paniką w oczach. Odrywa moją dłoń od miejsca, gdzie się znajdowała, i wyskakuje z łóżka wrzeszcząc, po czym znika w łazience zalana łzami.

Nareszcie mam spokój i po raz pierwszy od dawna jestem szczęśliwy na myśl, że Lynn ma prawdziwy ogień między udami.

Wyjechała do Miami bez pożegnania, widocznie się obraziła. Tego samego wieczoru jeżdżę lincolnem po całym mieście. Obchód zwykle odwiedzanych przeze mnie barów nic nie daje i ze smutkiem decyduję się na samotne wypicie paru kieliszków.

U Maxwella jest pełno. Wszystkie stoliki są zajęte, na podwyższonym parkiecie kłębi się gęsty tłum. Przy kontuarze rząd playboyów, łokieć oparty na ladzie, zapalony papieros, w dłoni szklanka whisky, mina tajemnicza. Tylko trzech Afrykanów w bubu, zapewne jacyś ambasadorzy, wyłamuje się z tej zasady.

Sam, kierownik sali, jest zaskoczony.

— Cizia, dawno cię nie było. Chcesz stolik?

To prawda. Nie chodzę już tak często do lokali. Przy moim stoliku siedzi kilka osób. Nie przyjmuję propozycji Sama, więc robi mi miejsce przy kontuarze, obok czarnych ambasadorów, po czym otwiera butelkę mojego szampana.

Jeden z Afrykanów zwraca się do mnie z szerokim uśmiechem:

— Cizia! Jak ci leci?

Jak mi leci?

— Hej! Kopę lat, man. Gdzie się podziewałeś?

Gdzie się podziewałem! Ja nie znam tego faceta. Usiłuję pozbiierać



wszystkie wspomnienia i postacie z moich dawniejszych przygód, kiedy jego czerwone oczy podsuwają mi odpowiedź. To Stew, tancerz, fajny kumpel, i dwóch jego przyjaciół z tego samego zespołu. Ma na sobie obszerną dżelabię w kolorze pomarańczowym i zielonym, na szyi gruby naszyjnik, na głowie jaskrawoczerwony fez, więc go od razu nie poznałem. Dopiero jego oczy, zniszczone kokainą, przypomniały mi, że to on. Dwaj pozostali też przebrani są za Afrykanów.

— Co słyhać, Stew? Wyglądacie wspaniale. Bardzo wam w tym do twarzy.

Wypijamy razem kielicha i Stew wyjaśnia mi, że dla czarnych ludzi nadszedł czas poszukiwania korzeni.

— Powrót do źródeł, kolego! I dlatego wyjeżdżam do Afryki!

— Super, dokąd jedziesz?

— Do Dahomeju. Tam są moje korzenie, man.

Przestudiował swój baobab genealogiczny i odkrył, że jego przodek przyjechał do Ameryki jako niewolnik dwieście lat temu i że pochodził z Dahomeju. Jedzie tam szukać jego ducha.

Życzę im dobrej podróży i kontynuujemy rozmowę. Są świetnymi tancerzami, to prawdziwi królowie nocy. Uwielbiają zabawę, wiedzą o wszystkich przyjęciach, są bardzo zdolni i ich towarzystwo podnosi mnie na duchu. Jeden z pozostałej dwójki mówi mi, że powrót do źródeł to ważna sprawa i że pilno mu już znaleźć się w Afryce. Tutaj w swoim bawelnianym bubu poważnie już cierpi od mrozu.

Nagle dostrzegam ją. Ginger, moja śliczna Metyska, której poszukuję od początku wieczoru, tańczy na parkiecie, parę metrów ode mnie. Jest giętka jak liana. Śmieje się, najwyraźniej rozanielona, i patrzenie na nią sprawia prawdziwą przyjemność.

Jej jedyna wada: jakiś młody kretyn tańczący naprzeciwko niej i opowiadający jej historyjki, które ją rozśmieszają. Korzystam z chwili ciszy między dwoma kawalkami, żeby się do niej zbliżyć. Zauważa mnie i pozdrawia szerokim uśmiechem. Podchodzę, żeby się przywitać. Biorę ją za rękę, żeby odwróciła się od tamtego bałwana, i mówię z uśmiechem, który wydaje mi się niewinny:

— Jak się masz, Ginger?

Cofa się o krok i odpowiada karcącym tonem:

— Cizia! Lynn to moja przyjaciółka!

U Ginger jest skromnie i wygodnie. Jeśli nie liczyć jednego pokoju, który stale jest zamknięty, wszystko wskazuje, że mieszka tu młoda kobieta bez problemów, dobrze sytuowana i grzeczna. To mieszkanie studentki albo narzeczonej.

Ginger jest cudowna, jej nogi są niewiarygodnie długie i smukłe. Jej matowa, lecz błyszcząca skóra jest zupełnie wyjątkowo gładka. Ma ładną twarz, z wielkimi i zawsze gotowymi do śmiechu ustami, lekko spłaszczony nos i gęstą kaskadę czarnych, falistych włosów.

Jej spojrzenie jest niesamowicie jasne jak na tę ciemną twarz Metyski. Oczy nie są jednakowego koloru, jedno zielone, drugie jasnoniebieskie, co dodaje tajemniczości jej dziecinnemu wyglądowi. Przy niej jest mi dobrze. Pod nieobecność Lynn spędziłem u jej boku całe pięć dni. To tak, jakby w moje życie wtargnął cyklon śmiechu.

Przez pierwszą noc wypaliliśmy dużo trawki i zaśmiewaliśmy się aż do rana. Zająła się mną troskliwie, ale tej nocy nie kochaliśmy się. Ginger to nie wulkan. Dla niej seks to rzecz zabawna, a czasem profesja. Jest ekspertem, ale bez żarłoczności, jak Lynn. Można przy niej odpocząć.

Uwielbia zajmować się mną, podporządkowywać się wszelkim moim zachciankom i rozpieszczać mnie. Rano przynosi mi śniadanie do łóżka, oczywiście moje ulubione dania, a towarzyszą temu odpowiednie pieszczoty. Następnie przygotowuje mi cudowne kąpiele, gorące, pełne piany, odprężające. Przymocowuje do deseczki świecę i stawia ją na wodzie. W ciemności płomień chwieje się i rzuca wokół blaski. Jest to przyjemne i relaksujące: oto cała Ginger.

Czasami tańczy dla mnie. To prawdziwa ucztą dla oczu. Jest giętka, zwierzęca, łączy się z muzyką i improwizuje mi balety przy latynoamerykańskich rytmach. Uwielbia salsę, w tej chwili bardzo modną.

Ginger pracuje niekiedy jako modelka i w jej mieszkaniu spotykają się początkujące cover girls, spragnione wszystkiego, zabawne i śliczne jak obrazki.

Jej jedyna wada: jest kurwą. Z wielką klasą, zapewne, ale jednak kurwą. Opowiadała mi, wśród niepohamowanych wybuchów śmiechu, swoje zawodowe anegdotki. Jej klientela to pary z wyższych sfer, których zboczenia bardzo ją bawią. Wszystko odbywa się w ciemnym pokoju, który przez resztę czasu pozostaje zamknięty.

— A wtedy dude (klient) kazał mi nasikać na jego głowę. I zapłacił mi za to pięćset dolarów.

Pokazała mi swoje akcesoria, raczej niepokojące, i chcąc mi zrobić przyjemność oświadczyła, że zarabia dużo pieniędzy. W jednej z szuflad leżą w imponującej ilości banknoty, o których z zadowoleniem powiedziała, że są dla mnie.

— Nie potrzebuję forsy i nie podoba mi się to. Jeśli chcesz ze mną zostać, koniec z klientami.

U mnie żadnych dudes. Nie ma mowy o miłości albo o posiadaniu. Jako prawdziwy egoista rozumiem wolność tylko na jeden sposób, mój własny. Ona może robić co chce. Nie zamierzam kierować jej życiem, ale nie będę żył z dziewczyną, która chodzi do łóżka z innymi, choćby za pieniądze. To wszystko. Nawet jeśli jej klientom wystarczy, że im naubliża albo ich zbije, i nie dotykają jej, mimo wszystko to mi przeszkadza.

Ginger ma dziewiętnaście lat. Pochodzi z Tobago, jednej z wysp karaibskich. Wychowała się w trudnych warunkach i nigdy o tym nie mówi. Wiele wycierpiała. Jest zblazowana i pozostaje jej tylko ze wszystkiego się śmiać. Po półgodzinie wyrzuciła swoje przyrządy.

Lynn wpadła w straszliwy gniew, kiedy wróciła i okazało się, że mieszkam z jej najbliższą przyjaciółką.

— Rzucasz mnie dla jakiejś brudnej czarnuchy!

Wrzeszczała i wyczerpała cały swój repertuar rasistowskich i feministycznych obelg. Żeby ją pocieszyć, odkupiłem od niej za gotówkę cały jej zapas kokainy, płacąc paskarską cenę.

Największą przyjemność sprawia Ginger pójście gdzieś wieczorem ze mną u boku. To dla niej największa nagroda. Kiedy robimy rundkę po nocnych lokalach, przywiera do mego ramienia i już mnie nie puszcza, spoglądając z wyższością na inne dziewczyny.

Teraz klub jest zamknięty w niedziele. W poniedziałki i wtorki pojawia się tam tylko przelotnie. Poważni gracze przychodzą jedynie w końcu tygodnia, a czekanie przez całą noc, żeby oskubać jednego frajera na paręset dolarów już mnie nie interesuje. Otwieram klub od poniedziałku ze względu na Haiga, który zainteresowany jest sprzedażą alkoholu. Nie mogę mu tego odmówić, choć wiem, że to błąd.

Policja z pewnością ma na nas oko, i wiem, że tu wróci. Nie sposób zachować dyskrecję, kiedy tyle samochodów stoi na parkingu przez cały tydzień. Dni klubu są policzone. Wolę o tym nie myśleć.

Dom ma troje nowych mieszkańców: dwie dziewczyny i dziecko, którzy wpadli mi w ręce przypadkowo. Jak zwykle grałem w pokoiku w głębi, kiedy uwagę moją przyciągnęły krzyki dobiegające z głównej sali. Coś się tam musiało dziać. Pobiegnę więc, a za mną Bobby.

Pośrodku tłumu klientów wysoka blondynka, którą już wcześniej widziałem w klubie, próbowała przytrzymać inną dziewczynę, niemal dziecko, którą jakiś czarny siłą ciągnął w kierunku drzwi, choć usiłowała się wyrwać. Obie dziewczyny krzyczały, ale nikt nie interweniował.

Co ma znaczyć ten burdel? Przedzieram się przez tłum i chwytam czarnego za rękę.

— Zwariowałeś chyba! Co to ma wszystko znaczyć?

Wobec mojej interwencji puszcza dziewczynę, która chroni się w objęciach blondynki.

— To nie twoja rzecz!

To typowy Murzyn z Nowego Jorku, ubrany w jaskrawokolorowe lachy, w ciemnych okularach i z wełnianą czapeczką na czubku głowy.

— Co znaczy: nie moja rzecz? Do cholery, jesteś u mnie i robisz zamieszanie!

— Fucker! Ty przychodzisz szukać forsy u Isaaca Jonesa, a ja przychodzę do ciebie szukać mojej dziwki. Nie mieszej się do tego.

Jeszcze jeden z tych czarnych alfonsów, którzy przyłążą do tego kurewskiego klubu, i ta hołota chce się tu rządzić, jak u siebie!

— OK. Zjeżdżaj.

— Nie wyjdę bez mojej dziwki.

— Zmywaj się stąd, bastard!

Robię krok do przodu, za mną Bobby, i facet wycofuje się. Dochodzi aż do drzwi, po czym zatrzymuje się i wykrzykuje obelgi.

— Bobby!

Bobby idzie do przodu, ale tamten wyczuwa niebezpieczeństwo i znika.

Zwykle nie mieszam się do takich paskudnych historii. Prostyucja to zło konieczne, niekiedy całkiem przyjemne. Ale nienawidzę alfonsów, moim zdaniem to najgorszy rodzaj szumowin. A poza tym nie lubię u siebie awantur.

Posyłam obie dziewczyny do mojego mieszkania, żeby przestały być obiektem ciekawości klientów, po czym wracam do przerwanej partii.

Dwie godziny później idę na górę. Alfonsowi musiało się już znudzić i czas wyrzucić je za drzwi. Są w moim pokoju, blondynka siedzi u wezglowia malej, która leży na łóżku przykryta kocami.

Podchodzę bliżej. Milutka jest ta dziewczynka; ma ciemne włosy, wielkie lekko skośne oczy i wystające kości policzkowe. Ale w tej chwili jej twarz wygląda źle, czoło ma zroszone potem.

— Co się stało, chora jesteś?

Potakuje głową w milczeniu. Przychodzi mi do głowy pewne podejrzenie, odsłaniam jej rękę i podwijam rękaw. Tak jak przypuszczałem, żyły noszą ślady licznych nakłuć, to były zastrzyki z white horse, heroiny.

Blondynka krzywi się przepaszająco, jest jej głupio.

— Jest na głodzie.

— Ile masz lat?

Blondynka chce skłamać, odgaduję to po jej minie. Nie, chcę usłyszeć prawdę.

— Ty mi odpowiedz — zwracam się do bruneteczki — ile masz lat?

— Siedemnaście, ale już niedługo osiemnaście — odpowiada niepewnym głosem.

W dodatku nieletnia! Akurat tego mi było potrzeba! Brawo, wygrana na całej linii, to mnie nauczy bawić się w dobrego samarytanina. Mam teraz na głowie nieletnią, prostytutkę, narkomankę i w dodatku przeżywającą kryzys głodowy! Właśnie tego było mi potrzeba. Muszę się jej pozbyć, mam dość problemów bez całej tej historii.

— Macie dokąd pójść?

— Nie.

— Forse?

— Nie.

Odpowiada blondynka, potrząsając głową. Brunetka patrzy na mnie, przestraszona, z nadzieją w oczach, wstrząsana konwulsyjnymi drgawkami. Dlaczego to musiało się przytrafić właśnie mnie?

— Nie patrz tak na mnie, nie jestem świętym Mikołajem! Wstaję i chodzę wzdłuż i wszerz pokoju. Dziewczyna drży coraz silniej, pot spływa jej po twarzy. Blondynka trzyma ją za rękę, ociera jej czoło i czułym gestem gładzi po policzku. Ona też jest bardzo ładna. Jej blond włosy, obcięte bardzo krótko, okalają twarde rysy, niemal męskie, ale bardzo piękne.

Pociesza małą wzrokiem, a tamta odpowiada jej niktym uśmiechem. Ta parka jest wzruszająca. Wyczuwa się, że łączy je wielka miłość, która nie pozostawia mnie obojętnym. Wezmę sobie na kark nowe kłopoty.

— OK, możecie tu zostać, aż wyzdrowiejesz. Jak ty się nazywasz? — pytam blondynkę.

— Jo. A ona jest Roxanne.

— Jo, zajmiesz się nią. Idź do łazienki, gdzieś tam są środki nasenne. Przez ten czas, z pomocą Ginger, która w tym czasie przyszła na górę, wyciągam wszystkie koce. Roxanne będzie się strasznie pocić i wszystko przemoczy: lepiej, żeby na dodatek się nie przeziębiła.

Dwadzieścia minut później Roxanne, pod wpływem potężnej dawki środka nasennego, jaką jej zaaplikowałem, śpi niespokojnym snem cicho pojękując.

— Od dawna bierze?

— Nie, od paru miesięcy.

— Znasz się na heroinie?

— Nie, nigdy nie brałam.

Udzielam jej szybkiej lekcji na temat heroiny i błędów, jakich należy unikać, kiedy się chce kogoś odzwyczaić. Jak już się za to wzięłem, niech przynajmniej będzie z tego jakiś pożytek.

— Inna sprawa. Nie chcę żadnej z was widzieć na dole. Macie siedzieć w pokoju, zrozumiałaś?

— Tak.

— Jeśli będziecie czegoś potrzebować, poprosisz Haiga, tego starego, który mieszka na dole. Uprzedzę go. Wrócę tu jutro.

Przed wyjściem widzę, jak Jo pochyla się nad uśpioną Roxanne i całuje jej twarz. Na schodach Ginger łapie mnie za ramię.

— Ładnie postąpiłeś, Cizia.

— Tak, ale to błąd.

— Być może, ale to ładnie mimo wszystko — mówi mi i całuje mnie.

Przed powrotem na salę gier informuję Haiga o obecności Jo i Roxanne, i o ich problemach. Chętnie zgadza się nimi zająć. Jest wzruszony dowiadując się, że Roxanne jest taka młoda i już jest narkomanką.

Następnego dnia zaraz po przebudzeniu jadę do mieszkania. Nic mnie do tego nie zmusza, ale skoro już coś zacząłem, niech będzie przynajmniej doprowadzone do końca.

Roxanne, u której środki nasenne przestały już działać, przeżywa właśnie kryzys głodu narkotycznego. Zwinęta w kłębek na łóżku, pokryta kwaśnym i śmierdzącym potem, pojękuje bez przerwy, cierpiąc z powodu bolesnych skurczów ogarniających całe jej ciało. Płacze i łzawym głosem błaga o zastrzyk.

— Już ostatni, tylko jeden małutki — jęczy.

Bez przerwy odwraca się w kierunku Jo, która, zalana łzami, usiłuje ją uspokoić. Moje nadejście sprawia, że małej puszczają nerwy.

— A zresztą wcale nie chcę tego rzucić, dobrze mi z tym. Poza tym kim ty jesteś, żeby mi coś kazać! Nie jesteś moim ojcem, będę robiła, co będę chciała! — wrzeszczy do mnie klęcząc na łóżku.

Po czym opada na poduszki, załamana, z zaczerwienionymi i opuchniętymi oczyma.

Kiedy się rzuca narkotyk, najgorsze jest uczucie słabości, bezsilności i obrzydzenia do życia. Rzecz pogarsza myśl, że wystarczyłby małutki zastrzyk, by poczuć się dobrze. Kilka skrętów odpręża ją trochę.

Mija tydzień. Jest to pasmo błagalnych krzyków i nerwowych załamań. Bóle trwają jeszcze przez dwa następne dni, po czym następuje okres apatii. Wreszcie dziewczyna powoli odzyskuje uśmiech i zaczyna dreptać po mieszkaniu, ku wielkiej radości Haiga. Jest naprawdę rozkoszna, mały kawałek kobiety o doskonałym ciele, a wobec mnie jest wstydliva jak dziecko.

Jo zachowuje jeszcze dystans, ale powoli się odpręża. Jest nieufna, zastanawiając się zapewne, jakie mam zamiary. Doświadczenie nauczyło ją nie wierzyć w bezinteresowne uczynki. Ale nadal jestem dla niej kołem ratunkowym, i stara się być miła. Cała jej uwaga skupia się na Roxanne, którą opiekuje się bez przerwy.

Poznałem już ich historię. Jest ponuro banalna, jak sprzedawane na dworcach powieścidla. Roxanne pochodzi z lasów Dalekiej Północy. Jest córką indiańskiego drwala, zdegenerowanego alkoholika, który utrzymywał kazirodcze stosunki ze swoimi starszymi córkami. Aby uniknąć losu matki i siostr, traktowanych jak szmaty, pięć miesięcy temu uciekła z domu. Przyjechała do Toronto bez pieniędzy i tu poznała młodego białego sukinsyna, który podsunął jej heroinę. Nie wie, kiedy i jak znalazła się w łapach czarnego alfonsa, który ostro się do niej zabrał. Systematyczne lania oraz heroina zrobiły z niej seksualny przedmiot. A Murzyn, żeby złamać resztki jej oporu i zniszczyć wszelką samodzielność, kilkakrotnie dał ją przelecieć wszystkim swoim braciom. Skończyła na ulicy.

Jo, luksusowa call-girl, spotkała ją w jakimś sklepie. Zakochała się w niej. Od tej pory usiłuje ją wyciągnąć z tego piekła. Któregoś dnia, mając w kieszeni dwie porcje narkotyku, Roxanne zdobyła się na odwagę i uciekła. Ukrywała się u Jo, ale pimp odnalazł ją i uciekając znalazły się u mnie.

Sądziłem, że spełniłem już swój obowiązek, ale historia na tym się nie zakończyła.

Uśmiech już dwa dni temu powrócił na usta Roxanne, ale zauważam, że teraz z kolei Jo chodzi jak struta. W końcu postanawiam z nią o tym porozmawiać.

— Co się znowu stało?

Trochę się waha, ale ma już do mnie pewne zaufanie i wreszcie wyznaje:

— Boję się pojechać do mojego dziecka, zbyt dużo jestem winna pielęgniarce.

— Masz dziecko?

Spada to na mnie jak grom z jasnego nieba, ciężko mi wyobrazić sobie Jo w roli matki.

— Tak, czteroletniego chłopczyka.

Tym razem wygląda na to, że naprawdę wygrałem główną nagrodę!

— OK. Bobby, przygotuj samochód.

W mojej sytuacji...

Pojechaliśmy po dziecko, małego roześmianego chłopaka o blond włosach, który ma na imię Tommy. Spotkanie matki z synem było

wzruszające. Zabrałem wszystkich na obiad do La Strady, żeby przedstawić małego rodzinie. W ten sposób moja garsoniera zamieniła się w przedszkole.

Skoro najwyraźniej wrócił święty Mikołaj, wiem już, co zostało do zrobienia.

Wydaje się, że ta historia nigdy się nie kończy.

Przygotowuję ostatni akt. Być może ze względu na moją szlachetną naturę, być może również po to, że mój zespół nie ma ostatnio roboty, ale przede wszystkim dlatego, że facet jest skurwysynem, a skurwysynów trzeba tępić.

Isaac Jones, właściciel speluny, w której graliśmy w kości, szef czarnych, kazał mi grzecznie przekazać, żebym nie mieszał się do spraw jego ludzi, i dał mi do zrozumienia, że może się to skończyć wojną. Równie grzecznie kazałem mu odpowiedzieć, żeby wsadził sobie swoje pogroźki gdzieś, i nie było żadnej reakcji. Wobec tego...

— Roxanne, wiesz, gdzie można znaleźć tego alfonsa?

— To pool shark, zawodowiec bilarda. Co wieczór gra w jednej sali na Younge Street.

Kilka godzin później Bobby ustawia samochód na parkingu o parę metrów od lokalu, po czym szybko idziemy tam, ślaniając się pod naporem lodowatego wichru. Jest z nami Jo, która ma nam wskazać faceta, oraz Harry.

Przegrzana sala wypełniona jest zwykłą w takich miejscach fauną. Obrzydliwe kolumny wysyłają włączoną na pełny regulator muzykę. Powietrze jest gęste od dymu, i od razu chwyta mnie za gardło smród piwa i potu. Jest głośno. Ledwo słyhać dźwięk uderzających o siebie kul.

Wokół każdego z dziesięciu bilardowych stołów trwa wymiana banknotów. W kącie jakaś Murzynka podryguje obscenicznie, zaczynając coś w rodzaju strip-tease'u, zachęcana przez kilku typów. Na ławkach leży paru żebraków ze szklankami piwa w ręku. Gra bardzo niewielu ludzi. Większość przyszła tutaj, bo jest ciepło i głośno. Przy stołach poszczególne uderzenia wywołują komentarze w rodzaju „Fuck!”, „Hey man!” i innych idiotyzmów. Lepka podłoga powoduje, że przywierają do niej podeszwy butów.

Jo przeciska się w głąb sali, usiłując znaleźć alfonsa. Idziemy parę metrów za nią, wmieszani w tłum. Jej rolą jest zaprowadzić go, nie wzbudzając podejrzeń, do sracza w głębi sali. Chodzi między stołami

przyglądając się uważnie każdemu z grających. Żeby tylko ten skurwiel tu był!

Wreszcie podchodzi do jakiegoś Murzyna w skórzanej kurtce i wełnianej czapeczce na głowie. Mówi do niego parę słów, po czym razem idą do toalety. To ten. Dyskretnie przyspieszamy kroku podążając za nimi. Właśnie znikają za parawanem, zasłaniającym wejście do ubikacji, kiedy dopadamy ich.

Zanim facet zdążył nas zauważyć, Bobby zrzuca mu czapczkę z głowy, łapie za kręcone włosy i wszyscy czterej wpadamy do wnętrza.

Harry natychmiast blokuje drzwi, podczas gdy Bobby, który unieruchomił głowę ofiary pod pachą, rozwała jej nos ciosami pięści. Następnie błyskawicznie pomimo swej tuszy obracając się wokół własnej osi, wali głową czarnego w kafelki pokrywające ścianę.

W tej właśnie chwili, wśród donośnych odgłosów spuszczonej wody, jakiś frajer wychodzi z kabiny, pracowicie zapinając spodnie w gęstym smrodzie gówna. Na nasz widok nieruchomieje. Gwałtownym gestem wpycham go z powrotem do środka.

— Na pewno jeszcze nie skończyłeś srać. Siedz tam i morda w kubeł.

Nie każe sobie powtarzać dwa razy, i słyszę nawet szczęk zasuwki. Potężnym kopniakiem otwieram drzwi drugiej kabiny, żeby sprawdzić, czy jest pusta.

Tymczasem Bobby zanurzył głowę tamtego do zbiorczego pisuaru. Mocnymi powtarzanymi ciosami wykańcza mu portret na cynkowanym dnie zbiornika. Krew miesza się z moczem. Facet już nawet nie krzyczy.

Dają znak Bobby'emu, żeby na chwilę przestał, i nachylam się nad szmatą.

— Słuchaj uważnie, asshole, od dziś zapomnisz o Roxanne, nie wiesz, kto to jest, nigdy jej nie znałeś. Jeśli jej dotkniesz, jeśli spotkam cię w okolicy klubu albo dowiem się, że coś przeciwko niej szykujesz, zabiję cię!

Każde zdanie podkreślam mocnym kopnięciem w zębra.

— Dobrze zrozumiałeś, bastard?

Uznaję, że nieokreślony dźwięk wydobywający się z otworu, który kiedyś był jego ustami, oznacza potwierdzenie.

— To było tylko małe ostrzeżenie — mówię mu, po czym wstaję. Żeby podkreślić, że mówiłem poważnie, Bobby podnosi za włosy

ociekającą krwią i moczem głowę i z dużym zamachem rozwala ostatecznie facetowi szczękę o brzeg pisuaru.

Zanim zdołałem go powstrzymać, łapie go oburącz za ramię, opiera na kolanie i jednym pociągnięciem, wydając głuche stęknięcie niczym drwal, łamie mu rękę w łokciu.

— Wystarczy, Bobby, spływamy.

Na sali nikt niczego nie zauważył i szybko zmiierzamy do wyjścia. Dopiero kiedy zamykają się za nami drzwi, rozlegają się pierwsze krzyki. W ciepłym samochodzie czeka na nas Jo. Nie zadaje pytań, uśmiech Bobby'ego jest wystarczający.

Od tej pory Jo i Roxanne pomagają mi w klubie pracując jako kelnerki. Dom zrobił się bardziej ludzki. W każdą niedzielę urządzam rodzinne wyjazdy limuzyną, żeby Tommy pobyl trochę na świeżym powietrzu. Kiedy pozwala na to pogoda, zabieram wszystkich na wieś, by pobawić się w śniegu.

Z Ginger u mego ramienia i Jo, Roxanne oraz Tommym u boku robimy długie spacery wśród ośnieżonych lasów, a kilka kroków za nami postępują Bobby i Harry, niosąc piknikowy kosz i termosy z kawą.

Kiedy Tommy jest zmęczony, sadzam go na ramionach Bobby'ego, ku wielkiej uciechu małego, który kieruje nim pociągając go za uszy. Początkowo obawiałem się, że z właściwą sobie delikatnością Bobby połamie chłopca na kawałki nie mając nawet takiego zamiaru, ale nieoczekiwanie okazało się, że potrafi być miły, choć bynajmniej nie jest zachwycony swoją nową rolą — niańki.

Tommy wykazuje sporą inteligencję jak na swoje cztery lata, jest miłym dzieckiem i bardzo go lubię. Roxanne i Jo, przeżywające regularną miłosną idyllę, zajęte są urządzaniem swego nowego mieszkania, pięknego dwupoziomowego lokalu we wschodniej dzielnicy. Kiedy są nieobecne, zajmuję się małym, którego zabieram wszędzie ze sobą.

Często chodzimy na lody do La Strady, gdzie cały personel go uwielbia. Kiedy moje zajęcia w danym dniu nie są takie niewinne lub są „dozwolone od osiemnastu lat”, powierzam go opiece Mammy, która rozpieszcza go i pozwala mu na wszystko. W angielszczyźnie chłopaka zaczynają się pojawiać potoczne włoskie zwroty, ku wielkiemu zadowoleniu rodziny Guccich.

Jo jest zachwycona widząc syna w dobrych rękach, ale nie jest też całkowicie pozbawiona obaw. Dom nie jest najpewniejszym miejscem, a nasza nocna działalność trochę ją niepokoi. Jest tu prawdziwy arsenał, a odkąd Tommy wyznał mi, wskazując na mój rewolwer, że w przyszłości on też zostanie gangsterem, Jo poprosiła, bym był bardziej dyskretny w sprawach broni.

Jest to zresztą rada, której powinienem posłuchać ze względu na siebie samego.

Pewnego lutowego dnia, późnym popołudniem, pager przekazuje mi wiadomość: Harry szuka ze mną kontaktu.

Nie jest to normalne, i natychmiast dzwonię do niego do domu. Słuchawkę podnosi jego żona. Gęsto przepraszając, zaniepokojonym głosem wyjaśnia mi, że Harry jest chory i dziś wieczór nie będzie mógł objąć służby.

Podobnie jak boozee-can, kasyno w Chinatown otwarte jest sześć dni w tygodniu. Codziennie Harry zawozi tam rezerwę banku, w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Czuwa nad prawidłowym przebiegiem gier, co nie stanowi problemu, po czym dokonuje podziału wpływów: mój udział, udział Li-Hana, jego własne wynagrodzenie i dziesięć tysięcy dolarów rezerwy na następny dzień. Jest to poważna odpowiedzialność, której nie sposób powierzyć pierwszemu lepszemu. Moja działalność u Chińczyków jest tajemnicą. Nikt w moim otoczeniu nie jest o niej poinformowany.

Jedyne wyjście to zająć się tym samemu.

— Bobby, jedziemy do Harry'ego.

Opuściwszy rudere, którą zajmował w centrum, Harry urządził się na przedmieściu z całą swoją małą rodziną. Mieszka w osiedlu willowym. Wszystkie domki są takie same. Okolica jest cicha i pokryta śniegiem.

Bobby oczekuje mnie w lincolnie. Joan, młoda żona Harry'ego, otwiera mi drzwi. Jej powitanie jest uprzejme, ale najwyraźniej uśmiech na jej twarzy jest wymuszony. Wygląda, jakby jeszcze schudła od naszej ostatniej rozmowy. Muszę przerwać nowy potok zażenowanych przeprosin.

Ich chłopiec wysuwa głowę przez szparę w drzwiach od swojego pokoju. Matka pośpiesznie zagania go z powrotem, gładząc po włosach.

Czuć kuchenne zapachy. Dom jest czysty i smutny, meble banalne. Cicho gra radio. Dookoła pełno pamiątek z Azji. Jest spiczasty wiklinowy kapelusz i posążki z powykrzywianymi twarzami. Na ścianie długa samurajska szabla.

W ramkach stoją rodzinne zdjęcia. Jest na nich Harry z radosnym uśmiechem na ustach, młody, z szerokimi ramionami, w tle mały dom zalany słońcem. Na innym zdjęciu jest razem z Joan, wówczas jeszcze małą, ładną blondynką, szczęśliwą, że znajduje się w ramionach tego przystojnego krótkowłosego chłopaka. Są zdjęcia dziecka, a także drobnych staruszków, miłych i uśmiechniętych. Po podobieństwie rozpoznają ojca Harry'ego, typowego yankee z baseballową czapką na głowie. Amerykańska rodzina, spokojna, nieco głupawa, szczęśliwa. Dziwne uczucie tak podejrzeć inną stronę życia faceta, którego znało się tylko w akcji. To nagle sam na sam z prywatną sferą jego życia krępuje mnie, tym bardziej że wiem, iż świat ten już dla niego nie istnieje.

Słyszę, jak rzezi w sąsiednim pokoju. Żona właśnie go budzi.

— Kurwa jebana mać!

Wygląda niedobrze. To facet, który mówi niewiele, a już na pewno nie o swoich kłopotach, ale zdarzało się nam pogadać. Powiedział mi, że jego związek z Joan się wali. Ona go nie rozumie: zarzuca mu uciekanie się do przemocy w zarabianiu pieniędzy. On ma już wszystkiego dość. Odkłada pieniądze na wyjazd do Nowej Zelandii albo do Australii. Przed podjęciem ostatecznej decyzji poprosił żonę o kilka miesięcy czasu.

A przecież ma spokojną pracę w Chinatown. Dlatego właśnie go tam umieściłem, gdy dowiedziałem się, że ma na utrzymaniu rodzinę. W ten sposób mniej ryzykuje niż przy innych zadaniach, jakie mógłbym mu zlecić.

Wraca Joan. Oczy ma wielkie na pół twarzy i wygląda na przybitą. Czuję jej dezaprobatę wobec mnie. Tej dziewczynie życie, jakie prowadzi Harry, już się nie podoba. Zapewne chodzi tu o marzenia o małym domku na wsi i o uczciwym życiu, które nagle uleciały w nicość, odkąd coś między nimi pękło.

Jej mąż mieszka w osobnym pokoju, w którym jedynym meblem

jest stara kanapa. Okno przysłonięte jest kocem, po podłodze walają się brudne części garderoby. Harry zwymiotował do miski i obok, na podłogę. Usiłuje się podnieść na moje powitanie.

— Cizia! Witam... Przepraszam cię...

Opada na łóżko z ciężkim westchnieniem. Wstanie przekracza jego siły.

Udaje mu się jedynie chwycić walizeczkę z forszą, która leży koło niego na łóżku, i podać mi ją. Na poręczu kanapy leży garść małych torebek z heroiną, większość z nich została niechlujnie rozdarta. To przesyłka prosto z Azji. Torebki noszą znak „Curved Dragon”, czerwoną pieczęć przedstawiającą plującego ogniem potwora zwiniętego w kłębek. To gatunek numer trzy, szary, zawierający pięć procent czystej heroiny. Takie torebki otrzymują zwykle tylko hurtownicy. Jest czym się naćpać.

— Harry, nie zasypiaj.

— Hmm...

Wydaje głębokie westchnienie, po czym, bez przerwy się drapiąc, usiłuje mi wytłumaczyć, jak bardzo jest mu przykro. Z trudem dobiera słowa. Przeciąga każdą sylabę, szukając następnej, i nagle zaczyna drapać się w tydki paznokciami, z całej siły.

Proszek wywołuje nagle i gwałtowne swędzenie. Atakuje wątrobę, powodując wymioty, których nic nie powstrzyma. To prawdziwe świństwo.

— Harry, jak tam? Naćpałeś się?

— Yeah... Przepraszam, Cizia.

— W porządku. Dziś wieczór cię zastąpię.

— Aaaach... ja...

— Harry, jeśli chcesz jutro pracować, musisz dać spokój. Nie bierz już dzisiaj i odpocznij. Zadzwoń do ciebie. OK?

— Yeah... Dziękuję, dziękuję, dziękuję... Wiesz...

Odbija mu się i wymykam się z pokoju. Kiedy zamykam drzwi, właśnie wstrząsają nim torsje. Odbija mu się boleśnie i przeklina narkotyki.

— Kurwa!! Cizia!! To ten cholerny scag! Tomorrow...

Joan patrzy na mnie spojrzeniem zrozpaczonym i jednocześnie twardym.

— Proszę się nie niepokoić. Kiedy zejdzie na dół, niech mu pani powie, że to nic poważnego. Nie ma problemu. Chcę tylko, by jutro był w pracy.

Ich chłopiec wysuwa głowę przez szparę w drzwiach od swojego pokoju. Matka pośpiesznie zagania go z powrotem, gładząc po włosach.

Czuć kuchenne zapachy. Dom jest czysty i smutny, meble banalne. Cicho gra radio. Dookoła pełno pamiątek z Azji. Jest spiczasty wiklinowy kapelusz i posążki z powykrzywianymi twarzami. Na ścianie długa samurajska szabla.

W ramach stoją rodzinne zdjęcia. Jest na nich Harry z radosnym uśmiechem na ustach, młody, z szerokimi ramionami, w tle mały dom zalany słońcem. Na innym zdjęciu jest razem z Joan, wówczas jeszcze małą, ładną blondynką, szczęśliwą, że znajduje się w ramionach tego przystojnego krótkowłosego chłopaka. Są zdjęcia dziecka, a także drobnych staruszków, miłych i uśmiechniętych. Po podobieństwie rozpoznają ojca Harry'ego, typowego yankee z baseballową czapką na głowie. Amerykańska rodzina, spokojna, nieco głupawa, szczęśliwa. Dziwne uczucie tak podejrzeć inną stronę życia faceta, którego znało się tylko w akcji. To nagle sam na sam z prywatną sferą jego życia krępuje mnie, tym bardziej że wiem, iż świat ten już dla niego nie istnieje.

Słyszę, jak rzezi w sąsiednim pokoju. Żona właśnie go budzi.

— Kurwa jebana mać!

Wygląda niedobrze. To facet, który mówi niewiele, a już na pewno nie o swoich kłopotach, ale zdarzało się nam pogadać. Powiedział mi, że jego związek z Joan się wali. Ona go nie rozumie: zarzuca mu uciekanie się do przemocy w zarabianiu pieniędzy. On ma już wszystkiego dość. Odkłada pieniądze na wyjazd do Nowej Zelandii albo do Australii. Przed podjęciem ostatecznej decyzji poprosił żonę o kilka miesięcy czasu.

A przecież ma spokojną pracę w Chinatown. Dlatego właśnie go tam umieściłem, gdy dowiedziałem się, że ma na utrzymaniu rodzinę. W ten sposób mniej ryzykuje niż przy innych zadaniach, jakie mógłbym mu zlecić.

Wraca Joan. Oczy ma wielkie na pół twarzy i wygląda na przybitą. Czuje jej dezaprobatę wobec mnie. Tej dziewczynie życie, jakie prowadzi Harry, już się nie podoba. Zapewne chodzi tu o marzenia o małym domku na wsi i o uczciwym życiu, które nagle uleciały w nicość, odkąd coś między nimi pękło.

Jej mąż mieszka w osobnym pokoju, w którym jedynym meblem

jest stara kanapa. Okno przysłonięte jest kocem, po podłodze walają się brudne części garderoby. Harry z wymiotował do miski i obok, na podłogę. Usiłuje się podnieść na moje powitanie.

— Cizia! Witam... Przepraszam cię...

Opada na łóżko z ciężkim westchnieniem. Wstanie przekracza jego siły.

Udaje mu się jedynie chwycić walizkę z forszą, która leży koło niego na łóżku, i podać mi ją. Na poręczy kanapy leży garść małych torebek z heroiną, większość z nich została niechlujnie rozdarta. To przesyłka prosto z Azji. Torebki noszą znak „Curved Dragon”, czerwoną pieczęć przedstawiającą plującego ogniem potwora zwiniętego w kłębek. To gatunek numer trzy, szary, zawierający pięć procent czystej heroiny. Takie torebki otrzymują zwykle tylko hurtownicy. Jest czym się naćpać.

— Harry, nie zasypiaj.

— Hmm...

Wydaje głębokie westchnienie, po czym, bez przerwy się drapiąc, usiłuje mi wytłumaczyć, jak bardzo jest mu przykro. Z trudem dobiera słowa. Przeciąga każdą sylabę, szukając następnej, i nagle zaczyna drapać się w łydki paznokciami, z całej siły.

Proszek wywołuje nagle i gwałtowne swędzenie. Atakuje wątrobę, powodując wymioty, których nic nie powstrzyma. To prawdziwe świństwo.

— Harry, jak tam? Naćpałeś się?

— Yeah... Przepraszam, Cizia.

— W porządku. Dziś wieczór cię zastąpię.

— Aaaach... ja...

— Harry, jeśli chcesz jutro pracować, musisz dać spokój. Nie bierz już dzisiaj i odpocznij. Zadzwoń do ciebie. OK?

— Yeah... Dziękuję, dziękuję, dziękuję... Wiesz...

Odbija mu się i wymykam się z pokoju. Kiedy zamykam drzwi, właśnie wstrząsają nim torsje. Odbija mu się boleśnie i przeklina narkotyk.

— Kurwa!! Cizia!! To ten cholerny scag! Tomorrow...

Joan patrzy na mnie spojrzeniem zrozpaczonym i jednocześnie twardym.

— Proszę się nie niepokoić. Kiedy zejdzie na dół, niech mu pani powie, że to nic poważnego. Nie ma problemu. Chcę tylko, by jutro był w pracy.



Bo ja nie mam zupełnie ochoty jeździć tam codziennie. Wyjeżdżam od Harry'ego z pewnym niesmakiem. Lubię go, ale nie znoszę takiego stanu rozmamiania. Facet, który dochodzi do siebie, nie stanowi przyjemnego widoku. Robi się to w samotności, żeby nie narzucać się innym. Był zresztą równie skrępowany jak ja.

Szczerze mam nadzieję, że wyjdzie z tego, tak czy inaczej. Jest pracowity, godny całkowitego zaufania, dyskretny, i odkryłem, że potrafi nawet robić coś dla innych. Niektórzy jego kolesie zwichli do Kanady, jako dezercerzy z armii amerykańskiej. Weterani. Przyszli do mnie prosić o pomoc dla nich, i zrobiłem, co mogłem.

Tymczasem jednak mam na głowie kolejny kłopot. Przez chwilę myślę o wysłaniu na moje miejsce do Chinatown Bobby'ego, ale rezygnuję. Siedzi bez ruchu w fotelu kierowcy, w ustach ma wygasłą fajkę, spojrzenie bez wyrazu. Nie daje się dziesięciu tysięcy dolarów gotówką chciwemu kretynowi. Poza tym nie mam ochoty go wtajemniczać.

Każę się zawieźć do miasta, o parę ulic od chińskiej dzielnicy. To kaprys, a może nawet nieostrożność, ale choć nie wiem dokładnie dlaczego, zależy mi na utrzymaniu w sekrecie tej części mojej działalności. Poza Harrym nie wie o niej nikt. Przyjemnie pomyśleć, że mam takie odosobnione miejsce. Jest to moja kryjówka w tajemniczym Oriencie, takie właśnie rzeczy mnie bawią.

Przechodzę przez małą restauracyjkę. Kelner, który oglądał właśnie telewizję za kontuarem, pozdrawia mnie ukłonem. Wchodzę wąskimi schodami. „Kasyno” znajduje się w pokoju na tym samym piętrze, gdzie kiedyś mieszkałem. Wydaje mi się, że było to bardzo dawno. W rzeczywistości to tylko pięć miesięcy.

Li-Han jest zaskoczony.

— A, Harry! Jakież kłopoty?

Uspokajam go i oddaję pieniądze. Siedząc na miejscu Harry'ego, na zwykłym krześle w kącie, mam teraz jedynie śledzić roztargnionym spojrzeniem przebieg wieczoru i próbować się nie nudzić.

Przed wejściem na salę wszyscy klienci zdejmują buty, dotyczy to także nielicznych uczestniczących w grze kobiet. Ci, którzy przyszli

najwcześniej, siedzą po turecku, pozostali stoją oparci o ścianę. Li-Han pełni rolę krupiera.

Siedzi ze skrzyżowanymi nogami przed prześcieradłem, na którym namalowany jest kwadrat. Dwie przekątne wyznaczają w nim cztery trójkąty. Pośrodku mieści się jeszcze jeden mały kwadrat. Stawki kładzie się na trójkątach. Li-Han, reprezentujący bank, ma jeden trójkąt zarezerwowany dla siebie. Niektóre z kładzionych banknotów złożone są na pół lub poczwórnice, w zależności od tego, czy właściciel zamierza postawić ćwierć, połowę czy pełną wartość banknotu.

Bank bogaci się. Tylko tyle z tego rozumiem. Reszta jest dla mnie tajemnicą. Harry, który sam miał trudności z połapaniem się w tym wszystkim, próbował mi tłumaczyć, ale dla mnie to żadna gra.

Idzie to bardzo szybko. Kostki domina, które miesza się za każdym razem, leżą na ziemi spodem do góry. Grający wykupują prawo do odkrycia dwóch. Następnie trzymają swoje dwie kostki w zagłębieniu dłoni i oglądają je, badają z wielką uwagą. Jeżeli facet ma szczęście, wydaje krótki okrzyk karateki i ciska swoje dwa prostokąci na podłogę. Zgodnie z kryteriami, o których nie mam pojęcia, Li-Han wręcza mu pewną sumę. Żeby rzecz nie była zbyt prosta, najpierw rzuca się dwie kości do gry, które wskazują, w jakim porządku klienci mają wybierać swoje domina.

Wszyscy doskonale się bawią, choć nie ma nadmiernego podniecenia. Kobiety śmieją się nie mniej od mężczyzn. Przychodzą tu spokojni, porządni pracownicy, dla których gra stanowi normalną rozrywkę, nie nagannego. Poza jednym staruszkim w sukni, który zapewne przegrywa tu swoją emeryturę, wszyscy są ubrani po amerykańsku. To spokojni klienci, nie ma awantur, i jest mi nudno.

Po upływie dwóch czy trzech godzin Li-Han każe się zastąpić i podchodzi do mnie.

— Jak tam? Chcesz coś zjeść?

— Tak, dziękuję.

— Zaraz każę ci przysłać tacę.

Znika, rozpoczynając swój dyrektorski obchód. Li-Han się rozwinął. Ubiera się teraz w szary, trzyczęściowy garnitur od dobrego krawca. Zamiast dawnego ogromnego chronometru nosi teraz mniej rzucający się w oczy platynowy zegarek, mniejszy i droższy. Jego autorytet i pewność siebie wzrosły; dostosowane

są do nowego statusu. Kiedy wybiera się na miasto, lśniący najnowszy model cadillaca świadczy o jego sukcesie.

To cierpliwy, nadzwyczaj pracowity człowiek, podchodzi do życia poważniej, niż sądziłem. Śpi równie mało co ja, pochłonięty swoimi interesami. Zdarzało mi się go spotykać o każdej porze.

Kiedy zaproponował mi tę salę, zainwestowałem bardziej dla prestiżu niż z rzeczywistej chęci zysku. Jego skuteczność i dążenie do sukcesu mile mnie zaskoczyły. Li-Han systematycznie reinwestował swoje zyski. Jest teraz właścicielem nie tylko hotelu z restauracją, lecz także innego takiego przybytku w tej samej dzielnicy, oraz ma udział w zakładzie pralniczym. To azjatycka metoda: wykorzystać do maksimum nielegalny status, dopóki to jest możliwe, i spożytkować to do tworzenia legalnych podstaw działalności w innych dziedzinach. W warunkach, w jakich żyją ci ludzie, liczy się tylko przetrwanie. Nie są z gruntu nieuczciwi, ale jeżeli do zdobycia własnego miejsca pod słońcem trzeba na jakiś czas postawić się poza prawem, długo się nie wahają.

Nie mają sobie równych, żeby usadowić się w jakimś mieście bez hałasu, niepostrzeżenie, od zaplecza. Nikt ich nie zauważa, aż nagle okazuje się, że mają na dobre rozwiniętą działalność.

Li-Han proponował mi kilka nadzwyczaj intratnych transakcji bezpośrednio z kontynentem azjatyckim. Nie przyjąłem jego ofert i nigdy nie nalegał. To porządny i miły facet, nigdy nie popełniał błędów.

Yak-Minh regularnie przechodzi po sali, roznosząc klientom napoje, herbatę i piwo. Zawsze pozdrawia mnie przy tym uśmiechem. Dzielna mała. Obecnie, odkąd zostałem szefem Li-Hana, masaże i inne usługi są za darmo.

Barman z restauracji przynosi mi tacę naładowaną zupami, miskami ryżu i porcjami kaczki. Pamięta o moich wyzerkach po opiumowych seansach, na początku mojego pobytu, i nadal traktuje mnie jak człowieka o wielkim apetycie. Kiedy skubię po trochu z każdej miski, pozostaje na sali, w swojej białej marynarce, i odruchowo kilka razy stawia po złożonym we czworo banknocie.

Rozumiem, że Harry któregoś wieczoru się załamał. Nic tu się nie dzieje. Bank bogaci się regularnie, towarzystwo podnieca się przy niektórych układach, ale jeśli nie rozumie się zasad gry, trudno jest dzielić ten entuzjazm. Klienci zmieniają się ciągle jednakowo dyskretni,

a ja ciągle jednakowo się nudzę. Kiedy Li-Han wraca ze swojego finansowego obchodu, proszę go o przyspieszenie sprawy.

— Dziś wieczór zamykamy wcześniej. Muszę wyjść.

Nie ma sprawy. Li-Han dokładnie przestrzega zawartej umowy. Ja tu jestem szefem. Poznał mnie zaraz po moim przyjeździe. Powiedział mi, że wziął mnie wtedy za marynarza, który zszedł na ląd. Później widział mnie w otoczeniu goryli, i najwyraźniej coraz bogatszego. Zna moją skuteczność i ceni ją. On mnie nie zdradzi.

Dzisiejszego ranka narobiłem hałasu.

Od pewnego czasu noszę moją trzydziestkęósemkę na stałe, w kaburze pod pachą. Celowanie z niej, sprawdzenie bębena i podziwianie się w lustrze to codzienne elementy porannego rytuału.

Czuję się dobrze. Jestem najpiękniejszy, najsilniejszy, a to coś zimnego pod pachą to potęga. To również śmierć, i zdaję sobie z tego sprawę. Sam wybrałem.

Nosić przy sobie broń to zmniejszyć spodziewany czas trwania swego życia, to ustawiczne wyzwanie, wyższe stadium nielegalności. Wprawdzie czasami może to uratować stawkę, ale może ją także skomplikować. Mieć możliwość zabicia oznacza również konieczność liczenia się z dużo ostrzejszą reakcją przeciwnika. Broń to odpowiedzialność. Ale postanowiłem, że stanowi ona część postaci, którą stworzyłem, i użyję rewolweru, kiedy będzie trzeba. Z góry godzę się na wszelkie związane z tym ryzyko.

Mam dwadzieścia trzy lata, przeżywam szaleństwo młodości i wszystko mi się udaje. Każdego ranka rzucałbym sobie moje małe osobiste wyzwanie. Gram z samym sobą w rosyjską ruletkę. Tylko jeden nabój, ruch nadgarstkiem i klik!

Ale wiem, jaki ruch trzeba nadać bębenkowi, kiedy popycham go palcem, by sprawić, żeby nabój znalazł się na dole. Następnie przykładam lufę do skroni.

Jestem wariatem, być może. Ale na pewno nie bezmyślnym. Zawsze o parę centymetrów podnoszę lufę do góry na ułamek sekundy przed naciśnięciem spustu. Poranne szczęknięcie kurka, uderzającego na próżno, potwierdza, że ponownie wygrałem i że dzień będzie piękny.

Posłużyło mi to do zaimponowania Bobby'emu i Harry'emu, szczerze przejętym taką odwagą. Nie wiedzą, że dzięki temu, iż setki

razy ponawiałem ten ruch, jestem całkowicie pewien, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Tego nie muszą wiedzieć. Dlatego właśnie jestem szefem!

Ale dziś rano nabój, który utkwił w suficie, przypomniał mi, że nie jestem nieomylny. Zaszokował mnie nie huk wystrzału, nie ból od oparzeń na skórze głowy, ale powrót do rzeczywistości.

Przeklęta niedziela! W Toronto nie ma nic do roboty. W niedzielę wieczór nikt nie wychodzi z domu. Dlatego właśnie postanowiłem, że będzie to dzień zamknięcia klubu.

Korzystam z tego, by rzucić okiem na inne lokale, i dziś wieczór idę wypić kielicha u Mikisa, w centrum miasta, wraz z D'Amourem i Bobbym, który już mnie nie odstępuje. Mikis to cichy booze-can bez większego polotu. Jest zgodny z normą, to mój osiągnął nadmierne rozmiary. Około dwudziestu osób tłoczy się w dwóch małych pokojach, w których lampy okryte są kolorowym papierem. Jest tu jeszcze ruchomy barek, kilka stołów i krzesła. To miejsce spotkań zatwardziałych nocnych marków, takich, którzy muszą być poza domem przez wszystkie wieczory w tygodniu.

Widzę siedzącego przy jednym ze stolików Petera, dealera kokainy, naszego ulubionego frajera, którego rzucił nam w łapy Jan, jego wspólnik i przyjaciel z lat dziecięcych. Kładę mu rękę na ramieniu. Podnosi na mnie zamglone spojrzenie, z początkiem zęza spowodowanego nadużywaniem narkotyków. Z trudem mnie rozpoznaje.

Lubię go. Jest synonimem forsy. Przedstawiam mu Ginger, na którą ledwo rzuca okiem, zbyt otumaniony swoim hajem.

— Jak idzie handel?

— Może być — odpowiada mi bełkotliwym głosem, przywołując kelnerkę ruchem zmęczonej dłoni. — Powiedz swojemu gorylowi, żeby usiadł, denerwuje mnie.

— Już nie bywasz w klubie, Peter. Co się dzieje, nie lubisz już grać?

— Lubię! Ale gra, gra... Nie mam ostatnio szczęścia, więc daję spokój. Jak tylko kładę pieniądze na stole, mam pewność, że je przegram. Wypuszczam wszystkie swoje dochody. W tym miesiącu tylko u ciebie zostawiłem co najmniej czterdzieści tysięcy dolarów.

Jak to tylko u mnie? To znaczy, że chodzi jeszcze grać gdzie indziej? Naprawdę nie można już mieć zaufania do nikogo.

— Przechodzisz zły okres, to się zdarza. Ale kiedyś to się skończy.

— Kto nie ma szczęścia w grze, ten ma szczęście w miłości — dodaje sentencjonalnie Louie D'Amour.

— Powiedz to Cizi, on ma szczęście i tu, i tu — odpowiada, zauważając wreszcie Ginger.

Rozmowa przedłuża się i Peter prosi o rachunek. Kiedy jest u mnie, dostaje wszystkie drinki za darmo. Biorąc pod uwagę, ile zostawia u mnie forsy, stać mnie na ten gest, i dziś wieczór Peter chce mi się zrewanżować.

— Zostaw, ja zapłacę.

— Zagramy o to, kto płaci? — pytam z uśmiechem.

Wyciągam z kieszeni parę kostek. Jego przygaszone oczy rozjaśniają się nagle. Kości nie są spreparowane, i wygrywa.

— O rany, raz się zdarza, że wygrywam z tobą, i w nagrodę muszę płacić! — mówi żartobliwie.

Wyciąga z kieszeni gruby plik banknotów. Odruchowo oceniam go wzrokiem. Nie licząc paru studolarówek, są tam wyłącznie czerwone banknoty po tysiąc dolarów kanadyjskich. Na pierwszy rzut oka musi być około czterdziestu tysięcy dolarów, i moje zainteresowanie nagle wzrasta.

— Być może to dla ciebie szczęśliwe miejsce.

— Niewykluczone!

— Słuchaj, zagrajmy o sto dolców na jeden rzut, szybcitko, żeby sprawdzić.

— W porządku, dawaj kości!

Ożywił się, znowu opanowany przez demona, i wygrywa sto dolarów.

— Masz szczęście dziś wieczór. Gramy jeszcze raz?

Jeszcze parę razy wyrzucamy kostki, po czym korzystam z nieobecności Petera, który poszedł się odlać, i mówię do D'Amoura:

— Mamy komplet do black-jacka w samochodzie?

— Tak, oczywiście.

— Dobra, oskubiemy go.

W towarzystwie Ginger toruję sobie drogę do drugiego pokoju, z Bobby'm, który depta mi po piętach. Frajera nie wolno naciskać i nie trzeba, żeby Peter czuł wokół siebie zbyt duże zainteresowanie. Tańczymy kilka przytulanych. Bobby pali fajkę, oparty o ścianę.

Kiedy pół godziny później wracam do stolika, ku memu zdumieniu zastaję samotnego D'Amoura.

— Gdzie Peter?

— Wyszedł.

— Jak to, nie chce grać? To niemożliwe.

— Ja też byłem zdziwiony. Ale powiedział, że jest zmęczony, i że nie czuje się w formie do gry.

— Nalegałeś?

— Tak, nic z tego. Odmówił. Nie mogłem przecież robić się nachalny. Właśnie wyszedł.

Jestem zaskoczony i rozczarowany. Taki gracz jak Peter zwykle daje się łatwo przekonać. A wydawało mi się, że porządnie go rozgrzałem. Jego dezercja psuje mi wieczór. Już widziałem, jak jego pieniądze przechodzą do mojej kieszeni; czuję się okradziony. Być może poprzednio trochę przesadziliśmy, i teraz musi uważać na wydatki. Wstaje i Ginger robi to samo:

— Spadam, nie ma tu już nic do roboty. Będę spał w Hyatt Regency. Do jutra, stary.

Kazałem na stałe zarezerwować na tym samym piętrze pokój dla Bobby'ego, który teraz odprowadza mnie aż do progu moich drzwi. Bardzo mu się to podoba. Nigdy nie sądził, że będzie mu dane wejść do takiego hotelu inaczej, jak w wyniku włamania. Recepcja otrzymała polecenie, by nigdy nie łączyć telefonów do mojego apartamentu, zanim się nie obudzą. Tylko najbliżsi znają numer mojego pagera. Mam spokój.

Dziś rano musiał dzwonić pager. Słyszałem coś jak przez mgłę, ale nie na tyle, żeby wyrwało mnie to ze snu, który kończy się dopiero o drugiej po południu.

Siedzący w płaszczu koło mnie Bobby Thompson usiłuje swoimi wielkimi łapami dusiciela smarować masłem moje grzanki. Piję kawę. Ginger pod prysznicem podśpiewuje salsę. Jest mi dobrze.

Louie D'Amour wpada jak burza, rozczochrany, prawie nie pukając do drzwi. Widząc, w jakim jest stanie, od razu myślę, że dzień mam popsuty, i nie myślę się.

— Kłopoty?

— Chciałem ci powiedzieć... Nie odbierasz już pagera? Próbowałem do ciebie dzwonić. W recepcji nie chcieli cię budzić. Dlatego wszedłem na górę. Nie przeszkadzam?

Uuu! Coś przede mną ukrywa. Jego wzrok myszkuje dookoła, ale unika mojego. Kamizelkę ma krzywo zapiętą. Wcale mi się nie podoba to przerażenie, które stara się ukryć.

— Coś nie tak w klubie?

— Nie, nie! Spokojna głowa, nie ma problemu, z klubem wszystko w porządku.

— Więc co się stało?

— Widziałem się z Peterem wczoraj wieczorem!

— No i co?

No i D'Amour namówił dealera na partyjkę dwudziestu jeden i wygrał od niego cały jego majątek. Bardzo mi się to podoba. Dziwi mnie natomiast, że mi o tym mówi. Dlaczego Louie, chciwy oszust, któremu udało się oskubać frajera bez mojego udziału, przybiega, żeby mi o tym powiedzieć? Na pewno nie dla samej przyjemności podzielenia się ze mną łupem. Byłoby to miłe, ale nie ma takiego obowiązku.

— Wspaniale. I przyniosłeś mi moją część?

— No tak, to normalne...

— Louie, o co chodzi?

Znowu chce mnie wciągnąć w jakąś historię. Dlaczego tak mu zależy, żeby rozstać się z połową swojej forsy?

— Daję ci twoją część, nie? To normalne, zamierzaliśmy go oskubać razem. Gdybyś nad nim nie popracował, no nie? Może by nie zagrał. Masz, odliczę ci forszę.

Rozpina koszulę i wyciąga pliki banknotów z saszetki umocowanej na plecach, nie do znalezienia przy pobieżnym przeszukaniu. Gorączkowo zaczyna odliczać moje dwadzieścia dwa tysiące dolarów. Zatrzymuję go.

— Zaczekaj. Najpierw powiedz, czego chcesz.

— No... siedzę w gównie po uszy, Cizia.

Forsa, którą wyciągnął od Petera, należy do Isaaca Jonesa, szefa czarnych. Tamten dał ją Peterowi na sfinansowanie jakiegoś zakupu narkotyków. Peter powiedział Jonesowi, że D'Amour go oskubał. Teraz Isaac Jones grozi Louiemu, że go załatwi, jeśli ten nie odda pieniędzy.

Ostatni akt: D'Amour przybiega do swojego starszego brata, Cizi, którego udział zamierzał schować do kieszeni, żeby wyprostował sprawę. I w tym celu chce mu dać dwadzieścia dwa tysiące dolarów.

licząc na to, że jeżeli część forsy będzie jego, Cizia będzie się bronić przed Isaakiem Jonesem i przy okazji ochroni jego.

— Masz mnie za durnia, Louie.

— Ale...

— Zamknij się. Oddajemy forszę.

Zapiera mu dech. To niemożliwe. Nie możemy tego zrobić. Przecież nie damy się robić na szaro przez jakichś czarnuchów... Myśl o zwrocie pieniędzy jest dla D'Amoura nie do przyjęcia.

Biorę swoje dwadzieścia dwa tysiące dolarów.

— Dawaj resztę.

— Ależ, Cizia...

Wystarczy skinienie i Bobby wstaje. Louie patrzy na niego, przerażony.

— Cizia! Powiedz mu, żeby usiadł!

— Wyciągaj forszę.

Szybko wyciąga saszetkę, pod niebezpiecznie bliskim okiem Bobby'ego, który odbiera banknoty i przynosi mi je.

— Słuchaj, baranie. To jest ich forsa. Niechcący wlałeś do ich ogródka. Skoro cię uprzedzili, trzeba wszystko zatrzymać i wytłumaczyć się. Nie ma sensu ściągać sobie na głowę czarnych w takiej sprawie. Jasne?

— Tak.

— Po drugie dosyć już mam tych twoich machlojek. To ostatni raz, rozumiesz? Capito?

— Tak! Tak!

— Wykręć mi numer Isaaca Jonesa. Porozmawiam z nim.

Odbyło się to bardzo szybko. Połączono mnie z Jonesem. Chciałem mu właśnie wyjaśnić, że jeden z moich ludzi pomylił się i że oddam mu jego forszę, i że wszystko jest w porządku, kiedy zaczął się drzeć. Nazwał mnie świnią i po chwili już sam wrzeszczałem, żeby poszedł dać się wypierdolić. Przez trzy minuty wykrzyczałem swój repertuar obelg i wściekle rzuciłem słuchawkę.

D'Amour, z drugą słuchawką przy uchu, jest wniebowzięty.

— Brawo! Właśnie tak trzeba rozmawiać z tymi czarnuchami.

Bez kompleksów, natychmiast bierze ze stołu połowę forsy i na nowo się rozpina, żeby sięgnąć po saszetkę.

— Zostaw tę forszę!

Ja naprawdę jestem zdenerwowany! Ciągłe ściąga na mnie kłopoty. Zmusił mnie do naurągania tamtemu, który zapewne przyjmie to źle. Jak tak dalej pójdzie, D'Amour wyleci za okno. Biorę dodatkowe dziesięć tysięcy. Pisk D'Amoura jest rozdzierający:

— Nie masz prawa! Co ty wyrabiasz? To moja część! Wzięłeś już połowę.

Cholerny D'Amour! Drży jak liść na wietrze przy najmniejszej awanturze, przybiega do mnie, ale robi się bardzo samodzielny, kiedy tylko kłopoty ustępują, a przynajmniej on tak uważa.

— D'Amour, kretynie, Isaac Jones na tym nie poprzestanie. Jeśli cię znajdzie, wiesz, co ci zrobi? Te dziesięć tysięcy to na zapewnienie twojej ochrony.

Na myśl o wpadnięciu w łapy czarnych D'Amour blednie. Pozwala mi włożyć plik banknotów do kieszeni. Biorę jeszcze pięć tysięcy.

— Hej, partner. Co ty wyprawiasz? Za kogo się uważasz? Zostaw tę forszę.

— Bobby!

Mój goryl wstaje i Louie biegnie na drugi koniec pokoju.

— Te pięć tysięcy to kara za to, że zawsze pakujesz mnie w jakieś gówno.

Zostawiam mu siedem tysięcy, to nie tak źle. Resztę szybko wydám. W końcu forsa ta przeznaczona była na wredny handel narkotykami. Niech przynajmniej pójdzie na moje własne potrzeby.

Louie ma swoją kwaterę główną w Julie's Mansion i stamtąd zawiaduje swoimi drobnymi kombinacjami. Przy jego stole bezustannie płynie potok podejrzanych typów, którzy proponują Louiemu najbardziej nieprawdopodobne interesy. W większości przypadków są one całkowicie nieatrakcyjne. Przynoszą mało zysku, są niebezpieczne i brak im klasy. Ale, kto wie, może któregoś dnia pojawi się tam coś ciekawego, toteż staram się być o tym informowany.

Niekiedy przychodzę posiedzieć w tym jego panoptikum, a nawet udzielam swoich światłych rad. Wiele osób przychodzi, by zapytać mnie o zdanie w najróżniejszych sprawach. Jestem teraz znany i dużo ludzi widzi we mnie jedynie gangstera, który za parawanem pozycji społecznej pociąga za sznurki świata zbrodni. Na mój temat krążą

nieprawdopodobne opowieści. Przypisuje mi się czyny, których nie dokonałem. Szacunek, z jakim mi o tym opowiadają, świadczy o rozmiarach mojego sukcesu. Zdarza się, że ludzie zwracają się do mnie z dziwnymi propozycjami.

Michael White jest dobrze sytuowanym przemysłowcem. Lubi czasem zagrać, ale do booze-can przychodzi głównie ze względu na dziewczyny, które można tam spotkać. Którejś nocy, kiedy kończymy grać wcześniej niż zwykle, dzięki werwie Bananasa, który splukuje wszystkich w rekordowym czasie, Michael podchodzi do mnie.

— Cizia, muszę z tobą poważnie porozmawiać. Chciałbym ci zaproponować interes.

Zainteresowany, jak zwykle kiedy czuć zapach pieniędzy, prowadzę go do biura Haiga, które już dawno przejąłem na swoje potrzeby. Bobby staje przed drzwiami, blokując wejście. Po paru kieliszkach i wymianie zwykłych w takich przypadkach banałów, przemysłowiec przechodzi do rzeczy.

— Widzisz, Cizia, ciężko pracowałem przez całe życie. Teraz osiągnąłem doskonałą pozycję społeczną. Mam sporo forsy i jeszcze ładnych parę lat przed sobą, żeby z niej korzystać.

Przez parę minut tak kręci, i zaczyna mnie to nudzić.

— No dobra, więc co cię gnębi?

— Mam idealne warunki, ale przeszkadza mi moja żona.

Czego on ode mnie chce? Gównu mnie obchodzą jego sprawy rodzinne, nie jestem doradcą małżeńskim.

— No więc? Zamknij ją gdzieś albo się rozwiedź, co ja mam do tego?

Zupełnie nie rozumiem, co mi tutaj opowiada! Chyba nie prosił mnie o rozmowę po to, żeby opowiadać mi o swoich małżeńskich kłopotach. Zdenerwowany patrzę na zegar. Co ja tu robię wysłuchując tego kretyna?!

— Tak, ale ona żąda kupy forsy.

Pochyla głowę i milknie.

— Słuchaj, Michael, wytłumacz jasno, o co ci chodzi. Ja nie jestem ani psychologiem, ani adwokatem, więc do rzeczy, mam inne sprawy do załatwienia!

— Jest pięćdziesiąt tysięcy dolarów dla faceta, który uwolni mnie od mojej żony i...

Przerywam mu natychmiast.

— Cicho!  
Patrzy na mnie nie rozumiejąc. Powtarzam, przykładając palec do ust.

— Čššš! Już nic nie mów. Nic!

Wstaje i klepię go w ramię.

— Myślę, że jesteś wstawiony. Jestem nawet pewien, że się uchlałeś, więc uznajmy, że nic nie słyszałem. A ty nic nie powiedziałeś. A teraz wstawaj i zjeżdżaj z tego klubu. Jest już późno, najwyższy czas wracać do domu.

Biorę go pod rękę i odprowadzam do drzwi biura.

— Bobby, odprowadź pana do wyjścia.

I ściszym głosem dodaję:

— I od dziś już go do nas nie wpuszczaj...

To dziwne, jak w wyobraźni uczciwych ludzi facet, który stoi jedną nogą w półświatku, zdolny jest do wszystkiego. Zupełnie nie potrafią wyczuć niuansów. A przecież piekarz nie handluje garnkami. Ja też nie rozgrywam dwóch partii jednocześnie. Jestem oszustem, kanciarzem, mogę posunąć się do ostateczności, by pozostać wiernym postaci, którą stworzyłem, ale tylko w ramach drogi, jaką dla siebie wybrałem. Michael tego nie rozumiał.

Podobnie zresztą jak Marylin, która wzięła mnie po prostu za brutala o małym mózdzku. Jej pojawienie się w klubie nie pozostało nie zauważone. To wysoka, jasna szatynka, piękna i zadbana, ma prawdziwą klasę, może nawet za dużą jak na klub Haiga. Ona sama przyszła do mnie, już drugiego wieczoru, bardzo elegancka.

Później zabrała mnie do siebie swoim samochodem, mercedesem coupé, który w Kanadzie jest symbolem sukcesu. Marylin ma ogromne mieszkanie na Clarendon Crescent, w centrum miasta; jest umeblowane w sposób wprost niesamowicie luksusowy, wszystko aż dyszy tam forszą, bardzo wielką forszą.

Ale za zasłoną jej elegancji wyczuwam w niej twardą, bezlitosną kobietę. Jej mąż, jakaś gruba ryba, wyjechał na miesiąc służbowo. Pierwszej nocy Marylin zamieniła się w wampa. A kiedy kobieta chce w oczach mężczyzny uchodzić za wampa i zapanować nad jego wolą, cała robota odchodzi w łóżku, w czasie kiedy się kochają i potem.

Nie łatwiejszego dla kobiety niż igranie z mężczyzną, o ile potrafi

wykorzystać jego męską próżność. Męskie ego to słaby punkt większości facetów. Kiedy tylko kobieta oświadcza im, że są w łóżku supermenami, są podbici i z góry przegrani.

Poza zwykłymi w takich przypadkach komplementami, których zawsze przyjemnie posłuchać, przysługuje mi wielkie przedstawienie: wrzaski, omdlenia, ekstatyczne westchnienia i pełne podziwu wilgotne spojrzenia. Marylin nie wie, że na szczęście mam jednak nieco doświadczenia w tej dziedzinie.

Za każdym razem, kiedy idziemy razem do łóżka, powtarza się ten sam teatr! A właściwie kino, bo to prawdziwe sceny z filmu, i po kolei padają wszystkie hollywoodzkie odzywki. Jeśli jej wierzyć, od kiedy mnie poznała nie może spać i całe jej życie się odmieniło.

— Gangsterzy zawsze mnie podniecali — powiedziała mi, kiedy po raz pierwszy zobaczyła moją kaburę. — Dlaczego wcześniej cię nie poznałam? — powtarza mi nieustannie.

Ponieważ traktuje mnie dobrze, a jej dom to przyjemne miejsce, przyjmuję reguły gry. Im bardziej jestem chamski, tym bardziej ona się stara. Jest to miłe, a nawet zabawne. Troszczy się o mnie jak o króla. Najdrobniejsze moje pragnienie, wspomniane mimochodem, przemienia się w natychmiast wykonany rozkaz.

— Jestem twoją niewolnicą, twoją rzeczą, możesz ze mną zrobić co chcesz, Cizia. Doprowadzasz mnie do szaleństwa, nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. Należę do ciebie, możesz zażądać ode mnie wszystkiego.

— Zrobisz mi małą kawę, ślicznotko?

Dalem jej do zrozumienia, że lubię foie gras i od tej pory, kiedy jesteśmy u niej, jadamy tylko najlepszy, jaki można w Toronto dostać. Kiedy się budzę, czeka na mnie mój garnitur, nieskazitelny i wyprasowany, wiszący obok łóżka dzięki staraniom jej chińskich służących, milczących i sprawnych.

Podczas naszego piątego spotkania Marylin wreszcie się odsłania.

Dziś wieczór poszła na całość. Jej westchnienia powodowały drganie ścian. W ciągu dwóch minut miała sześć orgazmów i dwukrotnie zemdląca. A teraz leży z głową na mojej piersi i patrzy na mnie swoimi wielkimi oczami, w których przed chwilą była ekstaza.

— Cizia, to cudowne, nigdy nie zaznałam takiej rozkoszy —

mówi mi, gładząc mój tors. — Jaka szkoda, że na naszej drodze jest mój mąż!

Na jakiej drodze? Ja nie szukam autostopowiczek!

Trzymając w jednym ręku kieliszek szampana, w drugim grzanekę z foie gras, pozwalam jej majaczyć.

— Gdyby tylko jego samolot mógł się rozbić, gdyby umarł, co za szczęście dla nas obojga!

No, to jesteśmy w domu. Więc po to był cały ten teatrzyk! Można by pomyśleć, że kręcą jakiś podrzędny film kryminalny. Z rozbawieniem słucham, jak przedstawia mi swój scenariusz.

— Tym bardziej że w swoim testamencie zapisał mi cały swój majątek. To byłoby cudowne, Cizia, pojechalibyśmy na południe i zylibyśmy jak królowie! Na słońcu, Cizia!

Naprawdę ma mnie za półgłówka. Domyślam się, że w dalszej części scenopisu dostaję dwadzieścia lat pudła, albo kulę w leb, żeby ona mogła się spokojnie puszczać. A więc zabawmy się.

— Chcesz, żebym go zabił, kochanie? — pytam twardym głosem, wskazując na kaburę zawieszoną koło łóżka.

— Nie wiem, myślisz, że mógłbyś?

Pochyliła głowę, prawdopodobnie, żeby ukryć błysk triumfu w oczach. Kiedy ją podnosi, czeka ją szok w postaci mojej roześmianej twarzy i wyciągniętej w jej kierunku dłoni ze sterczącym ku górze palcem środkowym.

— Wsadź sobie to gdzieś, ślicznotko!

Dopijam szampana, delikatnie kładę grzanekę posmarowaną stroną na poduszce, ocieram sobie członka o atlasową pościel i z godnością wychodzę.

Nawet Annie, stara kelnerka u Fran's, poprosiła mnie o przysługę. Chodzę tam już bardzo rzadko. Dziś rano Annie podeszła do mnie, kiedy właśnie miałem wyjść.

— Panie Cizia, kończę pracę za piętnaście minut i chciałam z panem porozmawiać. To bardzo ważne.

Czyżby wreszcie zdecydowała mi się oświadczyć? Kiedy tylko jest już wolna, siada przy moim stoliku. Rzeczywiście, jej sprawa jest bardzo poważna. Jej siostrzeniec ukradł jej sto pięćdziesiąt dolarów, majątek. To leń, czarna owca rodziny, chuligan, który skończy na

krzesła elektrycznym albo z nożem w plecach w jakiejś ciemnej uliczce. Ze względu na swoją siostrę Annie nie chce składać skargi na policji.

Sto pięćdziesiąt dolarów to grosze, ale dla tych ludzi to dużo: tydzień pracy. Chciałem dać jej tę sumę, ale nie tego po mnie oczekiwała.

— Nigdy nie ośmieliłabym się prosić pana o pieniądze, panie Cizia. Ale trzeba, żeby ktoś raz na zawsze nauczył go dobrych manier, bo inaczej chłopak źle skończy.

I dlatego ja, przeznaczony na gilotynę w wieku szesnastu lat przez sędzię dla nieletnich w Bordeaux, pukam do kawalerki szczeniaka, żeby zrobić przyjemność jego starej ciotce. Zmobilizowałem posiłki i jestem w towarzystwie Harry'ego i Bobby'ego. Jak już, to już!

Czuję się trochę śmieszny, ale ciocia Annie wymogła na mnie tę obietnicę.

Nastolatek, który nam otwiera, jest typowym przykładem małej podstępnej szmaty, która nie szanuje niczego. Zaspany, w skarpetkach i wątpliwej czystości gaciach, wygląda żałośnie. Hell's Angel bez motocykla.

Kiedy Bobby, Harry i ja wchodzimy do pokoju, nie zostaje już wiele miejsca. Chłopak nie rozumie, ale zaczyna oblatywać go strach. Harry, nieco zażenowany, powstrzymuje się od śmiechu.

— Mały, ukradłeś pieniądze twojej biednej ciotce. To moja przyjaciółka. Nie podoba mi się to. Trzeba je zwrócić.

— Ale... to nieprawda, to kłamstwo. To stara kurwa i...

— Bobby, po buzi.

Policzek wymierzony ręką Bobby'ego mógłby rozwalić ścianę średniej grubości, ale mój goryl hamuje się i chłopak tylko przelatuje przez pokój. Leży teraz na łóżku, trzymając się za purpurowy policzek, i ogarnia go panika.

— Więc jak, mały, oddasz pieniądze czy mam się naprawdę rozgniewać?

— Tak, tak, przysięgam.

Wydarzenia go przerastają. Jakoś trudno mu połączyć jego starą ciotkę i tych trzech facetów, którzy zjawili się tu znikąd.

— A skąd weźmiesz forszę?

— Nie wiem, ale przysięgam, znajdę — mówi pociągając nosem.

— Nie opowiadaj głupstw. Pójdiesz z nami. Dam ci robotę, w ten sposób będziesz mógł zarobić. Ubieraj się.

Jednak mu trochę głupio, kiedy wkłada bluzę, która na plecach ma wyszywaną ognistymi literami dewizę motorowych gangów: „Honor albo śmierć”.

W ten sposób jeszcze tego samego dnia wysprzątał cały dom, umył kieliszki, wypastował podłogę, wyczyścił miedziane naczynia... pod okiem Bobby'ego, który w regularnych odstępach czasu daje mu kopa w tyłek, żeby odegrać się za śmieszność własnej sytuacji.

Kiedy dom jest już nieskazatelnie czysty, Bobby każe mu umyć samochód. To wariacka robota, całkowicie niepotrzebna. W tej temperaturze nawet ciepła woda szybko zamarza i trzeba ciągle zaczynać od początku. W końcu chłopak odgarnia metry sześcienne śniegu, usypane na chodniku przez pługi, a także cienką warstwę lodu pokrywającą ogród.

Kiedy Bobby, któremu naprawdę nie odpowiada rola niańki, porządkuje się za niego zabrał, przechodzę do dalszego ciągu mojego rozkładu dnia. Kiedy wpadam, około pierwszej nad ranem, oczyszczona jest dopiero połowa podwórka, a chłopak jest przemarznięty. Siedzący w ciepłe Bobby obserwuje go przez kuchenne okno.

Tego wieczoru gra jest ożywiona i trwa do białego rana. Mam właśnie wyjść z klubu, gdy podchodzi do mnie Bobby.

— Co mam zrobić z chłopakiem?

Cholera, zupełnie o nim zapomniałem!

— Jeszcze jest na dworze?

— Nie. Zamarzał już, więc wziąłem go do środka i kazałem myć kieliszki w kuchni.

Stoi przede mną chłopiec zataczający się z wyczerpania, przygnębiony, z oczami opuchniętymi od niewyspania. Ma poranione dłonie, szczeka zębami i leci mu z nosa. Zapomniał już o wszystkim. O dewizie „honor albo śmierć”, o kozackich zagrywkach, o całym swoim dotychczasowym stylu życia. Chce tylko jednego: spać i uciec od tej koszmarnej historii, w którą pogrążony został od ponad dwudziestu godzin.

— Dobrze zrobiłeś robotę. Myślę, że zrozumiałeś.

Daję mu sto pięćdziesiąt dolarów, które bierze nie patrząc nawet na nie.

— Tu jest zapłata. Natychmiast zanieś ją swojej ciotce. I pamiętaj, że w każdej chwili mogę cię łatwo odnaleźć.

Zgadza się ze wszystkim. Kiedy odchodzi, przywołuję go z powrotem i daję mu dodatkowe sto pięćdziesiąt dolarów.



— Dam ci jeszcze radę, mały. Cokolwiek będziesz robił, nie wolno okradać rodziny.

Proponowano mi także obrobienie domu gry, wykupienie stajni prostytutek, włamanie do magazynów zawierających świeżo przybyły ładunek haszyszu, i wiele innych „planów”, których zawsze wysłuchiwałem, najczęściej z uczuciem nudy, ale których nigdy nie przyjąłem za własne. Na ogół chodzi zresztą o drobne afery, i w ten sposób odnalazłem w Julie's Mansion Rosjanina, który kiedyś sprzedawał kradzione karty kredytowe.

Spotkanie jest dla mnie wzruszające. Moje pierwsze ściągnięcie długu! Moje początki, zapewne trochę nieskładne, ale przecież skuteczne. Gość odzyskał poprzednią pewność siebie i znów szpanuje tak, jak przed naszą prywatną rozmową. Nie zachował do mnie urazy. Podchodzi z uśmiechem:

— Jak się masz, Cizia, kopę lat!  
— Dobrze. U ciebie też wygląda nieźle.  
— Daję sobie jakoś radę — mówi, mrugając do mnie porozumiewawczo. — Mogę ci postawić kielicha?

— Z przyjemnością, szampana.  
Trochę go zatyka, ale mimo wszystko zamawia.

— To co, przyjdiesz zagrać do klubu?  
— O nie! Nigdy!

Prawie krzyknął. Wyrwało mu się, ale szybko opanowuje się i zaprasza mnie na wieczór, razem z Louie, Ginger i Bobbym, by wspólnie obejrzeć mecz hokeja na lodzie: ZSRR przeciwko Kanadzie.

— To mój kraj, muszę im pokibicować.

Spotykamy się w Maple Leaf Garden. Rosjanin już czeka, z biletami w rękę, i prowadzi nas przez trybunę honorową.

Mecz jest przyjemny. Lubię sportowe widowiska. Skończył się już sezon baseballu i futbolu amerykańskiego. Szybkość i brutalność gry w hokeja pociągają mnie. To jeden z nielicznych sportów, gdzie można praktycznie mieć pewność, że obie drużyny dołożą sobie wzajemnie po mordzie. Zawsze mnie dziwiło, że w przypadku bójki rzucają kije i walą się pięściami. Wydaje mi się, że przecież kijem byłoby łatwiej, zabawniej i przede wszystkim bardziej w zgodzie z pierwszym odruchem.

Rosjanin jest w wielkiej formie. Mówi obficie gestykulując i znowu odgrywa przed nami arystokratę na wygnaniu. Żartuje sobie z Louiego i rozśmiesza Bobby'ego. Jest elegancki i troskliwy wobec Ginger, której wyjaśnia reguły gry. Ma mnóstwo do powiedzenia o rosyjskiej drużynie.

— My, Rosjanie, mamy sport we krwi. Przemieszanie ras, ostry klimat i bardzo trudne warunki życia zrobiły z Rosjanina człowieka walki, którego predyspozycje znajdują ujście w sporcie. To najlepsza na świecie drużyna, nic jej nie powstrzyma na drodze do zwycięstwa. Droga pani, patrzy pani na przyszłych mistrzów świata w hokeju na lodzie. Mam do nich całkowite zaufanie.

— Chcesz się założyć?

— O co chcesz, o cały mój majątek!

— Uważaj, nie zakładaj się, jeśli nie możesz zapłacić. Pamiętaj?...  
Robi lekceważący ruch ręką.

— Pfff! To stara historia. Drobny błąd w obliczeniach i ocenie sytuacji, nic więcej. O cały mój majątek, mówię ci jeszcze raz!

— Wystarczy to, co masz w kieszeniach. Ile tego będzie?

— Około tysiąca dolarów.

— Stawiam tysiąc dolarów na zwycięstwo Kanady.

— Stoi. Robię tu pewny interes.

Sprawa naszej małej prywatnej rozmowy, jaką kiedyś przeprowadziliśmy u niego, zbliża nas do siebie i rozmawiamy jak dwaj starzy kumple o wspólnej przeszłości. Żartuje przypominając mi tamtą sytuację. I Kanada wygrywa!

— Takie rzeczy się zdarzają. Nikt nie jest nieomylny. Trzeba umieć przegrywać z uśmiechem.

— I płacić z uśmiechem!

— Oczywiście, gra ma swoje prawa, i trzeba się do nich stosować z dobrą miną — mówi, kładąc mi rękę na ramieniu.

— Masz rację, a teraz dawaj forszę!

Traci swoje opanowanie.

— Słuchaj, Cizia, przecież to jasne. Daj mi trochę czasu. Spędziliśmy razem wspaniałe chwile, nie psuj teraz tego jakimiś płaskimi materialnymi sprawami.

— Bobby!

Bobby, który parę minut wcześniej uprzejmie z nim rozmawiał i z całego serca śmiał się z jego kawałów, chwytą go brutalnie za szyję i zaczyna nim potrząsać.

— Trzeba płacić, szef powiedział.

— Tak, tak, już. Puść mnie.

Wyciąga banknoty z wszystkich kieszeni, wspomagany przez Bobby'ego, który od czasu do czasu przyjacielsko nim potrząsa.

— Proszę, jest cała suma. Ale naprawdę przesadzasz.

— Brakuje! Tu jest tylko dziewięćset dziewięćdziesiąt dolarów.

— Ale posłuchaj...

— Brakuje dziesięciu dolarów.

— Ale to przecież dziesięć dolarów! Dziesięć dolarów! To niepoważne. Dziesięć dolarów!

— Bobby!

Rosjanin traci cały swój tupet, przytłoczony moją postawą, i gorączkowo przeszukuje kieszenie. Udaje mu się zbierać dolara dwadzieścia pięć i podaje mi je.

Patrzy na mnie, patrzy na Bobby'ego i wreszcie zwraca się do D'Amoura.

— D'Amour, pożycz mi dziesięć dolarów.

Louie, który dostrzegł moje porozumiewawcze mrugnięcie, odmawia z kamienną twarzą. Pozwalam Rosjaninowi pocić się i niespokojnie kręcić przez kilka chwil, po czym kończę sprawę.

— Dobra — mówię, waląc go w kark po przyjacielsku. — Chciałem tylko nauczyć cię, że nie powinieneś ze mną grać, zwłaszcza jeśli nie masz dość pieniędzy. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że hazard to brzydka rzecz? Masz, jestem dzisiaj w dobrym humorze.

Oddaję mu jego dolara dwadzieścia pięć, żeby miał na autobus. Nie trzeba być zbyt wielką świnią!

Minął tydzień. Nasi przyjaciele alfonsi nadal nie dali znaku życia. Nie podoba mi się to. Ci faceci to nie żadni frajerzy, którzy poprzestaną na przeżuwaniu swojej nienawiści. W ponurym świecie murzyńskich gett ci, którym udaje się wypłynąć na wierzch, są najpaskudniejsi, toteż są naprawdę niebezpieczni. Nie pozwolą przerobić się na szaro bez żadnej reakcji. Poczucie godności i konieczność zachowania twarzy w środowisku zmuszą ich do przeciwdziałania, jestem tego pewien. Zapewne pracują teraz nad planem zemsty, żeby nie mógł się wymknąć. Muszę mieć się na baczności.

Jestem więc gotów. Nawet trochę przesadziłem. Trudno być lepiej

uzbrojonym ode mnie, dom zamienił się w prawdziwy arsenał. Na stole mam pod ręką strzelbę myśliwską z obciążoną lufą, kaliber 12, naładowaną śrutem.

Na tylnym siedzeniu lincolna leży strzelba kupiona od Dany'ego, fryzjera i pasera w jednej osobie, a Bobby napelnił kieszenie przedmiotami, z których każdy zrobić może straszne bobo. Pokazywał mi między innymi kastet, który sam sobie zrobił, dostosowany do rozmiarów jego ogromnych paluchów.

Odkładam swoją trzydziestkęsemkę tylko wtedy, kiedy kładę się spać, a Louie D'Amour machinalnie gładzi automatycznego colta 25, którego dostał ode mnie w prezencie, i stale nosi go za pasem. Wiem, że ćwiczy przed lustrem przybierając groźne miny i starając się wyciągać broń bez wywalenia na wierzch całej koszuli.

Kupiliśmy nawet szurikany, te japońskie gwiazdy. Rzucamy nimi wbijając je we framugi drzwi, ku rozpaczy Haiga, któremu sen z oczu spędza nowa odmiana termitów atakujących drewno w jego domu. W bucie nadal noszę swoją brzytwę, a po całym domu rozrzucone są liczne ciężkie i ostre przedmioty.

Niekiedy zastanawiam się, jaką minę miałby gliniarz, gdyby zobaczył cały ten arsenał. To naprawdę nie wygląda na wyposażenie studenta, nawet badającego psychologię szoku, który w dodatku jest tylko będącym przejazdem turystą. Odwiedzenie wodospadu Niagara nie wymaga takiego uzbrojenia!

Coraz częściej o nich myślę, bo wiem, że oni zaczęli myśleć o mnie. Mam przeczucie, że niedługo do mnie zajrzą.

Jeśli nadal jeszcze jestem przy życiu i na wolności po tylu przygodach, to dzięki mojej intuicji, która nigdy mnie nie zawiodła. Życie w półświatku rozwija jakiś szósty zmysł, którego nie potrafiłbym określić. Parę dni temu spokojnie wychodziłem z apartamentu, jak każdego popołudnia. Kiedy zjeżdżałem na dół, coś mnie tknęło. Nie, nie przeczucie, ale niejasna świadomość, że ktoś o mnie myśli.

Zatrzymałem windę i wróciłem na górę. Zawsze ukrywam moją kokainę na zewnątrz pokoju. W hotelach są takie miejsca, których nikt nigdy nie sprząta: wewnątrz fotela na korytarzu to doskonały schowek. Włożyłem tam spluwę i kokainę i ponownie zjechałem na dół.

W hallu podeszło do mnie dwóch facetów.

— Urząd imigracyjny! — mówią mi, wyciągając swoje plakietki. — Mister Zyk?

— Tak.

Już zapomniałem o tych facetach.

— Rutynowa kontrola. Co pan robi w Toronto?

— Jestem turystą.

— Nie pracuje pan?

— Nie.

Rzeczywiście chodziło wyłącznie o zwykłą formalność. Nie rewidowali mnie i po zadaniu paru banalnych pytań pozwolili mi odejść. Nie mają nic wspólnego z policją, ale gliniarze są jak nieszczęście, nigdy nie przychodzą pojedynczo.

W ten sposób nigdy nie osiągnę wyższego poziomu. Nie mogą mi pozwalać na otwarte deptanie prawa, jak to robię dotąd.

Każda przygoda to wyzwanie, i tę prowadziłem do końca. Oczywiście są w półświatku inne drogi, ale te mnie nie kuszą, nie dlatego, że szanuję prawo, bo mam je gdzieś, ale dlatego, że szanuję samego siebie.

Już czas z tym skończyć. Robiłem w życiu wszystko i zawsze odgrywałem do końca postacie, które tworzyłem, doprowadzając je do ostateczności. Jako architekt wygrałem przetarg na rozbudowę całego miasta, i moje prace okazały się udane. Jako przemytnik zamieniłem granice w ser szwajcarski, i tak dalej. Obecnie jestem przedstawicielem mafii.

Jak dotąd w trakcie tej przygody obyło się bez zbytej przemocy: parę uderzeń po buzi, parę bolesnych ciosów, wyłącznie minimum. Ale muszę przestrzegać reguł gry, i nieuchronnie nadejdzie chwila, kiedy porwany dynamiką kreowanej postaci przekroczy pewną granicę.

W gruncie rzeczy wszystko to jest parodią i nie chcę, żeby gra przekształciła się w rzeczywistość. Choć jest prawdą, że nie pozwalam sobie nadepnąć na odcisk, mimo wszystko pewne rzeczy szanuję.

Od paru wieczorów wiem już, że mają nadejść gliny. Pomimo zimna i śniegu często wychodzę na próg domu i wzrokiem omiatam dziesiątki samochodów zaparkowanych w podwórzu i wzdłuż chodników. Są tutaj, czuję to!

Nakazałem współpracownikom, by przychodzili z niewielką ilością gotówki. W razie nalotu, jeżeli graczy przyłapie się przy stole, wszystko jest konfiskowane. Nie chcę zamykać klubu i pozostawiam sprawy ich własnemu biegowi. Trzymam się z przyzwyczajenia.

Toteż dzisiejszego wieczoru nie jestem nawet zaskoczony, kiedy Louie podbiega do stolika, przy którym właśnie usiedliśmy.

— The cops, nadchodzą!

Reagujemy natychmiast. Chwytam Ginger za rękę i w dwóch susach jestem przy tylnych drzwiach, które Bobby właśnie otworzył. Za nami biegną Louie, Bananas i Chuck, którzy zgarnęli ze stołu forse, są z nimi Jo i Roxanne.

Na zewnątrz niesamowity burdel. Gliniarze są wszędzie. Około dwudziestu zajmuje pozycje wokół domu. Trzy wozy patrolowe blokują wyjazd z parkingu wśród pisku hamulców, a wirujące policyjne światła rzucają wokół niebieskie i czerwone blaski.

— Do samochodów, szybko!

Pochyleni ku ziemi, częściowo biegnąc, częściowo skradając się na czworakach zmierzamy ku lincolnowi, klucząc między zaparkowanymi samochodami. Z tyłu słychać brzęk tłuczonych szyb. Błyskawicznie dopadamy samochodu i pakujemy się do środka, w chwili kiedy na parking wpadają gliniarze w pościgu za uciekinierami.

Przyciemniane szyby pokryte są szronem. Z zewnątrz jesteśmy niewidoczni. Lekko uchylam szybę, żeby niczego nie stracić z widowiska. Około dziesięciu gliniarzy usiłuje wyważyć drzwi wejściowe. Bobby, który przygląda się temu zza mojego ramienia, wyjaśnia:

— Kiedy ktoś zastukał, otworzyłem, ale zaraz rozpoznałem skurwiała, który kiedyś już raz mnie zatrzymał. Zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem i założyłem łańcuch. Chwilę im to zajmie.

Dwaj gliniarze przebiegają przez podwórze uzbrojeni w siekiery. Parę uderzeń i drzwi rozlatują się, po czym wszyscy wpadają do środka.

Wokół nas trwa corrida. Wielu facetów powyskakiwało przez okna, ale gliniarze tym razem nie dali się zaskoczyć i czekali na nich z pałami w rękach. Paru udaje się przedrzeć, i następuje pościg między samochodami. Rozpoznaję pewnego Amerykanina, o którym wiem, że jest poszukiwany za usiłowanie napadu; ma zakrwawioną twarz, i gliny ciągną go do domu.

Ścisnięci w samochodzie jak śledzie w beczce zachowujemy całkowitą ciszę. W ciemności widzę, jak Ginger powstrzymuje się od śmiechu przyglądając się D'Amourowi, który drży z zimna w samej koszuli i ma nietęgą minę. Nie dziwię mu się. Jeśli gliny nas znajdą, opłaci im się cały wieczór stokrotnie.

W tym samochodzie reprezentowane są wszystkie rodzaje przestępstw. Jesteśmy uzbrojeni i mamy narkotyki. Louie, Chuck i Bananas mają swoje kartoteki. Akta Bobby'ego są grube jak książka telefoniczna

i wisi nad nim kilka nie odsiedzianych wyroków. Ginger i Jo były notowane jako prostytutki. Roxanne jest nieletnia, a mój status turysty nie usprawiedliwia dwukrotnej pod rząd obecności w miejscu nielegalnym.

Radiowozy nadal blokują wyjazd. W milczeniu oczekujemy na dalszy rozwój wypadków.

Po upływie dwóch godzin goście zaczynają wychodzić. Dwóch facetów w kajdankach zabierają gliny. Kolejno startują silniki i wyjazd jest wolny. D'Amour siada za kierownicą i włącza się w potok wozów.

W nocy Haig kontaktuje się ze mną za pośrednictwem pagera. Nocuje u znajomej i jest zbyt przybity, by powiedzieć mi cokolwiek sensownego przez telefon. Najwyraźniej sprawy rzeczywiście potoczyły się źle. Rozprawę wyznaczono na dziewiątą, tak jak poprzednim razem. Umawiam się z nim w kawiarni niedaleko sądu. Jadą ze mną Louie i Bobby, a także Ginger, Jo i Roxanne.

Haig potrzebuje pocieszenia i wiem, że obecność trojga dziewcząt, które lubi, sprawi mu przyjemność.

Jest przygnębiony, jego legendarny już dobry humor gdzieś zniknął. Nie spał w nocy i kiedy tak siedzi na krześle, ze wrokiem wbitym w ziemię, wygląda jak uosobienie rozpacz.

— Tym razem to już koniec! Wszystko zniszczyli, wszystko! Nawet meble. Nic nie zostało nienaruszone. Kiedy znaleźli twoją strzelbę, jakby dostali amoku. Przeszukali wszystko, rozwalając każdy przedmiot po drodze. Wywrócili do góry nogami nawet mój pokój i rozpruli mój materac. Kiedy szukali u ciebie, przecięli water-bed i zalali całe piętro. W jednej z szuflad w twoim pokoju znaleźli trawkę i mieli pretekst, żeby już nie przepuścić niczemu. Nie wyobrażasz sobie, jak dziko się zachowywali. Nawet pobili się między sobą!

Ma łzy w oczach, wygląda żałośnie, staruszek przeżył ciężkie chwile. Dziś rano naprawdę widać po nim jego lata. Prawy policzek ma opuchnięty, są na nim jakieś sinawe ślady.

— Nawet dostałem w twarz. Jak znaleźli trawkę, ich szef, ten sam sierżant co poprzednim razem, powiedział mi, że jestem handlarzem narkotyków, że nie będę już się z nich nabijał, że się mną zajmą.

Zaczęłam protestować i tamten mnie uderzył. Wtedy właśnie się pobili. Jeden czarny gliniarz, którego znalazłem, stanął w mojej obronie i powiedział, że nie jestem bandytą i żeby mnie tak nie traktować. Zaczęli na siebie wrzeszczeć i w końcu się pobili. Nie wiem, co będzie na procesie, ale obawiam się najgorszego!

— Ależ, Haig, chyba nie dasz się tak stłamsić, to do ciebie niepodobne. Trzeba walczyć. Życie się nie kończy tylko dlatego, że poniosło paru facetów. Masz jeszcze przed sobą piękne dni. Wierz mi, jeszcze się zabawisz. Co oni mają przeciwko tobie? Nic, tak jak poprzednim razem. Trawka nie była twoja, nie mają żadnych dowodów. Dzwwię się, że taki stary lis jak ty niepokoi się takimi drobiazgami. Jestem przekonany, że dasz sobie z nimi łatwo radę. Jeszcze się nie urodził taki, który cię w tym zagnie.

Moje komplementy trafiają do niego i wyprostowuje się. Odgaduję w jego głowie przemówienie, które właśnie powstaje, i argumenty, jakie przedstawi sądowi. Jeszcze lekkie popchnięcie i będzie gotowy.

— Mam dla ciebie dobre wiadomości. Anuluję twoje długi. Nie jesteś mi już nic winien, możesz z powrotem przejąć dom. I zapłacimy za wszystkie szkody. Zrób jak najprędzej kosztorys i dam ci pieniądze. Będziesz mógł zrobić remont i za tydzień o wszystkim zapomnisz. Moje słowa odnoszą radykalny skutek. Odzyskuje uśmiech i nawet odważa się żartować.

— Jak tylko zakończy się rozprawa, idziemy na szampana. Zadzwoń do mnie do hotelu.

Ginger poprawia mu muszkę i wyprostowuje kwiat w jego butonierce.

— Wyglądasz zawsze tak samo pięknie — mówi do niego z uśmiechem.

Jo i Roxanne dają mu po wielkim całusie w każdy policzek. Kiedy odchodził, odzyskał całą pewność siebie. Ale teraz z kolei Louie D'Amour ma kiepską minę.

— Kurczę! Dlaczego powiedziałeś mi, że nie jest nam już nic winien? Właśnie teraz, kiedy będziemy potrzebowali gotówki?

— Doprawdy, D'Amour, ty się nigdy nie zmienisz! Nie uważasz, że już dosyć zapłacił? Tak czy inaczej, jego dom jest spalony i nawet gdyby był nam winien życie, nie zgodzi się, żeby otworzyć klub jeszcze raz. Będzie miał trudności z doprowadzeniem wszystkiego do porządku.

— A jak mu powiedziałaś, że zapłacimy za szkody, mówiłeś serio?  
— Tak. Ale to dotyczyło tylko mnie. Nie musisz robić tego samego. Masz wolny wybór.  
Widząc jego minę rozumiem, że wybór został już dokonany.

Następnego dnia Haig ponownie jest w świetnej formie. Rozumiem to, kiedy widzę kosztorys, jaki dla mnie sporządził. Można by pomyśleć, że z domu zostały gołe ściany! Zapłaciłem.

Wiele dzięki niemu zarobiliśmy, zawsze był wobec nas w porządku. Był już najwyższy czas, by wycofał się z tej historii, i nie zasługiwał, żeby odejść jako przegrany.

Co robić teraz?

Zostało mi w kieszeni parę tysięcy dolarów. Mój tryb życia stał się zbyt wystawny, by opierać się tylko na przypadkowo organizowanych partyjkach. Nieliczne długi, jakie zostały do ściągnięcia, na wiele mi nie starczą. Chińskie kasyno mnie męczy. Żyłem jak pan, nie dopuszczę do tego, by teraz wyglądać jak tonący. Jeśli mam zostać w Toronto, muszę znaleźć sposób, żeby nie zmieniać stylu życia.

Najlepszym rozwiązaniem jest wyjazd. Potrzebuję słońca. Tak jak żyję obecnie, między narkotykami a nocnymi zabawami, szybko się wykończę. Potrzebne mi są wakacje.

Ale nie mogę wyjechać ukradkiem. Zajmę się ściągnięciem długów, wydam przyjęcie, o którym długo potem się będzie mówić, ostatni raz rozbiję bank, po czym wsiądę w samolot i wyląduję sam nie wiem gdzie, bez grosza, jak zwykle.

Mam do ściągnięcia trzy większe długi. Pierwszy frajer na liście, Ronald, sprowadzony przez Ginger, to jeden z jej dawnych klientów. To facet zboczony, największą rozkosz sprawia mu, gdy sika na niego dziewczyna ubrana w skórę. Płaci kilkaset dolarów za to udawanie nocnika.

W ciągu dwóch wieczorów, jakie spędził w klubie, odebrałem mu całą jego gotówkę. Udzieliłem mu kredytu, pod zastaw domu w Creek Waters. Wtedy uważałem, że tak będzie dobrze. Gdyby facet nie chciał

placić, miałem do sprzedania dom. Dziś potrzebuję gotówki. Ale szanowny pan udaje, że go nie ma. Zniknął. Dowiedziałem się, gdzie mieszka jego matka, i sądzę, że w ten sposób uda mi się dotrzeć i do niego.

Idę tam sam, Bobby czeka w samochodzie. Idę tylko po adres, i zamierzam go zdobyć urokiem osobistym. W takich przypadkach chamska morda Bobby'ego może być tylko przeszkodą w realizacji planu.

Kiedy matka Ronalda otwiera mi drzwi swego eleganckiego domku, jest zaskoczona ogromem bukietu kwiatów, który jej wręczam. Włączyłem mój najpiękniejszy uśmiech, ten zarezerwowany dla starszego pokolenia. Nie trzeba zresztą się zmuszać, to bardzo miła kobieta.

Jest wdową po sędzim, wykształconą i inteligentną, nie ma nic wspólnego ze zboczeniami swego syna, o którego wyczynach nic nie wie. Dom jest przyjemny, umeblowany ze smakiem. Wyczuwa się, że jest szczęśliwa: Ronald to jej jedyny syn i żywi dla niego najcieplejsze uczucia, na jakie ją stać.

Jest sympatyczna i ufna, od razu uwierzyła w moją historyjkę o kolegach z uniwersytetu, którzy chcieliby ponownie się spotkać. Szybko uzyskuje adres kawalerki Ronalda.

Kiedy się żegnam, wiem już, że tam nie pojedę. Potrząsnąć porządnie jej synalkiem byłoby najsprawiedliwsze pod słońcem, ale ona nie zasługuje, by cierpieć z jego powodu. Spędziłem u niej bardzo przyjemne chwile i nie mam ochoty zadawać jej bólu, kiedy pozna smutną prawdę.

— No i? — pyta Bobby, patrząc na mnie z zaciekawieniem.

— Dajemy spokój, jedziemy od razu pod drugi adres.

Dobrą cechą Bobby'ego jest to, że nie zadaje pytań i zadowolona się wykonywaniem poleceń. To mechanizm doskonały.

Ale kiedy żona mojego drugiego dłużnika otworzyła drzwi, Bobby zbladł. Popatrzyła na niego, zaskoczona i uradowana, szeroko się uśmiechając.

— Dzień dobry, Bobby. Jak się masz? Ale proszę, wejdźcie.

Odebrało mi mowę i poszedłem za kobietą do salonu, podczas gdy ona rozmawiała z Bobbym, który posyłał mi rozpaczliwe spojrzenia.

Korzystając z chwili, kiedy wyszła, żeby zrobić herbatę, Bobby wziął mnie za rękę.

— Cizia, strasznie mi przykro, ale nie mogę. To moja kuzynka!

I tak wyruszywszy na ściąganie długów wszelkimi środkami spędziliśmy w końcu popołudnie popijając herbatę i pogryzając ciasteczka, jak dwóch dzentelmenów. Bobby, siedząc koło mnie, zawstydzony moim ironicznym uśmiechem, zrobił nawet specjalny wysiłek, żeby wypić moją herbatę bez siorbania.

Wygląda na to, że jeżeli rzeczywiście chcę wyjechać gdzieś na słońce, będę musiał ostro wziąć się do roboty. Tym gorzej dla Vica Costello, mojego trzeciego dłużnika. Jestem wściekły, że straciłem całe popołudnie. Żadne tłumaczenia go nie uratują. On zapłaci na pewno!

Takie myśli chodzą mi po głowie, kiedy przekraczam próg Charity Club, którego jest właścicielem.

Masywny, około pięćdziesiątki, siwy, o poważnym głosie Vic Costello wygląda bardzo szacownie. Jest mi winien pieniądze od kilku tygodni. Ale jest sympatyczny, a po mojej pierwszej wizycie zdałem sobie sprawę, że ma kłopoty rodzinne.

Będąca z nim w separacji żona, młodsza od niego, utrudniała mu życie jak mogła, zabierając wszystkie pieniądze i odcinając go od dzieci. Ponieważ Vic wyrażał szczerą chęć zapłacenia, a ja ze swej strony nie potrzebowałem już niczego nikomu udowadniać, mając solidnie ugruntowaną reputację, zgodziłem się na odroczenie terminu. Ale teraz nie mam już czasu. Vic wielokrotnie zapraszał mnie do swojego klubu dobroczynności. Na próżno, jako że nie jestem fanatykiem tego rodzaju spotkań. Vic był przedtem menedżerem hotelu Playboya, i zawsze zastanawiałem się, w jaki sposób wylądował w towarzystwie dobroczynnym.

Osobiście otwiera nam drzwi i jest nieco zdziwiony.

— Dzień dobry. Możemy się czegoś napić?

— Tak, oczywiście, rozgośćcie się. Nie spodziewałem się twojej wizyty tutaj. Tylko coś załatwię i zaraz się wami zajmę.

Siadam w wygodnym fotelu i zaskoczony rozglądam się dookoła. Nie tak sobie to wyobrażałem. Sądziłem, że będą tu siostry miłosierdzia,

stare panny i paru emerytowanych pułkowników, popijających herbatę w pomieszczeniu przypominającym szkolną klasę. Nic z tych rzeczy. Sala jest wspaniała, pośrodku stoi niesamowity barek. Oświetlenie jest dyskretne, wokół zachęcające skórzane fotele, a ze świetnego sprzętu stereo płynie przyciszona muzyka.

Vic krząta się za barem, rzucając w naszym kierunku niespokojne spojrzenia. Nie wie, dlaczego tu jesteśmy, ale nasza wizyta go niepokoi. W swoim szarym płaszczu Bobby nie pasuje do otoczenia. Wygląda na to, czym jest: na mordercę.

— Ładnie tu.

Vic oprowadza nas po sali. Prawdziwy luksus! Mahoniowe meble błyszczą nieskazitelnym blaskiem, lśnią miedziane okucia, a podłogę pokrywa gruba wykładzina. Okna kryją zasłony. Nad barem pozawieszane są zdjęcia aktorów i znanych osobistości z dedykacjami. Na wielkiej estradzie, wyposażonej profesjonalnie, stoi fortepian, który zdobią dwa srebrne świeczniki. W głębi sali widzę nawet stół do gry z zestawem żetonów, przykryty pokrowcem.

— Członkowie klubu lubią hazard?

— Nie, nie. Czasami, dla rozrywki. Większość to starsi ludzie nadziani forszą, którzy nie mają co robić z czasem.

Prowadząc nas przez salę Vic rzuca częste spojrzenia na Bobby'ego, jakby obawiał się, że ten może schować do kieszeni parę popielniczek. Kiedy uznaję, że dosyć już straciliśmy czasu, przechodzę do spraw poważnych.

— Vic, trzeba zapłacić.

— Przecież się dogadaliśmy!

— Tak, wiem. Ale nie mogę już czekać. Ja i moi wspólnicy mieliśmy kłopoty finansowe i gliniarze rozwalili mi klub.

— Tak, słyszałem o tym.

— Więc rozumiesz, że potrzebuję pieniędzy.

— Tylko że ja nie mam ani grosza. Od naszej ostatniej rozmowy moja sytuacja finansowa nie poprawiła się. Cudów nie ma!

— Ale będziesz jednak musiał jakiś zrobić. Zastaw dom, sprzedaj samochód. Rób co chcesz, ale się pośpiesz! Znasz tego pana?

Wskazuję na Bobby'ego, stojącego za mną.

— Wiesz, co on robi? Łamie ręce niesolidnym dłużnikom. Wolalbym, żeby nie doszło do takich ostateczności, ale nie dajesz mi wyboru.

— Nie możesz tego zrobić, Cizia. Przecież wiesz, że mam kłopoty...

Usiłuje jeszcze się wywinąć, nie chcąc zdać sobie sprawy z nieuniknionego.

— Dosyć! Nie próbuj mnie wziąć na litość. Robisz swoją robotę, ja robię swoją, i to wszystko. Trzeba było nie ryzykować. Sam postawiłeś się w tej sytuacji, grałeś na kredyt doskonale wiedząc, że nie będziesz mógł spłacić długów. Oszukiwałeś, prawda? Próbowałeś mnie naciągnąć, prawda?

— ...  
— Więc teraz musisz zapłacić. Daję ci czas do jutra po południu na znalezienie rozwiązania. Do jutra!

Wychodzę z baru, a za mną Bobby, który nie mógł się powstrzymać, by nie poklepać przerażonego Vica w ramię. W mojej głowie zaczyna kiełkować pewna myśl.

Następnego dnia siedzę w tym samym fotelu z Bobbym i Harrym. Na nasz widok Vic pobladł i przez ostatnie pół godziny próbuje ratować skórę, proponując różne rozwiązania, które kolejno odrzucam.

Dom należy do jego żony. Samochód kupiony został na kredyt, nikt nie zgodzi się pożyczyć mu potrzebnej sumy. O tym wszystkim wiem i dlatego dałem mu trochę czasu. Gdyby nie to, że zależy mi na przyciśnięciu go do muru, już dawno dałbym się przekonać.

Nie ma żadnego rozwiązania, ale taki stan rzeczy jest mi na rękę. Kiedy Vicowi zaschło już w gardle od przedstawiania kolejnych argumentów, i kiedy spróbował już wszystkiego, przez chwilę patrzę na niego w milczeniu.

— No dobra, rozumiemy się. Ostrzegalem cię.

Wstaje, to samo natychmiast robią moi goryle, i idę w jego kierunku.

— Nie, Cizia, nie możesz mi tego zrobić. To niemożliwe!

Cofa się, opiera plecami o bar, cały pobladły, i podnosi ręce w instynktownym odruchu samoobrony. Biedny staruszek. Przykro mi, ale albo on, albo ja. Dojrzał do dalszego ciągu.

— No dobra, daję ci szansę. Słuchaj i nie przerywaj. Twój klub mi się podoba, można z niego zrobić booze-can.

Oczekiwał wszystkiego, tylko nie tego, i oburzenie każe mu niemal zapomnieć o strachu.

— Przecież to...

— Zamknij się! Daj mi dokończyć. Jesteś mi winien pieniądze, a ja nie mam grosza. Wynajmę od ciebie klub i w ciągu miesiąca będę spłacony, wszyscy będą zadowoleni.

— Ale ja nie jestem właścicielem. To spółka akcyjna.

— No to co? Kto o tym będzie wiedział? Zresztą to twoje jedyne wyjście. Myśl logicznie, z jednej strony masz do wyboru tradycyjne załatwienie sprawy, z drugiej daję ci nawet możliwość zarobienia trochę forsy. O której tu zamykasz?

— O dwudziestej drugiej, dwudziestej trzeciej najpóźniej.

— No to nie ma problemu. My będziemy działać od pierwszej do piątej rano. Będzie o tym wiedziało nie więcej niż dwadzieścia osób, sami grający. Nie interesuje mnie sprzedaż alkoholu. Nie jest mi potrzebny booze-can, tylko spokojne miejsce, gdzie można grać. Ludzie, którzy będą tu przychodzić, przyjdą przede wszystkim po to, żeby zagrać. Wszystko będzie się odbywać bardzo spokojnie. Nic się nie bój!

Staram się namotać mu w głowie, by go przekonać, że nie będzie żadnych awantur. Wszystko będzie łatwiejsze, jeśli uda mi się go przekonać do mojego pomysłu. Wykazuję mu, że w jego interesie leży współdziałanie ze mną i wynikające z tego korzyści.

— Płacę sto dolarów od stołu, z pieniędzy grających.

Zasypuję go argumentami, i pomysł zaczyna mu się podobać.

— W takim razie trzeba będzie przygotować zapas alkoholu niezależny od zapasu klubu, prawda?

— No właśnie, zaczynasz rozumieć! Niech wreszcie do ciebie dotrze, że możesz na tym wszystkim tylko zyskać. Jeden warunek: nie wolno ci grać z kimkolwiek.

Kiedy wychodzę, Vic jest przekonany, a ja jestem szczęśliwy. Nie mam już ochoty wyjeżdżać na słońce. Mój nowy klub nie ma nic wspólnego z booze-can przy Bedford Street. Dosyć już miałem tej pospolitej rudery!

Tutaj to nie jakieś zaadaptowane mieszkanie, tylko prawdziwy bar, klub dla milionerów, o bajecznym wystroju. Ogarnęła mnie euforia. Nie mogłem marzyć o lepszym miejscu, to nec plus ultra w tym mieście.

Vic pokazał mi wyposażenie. Jest wszystko, co potrzeba do gry, kilka bardzo pięknych stołów i żetony z kości słoniowej. Drzwi wejściowe są ogromne, w dodatku wyściełane, i moją pierwszą myślą

jest, że powinny wytrzymać nawet uderzenia siekierą! Otwierane są na odległość elektronicznie. Nikt nie może wejść, dopóki barman nie przycisnie ukrytego pod ladą guzika, a judasz umożliwia sprawdzenie, kogo ma się wpuścić.

Wygląda to aż za dobrze. Powróciła mi cała energia. Interesy będą mogły na nowo się rozkręcić, i to na skalę dotąd nie spotykaną.

Nikt jeszcze nie ośmielił się przerobić na booze-can klubu dobrotycznego, prowadzonego przez najbardziej szanowanych milionerów. To idealna fasada! Prawie gag.

W dodatku, dzień i noc, wejścia pilnuje strażnik z wyspecjalizowanej firmy ochrony, którego zadaniem jest obsługa windy i kontrolowanie wchodzących. Vic powiedział mi, że za cenę drugiej pensji zapewnimy sobie jego współpracę i dyskrecję.

Co więcej, mój klub ma doskonałe położenie, na ostatnim piętrze luksusowego biurowca, który zatem w nocy jest nieczynny, a stoi pośrodku handlowego pasażu Les Colonnades, na Bloor Street, w samym centrum. Doskonale!

Następnego dnia przyjeżdżam z całą ekipą: Louie D'Amour, Vic Costello, Bobby, Jo i Roxanne.

— Panie i panowie, jutro zaczyna się nowa epoka. Koniec ze szmatławymi booze-can. Przechodzimy na wyższy poziom. Przeprowadzę selekcję klientów i zachowam tylko najlepszych. Od tej pory będę wymagał zachowania najwyższej klasy. Nie działamy już w spelunie, ale w najelegantszym klubie Toronto, moim klubie. Liczę na was, że dacie przykład, i będę wdzięczny, jeżeli sprawicie sobie smokingi. Jo! Roxanne! Dopóki nie uszyjecie sobie czegoś lepszego, wybierzcie spośród swoich strojów najbardziej odpowiednie. Vic, musisz mi znaleźć zawodowego barmana, a ty, D'Amour, postaraj się nosić rewolwer w sposób mniej widoczny. Nie jesteśmy bandytami, tylko właścicielami luksusowego booze-can w centrum miasta.

Dwa dni później odbywa się inauguracja. Louie spędził większość swego czasu na dziesiątkach telefonów, żeby ściągnąć naszych najlepszych klientów. Gdyby mi się tak nie śpieszyło, porozsyłałbym zaproszenia. Zaprosiłem przyjaciół, znajomych bliższych i dalszych, a także właścicieli i kierowników wszystkich restauracji, jakie znam, aby w przyszłości naganiali mi ciekawych klientów.

Są wszystkie dziewczyny z Julie's Mansion, jest Sam, maitre d'hôtel z Maxwell's Plum, jest szef Truffle's, restauracji hotelu Hyatt Regency, i wielu innych, których nazwisk nawet nie pamiętam. No i, oczywiście, najładniejsze call-girls w mieście.

Okolo trzeciej nad ranem jest już dobra setka osób, a to i tak wyselekcjonowana śmietanka. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że mam tylu ludzi! Dziś wieczór nie chcę żadnej gry, dziś działam z gestem. Postanowiłem, że inaugurację uczymy szampanem, którym częstujemy wszystkich do woli.

Mężczyźni są w smokingach lub garniturach, kobiety w wieczorowych sukniach. Louie D'Amour, rozanielony, przechodzi od grupy do grupy i pełni honory swego nowego klubu wobec wszystkich nowo przybyłych, których przyjmuje z otwartymi ramionami.

Sprawił sobie całkowicie nową garderobę oraz na przegub ręki łańcuch ze szczerego złota. Ze swoimi wypomadowanymi i zaczesanymi do tyłu włosami do złudzenia przypomina żigolaków z lat trzydziestych. Nie mógł się powstrzymać, by na dzisiejszą okazję nie wsadzić sobie w dziób ogromnego cygara, które co chwila wyjmuje z ust afektowanym gestem. Trzy inne hawany wystają niedbale z kieszeni jego smokingu. D'Amour aż kipi z radości.

Udało mi się przekonać Bobby'ego, by zamienił swój sweter i odwieczny szary płaszcz na smoking. Najtrudniej było znaleźć dla niego marynarkę, bo choć jest średniego wzrostu, ma nadzwyczaj szeroki tors. Jego byczy kark uniemożliwia zapięcie kołnierzyka koszuli i Bobby nosi muszkę bezpośrednio na ciele. Jego wygląd nie zmyli nikogo, ale przynajmniej jest to goryl luksusowy.

On sam czuje się bardzo elegancko i podziwia się we wszystkich lustrach mrugając do mnie porozumiewawczo. Po raz pierwszy widzę u niego jakąś ludzką reakcję. Stoi przy drzwiach i na tę okazję zgodził się rozstać ze swoim kijem baseballowym, który postawił obok. Posuwa się nawet do powitania każdego wchodzącego krótkim uprzejmym zdankiem, którego go nauczyłem, i pozdrawia jednakowo barmanów i biznesmenów zwrotem „drogi przyjacielu”, który, muszę to przyznać, nie brzmi zbyt serdecznie.

Haig, w perłowszarym garniturze, z ogromnym kwiatem w butonierce, gratuluje mi zaraz po przybyciu. Jest w świetnej formie, otoczony półtuzinem ładnych dziewcząt. Jak to przewidywałem, proces przebiegł dobrze i jego wcześniejsza rozpacz jest już tylko złym wspomnieniem.



Jest zachwycony moim nowym klubem, który pozwoli mu dalej prowadzić nocne życie tym razem bez ryzyka. Zaciekawiony usiłuje dowiedzieć się od Vica Costello, starego znajomego, jakim cudem ja stałem się właścicielem klubu.

Vic wygląda na zaniepokojonego. Nie spodziewał się, że spotkanie osiągnie takie rozmiary, i poważnie zastanawia się, czy dokonał trafnego wyboru. Po paru kieliszkach odpręża się. Przedstawiam go wszystkim nadając mu prestiżowy tytuł general manager sieci klubów, jakie zamierzam otworzyć w całej Kanadzie. Pochlebia mu to i szybko dostosowuje się do panującej atmosfery. Pod koniec wieczoru elokwentnie opowiada o nowych klubach, którymi niebawem będzie zarządzał.

Chuck ostrzygł się i przynajmniej tym razem zamienił swoją skórzaną kurtkę na marynarkę. Bananas wytrzasnął skądś trzyczęściowy garnitur, który wygląda jakby był szyty w ubiegłym stuleciu. Obaj spoglądają na tłum oceniając zyski, jakie będzie można z niego wyciągnąć, a Chuck już mnie pytał, czy dałoby się zorganizować małą partyjkę jeszcze dzisiejszego wieczora.

Wystrój wnętrza zrobił na nich duże wrażenie, i szybko zrozumieli, jak wielkie stoją przed nami możliwości. Są tu też Angelo i Rocco Gucci, w towarzystwie Paola, który zgolił swoje bokobrody, odkąd został mianowany maître d'hôtel w La Stradzie. Angelo, z porozumiewawczym uśmiechem, pogratulował mi szybkiego awansu.

Dany, mój fryzjer, do którego chodzę każdego popołudnia, również nie chciał przegapić tej okazji. Przyszedł w towarzystwie żony, brunetki o równie męskim wyglądzie, jak jego zniewieściały. Niekiedy słyszę jego donośne wybuchy śmiechu, przebijające przez gwar rozmów.

Dostrzegam nawet Rosjanina, zawiadomionego nie wiadomo jakimi kanałami, który pogrążony jest w dyskusji z dojrzałą kobietą, zapewne żoną kierownika Truffles. Najwyraźniej wciska jej jakiś kit. Posyłam Harry'ego, żeby go trochę uspokoił.

Lynn, moja eks-nimfomanka, z którą się pogodziłem, ale która starannie unika Ginger, przyszła w otoczeniu paru przyjaciółek, by zbadać nowy teren łowów. Ktoś będzie wkrótce cierpiał...

Godnie pełniąc honory domu siedzę przy stoliku i przyjmuję gratulacje gości. Ginger jest w siódmym niebie. Przez cały wieczór nie puszcza mojego ramienia, komplementy pod moim adresem sprawiają jej większą przyjemność niż mnie samemu. Podniecona sytuacją wchodzi

na stołeczek, zachęcana oklaskami, by wnieść toast za nowy klub za zdrowie gości, a w szczególności za mnie osobiście. Są tu najpiękniejsze dziewczyny w Toronto, i spontanicznie pomagają mi w tym. Najbardziej zaskoczony jest strażnik biurowca, którego zadaniem jest obsługa windy. Zgodnie z umową wypłaciłem mu drugą pensję w ramach premii za dzisiejszy wieczór, pragnąc, by nasza współpraca opierała się na solidnych podstawach. Jest mi szczerze oddany. Uprzejmie dziękuję go, że urządzam prywatne przyjęcie, ale nie spodziewał się takiej nawały gości. Całą noc spędza na otwieraniu i zamykaniu drzwi dla gości, i nie wierzy własnym oczom.

Louie D'Amour, który wyszedł, żeby odprowadzić przyjaciółkę, powiedział mi, że strażnik traktuje swoje zadanie bardzo serio, i posuwa się nawet do otwierania drzwiczek samochodu w nadziei na napiwki. Kiedy około szóstej rano wychodzą ostatni goście, zapas alkoholu przygotowany na mój koszt przez Vica Costello jest na wyczerpaniu. Stary sknera zadziałał na małą skalę, przewidując maksymalnie trzydziścioro gości. Teraz ponuro patrzy dokoła, myśląc o czekającej go pracy. Jako general manager ma za zadanie doprowadzić wszystko do porządku i pozmywać dziesiątki szklanek i kieliszków, rozrzuconych po całym klubie, zanim pojawią się regularni członkowie.

Następne dni upływają w pełnej euforii. Ponownie wpadłem w szaleńcze tempo życia i całkowicie oddaję się przyjemnościom. Klub kręci się pełną parą i pieniądze wpływają szerokim strumieniem. Wydawanie pieniędzy u mnie to prawdziwa przyjemność.

W życiu nie posługiwałem się tak pięknym sprzętem. Żetony, których używamy do gry, wykonane są z kości słoniowej, wypolerowanej od dotyku tysiąca rąk, a widniejące na nich cyfry są inkrustacjami z macy perłowej. Stół do pokera, istne arcydzieło sztuki meblarskiej, jest okrągły, masywny, potężny, pokryty sukrem z obrzeżem z czarnej skóry.

Głębokie skórzane fotele, które wręcz zapraszają, by w nich zasiąść i zagrać, są tak wygodne, że nie sposób odejść od stołu, zanim się nie będzie kompletnie splukanym.

Należy sądzić, że ten luksus przyciąga grających, bo klub aż kipi przez całą noc. Wiele osób, które początkowo zaglądały tu jedynie, by

wypić kieliszek w przyjemnej atmosferze, to teraz stali bywalcy, a od jeleni aż się roi.

W tym eleganckim otoczeniu każdy czuje się bogaty i gra o wysokie stawki. Ze swej strony nie żałuję niczego. Gracze, którzy zasiadają przy moim stole, są moimi gośćmi. Przysługuje im najlepszy szampan, ku rozpaczy mojej ekipy.

— Kanadyjczycy nie są przyzwyczajeni do takiego wyrafinowania — powtarza mi wielokrotnie D'Amour, kiedy z zysków potrącam gigantyczne koszty. — Nie musisz ich zachęcać do picia.

— D'Amour, przecież wiadomo, że podchmielony gracz popełnia więcej błędów i bardziej skłonny jest do szpanu. Naucz się, że szampan to narzędzie pracy.

— Tak, ale piwo albo jakiegokolwiek musujące wino zupełnie by wystarczyło. Kanadyjczycy nie mają europejskiego podniebienia. To zbyt cenny luksus.

— Louie D'Amour, doprowadzasz mnie do rozpaczy. Kiedy wreszcie przestaniesz być skąpy? Jak można myśleć o takich rzeczach w takim otoczeniu? Popatrz dookoła. Nigdy niczego nie zrozumiesz z życiowych przyjemności. A poza tym tutaj jesteśmy u mnie, a u mnie wszystko musi być najlepsze.

Chuck i Bananas też nie są przekonani. Dla nich, którzy byliby zdolni ukraść ślepcowi jednego dolara, słowo „klasa” to czysta abstrakcja. Ale kiedy widzą dochody, osiągnięte w ciągu paru nocy, muszą przyznać, że moja metoda ma swoje dobre strony. Napęliśmy sobie kieszenie, a do klubu garnie się wytworny świat.

To coś więcej niż booze-can. Staliśmy się ulubionym miejscem pewnej kategorii „gentry”. Większość ludzi zna się tu wzajemnie. Niektórzy stali bywalcy, na moje polecenie, mają swoje stoliki. Poprosiłem hotelarzy zaproszonych na inaugurację, by podsyłali mi swoich najlepszych klientów, tych, co do których mają pełne zaufanie.

Atmosfera jest doskonała. Co wieczór jest zabawa, a goście, w większości podchmieleni, wyzbywają się wszelkich hamulców. Nie ma wieczoru, by ktoś nie zasiadł do fortepianu na małe muzyczne intermedium. Kiedy do klubu przychodzą muzycy lub piosenkarze cieszący się pewną sławą, zawsze z własnej inicjatywy lub na ogólne życzenie podchodzą na parę minut do mikrofonu.

Jeden z nich, Rey, przychodzi prawie co wieczór, po zamknięciu klubu, w którym gra. To Murzyn, bardzo sympatyczny, a przy tym

...nie czuje się bliższy swojej publiczności. Zawsze na potężnym kokainowym haju śpiewa przede wszystkim dla samego siebie, z przymocnymi oczami i rozanielonym wyrazem twarzy, zagubiony w narcyzyzmu i mglę. Ma kokainę w głowie i muzykę we krwi.

Natomiast o Chucku trzeba powiedzieć, że ma kokainę zarówno w głowie, jak i we krwi! Narkotyki sieje spustoszenie. Wszyscy od dawna przesadzamy z tym ćpaniem. Mój budżet obciążony jest zakupami coraz poważniejszych ilości białego proszku. Ale podczas gdy D'Amour, Bananas i ja nadużywamy go „rozsądnie”, w postaci trapezów albo w papierosach, Chuck, który jako jedyny robi sobie zastrzyki, powoli się wyniszcza i pozwala, by kokaina zżerała mu mózg.

Już od dawna nie zajmuje kluczowej pozycji przy stole do gry. Co pół godziny znika w toalecie, by zrobić sobie kolejny zastrzyk. Pozbawiony dawnej trzeźwości umysłu, zagubiony w jakimś równoległym świecie, nie nadaje się już do niczego. W ciągu paru miesięcy kokaina, którą wstrzykuje sobie bezpośrednio do żył, zniszczyła go kompletnie.

Trzymam go jeszcze przy sobie z przyjaźni, ale w grze staje się po prostu niebezpieczny. Popelniał już poważne błędy w craps, odsyłając nam spreparowane kości w nieodpowiednim momencie, w związku z czym parokrotnie znaleźliśmy się o krok od katastrofy.

Przy grze w karty jego ręce, które drżą bez przerwy, uniemożliwiają mu jakiegokolwiek precyzyjne manipulacje, a ponieważ nie jest już zdolny się skupić, stał się bardzo złym graczem w pokera. Wychudł i ubrania na nim wiszą. On, zawsze taki zadbany, teraz wygląda niechlujnie. Zdarza mu się przyjść do klubu nie ogolonemu, w brudnej koszuli, w której najprawdopodobniej spał.

Z grzeczności nigdy nie robimy aluzji do jego wyglądu, i nigdy nie pozwoliłem sobie na żadne uwagi. Każdy jest panem swego losu, ale nigdy losu kogoś innego. Chuck jest dorosły i powinien sam wiedzieć, co robi. Skoro wybrał tę drogę, ja nie mam nic do powiedzenia, jego prawo. Nie jestem ani jego ojcem, ani aniołem stróżem, jestem tylko jego szefem i jak długo wywiązuje się ze swoich obowiązków, jego życie prywatne mnie nie obchodzi. Ale teraz Chuck nie robi już tego, co do niego należy. Ja wprawdzie jestem miły, lecz nie należę do Armii Zbawienia.

Rozmawiałem o tym z Bananasem, który obojętnie wzruszył ramionami.

— Wspomniałem mu o tym, ale zrobił się taki nerwowy, że nie można już z nim rozmawiać, bo staje się agresywny. Przykro mi z tego powodu, ale nie jestem od tego, żeby mu prawić morały.

— Domyślasz się, że będę musiał go zwolnić?

— Wydaje się to logiczne.

— Zostaniesz, czy chcesz odejść razem z nim?

D'Amour opowiadał mi, że razem pracowali od lat, i zrozumiałbym, gdyby Bananas chciał odejść.

— Nie, zostanę. Potrzebuję pieniędzy. Lubię Chucka, to mój przyjaciel, ale gdybym z nim odszedł, niczego by to nie zmieniło, a zresztą dokąd iść?

Pomimo daleko posuniętej ruiny Chuck ma jeszcze przebliski trzeźwości umysłu, i wieczorem, kiedy biorę go na stronę, żeby porozmawiać w cztery oczy, zrozumiał, zanim zacząłem mówić.

— Chuck...

— Wiem, rozumiem.

— Przykro mi, stary.

— Tak, nie ma sprawy.

Od tej pory pojawia się od czasu do czasu w klubie i jestem świadkiem jego ostatecznego upadku. Sprzedał samochód, opuścił mieszkanie i żyje teraz w jakimś paskudnym pensjonacie w podłej dzielnicy, utrzymując się z dorywczych zajęć. Teraz wygląda już zupełnie źle, brodaty, zaniedbany, w wielkim brudnym płaszczu, za każdym razem zapewnia mnie, że jest z nim lepiej, że jego stan się poprawia, że niebawem znowu razem zagramy jak za dawnych czasów. Zanim sam o to poprosi, wsuwam mu do kieszeni studolarowy banknot. To wszystko, co mogę dla niego zrobić.

Zastąpił go Igor, nadzwyczajny szuler, także kumpel Bananasa. Jest skrzypkami i czasami grywa w rosyjskiej orkiestrze. To blondyn o dosyć długich włosach, tak grzeczny, że aż robiący wrażenie nieśmiałego, człowieka bardzo łagodnego. Nigdy nie widziałem, żeby się rozłościł albo podniósł głos. Zresztą w ogóle mówi bardzo mało i przez cały czas słucha... Jest inteligentny i wykształcony. Nie ma mentalności oszusta i robi nawet wrażenie zdziwionego i skrępowanego

naszą gwałtownością i naszym dosadnym, obrazowym językiem. Nie ma w sobie nic z bandyty, i bardziej przypomina studenta, który zablądził w tym zepsutym świecie. Nawet ja, choć uważam się za dobrego psychologa, nie rozszyfrowałbym go. Przy każdej okazji gra na skrzypcach. To jego jedyna prawdziwa pasja.

Haig jest w klubie od chwili, kiedy otwieramy. Zawsze przychodzi w towarzystwie i w dużej mierze przyczynia się do tworzenia dobrej atmosfery. Co noc zbiera się tu około setki osób. Musiałem zatrudnić dodatkowe kelnerki. Noszą specjalne stroje, które sam projektowałem, starając się, by były ograniczone do minimum.

Na nogach siatkowe pończochy, mini-spódniczka, która jest właściwie tylko szerokim skórzanym pasem zapinanym z boku, również skórzana kamizelka z oszalałym dekoltem, pozostawiającym odsłoniętą talię i ramiona. Wszystkie panienki są bardzo ładne i noszą te stroje z dużym wdziękiem.

Bobby, także elegancko ubrany, nadal pełni wartę u drzwi. Pod wpływem otoczenia ostatnio się zmienił. Nie zdejmuje już smokingu, w dzień i w nocy, niezależnie od aktualnego zajęcia, a swój stary szary płaszcz nosi niedbale przewieszony przez ramię. Po tygodniu takiego traktowania jego ubranie, od wykwintnego krawca, wygląda jakby wyciągnięto je ze śmietnika. Zniszczył już dwa smokingi i zastanawiam się, czy nie lepiej bym zrobił kupując mu dres albo pajacyk.

Na razie przestałem zajmować się ściąganiem długów, bo to żmudne zajęcie zaczęło mnie już nudzić: te same słowa, te same groźby i w końcu ten sam rezultat. Żeby z tym skończyć, udzielam teraz kredytu wyłącznie zaufanym graczom, i to tylko na niewielkie sumy.

Jedynie Rosjanin usiłuje jeszcze wyciągnąć ode mnie pożyczkę, ale nie mam ochoty znowu być zmuszonym do natarcia mu uszu. Chcę trochę korzystać z życia.

Pozbyłem się pagera. Na początku było to praktyczne urządzenie, ale szybko stało się nie do zniesienia. Zbyt wielu ludzi miało mój

numer, i ustawicznie otrzymywałem komunikaty, spośród których wielu nie byłem w stanie rozszyfrować.

Ze względu na moją skłonność do pań i na szybkość, z jaką potrafię zniknąć po krótkotrwałej idylli, narobiłem sobie sporo wrogów wśród płci pięknej, i jedna albo więcej spośród moich byłych partnerek wymyśliła nowy sposób, żeby doprowadzać mnie do wściekłości. Wystarczy zatelefonować do centrali i podać mój numer pagera, by przekazać wiadomość, obojętnie jakiej treści. Telefonistka po prostu powtarza ją, niezależnie od brzmienia. A mało jest sytuacji równie przykrych, jak ta, kiedy w środku ważnej rozmowy człowiek wzywany jest do telefonu, by usłyszeć, że „kura nie będzie już znosić jajek”, lub „nie ma takiego numeru” albo inne głupoty w tym stylu. W dodatku moja ekipa i ja mieliśmy zwyczaj posługiwania się zaszyfrowanymi komunikatami, i początkowo zachodziłem w głowę, by przypisać tym bezsensownym zdankom jakieś rozsądne znaczenie. Do pasji doprowadzała mnie świadomość, że jestem obiektem takich kretynizmów i nic nie mogę na to poradzić.

Któregoś dnia, kiedy zadzwoniłem pod dwa numery, o których wykręcenie pilnie mnie proszono, i łączyłem się kolejno z zegarynką i telefoniczną prognozą pogody, załamałem się. W nieopanowanym a łatwo zrozumiałym odruchu wściekłości cisnąłem pagera na podłogę i skoczyłem nań obunóż, co ostatecznie zamknęło mu gębę. Kosztowało mnie to tysiąc dolarów.

Kiedy nie jestem w klubie, czas upływa mi w mieszkaniu Ginger, dokąd Bobby odwozi mnie rano i skąd zabiera z powrotem wieczorem. Poza nim i D'Amourem nikt nie wie, gdzie jestem i dokąd jadę, a obaj otrzymali zakaz przeszkadzania mi. Dom Ginger jest przytulny. To miejsce schadzek jej niezliczonych przyjaciółek, i nie ma takiego popołudnia, żeby parę z nich nie przyszło w odwiedziny.

Ginger od dawna rozumiała, że jestem istotą niestałą i spragnioną przyjemności. Kiedy widzę w swoim otoczeniu piękną kobietę, od razu chcę ją mieć. Ginger nie tylko nie przeszkadza, ale wręcz stara się uprzedzić moje życzenia i sama z siebie przyprowadza swoje przyjaciółki do wielkiego łoża o miedzianych okuciach, w którym przez całe popołudnie wyleguję się w przyjemnym towarzystwie.

Są to dziewczyny miłe i zadbane, w większości modelki albo młode

aktorki, niezbyt płochliwe i zawsze chętne do wypicia filiżanki herbaty, pociągnięcia rządu kokainy albo dołączenia do nas. Jestem jedynym samcem wpuszczanym do tego domu, gdzie niczym sultan rządzę swoim haremem.

Czego chcieć więcej? Spełniam ukryte marzenia wszystkich mężczyzn!

W tym idyllicznym życiu problemy pojawiają się bez uprzedzenia. Dzisiejszego wieczoru Bananas przychodzi bardzo zafrasowany.

— Mam złe wiadomości. Bardzo złe. Przyjaciele uprzedzili mnie, że Peter, ten dealer kokainy, którego Louie wykiwał, wszędzie rozpowiada, że D'Amour to oszust, i my też. Wiesz, jak szybko rozchodzą się plotki w tym środowisku. Wszyscy goście, którzy u nas przegrywali, podchwycą tę wiadomość. Za parę dni nie będziemy już mieli z kim grać, a i tak będziemy mieli szczęście, jak nam nie połamią rąk. To katastrofa! Trzeba będzie wyjechać z miasta!

Cholera! Nie teraz! Przeżywam najlepsze chwile mojej przygody. Właśnie udało mi się odkuć, startując z niczego, a teraz ten skurwysyn Peter chce mi to wszystko zrujnować. Bananas ma rację. Jeśli nie zareagujemy, niedługo w najlepszym razie będziemy mogli grać sami ze sobą.

Do ciężkiej cholery, nie teraz!

Patrzę na mój luksusowy klub, na klientów, którzy pozdrawiają mnie z szacunkiem, na żetony z kości słoniowej i na Ginger, która śmieje się serdecznie z jakiegoś żartu swojej przyjaciółki o gładkiej skórze. Przecież nie zostawię tego wszystkiego tylko z powodu jakiegoś mściwego debila, który nie umie przegrywać!

Nad ranem, po nocy bardzo owocnej gry, podejmuję decyzję. Trzeba, by Peter zamilkł, zanim będzie za późno. Za wszelką cenę i raz na zawsze. Jego milczenie albo moje przyjemności.

Jest piąta rano, kiedy wsiadamy do samochodu: Bobby, D'Amour, Harry i ja. Jest niedziela i ulice są puste, pokryte szarym śniegiem. Wstaje dzień, rzucając na miasto brudne i blade światło. Jest zimno i jedziemy w milczeniu, myśląc o tym, co za chwilę zrobimy.

Dom Petera położony jest poza miastem, prawie na wsi. To betonowy sześcian pośrodku trawnika, typowy prefabrykowany domek bez duszy. Jego czerwona corvette zaparkowana jest przed drzwiami. Żaluzje są opuszczone.

Bobby zatrzymuje się przed wejściem i wyciąga strzelbę, którą ukrywa pod płaszczem. Następnie przyczajamy się każdy po jednej stronie drzwi, a D'Amour długo naciska dzwonek. Żadnej reakcji. Dzwoni jeszcze raz i wali pięścią w drzwi. Peter to nocny marek i jest mało prawdopodobne, by już wstał.

Po paru chwilach za drzwiami słychać jakieś szuranie.

— Kto tam?

Poznaje jego głos, ochrypli z niewyspania.

— D'Amour. Otwórz, muszę z tobą pogadać.

— O tej porze?

Z jego głosu przebija nieufność.

— Tak. Mam rozwiązanie, jeśli chodzi o pieniądze. Załatwimy to. Ta mała wojna nie ma sensu. Nie mam ochoty, żeby ktoś się do mnie dobrał.

Słychać odsuwanie zasuw i Peter uchyla drzwi.

— I dopiero teraz masz...

Nie ma czasu dokończyć. Bobby rzuca się na drzwi całym ciężarem i otwiera je potężnym pchnięciem, odrzucając Petera w tył. Wszyscy wpadamy do środka.

Harry chwycił już Petera za włosy i unieruchomił na łóżku ciosem kolana w brzuch, kiedy nagle pojawiają się dwa szczekające psy, dwa wielkie, agresywne dogi.

Wyciągam rewolwer jednocześnie z Bobbym, który odwraca się na pięcie i celuje w psy.

— Nie! Nie są niebezpieczne!

To krzyknął dealer, wrywający się z uścisku Harry'ego.

— Nie, nie zabijajcie ich!

— Więc je ucisz!

— Cicho, leżeć!

Oba psy niechętnie wycofują się na korytarz, a D'Amour szybko zamyka za nimi drzwi.

— Czego ode mnie chcecie?

Jeszcze nie całkiem rozbudzony wygląda żałośnie w swojej niebieskiej piżamie, rozczochrany, próbując wstać. Bobby podchodzi do niego i wali kolbą prosto w twarz, co odrzuca mu głowę na ścianę, po czym poprawia serią uderzeń dłonią, które rozkrwawiają Peterowi wargi.

— Więc jak, zamkniesz ten swój dziób, bastard...

Krew trysnęła na białą koszulę Bobby'ego, plamiąc mu smoking.

— Ty świnió!

Podnosi pięść nad głowę i rozkwasza Peterowi nos.

— Dość.

Zdejmuję z wieszaka płaszcz Petera i rzucam mu go.

— Wkładaj to. Jedziesz z nami.

Patrzy na mnie nie rozumiejąc, przerażony. Wszystko rozegrało się zbyt szybko dla niego, a bolący, złamany nos nie sprzyja jasnemu myśleniu.

— Wydałeś nas, asshole! To nieładnie. Wiesz, co cię czeka. No, jazda, wkładaj to, zabieramy cię na „przejażdżkę”.

D'Amour sprawdza, czy na ulicy nikogo nie ma. Otępiały Peter wkłada płaszcz, po czym Harry wypycha go na zewnątrz. Kiedy przekraczamy próg, Peter wreszcie zdaje sobie sprawę z tego, na co się zanosz.

Chwyta się rozpaczliwie framugi drzwi. Bobby łapie go i wrzuca do samochodu. Wszystko odbywa się bardzo szybko i nikt niczego nie zauważył.

Siedzę obok D'Amoura, który prowadzi. Jadący z tyłu Bobby rzucił Petera na ziemię i brutalnie wciska mu lufę strzelby w usta.

Jedziemy szybko w kierunku małego lasku, o kilkanaście kilometrów stąd. Peter, przerażony i nieruchomy, patrzy w lufę wychodzącymi z orbit oczyma. Po jego twarzy spływa krew, ciekąca z rozbitych warg. Nikt nic nie mówi.

Samochód trzęsie się jakiś czas na leśnej drodze, po czym D'Amour wyłącza silnik.

— Wylaź!

Bobby podnosi Petera za włosy i wyrzuca go w śnieg.

— Na kolana, son of a bitch!

Mierzy do niego ze strzelby.

Jest przejmująco zimno. Stojąc boso w śniegu, w samej tylko piżamie, nasz dealer trzęsie się z zimna. Płaszcz zsunął mu się z ramion. Peter jest tak spięty, że nie jest w stanie narzucić go na siebie. Pod wpływem strachu wybałusza oczy i nie może wykrztusić słowa. Lodowaty wiatr sprawił, że krew i łzy na jego twarzy błyskawicznie zamarzyły. Peter konwulsyjnie szczeka zębami.

— Słuchaj mnie, bastard. Dlaczego opowiadasz, że jesteśmy oszustami? Jak mogłeś sobie wyobrazić, że pozwolimy ci mówić? Twoja

działka to kakaina, nasza to hazard. Wydałeś nas, to nieładnie... Więc musisz umrzeć.

Wszyscy podeszli bliżej i przyglądają mu się w milczeniu.

— Wierzysz w Boga?

Pytanie nie dotarło do jego świadomości, która pracuje na zwolnionych obrotach w wyniku działania strachu i zimna. Powtarzam:

— Wierzysz w Boga, Peter?

Kiwa głową, stracił już wszelką nadzieję.

— Więc się pomódl, to ostatnia okazja. Daję ci dwie minuty.

Trzęsie się coraz bardziej. Całe jego ciało wstrząsane jest drgawkami.

— Żegnaj, Peter!

Kiedy lufa dotyka jego skroni, pada na śnieg bez czucia, straciwszy przytomność ze strachu. To wystarczy. Nie jestem mordercą. Wiem, że lekcja nie pójdzie na marne. Podchodzę do niego i w moje nozdrza uderza smród gówna. Ta świnia zrobiła pod siebie i wielka brązowa plama widnieje na spodniach jego piżamy. Następuje chwila ogólnego wahania, bo nikt się nie pali, żeby podnieść go z ziemi i wsadzić do samochodu.

— Może zostawimy go tutaj? — sugeruje Louie D'Amour, któremu śpieszno do domu.

— Nie, zdechnie tu.

— Najlepiej go wykończyć — proponuje Bobby, zwolennik łatwych rozwiązań.

— Nie, Bobby, nie zabija się kogoś za to, że zesrał się w portki. Harry, obudź go.

Zatykając sobie nos jedną ręką Harry klepie Petera po twarzy i wkrótce udaje mu się go ocucić.

— Zdejmuj spodnie — mówię mu.

Patrzy na mnie bezmyślnie, nie rozumiejąc.

— Wyskakuj z gaci, asshole, nie będziemy tu stali cały dzień.

Posłusznie robi, co mu każę, podskakując na jednej nodze, ze wrokiem wbitym w przestrzeń. Wygląda, jakby nie czuł już zimna. Na całym ciele ma błękitne plamy. Harry owija go starym, umazanym smarem płótnem po krisznach, które leżało w samochodzie.

— Peter, zostawiam cię przy życiu tylko po to, żebyś mógł odkupić swoje kretynizmy. Nie rób tego samego błędu drugi raz. Nie będziesz miał drugiej szansy — zapowiadam mu, odwożąc go do domu.

Lekcja odniosła skutek. Trzy dni później ucieka wyjeżdżając z miasta. Faceci, którzy widzieli go przed wyjazdem, mówili mi, że nagle się postarzał. Ale zło już się dokonało.

Minał niecały tydzień i odzyskałem spokojny sen, kiedy przy stole do pokera wybucha awantura. Stary wrak, jak go nazywa Igor, znowu przyszedł dziś wieczorem. To starszy facet, średniego wzrostu, z wystającym spod blezera brzuchem, po prostu dyskretny stary rentier, ale działa mi na nerwy. Zabiera miejsce graczy, którzy mogliby przegrywać większe sumy.

Ten facet przeszkadza mi w zarabianiu, ale nie mogę mu zabronić siadania przy stole. A żeby nie odstraszać frajerów, nie mogę też ustalić zbyt wysokiej stawki minimalnej.

Wielu spośród obecnych siada z zamiarem zaryzykowania najwyżej stu dolarów, a potem, po nitce do kłębka, usiłując się odegrać, w ciągu jednego tygodnia przegrywają oszczędności całego pracowitego życia.

Ale z tym starym rentierem to nie działa. Kiedy tylko przegrał swoje dwieście dolarów, wstaje. Gdyby przegrywał je w ciągu dziesięciu minut, byłoby to opłacalne, ale stary wrak godzinami pilnuje swoich pieniędzy. Czasem nawet pozwala sobie na luksus wygranej, bo jego ostrożność jest tak wielka, że udaje mu się uniknąć spreparowanych rozdań i wygrać niewielkie pule. A kiedy uda mu się wygrać, ucieka jak złodziej, nie dając nam czasu na odebranie mu łupu. Po prostu skurwiel, no!

Dzisiejszego wieczoru dwie osoby czekają, by zająć miejsce kogoś wychodzącego; stary wrak, który przyszedł pierwszy, i inny facet, grający o większe stawki. Kiedy miejsce się zwalnia, D'Amour wskazuje na tego drugiego.

— Pana kolej.

Facet nie każe sobie dwa razy powtarzać. Siada za stołem i partia odbywa się dalej. Zaskoczony i oburzony staruch zaczyna mamrotać, że to nie fair, że był tu pierwszy i że kpimy sobie z niego. Następnie, jako że nikt nie zwraca na niego uwagi, nabiera śmiałości:

— Zresztą nic dziwnego. Jak słyhać, nie przejmujecie się zbytnio regułami gry...

Nikt nie reaguje i ten pierdola bierze to za słabość. Patrzy na Louiego z krzywym uśmiechem i rzuca:

— Śmierdzi przy tym stole. Pachnie oszustem!

Mówi to cicho, ale wszyscy słyszeli. Grający patrzą po sobie. Fatalne słowo padło, muszę powstrzymać starego wraka. To przez tego skurwysyna Petera! Kładę karty na stole.

— Wytłumacz, o co ci chodzi.

— Nie, o nic. Już ja wiem.

— Wytłumacz nam. Jeśli coś wiesz, to powiedz. Nie poczuwam się do żadnej winy, ale lubię wiedzieć, z kim gram.

Wszyscy przzerwali grę i zwracają się ku niemu. Zapada śmiertelna cisza.

— Nie musicie tak na mnie patrzeć. Wiem, co mówię.

— Nie jestem tego pewien. To bardzo poważna sprawa: oskarżasz moich gości.

Jednym ruchem obejmuję cały stół, szulerów i frajerów razem.

— Nie dajesz żadnych dowodów ani nazwisk i odmawiasz wyjaśnień. To zwykły brak szacunku. Przypuśćmy, że jesteś dzisiaj w złym humorze, albo że za dużo wypiliśmy. Dlatego prosiłbym, żebyś opuścił klub na dzisiejszy wieczór.

Robię ruch w stronę Bobby'ego, który stoi przy drzwiach.

— Bobby, odprowadź pana.

Bobby Thompson z uśmiechem, delikatnie, ujmuje go pod rękę, nie zważając na jego protesty. Zamykają się za nimi drzwi.

— Panowie, proszę wybaczyć ten nieprzyjemny incydent. Niektórzy nie umieją się zachować, bardzo mi przykro z tego powodu.

Frajerzy przyjęli całe zajście z uśmiechem, a jeden z nich, któremu Bananas właśnie sprzątnął sprzed nosa okrągłą sumkę za pomocą podmienionych kart, puka się palcem w skroń.

— To stary wariat. Dobrze zrobiłeś, wyrzucając go za drzwi.

Na twarze wracają uśmiechy i partia zostaje podjęta na nowo, urozmaicana żartami na temat starego durnia, kiedy przybiega Ginger i szepcze mi do ucha:

— Cizia, Bobby morduje jakiegoś faceta, chodź szybko.

Podrywam się, za mną wybiega D'Amour. W korytarzu panuje amok. Bobby trzyma starego za szyję i wali jego głową o ścianę. Wrzeszczące i rozczochrane Jo i Roxanne, uwieszane u jego ramion, rozpaczliwie usiłują mu przeszkodzić. Oparty o ścianę Vic trzyma się oburącz za szczękę.

— Bobby!

Ryknąłem, ale on nie przestaje. Posyła mi szybkie spojrzenie, po czym na odlew wali Roxanne, która pada na ziemię.

— Bobby, stop!

Wyciągam trzydziestkęosemkę i celuję w korpus. Tym razem zatrzymuje się i puszcza starego, który powoli opada na ziemię, jak rozwalony pajac.

— Spokój, Bobby. Dziewczyny, wracajcie do środka. Vic, idź z powrotem do baru.

Jak zwykle czujny Haig już się do nas podkradł i nadchodzą inni, przyglądając się całej scenie. Nie potrzebuję świadków.

— D'Amour, zamknij te drzwi, do cholery! Ciekawscy z ociąganiem wracają do klubu, a ja zwracam się do Bobby'ego, który nadal stoi nieruchomo.

— Co się stało, Bobby, zwariowałeś czy co?

Patrzy na mnie nic nie mówiąc. Nie podoba mi się jego wzrok.

— No już, wchodź.

Idzie powoli, krokiem jeszcze cięższym niż zazwyczaj. Porachujemy się później. Na razie trzeba zająć się starym wrakiem, który nigdy tak bardzo nie zasługiwał na swoje przezwisko. Jest niezłe urządzony. Okulary ma połamane, oko już niebieskofioletowe, krwawi z nosa, a w czoło powbijały mu się odłamki szkła.

Potrzebuję paru minut, by przy pomocy Ginger, która przyniosła mokre ręczniki, wydobyć go z głębokiego nokautu. Jego pierwszym odruchem jest podnieść okulary i założyć je. Jedno ze szkieł jest pęknięte, ramię oprawki zostało wygięte i zwisa zaczepione o ucho. Komiczny efekt, jaki to tworzy, oddramatyzowuje sytuację.

Łagodnie klepię go po szyi i mówię:

— I co, staruszkule, przerzuciłeś się teraz na boks?

— Zostaw mnie w spokoju, Cizia.

Biorę go przyjaźnie pod ramię.

— No, nic się nie stało, nadal jesteś przy życiu.

Gwałtownym gestem oswobadza się.

— Daj mi spokój!

— No, uspokój się. Chodź, dam ci coś na wzmocnienie.

— Na pewno nie!

Z trudem wstaje.

— Chcesz, żeby D'Amour cię odwiózł?

Odwraca się i rzuca mi nienawistne spojrzenie poprzez potłuczone szkła.

— Żeby mnie spokojnie wykończyć, co? Morderca!

Patrzę, jak odchodzi w kierunku windy, na trzęsących się starych nogach, ocierając chustką krew ściekającą mu po twarzy. Ten kretyn pewnie sobie wyobraża, że to ja kazałem Bobby'emu go rozwalić, i musi mnie nienawidzić. Zamyślony wracam do klubu.

Taki stary ramol zdolny byłby nasłać mi tu gliny, żeby się zemścić. W klubie wszyscy głośno komentują zajście. Haig, szczęśliwy, mogąc występować w roli gwiazdy, opowiada każdemu, kto chce go słuchać, o wszystkim, co zobaczył. Kiedy wchodzę, wszyscy milkną i kierują na mnie pytające spojrzenia.

— Co robimy? — pyta D'Amour.

— Lepiej zamknąć klub na dzisiaj, na wszelki wypadek.

— Kurczę! Myślisz, że tamten może nam bruździć?

— To byłoby w jego stylu. Lepiej nie ryzykować. Vic, wyprowadź wszystkich, zamykamy.

Nadal trzyma się za szczękę, ale potakuje, jeszcze bardziej zaniepokojony niż ja. Dopóki wszystko szło dobrze, myślał tylko o pieniądzach, które spadały mu z nieba co wieczór, i mój pomysł wydawał mu się cudowny. Ale przy pierwszych kłopotach wraca na ziemię i ogarnia go panika.

Klienci wychodzą w milczeniu. Niektórzy patrzą na mnie dziwnie, i jestem pewien, że ci, którzy widzieli zajście przy stole, myślą to samo, co stary wrak. Trudno, nic na to nie poradzę. Przywołuję Bobby'ego, który nadal nie powiedział słowa.

— Dam ci, ile ci jestem winien. Ty też odchodzisz.

Jego czarne spojrzenie robi się jeszcze bardziej wrogie. Nie rozumie mnie, tak samo, jak nie zrozumiał mojej reakcji na korytarzu. Nie podobało mu się, że w niego celowałem i między nami nie może już być zgody. Jak mu wytłumaczyć, że jego postępek budzi moje obrzydzenie? Dla niego bić tego czy tamtego, to wszystko jedno. Odczuł moją reakcję na korytarzu jako głęboko niesprawiedliwą. To prosty człowiek, zdolny do wierności, ale szybko popadający w nienawiść, jeśli uzna, że go zdradzono.

Ja potrzebuję kogoś, do kogo mógłbym mieć pełne zaufanie i kto będzie wykonywał polecenia bez zadawania pytań. Wtedy na korytarzu

wyczulem odruch buntu, więc musimy się rozstać. Bobby stał się teraz raczej zagrożeniem niż ochroną. Kiedy mu płacę, czuję jego urazę. To już nie kumpel, nie pracownik, ale wróg.

— Nie śpisz?

Zaniepokojona Ginger podnosi się na łokciu.

— Co się stało?

— Nie wiem. Nic, śpij.

Wstaje i podchodzi do mnie.

— Już od godziny chodzisz w kółko po mieszkaniu. Nie możesz zasnąć, może zrobię ci kąpiel?

— Miła jesteś, z przyjemnością.

I z powrotem pogrążam się w swoich myślach. Od kiedy wróciliśmy do domu, po zamknięciu klubu, nie mogę spać. Coś tu jest nie tak. Coś nieokreślonego, co nie daje mi spokoju.

Ginger wraca, robi mi kawę, masuje mi ramiona. Ale nadal jest niedobrze. Ostatnie słowo starego wraka chodzi mi po głowie: Morderca! Dlaczego? Nie jestem mordercą, nikogo nie zabiłem. Jak dotąd zawsze posługiwałem się psychologią opartą na zastraszaniu, mocnej presji i słownej przemocy. Pod wpływem moich gróźb dłużnicy płacili, straszylem, niż biłem. Wyrobiłem sobie reputację groźnego gangstera nikogo nie zabijając i jestem z tego dumny.

Więc dlaczego morderca?

Bo powoli nim się staję!

Nie mogę dłużej iść tą drogą i grać mojej roli, jeśli nie chcę, by pewnego dnia wydarzyło się to nieodwracalne. Kilka dni temu, kiedy załatwialiśmy sprawę Petera, gdybym powiedział: „zabić go”, wszyscy by potaknęli i wykończyli tę szmatę bez cienia skrupułów. Nawet Louie D'Amour, który nienawidził przemocy.

To prawda, że nikogo nie zabiłem, że nigdy nikomu nie odebrałem życia w dosłownym sensie. Ale były ofiary, wiele ofiar, które moralnie już nigdy nie dojdą do siebie.

Ogarniają mnie wspomnienia, sceny ściągania długów. Stają mi przed oczami zakrwawione twarze o przerażonym wzroku. Ale nie mam do czynienia z przedszkolakami ani z uczciwymi rentierami. Świat, w którym żyję, to świat twardy; żeby w nim przeżyć, ja muszę być jeszcze twardszy.



To sprawa wyboru. Rozpoczynając tę przygodę zgodziłem się na stosowanie przemocy od samego początku. Kiedy wziąłem się za ściąganie długów, wiedziałem, dokąd zmierzam. Ale mogłem łagodzić stosowane brutalne środki, zamiast je potęgować. Nie zmieniając samej metody, mogłem uniknąć zadania wielu niepotrzebnych ciosów, tymczasem za bardzo zależało mi na zachowaniu pewnego stylu.

Kiedy zaczynałem, chodziło mi przede wszystkim o to, by dobrze się zabawić. Parodiować gangsterów z mafii, wymyślić nową postać, manipulować ludźmi bez ich wiedzy jak pionkami na szachownicy, imponować szpanem, nie mając niczego poza tupetem i oportunistycznym, wszystko to nieźle mnie bawiło. Ale w końcu zacząłem się brać serio! Straciłem z oczu komiczny aspekt sytuacji. Nawet mnie to już nie bawiło. Chciałem wszystko zrobić dokładnie i stałem się biznesmenem bandytyzmu, którego celem jest zwiększać wydajność.

To przecież nie jestem ja! W duchu nie jestem gangsterem. Mnie potrzebny jest tylko dreszczyk. A jakie podniety może mi oferować to miasto, poza tego rodzaju przygodą? Dla mnie w miejskim świecie nie ma alternatywy.

W tym mieście nie mam już nic do roboty.

Dziś wieczór coś otworzyło się we mnie i chodzę tam i z powrotem po mieszkaniu, szukając rozwiązania. Patrząc przez okno, robię trzy kroki aż do łazienki, wracam. Wykończona Ginger zasnęła, przygotowała mi kąpiel.

Polykam środek nasenny, ale po godzinie budzę się, czuję się źle, przez głowę przelatuje mi nawałnica myśli.

Jest niedobrze.

Dzień zaczyna się powoli, zbyt powoli. Nudzę się. Jest mi źle.

— Pójdziemy na spacer? — proponuje Ginger, nie wiedząc już, co robić. — Chcesz, żebym zadzwoniła po D'Amoura? Mogę prowadzić, jeśli chcesz.

Nawet nasza limuzyna nie pociąga mnie już. To już nie luksusowa zabawka, symbol mojej potęgi, ale złota klatka, w której nie mam ochoty się zamykać.

Dzień wlecze się bez końca. Czas oczekiwania na wieczór, porę gry

w moim luksusowym klubie, nie smakuje już tak jak dawniej. Jak błyskawice przebiegają mi przez głowę różne myśli, historyjki, twarze. Toteż dziś wieczór niemal z ulgą przyjmuję moich ulubieńców.

— Policja! Nie ruszać się!

Jeden z facetów siedzących przy barze z kieliszkiem w rękę, podobnie jak dziesiątki innych klientów, których nie znam, wstaje nagle wyciągając policyjną odznakę. Drugi zwraca się do Vica Costello, stojącego za barem.

— Ty! Otwieraj drzwi, szybko!

Sparaliżowany strachem Vic nie rusza się. Jest blady i potrafi tylko wybełkotać:

— Ale co... ja...

Zdenerwowany gliniarz wyciąga rękę ponad ladą i chwyta go za koszulę.

— Otwieraj, mówię ci, szybko!

Drżący Vic naciska guzik. Tłum gliniarzy czekający za drzwiami natychmiast wpada na salę. Skorzystałem z chwili wahania Vica, by powoli, cofając się, wmieszać się w zaskoczony tłumek klientów, którzy dopiero zaczynają reagować i wycofywać się w głąb sali.

Po drodze pociągam za sobą D'Amoura, który stoi jak skamieniały.

— Tędy, na schody pożarowe. I na dach. Szybko!

Gliniarze, onieśmieleni przepychem wnętrza, nie od razu rozbiegają się po sali. Wykorzystujemy to, by dobiec do okna, nisko pochyleni, kryjąc się za gęstym już tłumem, który się cofa.

Przez kilka sekund walczę z oknem, które nie chce się otworzyć. Do jasnej cholery! Mniejsza o dyskrecję! Dwoma kopniakami rozwalam szybę w drobny mak.

D'Amour przelazi przez parapet, za nim Ginger, która zdjęła buty na szpilkach i trzyma je w ręku.

— Hej, wy tam! Stać!

Zauważył nas jakiś gliniarz. Wrzeszcząc, by przekrzyczeć przerażone kobiety, przepycha się przez tłum. To daje sygnał do ogólnej paniki. Jestem już na zewnątrz. Lodowaty wiatr zapiera mi dech. Biegnę po zaśnieżonym dachu sąsiedniego wieżowca. Na końcu jest druga platforma, o trzy metry niżej.

Klepię w plecy D'Amoura, który waha się przed skokiem. Śnieg amortyzuje upadek.

— Szybko, partner, to naprawdę nie pora, żeby nas zgarnęli.

Ginger, która wyrzuciła swoje buty, jest już na schodach pożarowych. Pół biegnąc, pół ześlizgując się pędzimy w dół po schodach w piekielnym hałasie.

Za mną slychać krzyki i metaliczne uderzenia, schody całe się trzęsą, najwyraźniej inni poszli w nasze ślady. Potykam się i przytrzymuję oblodzonej poręczy.

Ostatni odcinek schodów jest podniesiony. Ginger usiłuje odbezpieczyć zamrożoną blokadę.

— Nie ma czasu, skacz!

Prześlizguję się pod poręczą, zawisam na rękach i ciężko skaczę na ulicę. Po krótkim wahaniu Louie i Ginger skaczą również.

Uliczka jest pusta. Nikt nie pomyślał, żeby zablokować — ani nawet pilnować tylnego wyjścia. Ostatnie spojrzenie na dach wieżowca, gdzie jakiś gliniarz w mundurze krzyczy do nas, żebyśmy się zatrzymali, i biegniemy.

Przedemną Ginger biegnie boso po śniegu. Jeszcze dwie minuty i siedzimy w ciepłej limuzynie.

## EPILOG

Przygoda skończona. Podjąłem taką decyzję jeszcze tego samego wieczoru, po przyjeździe do mieszkania Ginger. Donosząc na mnie stary wrak rozwiązał jednocześnie mój problem. Nie mam już klubu i nie mam ochoty otwierać nowego. Pojadę gdzieś na słońce.

Tej nocy śpię spokojnie. Po raz pierwszy od dawna pozwalam sobie na długi, relaksowy poranek w łóżku. Koniec zmartwień, zaczyna się nowy rozdział. Leniuchuję polegając, marząc o dalekich krajach, gdzie z całą pewnością czeka na mnie słońce.

Robię remanent mojej garderoby, pogwizdując, szczęśliwy, bez żadnych ukrytych myśli. To będzie dla biednych, to biorę... Wybieram parę garniturów i rzucam je na łóżko. Smokingi? Nie, tam, dokąd jadę, nie będą potrzebne. Buty też nie, w każdym razie nie aż tyle. Idę parę razy do łazienki, żeby pozbiierać moje przybory.

Patrzę na siebie w lustrze, dobrze wyglądam, jestem szczęśliwy!

— Ginger, jest tutaj Armia Zbawienia? Oddasz im to wszystko — mówię, wskazując na pełne szafy.

Nie zadaje pytań, zrozumiała już i smutnym wzrokiem patrzy, jak krzątam się po pokoju. Biedna Ginger! Nic na to nie poradzę, życie musi toczyć się dalej, a ja już jestem gdzie indziej, w samolocie, na słonecznej plaży, daleko.

Przyglądam się rzeczom zgromadzonym na łóżku. Nigdy w życiu nie nosiłem walizek i nie będę teraz zaczynał. Robię szybką selekcję, odrzucając część koszul, aż w końcu wychodzi na to, że nie potrzebuję niczego. Wszystko tutaj należy do przeszłości.

Wyrzucam wszystko i do małej skórzanej torby wkładam dzinsy, koszulę i szczoteczkę do zębów.

Zamykam na klucz w szufladzie moją trzydziestkęósemkę i kaburę. Nie potrzebuję już tego. Cizia mafioso, morderca i oszust, z tym wszystkim koniec! Moja kanadyjska przygoda przybrała teraz kształt zwoju banknotów, który mam w kieszeni.

Jeszcze tylko muszę odebrać paszport z biura imigracyjnego, kupić bilet na pierwszy samolot odlatujący na południe i jutro będę już czuł się zupełnie dobrze.

Późnym popołudniem spotykam się z D'Amourem w Maxwell's Plum. Wygląda na przybitego, ale czeka na moje nadejście, jakbym był samym Mesjaszem. Uśmiecham się do niego promiennie, co podnosi go na duchu.

— To co robimy?

— Co będziesz chciał. Jeśli chodzi o mnie, to wszystko skończone.

— Na miłość boską, co ty mówisz?

— Koniec z Toronto, koniec z booze-can. Mam już tego dosyć, zabieram się do czego innego.

— Ale partner...

— Nie ma już partnera, stary...

Odsuwam połą marynarki i pokazuję mu puste miejsce po kaburze.

— Wycofuję się z gry. E finita la commedia! Jestem zmęczony i mam tego dość. Ciągle wszystko tak samo. Mam ochotę na słońce i morze.

— To co, już nie będzie wspólnych partyjek, nie będzie frajerów ani wygłupów?

Patrzy na mnie smutny jak dziecko, któremu powiedziano, że w tym roku Boże Narodzenie zostało odwołane.

— Tego nie powiedziałem. Tylko że mam już powyżej uszu Toronto i booze-can! Chcę pojechać do Miami. Daj mi trochę czasu, żebym zdążył się urządzić, a sprowadzę cię do skubania najbogatszych frajerów twojego życia.

Rzucam mu drugie kluczyki od limuzyny.

— Oddaję ci twój samochód, nie wszystko straciłeś.

Z mety odzyskuje uśmiech i patrzy na moje odejście innymi oczyma. Jednak Louie D'Amour nigdy się nie zmieni!

Dziś wieczór spotykamy się wszyscy po raz ostatni. To apoteoza, szampan płynie strumieniem. Dookoła stołu siedzą aktorzy ostatnich miesięcy, którzy wyszli na scenę przed ostatecznym zapadnięciem kurtyny.

Oprócz najbliższych, przyłączają się do nas liczni znajomi, stali bywalcy Maxwell's Plum. Większość to dziewczyny, same przyjaciółki, jedna piękniejsza od drugiej. Miałem je wszystkie, kochanki jednej nocy, partnerki szybkiego tête à tête między dwiema partiami pokera. Na próżno przebiegam wzrokiem salę szukając nowej twarzy, z zadowoleniem stwierdzam, że lepszego wyniku nie mogłem już osiągnąć.

Pomiędzy jednym kieliszkiem szampana a drugim melancholijnym gestem gładzę kilka tyłeczków, podczas gdy dookoła zabawa wre. Igor i Louie D'Amour, porządnie już wstawieni, kłócą się o kolejkę z Rosjaninem, któremu zależało na udziale w uroczystości. Najwyraźniej udało mu się poprawić sytuację finansową, dzięki czemu stać go na powrót do korzeni i zafundowanie nam wielkiego przedstawienia. Jak wielki pan pije po kozacku, i każdemu z jego toastów towarzyszy brzęk tłuczonego kryształu, ku rozpaczy Sama, naszego maitre d'hôtel, który, choć przyzwyczajony do moich ekscesów, niechętnie znosi je u innych. Ale za nic w świecie nie chciałby psuć mojej ostatniej zabawy, toteż kiedy Rosjanin chwycił za topór pożarniczy, by ściągnąć szyjkę butelki szampana w wielkim stylu, Sam nie interweniuje.

Siedzący koło mnie Paolo stara się okazać wielką klasę. Wąsik zdobywcy, sygnety na każdym palcu, fioletowy garnitur o wywatomawnych ramionach, wszystko to ma pomóc mu w wykonaniu jedyne niemożliwego zadania dzisiejszego wieczoru: poderwaniu Jo i Roxanne, które podejmują grę i wyją ze śmiechu przy każdym z jego wygłupów. Od czasu do czasu Paolo posyła mi pewne siebie i porozumiewawcze mrugnięcia, które wzmaga jeszcze ataki śmiechu jego „ofiar”.

Po raz pierwszy Bananas wypada z roli pocziwego ojca rodziny i, jak zwykle ubrany w swój stary, niemodny garnitur, wysuwa nieśmiało rękę w kierunku kobiecych krągłości, których nie brak dookoła stołu.

Tylko Ginger, siedząca przy barze, zachowuje milczenie. Ona, zazwyczaj tak wesola, nie uczestniczy w ogólnej euforii. Siedzi naprzeciw mnie i nie spuszcza ze mnie wzroku. Kiedy oczy nasze spotykają się, usiłuje się uśmiechnąć smutnym uśmiechem, który sprawia, że jest jeszcze ładniejsza. Zresztą nigdy nie wyglądała tak pięknie. Jej ciało o doskonałych kształtach przyobleczone jest w suknię o żywych

kolorach. W uszach dźwięczy mi kryształowe brzmienie jej śmiechu. W tej chwili mam ochotę zapomnieć o wszystkich, objąć ją ramionami, bez słowa, poczuć jej pachnące kręcone włosy na moim policzku.

Przez trzy miesiące była dla mnie idealną towarzyszką. Cudowna w łóżku, doskonała w każdych okolicznościach, wesoła albo cicha zależnie od mojego humoru, który odgadywała instynktownie. Jest jedną z niewielu osób, dla których kochać to przede wszystkim dawać. Nigdy nie odmawiała mi swojej troskliwości, swego śmiechu i swego dzieciennego podziwu, zawsze dostosowywała się do mojego nastroju. Żadnej zazdrości, żadnych wymówek.

Mnie też jest smutno, ale powstrzymuję chęć pocieszenia jej jedynymi słowami, jakie pragnęłaby usłyszeć. Nie chcę mamici jej czułością, która szybko przerodziłaby się w hipokryzję.

Jutro wyjeżdżam i pomimo wszystkich jej zalet jest wykluczone, bym wziął ją ze sobą. Jestem samotnikiem poszukującym przygód, i wolność cenię przede wszystkim. To moje życie.

Żeby pozbyć się nadmiaru smutku, jaki mnie ogarnia, jest tylko jedno wyjście: zabawa i dużo kokainy. Cały mój zapas musi zostać zużyty. Jest dopiero druga, noc jest jeszcze młoda.

— Gin, daj mi kluczyki. Pojadę do domu po paczuszkę. D'Amour, pojedź ze mną swoim nowym samochodem!

Szampan i kokaina zdrowo nas zmęczyły i idziemy z trudem. Potem samochód zygakiem jedzie przez puste ulice.

— Pójdę z tobą na górę — mówi D'Amour, mozolnie parkując wóz wzdłuż chodnika. — Mogę chyba przynajmniej raz zobaczyć miejsce twoich wyczynów!

Nigdy nie pozwoliłem mu przyjść do Ginger, choć prosił o to wiele razy. Nie można dzielić się wszystkim, a poza tym bawiła mnie jego przepojona zazdrością mina, kiedy opowiadałem mu o moich popołudniach.

— OK, jeśli uda ci się wejść po schodach.

Z trudem i hałasem pokonujemy schody, prowadzące na pierwsze piętro. Nie jestem w stanie znaleźć wyłącznika światła i z trudnością wkładam klucz do zamka. Mieszkanie pogrążone jest w ciemności. Macam po ścianie, żeby zapalić, kiedy w moje nozdrza wpada nieznany zapach, kwaśny zapach potu, niezwykły w tym miejscu, zawsze tak czystym. Robię parę kroków i zapalam światło.

Pierwsze uderzenie dostaję w podstawę czaszki, co sprawia, że lecę do przodu. Dwaj Murzyni, uzbrojeni w baseballowe kije, przyjmują mnie potężnym ciosem w brzuch. Potem uderzenia padają ze wszystkich stron, na głowę, ramiona, plecy. Z tyłu słyszę wrzask Louiego. Bronię się nogami i łokciami, oślepia mnie spływająca po twarzy krew. Pod moją pięścią trzeszczą kości, słyszę, jak ktoś wyje z bólu.

W mózgu kołacze mi jedna myśl: uciec z tej pułapki, zanim upadnę. Rzucam się na wprost, rozwalając wszystko, co napotykam. Zatrzymuje mnie w miejscu uderzenie prosto w mordę i padam, pociągając za sobą napastnika.

Wstaję, cios w lewo, cios w prawo i jestem już na zewnątrz. Ostatnim wysiłkiem rzucam się w dół po schodach, zwinięty w kłębek, i staczam aż na sam dół, słysząc, jak biegną za mną moi prześladowcy. Moje nogi same biegną, niosąc mnie gdzieś przed siebie.

W podświadomości kołacze się tylko jedna myśl: uciekać! Bieg na oślep prowadzi mnie na ulicę, i w tym właśnie momencie zatrzymuje się przede mną z piskiem opon jakiś samochód, otwierają się drzwi:

— Cizia, szybko!

To głos Louiego. Krew zalewa mi oczy i nie rozpoznałem naszego lincolna. Daję nura do samochodu, który rusza na pełnym gazie katując opony w chwili, gdy czarni wybiegają na chodnik.

— Cizia, umieram.

D'Amour ostrożnie pomacał sobie głowę i z przerażeniem patrzy na swoje okrwawione palce, zapominając o prowadzeniu lincolna.

Opadłem na siedzenie. Drzę nerwowo na całym ciele i czuję, jak powoli pogrążam się w ciemnej otchłani. Z ustami pełnymi krwi bełkoczę:

— Jedź do szpitala na końcu alei. Pójdziemy do lekarza.

— Nie! Chcę jechać do szpitala katolickiego. Umieram. Chcę widzieć się z księdzem.

Denerwuje mnie. Chcę mu powiedzieć, żeby przestał się wygłupiać, ale mówienie jest ponad moje siły.

— Jeżeli zranileś kogoś, to właśnie tam pójda! Trzeba jechać do szpitala katolickiego.

Jego głos dobiega mnie z oddali. Rozpaczliwie czepiam się małego, odległego światelka, żeby nie stracić przytomności. Boli mnie wszystko.

W szpitalu zdziwieni, choć przecież zblazowani pielęgniarze pomagają mi wysiąść z samochodu i kładą mnie na jakiejś ławce. D'Amour, przekonany, że nadeszła jego ostatnia godzina, cicho pojękuje. Krew splywa mi do gardła i dusi mnie, i między dwoma atakami kaszlu słyszę, jak w głowie dźwięczy mi mój własny głos, dziwnie spokojny i daleki.

— Spokojnie... opatrzą nas tu... potem tam wrócimy... rozwalimy im lby... nie ma sprawy...

Patrzy na mnie przerażony. Jego twarz tańczy mi przed oczyma.

— Ale ja umieram!

— Ależ skąd... Wszystko rozwalimy... już niedługo... nie ma sprawy...

Jęczy przeciągle.

— Zwariowałeś, nie wiesz, w jakim jesteś stanie?

Pielęgniarki wracają i zabierają nas do izby przyjęć. Po drodze mogę się przejrzeć w lustrze. Pomimo zasłony, jaka wisi mi przed oczami, oceniam rozmiar szkód.

Moja twarz zamieniła się w krwawą maskę, widać żywe mięso, a z nosa została bezkształtna masa. W ustach, za porozrywanyimi wargami, czuję, jak ruszają się zęby. Ze zranionej głowy obficie leci krew. Boli mnie całe ciało. Tylko jedna rana przynosi mi zaszczyt, to okrwawione kostki na pięści.

Kiedy oddycham, ostre klucie przeszywa mi bok. Szyję mam unieruchomioną, a lewa ręka odmawia posłuszeństwa. Powoli pogrążam się we mgle.

Z odretwienia wyrywa mnie pieczenie spirytusu na moich ranach.

— Proszę się nie ruszać — mówi do mnie pielęgniarz, dezynfekujący mi twarz. — Połóżmy pana do łóżka.

Z trudem wyrażam kategoriyczny sprzeciw. Przychodzi lekarz, zakłada mi kilka szwów na głowie i zszywa mi prawe ucho, którego dolny płat jest naderwany.

— Odmawia pan hospitalizacji?

— Tak, już w porządku.

Choć nogi mam jeszcze jak z waty, mózg zaczyna już funkcjonować normalnie. Czuję się już trochę lepiej.

— Jak to się stało?

— Już wszystko w porządku.

— To nie jest odpowiedź. Muszę spisać protokół.

Nalega i powoli mobilizuję swój umysł.

— Pobiliśmy się między sobą, ale już się pogodziliśmy.

— I zapewne wygrał ten mały chudy — odpowiada lekarz sarkastycznie.

Potwierdzam skinieniem głowy, które przyplacam jękiem bólu.

— To w końcu pańska sprawa — mówi odchodząc.

Paskudnie mnie załatwili, ale mogę jeszcze utrzymać się na nogach. Wściekłość łagodzi skutki odniesionych ran. Każę się zawieźć do Chinatown, gdzie Li-Han natychmiast proponuje mi schronienie i pomoc. Przerażony Harry przygląda mi się, oceniając szkody.

— Harry. Znajdź Ginger. Niech nie wraca do domu. Przywieź ją tu.

Zamiast ust mam galaretkę. Wymawiam z trudnością.

— I wracaj. Mamy robotę. Weź trzydziestkęosemkę z mieszkania.

Wracaj.

— OK... OK... Odpocznij.

Godzinę później rozumiem, że zemsta będzie musiała poczekać. Czuję jeden wielki ból. Potrzebuję co najmniej kilku dni, żeby się wylizać. Walczę z sennością, która ogarnia mnie powodując ogólne odretwienie.

Po piętnastu minutach dociera do mnie, że zostałem znokautowany i ciężko ranny, i poddaję się.

Pierwsze dni były bardzo trudne. Ciało miałem unieruchomione, spałem ciężkim snem, który nie łagodził bólu, przeleżałem bez świadomości pełne czterdzieści osiem godzin.

Ocknąłem się świadomy, lecz bezsilny. Ginger całkowicie poświęciła się opiece nade mną, bez przerwy u mego boku, czujna i ofiarna. Próbowała sprawić, bym przełknął jakieś papki, które podawała mi na tyżeczce. Nie mogłem tego znieść. Nie chciałem, żeby takie zachowała o mnie wspomnienie. Świadomość, że patrzyła na mnie tak całkowicie bezsilnego, doprowadzała mnie do szału. I do tego ten ciągły ból...

Odepchnąłem wszystkie jej starania. W tych paru słowach, które byłem w stanie wybelkotać, byłem agresywny i okrutny. Chciałem za wszelką cenę, żeby przestała się mną interesować. Poza tym tutaj nie była bezpieczna. Gdyby jeszcze i ją dopadli...

Wszystko szło źle, bardzo źle. Musiała odejść. Po dwóch dniach takiego traktowania ustąpiła. Kazałem dać jej dużo pieniędzy. Wyjechała na Tobago, swoją rodzinną wyspę. Tam będzie mogła odpocząć bezpiecznie. Kiedy odeszła, mogłem sobie pozwolić, by znowu stracić przytomność, mając główny kłopot z głowy.

I poprosiłem o opium.

To jedyny sposób, żeby znieść ostrożne przecież masaże, które robi mi Yac-Minh. Przychodzi regularnie, by powoli rozluźnić moje mięśnie, które odmawiają mi posłuszeństwa. Pograżony jestem w półomdleniu, z którego co pewien czas raptownie się budzę. Niekiedy dookoła panuje ciemność, rozświetlona jedynie małą lampką płonąca przed Buddą, niekiedy widzę pochylone nade mną twarze chińskich starców. Jak przez mgłę słyszę obok ich szwargotanie. Niekiedy dostrzegam twarz Yac-Minh, małej masażystki, która przygląda mi się zaniepokojona.

Wystarczy, bym wyciągnął rękę, by sięgnąć po kuleczkę opium. Sam ruch polegający na włożeniu jej do ust to już tortura. Jeszcze gorzej, kiedy trzeba ją połknąć, bo gardło muszę mieć spuchnięte, ale po paru minutach mała kuleczka odsyła mnie w ciemność.

Powoli wracam do życia. Każdy ruch sprawia, że jęczę z bólu, ale mogę już znieść czuwanie przez parę godzin dziennie.

Cały jestem posiniaczony i poraniony. Otrzymałem niezliczoną ilość uderzeń. Oddychanie sprawia mi ból. Na pewno mam kilka stłuczonych lub nadłamanych żeber. Gardło boli mnie, jakbym miał anginę, i nie mogę palić.

Uderzenie kija odłamało mi kawałki zębów, na dole z przodu. O wargach lepiej nie mówić. One bolą najbardziej. Ale najtrudniejsze są rany cięte, zresztą powierzchowne. Ucho przecięło mi właśnie jakieś ostrze. Na piersiach i plecach mam liczne szramy.

Li-Han dokonał w mojej obecności przeglądu mego ubrania.

Wszystko jest pocięte. Rozpostarł przede mną porżnięte na kawałki futro i stwierdził fakt, który sam już zrozumiałem:

— Chcieli cię zabić, Cizia.

Chcieli mnie zwalić z nóg uderzeniami kijów, a potem spokojnie mnie pociąć. Miałem wiele szczęścia. Zawdzięczam je zapewne kokainie i instynktownemu pragnieniu życia, które dodały mi skrzydeł. Gdybym padł od ich uderzeń, oznaczałoby to pewną śmierć. To coś w rodzaju cudu, ale nadal żyję.

Te skurwysyny postanowiły mnie rozwalić!

Za każdym razem, kiedy przychodzi mi na myśl Isaac Jones, zalewa mnie nienawiść. To wściekłość bezsilna, rozpaczliwa. W stanie, w jakim teraz jestem, mogę się tylko złościć. Nie przeszkodzi to temu zasranemu alfonsowi spać spokojnie. Nic nie uleczy mojego wstydu. Dałem się podejść jak frajer czarnym zawistnym pimps. Zmusili mnie, żebym biegł, żebym zwiewał na oślep. Żebym uciekał! Ja, wielki kozak, dałem się załatwić.

I to przy mojej pozycji, kiedy już przekonałem całe miasto, że jestem najsilniejszy! Co za wstyd! I moi pracownicy, Li-Han, Harry, Yac-Minh, widzą mnie w takim stanie!

Myślę tylko o jednym, by wreszcie wstać i dobrać się do gardła Jonesowi i jego kłownom za każdą tamtą minutę. Zgniotę ich. Oczyszczę miasto z tej swołoczy. Załatwię ich jednego po drugim.

Bezsilność to straszne uczucie. Jestem całkowicie zależny, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Jeśli mnie tu odnajdą, nie będę mógł nic zrobić. Wiem, że miejsce jest tajne. Bobby Thompson nie wiedział o nim. Jedyny sposób, by mnie znaleźli, to to, żeby zdradził mnie ktoś z pracowników. W zasadzie myśl ta wydaje się absurdalna. Harry udowodnił mi już swoją wierność. Jak dotąd Li-Han zawsze był w porządku...

Położyłem trzydziestkę obok maty, pod szmatą. Nie uratuje mnie, ale będę mógł strzelić przynajmniej raz. Może dostanę Jonesa, jeśli pofatyguje się osobiście. Albo tego sukinsyna Li-Hana, jeśli mnie zdradził.

Majaczę. Jestem tutaj całkowicie bezpieczny. Pomału moje myślenie powraca do normalności, i w końcu bóle słabną. Czas płynie mi od masażu do masażu, i przeżywam plany zemsty.

Czekając na ten cudowny dzień odpoczywam. Nie mam nic innego do roboty jak tylko leżeć bez ruchu. Mój złamany w trzech miejscach nos nie pozwala mi na zażywanie kokainy i, pozbawiony tej trucizny, po raz pierwszy od miesiący mogę się odprężyć.

Zaczęłam lepiej spać. Sen ogarnia mnie z zapadnięciem nocy. Budzę się wcześniej rano. Jest kwiecień i dni są już dłuższe. Okazuje się, że w tym mieście czasami jest dzień. Prawie już o tym zapomniałem.

Czuję, jak powracają mi siły, i niebawem mogę już chodzić po pokoju, ale jestem jeszcze sztywny i obolały. Regularnie jadam zupy, które przynosi mi Li-Han, mój poczciwy chiński kumpel.

Morale poprawia się. Bez kokainy jaśniej myślę. Wychodzę z zakłętego wiru, który zakręcił mną szybciej i porwał dalej, niż się spodziewałem.

Kazałem sobie przynieść lustro, bo wyobrażam sobie, że wyglądam już normalnie: parę zaczerwienionych miejsc, blizna na uchu, paskudnie urządzony nos przypominają o napadzie. Poza tym blada morda faceta, który trochę zaszalał. Ale jest jeszcze coś.

Pod tymi wszystkimi szramami moja twarz wygląda inaczej. Jest coś w rysach, może w spojrzeniu. Mam ten twardy wyraz, który przybierałem umyślnie, a który teraz nie chce zniknąć. Postarzałem się.

Siedzę samotnie i rozmyślam o wydarzeniach ostatnich miesiący. O wszystkich moich postępkach, nawet najbardziej skrywanych, takich, o których nigdy nikomu nie powiem. Widzę siebie, jakim byłem: wariatem spragnionym jak największego burdelu, który posunął się za daleko.

Pomału moja nienawiść słabnie. Czarni postąpili logicznie. Zebrałem ciosy, które sam zadawałem, i pod pewnymi względami to lanie oddało mi przysługę.

Wyrównam rachunki, ale nie pragnę już wszystkich wykończyć.

Spędzam długie chwile z Harrym. Opowiada mi, co się dzieje. Li-Han często przychodzi na górę, żeby pogadać. Resztę czasu poświęcam na przemyślenia.

Louie D'Amour zniknął błyskawicznie. Kiedy dowiedział się, że zamierzam zabrać się do czarnych, powiedział Harry'emu, że to dla niego za wiele. Pojechał na wakacje do Nowego Jorku.

Ginger jest bezpieczna. Okazała się wspaniała do końca.

Bobby Thompson. To on mnie zdradził. Zdradził Jonesowi adres Ginger. Przedtem nikt nie próbował się do mnie dobrać, bo wszyscy myśleli, że reprezentuję potężną organizację. Bobby spędził w moim bezpośrednim otoczeniu wystarczająco wiele czasu, by zorientować się, że jestem samotnikiem żyjącym ze szpanu.

Bananas gdzieś zniknął. Życzę powodzenia!

Haig niepokoił się o mnie. Nie odezwę się do niego. I tak miał już dość kłopotów. Życzę mu długiego życia, niech się jeszcze długo wesoło bawi.

Isaac Jones. Musi zapłacić. Nie czuję już urazy, ale jestem do tego zmuszony. Wobec siebie samego. Ale nie ma w tym nienawiści.

Pewnego wieczoru mówię do Harry'ego:

— Mam jeszcze ostatnią robotę, stary.

— Nie ma sprawy.

— Wiesz, z kasynem już koniec.

Wyjaśniłem mu, co zrobimy. Zgodził się i poszedł po całe nasze uzbrojenie. Przez sporą część nocy czyściliśmy strzelbę i trzydziestkę wyglupiając się bez przerwy.

Następnego dnia sprowadził czterech kumpli, facetów, którzy wyszli z Kingstown, federalnego więzienia. To doskonale maszynierzy, znają tylko przemoc. Li-Han, nie chcąc pozostać w tyle, dostarczył mi dwóch Azjatów, tajlandzkich bokserów, krępych i niebezpiecznych, których wysłałem na zwiad do Isaaca Jonesa. Wiem, że mieszka w zachodniej dzielnicy, w nowoczesnym budynku, pod którym jest podziemny parking. Wiem też, że wraca do domu około czwartej nad ranem.

Wieczorem wyruszamy. Harry pomaga mi zejść po schodach. W restauracji żegnam się z Li-Hanem. Jest wzruszony, wie, że już nie wrócę, sam mi kupował bilet na samolot. Jutro wcześniej rano zmieniam kontynent. Wszystko jest gotowe, pozostała ostatnia formalność.

— Żegnaj, Li-Han.

— Żegnaj, Cizia. Powodzenia.

Na ulicy lodowate nocne powietrze sprawia mi ból w płucach. Prowadzi Harry. Pozostali jadą przodem.

Na parkingu rozdzielam broń. Trzydziestkaósemka dla mnie, strzelba dla Harry'ego. Tamci mają własny sprzęt, noże i kastety. Oczywiście każdy z nas ma oprócz tego dobry stary kij baseballowy.

Tylko ja nie jestem zamaskowany. Pozostali nałożyli kominiarki, które zasłaniają im twarze. Dzięki temu nie narażają się na zemstę. Ja wyjeżdżam, zresztą jaki byłby sens tej ekspedycji, gdyby Isaac Jones miał nie wiedzieć, kto przyszedł do niego z wizytą?

Spóźnia się. Przykucnęliśmy za samochodami. Czekamy już od dwóch godzin. Dojmujący nocny chłód nieprzyjemnie oddziałuje na moje dopiero co zabliznione rany, przypominając mi, dlaczego tutaj jestem. Musi przyjechać dzisiejszej nocy. Mój samolot odlatuje rano, i nie mogę wyjechać z podniesioną głową pozostawiając nie spleczone rachunek.

Nastrój potęgują liczne fałszywe alarmy. Za każdym razem jednak chodzi o zapóźnionych spokojnych obywateli, z których jeden parkuje o parę metrów od nas.

Gdyby nas zauważył, przeżyłby panikę swego życia.

Wreszcie o piątej na parking wjeżdża różowo-zielony cadillac. Wsiada z niego Isaac Jones ze swymi goryłami. Moi ludzie rzucają się do przodu i kiedy tamci dostrzegają nas, jest już za późno. Zostają przeszukani i rozbrojeni. Isaac Jones stoi przede mną.

Podchodzę. Harry podtrzymuje mi rękę, pomagając podnieść baseballowy kij.

Uderzenie, które wybija Jonesowi wszystkie zęby, było tylko formalnością. Oddał mi przysługę przywołując mnie do rzeczywistości. Odzwajemniłem mu to przypomnienie, mając nadzieję, że okaże się to korzystne również dla niego.

Zapłaciłem wszystkim, bardzo hojnie, po czym Harry załadował cały arsenał do naszego samochodu. Pojechaliśmy nad brzeg jeziora Ontario. Rozładowałem trzydziestkąósemkę i wyrzuciłem ją jak najdalej, razem z kaburą. Za nią powędrowała strzelba, potem kije baseballowe i łańcuchy.

Nadchodził świt. W milczeniu wypiliśmy kawę, Harry i ja, po czym

wyjąłem z kieszeni wszystkie swoje pieniądze. Gruby zwój dużych banknotów, który mu podałem.

Zaskoczony popatrzył na mnie i chciał protestować.

— Cśśś! To na Australię.

Wziął bez słowa. Ma plany na wykorzystanie tych pieniędzy, zrobi to lepiej niż ja. A przede wszystkim, ja ich nie chcę. Nie trzeba zachować niczego z tej niedobrej forsy.

— Cześć, Harry.

— Cześć, Cizia.

Toronto, amerykańskie miasto, bogate i spokojne!

Jadąc taksówką na lotnisko patrzyłem, jak nad Toronto wschodzi słońce. Musiałem zmrużyć oczy od blasku. Przez szybę zaczęło do mnie docierać ciepło. Jak przyjemnie, kiedy jest ciepło.

Kierowca taksówki, nie umiejący prowadzić Sikh w turbanie, odwraca się do mnie i pyta:

— Turysta?

— Turysta.

— Podobała się panu Kanada?

— Bardzo.

Toronto było ostatnią z moich miejskich przygód.

Przez wiele miesięcy budziłem się w nocy z krzykiem, zlany potem, z rękami wyciągniętymi do przodu, żeby zasłonić się przed uderzeniami.



## Spis treści

Prolog . . . . .	5
Część pierwsza . . . . .	11
Część druga . . . . .	157
Epilog . . . . .	241

Wydawnictwo Bellona. Warszawa 1991. Wydanie I  
Skład: Zakład Poligraficzny „FOTOTYPE” Milanówek  
Druk: Wojskowe Zakłady Graficzne Warszawa. Zam. nr 3794